

NATURALISTA
ANDREW
MAYNE

Andrew Mayne

NATURALISTA

przełożył Jacek Żuławnik



Tytuł oryginału: *The Naturalist*
Copyright © 2017 by Andrew Mayne
All rights reserved

Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXVIII

Copyright © for the Polish translation by Jacek Żuławnik, MMXVIII

Wydanie I

Warszawa MMXVIII

*Mojemu przyjacielowi Gerry'emu Ohrstromowi za wsparcie oraz zaraźliwy
entuzjizm dla nauki*

1

1989

Las wydawał się jakiś... inny. Tylko tak Kelsie potrafiła określić swoje odczucie. Po prostu coś było nie tak. Spojrzała w kierunku, w którym odszedł Trevor. Nie była pewna, czy powinna za nim pójść, czy pozostać przy małym czerwonym namiocie i poczekać, aż chłopak wróci z przerwy na toaletę.

Wyśmiałyby ją, gdyby mu powiedziała, że się boi. Sięgnęła więc do plecaka w poszukiwaniu rolki papieru toaletowego, którą pożyczyła z łazienki na stacji benzynowej pięćdziesiąt kilometrów wcześniej. Znalazła ją zaplątaną w kabel od walkmana, leżała na stosiku składanek na kasetach, które Trevor przygotował jeszcze w Boston College.

Trevor studiował, jako przedmiot kierunkowy wybrał dziennikarstwo. Był tyczkowatym chłopakiem o czarnych, opadających na oczy włosach. Poznali się na imprezie poza uczelnią i natychmiast zapalali do siebie sympatią, gdy okazało się, że oboje przepadają za rockiem progresywnym i planszówkami. Pierwszy wspólny wieczór spędzili w jego pokoju w akademiku. Słuchali *Tubular Bells*, grali w *Stratego* i popijali tanie wino. Kelsie od razu poczuła, że się zakochała, ale odczekała dwa miesiące, zanim wyznała Trevorowi miłość.

Jej rodzice go nie znosili. Ojciec, pracownik szczebla kierowniczego w banku, nie mógł zrozumieć, jak dziennikarstwo może być czymś „przedmiotem kierunkowym”, a matka wciąż wracała wspomnieniami do swojego pierwszego małżeństwa, które zawarła na studiach. Trevor był dla nich po prostu kolejną chwilową fascynacją córki, równie nieistotną jak partner Kelsie na balu na zakończenie podstawówki.

Matka i ojciec Trevora byli rozwiedzeni, mieszkali za granicą, syn prawie z nimi nie rozmawiał, co Kelsie szybko przeniosła na grunt stosunków z własnymi rodzicami. Kiedy Trevor zaproponował letnią

pieszą wyprawę połączoną z noclegiem pod namiotem, Kelsie zgodziła się bez wahania. Aby dodatkowo podkreślić swą niezależność od rodziców, oświadczyła, że nie przyjedzie do domu na wakacje. Ignorowała ich, kiedy próbowali dodzwonić się do niej do akademika. Do diabła z nimi, mówiła sobie.

To było dwa tygodnie i jakiś tysiąc kilometrów temu. Spoglądając na granatowy, ciemniejszy las, Kelsie naraz pożałowała, że nie pojechała do domu i nie spróbowała przekonać rodziców do Trevora. Wyprawa była w sumie przyjemna. Tylko od czasu do czasu Trevor tracił nad sobą panowanie, a wtedy Kelsie bała się, że znów zrobi coś, na co chłopak przewróci oczami i wytknie, jak nikła jest jej wiedza o podstawach pieszych wycieczek i biwakowania.

– Trev? – odezwała się, ruszając w kierunku, w którym się udał.

Odpowiedziała jej cisza.

– Kochanie, wzięłeś papier? Bo mam rolkę...

Przeszła dziesięć metrów, obejrzała się, by się upewnić, że widzi namiot, i postawiła jeszcze kilka kroków.

Dzień w lesie przechodził w noc. Cykały świerszcze, w górze przemknął jakiś wielki, niewyraźny kształt ptaka – czyżby sowa? – wracającego do gniazda albo wylatującego z niego.

Kelsie bardzo przeżywała to, że wybrali się w Appalachy. Któregoś dnia na szlaku dostrzegła wielkie czarne ptaki na tle wieczornego nieba i wskazała je Trevorowi. Było ich całe mnóstwo. Przyglądała się im z podziwem.

– To nietoperze – wyjaśnił.

– Nietoperze?

– Ano. Gdzieś niedaleko musi być spora jaskinia.

– Fajnie – odparła, bardzo się starając, by zabrzmiało to, jakby naprawdę tak myślała. Tamtej nocy nie zmrużyła oka. Każdy, nawet najdrobniejszy cień sprawiał, że przechodził ją dreszcz.

To jednak nic w porównaniu z tym, co czuła w tej chwili.

Dotarła do miejsca, w którym powinna była zastać Trevora. Pnie powalonych drzew układały się tu w kształt litery V, tworząc swego rodzaju niszę, w której nawet Kelsie poczułaby się w miarę swobodnie.

Trevora tu jednak nie było.

Może postanowił pójść inną drogą?

Już miała się odwrócić, kiedy nagle zauważyła jeden z jego traperów z jasnobrązowej skóry. Uklękła i podniosła go.

But tkwił wciśnięty pomiędzy korzeń a ziemię, tak jakby właściciel zgubił go, potykając się. Trevor powinien leżeć przed nim. Ale nie leżał. W ogóle nigdzie go nie było.

– Trev? – odezwała się cicho. Znadto się bała, by podnosić głos.

Światło zmierzchu bledło, sylwetki drzew stawały się coraz ciemniejsze. Kelsie postanowiła wrócić do obozowiska; wyobraziła sobie, że Trevor czeka tam na nią z uśmiechem na ustach. Wzięła but i ruszyła z powrotem.

Na chwilę spanikowała, gdy nie mogła dostrzec namiotu, ale w miarę jak się zbliżała do obozu, coraz wyraźniej widziała czerwień płótna w przyćmionym świetle. Po chłopaku nadal nie było śladu.

– Kochanie?

Już raz wykręcił jej taki numer, a ona w odwecie nie przespała się z nim tamtej nocy. Była pewna, że zrozumiał, czym grożą takie żarty, i miała nadzieję, że mimo to teraz też po prostu postanowił spłatać jej figla.

Usiadła przed namiotem z zamiarem zastanowienia się, co dalej – czy schować się w środku i zaczekać, czy spróbować rozpalić ognisko?

Uznała, że rozpali ognisko.

Dopiero kiedy uklękła przy niewielkim kręgu z kamieni i podjęła próbę podpalenia garści suchych liści, zauważyła pniak, którego wcześniej tam nie było. Mierzył tyle co połowa wzrostu dorosłego człowieka i był czarny jak noc. Stał pomiędzy dwoma zimozielonymi krzakami, w miejscu, które – dałaby sobie rękę uciąć – jeszcze przed chwilą było puste.

Powietrze uwięzło jej w płucach. Zerknęła w lewo i w prawo, by się upewnić, że to nie pomyłka. Kiedy powróciła wzrokiem do pniaka, już go tam nie było.

Las ożył.

Nastąpiła eksplozja ruchu, jakby na Kelsie runął cień.

Naraz znalazła się na plecach i poczuła, że coś niesamowicie ciężkiego siedzi jej na piersi i uniemożliwia oddychanie.

Pod palcami wyczuła grube, szorstkie jak pędzle jej matki włosy. W powietrzu rozszedł się zjełczały, miedziany zapach.

Zobaczyła błysk pazurów, ale dopiero kilka sekund później, kiedy ciepła krew zaczęła spływać po chłodnej skórze jej brzucha, zrozumiała, co się stało.

Trevor mówił, że w lasach porastających te góry żyją niedźwiedzie i pumy. Kelsie nie miała pojęcia, co ją zaatakowało, ale kiedy leżała sparaliżowana i się wykrwawiała, przyszła jej do głowy myśl, że nigdy nie słyszała o zwierzęciu, które by najpierw raniło człowieka, a potem siedziało i przyglądało się, jak ten umiera.

Maszyna do lodu

Człowiek nauki winien nie mieć żadnych pragnień ni sympatii, jego serce winno być z kamienia.

Karol Darwin

Niebieskie i czerwone światła radiowozów odbijają się w podrapanych chromowanych literach układających się w napis MASZYNA DO LODU. Zamyślony stoję przed motelowymi automatami, w ręce trzymam plastikowy kubek. Skąd pochodzi woda do tego urządzenia? Z miejscowego potoku? Przepuszczają ją przez filtr? Czy przed zamianą w kostki lodu woda jest przechowywana w wewnętrznym zbiorniku?

Niedawno czytałem artykuł o nowej bakterii, którą odkryto głęboko w jaskiniach lodowych. Przeszła od fotosyntezy do chemosyntezy i dosłownie pożerała skałę, by przeżyć. Na pewno bez trudu przeżarłaby się również przez filtr węglowy.

Na razie nie wydaje się szkodliwa dla ludzi – ciekawe zatem, czy można ją wykorzystać do rozbijania kamieni nerkowych? Tak wiele pytań...

Tak wiele... że dopiero po chwili zauważam samochód, który z piskiem opon zatrzymuje się za mną. Odwracam się i widzę opancerzonego policyjnego vana. Zauważam też, że na parkingu zjawilo się pół tuzina radiowozów, a w każdym dwoje funkcjonariuszy; kucają z wycelowanymi pistoletami i strzelbami przytkniętymi do ramienia. Mierzą w pokoje znajdujące się po drugiej stronie parkingu.

– Pochyl się pan! – syczy ktoś.

Mężczyzna w czarnych spodniach i z krawatem ukrytym pod kamizelką kuloodporną zajmuje pozycję za otwartymi od strony pasażera drzwiami zaparkowanego tuż obok mnie forda bronco. Na szyi dynda mu odznaka. Facet nie wyjmuje broni.

Daje mi znak ręką.

– Proszę wrócić do swojego pokoju.

Wszystko dzieje się jak w zwolnionym tempie, ale mimo to nie jestem w stanie się poruszyć. Kucam i zza tylnego zderzaka auta przyglądam się rozwojowi sytuacji.

Z vana wysiada czterech mężczyzn w rynsztunku bojowym, z metalowymi maskami na twarzach, i biegnie w kierunku pokoiów po drugiej stronie parkingu. Jeden z policjantów niesie gruby metalowy cylinder. Uderza nim w zamek i drzwi stają otworem. Dwóch wpada do środka z uniesioną bronią, a pozostali ich ubezpieczają.

Panuje pełna napięcia cisza. Po chwili przerywa ją okrzyk z pokoju:

– Czysto!

Jeden z uzbrojonych mężczyzn wychodzi, daje sygnał dłonią i kręci przecząco głową.

Drugi zjawia się tuż za nim, ustępując miejsca trzem funkcjonariuszom z biura szeryfa oraz wysokiej kobiecie w marynarce i kapeluszu kowbojskim. Kobieta ma ciemną, sztywną skórę, bruzdy mimiczne po obu stronach ust i kurcze łapki – widzę je nawet z daleka.

Zajrzawszy do pokoju, kobieta wraca na parking i przygląda się stojącym tam samochodom. Wskazuje jeden, na co policjant podaje numery rejestracyjne przez radio i prosi o sprawdzenie. Wszyscy milczą. Głos mówiącego niesie się po placu.

Mężczyzna, który kazał mi wracać do pokoju, rozluźnia się i wstaje zza drzwi wozu. Zauważa moje odbicie w lusterku od strony kierowcy i obraca się na pięcie.

– Chyba o coś pana prosiłem?

– Nie mogę. – Przenoszę spojrzenie na funkcjonariuszy strzegących wejścia do pokoju. – Raczej mnie nie wpuszczą.

Dociera do niego dopiero po chwili. Ja zaś nadal przetwarzam to, co się wydarzyło.

– Jasny gwint. – Mruży oczy. – Doktor Cray?

– Tak... Theo Cray. O co chodzi?

Jego dłoń wędruje ku zamocowanej na biodrze kaburze. Mężczyzna nie dobywa broni, ale kładzie palce na rękojeści.

– Doktorze Cray – zaczyna niskim, wyważonym tonem – dla

pańskiego bezpieczeństwa proszę, żeby powoli odstawił pan kubek i podniósł rękę.

Nie myślę. Robię, co każe.

– A teraz proszę uklęknąć.

Mam na sobie szorty, żwir wbija mi się w kolana, ale jestem do tego stopnia zdjęty strachem, że nawet nie czuję bólu.

Podchodzi do mnie, trzymając dłoń na rękojeści pistoletu.

– Stanę za panem. Upewnię się, że nie ma pan broni. – Przyglądam mu się kątem oka. Wolną rękę kładzie na drugim biodrze. – Pozwoli pan, że dla własnego bezpieczeństwa założę panu kajdanki.

– W porządku – zgadzam się. W końcu ma pistolet. Chyba nie za bardzo mogę odmówić. Znadto się boję, żeby zapytać, dlaczego uważa, że powinien założyć mi kajdanki.

Szybko, ale zaskakująco delikatnie zapina zimne metalowe bransoletki na moich nadgarstkach, po czym pyta:

– Czy mogę unieść pana koszulę?

– Jasne – odpowiadam słabym głosem.

Czuję powiew chłodnego powietrza Montany na spoconych plecach.

– Przeszukam teraz pańskie kieszenie.

– Okej.

Kładzie mi dłoń na ramieniu, przytrzymując, żebym nie wstał, i obszukuje obie kieszenie.

– Co pan tu ma?

Chwila paniki, pustka w głowie.

– E... Klucz do pokoju. Portfel. E... Telefon.

– Coś jeszcze?

Muszę się zastanowić. Boję się udzielić złej odpowiedzi.

– E... Scyzoryk. Leatherman.

Mężczyzna wciąga rękawiczki. Czuję zapach lateksu.

– Czy mogę wyjąć te przedmioty z pańskiej kieszeni?

– Tak. Tak... oczywiście.

Na filmach w takich sytuacjach jest dużo krzyku. Tymczasem ten mężczyzna odzywa się do mnie, jakby był lekarzem. Nie podnosi głosu. Nie grozi mi.

Opróżnia moje kieszenie i kładzie wszystkie przedmioty na ziemi półtora metra ode mnie. Blisko, ale poza zasięgiem rąk.

– Proszę chwilę zaczekać, dopóki tego nie wyjaśnimy.

– Czego nie wyjaśnicie?

Nie odpowiada. Zamiast tego przykłada palce do ust i głośno gwizdże. Kobieta w kowbojskim kapeluszu odwraca głowę w kierunku źródła dźwięku.

Jej spojrzenie koncentruje się na mnie.

– Cray?! – krzyczy.

Mężczyzna potwierdza skinieniem głowy. W osłupieniu robię to samo.

Do tej pory wszystko przebiegało zaskakująco spokojnie, jak podczas badania lekarskiego. Teraz nagle następuje przyspieszenie. Cała energia skierowana na mój pokój w motelu obraca się w moją stronę, jakby wycelowano we mnie lufę działa.

Czuję na sobie dziesiątki oczu.

Są wśród nich spojrzenia pełne wściekłości.

Jestem oceniany. Osądzany.

Nie mam, kurwa, pojęcia dlaczego.

– O co chodzi? – pytam.

Kobieta w kowbojskim kapeluszu podchodzi szybkim krokiem. Staje nade mną, przygląda mi się, jakbym był próbką w laboratorium. Miga mi ostrze, które nosi przy pasku.

– Próbował uciekać? – pyta, lekko przeciągając samogłoski. Nie spuszcza ze mnie oka.

– Jest bardzo skłonny do współpracy.

– To dobrze. Doktorze Cray, jeżeli nadal będzie pan z nami współpracował, wszystko szybko się skończy.

W sposobie, w jaki wypowiada te słowa, nie ma nic a nic uspokajającego.

3

Próbka

Jestem naukowcem. Przyglądam się. Analizuję. Wysuwam przypuszczenia. Sprawdzam je. Jestem inteligentny, ale zawsze jakby trochę nieobecny.

W dzieciństwie czytałem komiksy i pragnąłem być Batmanem, Mrocznym Rycerzem, detektywem takim jak on. Jednakże postacią, z którą miałem najwięcej wspólnego, był Obserwator, łysy człowieczek w todze, który pojawiał się na kartach opowieści ze świata Marvela i zwyczajnie... obserwował.

W tej chwili przypatruję się swojemu życiu jak ciągowi liczb na ekranie komputera i szukam współzależności.

Detektyw Glenn, mężczyzna, który znalazł mnie w motelu, siedzi naprzeciwko mnie. Rozmawiamy sobie, jak gdyby nigdy nic. Unikamy oczywistych pytań, na przykład o to, dlaczego mam plastikowe torebki na dłoniach.

Formalnie rzecz biorąc, chyba nie zostałem aresztowany. O ile mi wiadomo, zgodziłem się na to wszystko. Nie od razu, stopniowo. Zdaje się, że nazywają to zatrzymaniem do wyjaśnienia. Glenn zdjął mi kajdanki, gdy tylko posadził mnie przy stole w sali konferencyjnej. Torebek jednak nie usunął, nadal tkwią na moich dłoniach, umocowane taśmą w nadgarstkach. Najwyraźniej jestem okazem.

Glenn jest tak opanowany i rozbijający, że chwilami zapominam, jak się tu dostałem. Przyjechałem radiowozem, skuty i wciśnięty na tylne siedzenie. Celowały we mnie lufy pistoletów oraz wściekłe, pełne odrazy spojrzenia, których nie potrafię wytłumaczyć.

Przypatruję się Glennowi, który obserwuje mnie pomiędzy uprzejmymi uwagami na temat pogody w Montanie i teksańskich zim. Ma rzędzące na skroniach blond włosy i czujne szare oczy osadzone w zmęczonej twarzy. Kojarzy mi się z podstarzałym miotaczem, usiłującym odgadnąć, w jaki sposób odbijający zareaguje na kolejny rzut. Nosi szkockie nazwisko, ale oblicze ma bardzo holenderskie.

Raz jeszcze pytam, o co chodzi, na co on odpowiada:

– Dojdziemy do tego. Musimy wyjaśnić pewne rzeczy.

Mówię, że chętnie wyjaśnię tyle, ile będę mógł, ale Glenn obojętnie odnosi się do mojej propozycji, udaje niezainteresowanego tym, co mogę mieć do powiedzenia. Sądząc po liczbie policjantów, którzy wtoczyli się do mojego pokoju w motelu, a także po tym, jak potraktowano moje dłonie i stopy, podejrzewam, że tak naprawdę bardzo ich interesuje moja osoba.

Do drzwi sali konferencyjnej puka ciemnowłosa kobieta w kitlu laboratoryjnym. Glenn zaprasza ją gestem do środka.

Kobieta stawia na stole skrzynkę na narzędzia, po czym zakłada maseczkę zasłaniającą usta i nos.

– Włączona? – pyta, wskazując stojącą w kącie kamerę; nie zauważyłem jej wcześniej.

– Tak – odpowiada Glenn.

– To dobrze. – Kobieta zwraca się w moją stronę i zdejmuje mi torebki z dłoni.

Założono je dla zabezpieczenia materiału dowodowego – to oczywiste. Ale w związku z czym?

– Panie Cray, pobiorę teraz próbki. – Kobieta mówi głośno, zapewne po to, żeby było ją słychać na nagraniu. Ogląda moje paznokcie i pokazuje je Glennowi.

Ten pochyla się i zerka na skórki.

– Obcina je pan bardzo krótko. Dlaczego?

– Chytridiomikoza – wyjaśniam.

– Chytry... – próbuje wymówić Glenn, ale się poddaje. – Co to takiego? Choroba?

– Tak. Grzybicza.

Laborantka puszcza moją dłoń.

– Zaraźliwa?

– Tak – odpowiadam, zaskoczony jej reakcją. – O ile jest pani płazem. Ja jej nie mam. Chyba. Ale poświęcam sporo czasu na badanie żab w różnych środowiskach, dlatego muszę uważać, żeby nie przenosić zarazków.

Glenn zapisuje coś w swoim notatniku.

– Czy to dlatego kupił pan buty przed trzema dniami?

Nie pytam, skąd wie.

– Tak. To, czego nie jestem w stanie wysterylizować, niszczę i wymieniam na nowe. Przyznaję, że może przesadzam z ostrożnością, ale niektórzy uważają, że odpowiedzialnością za spadek liczebności płazów należy obarczać naukowców niechcący roznoszących zarazki.

– Dużo pan podróżuje? – pyta Glenn.

– Bez przerwy. – Czy zdradzam zbyt wiele?

– Żeby badać żaby?

– Czasami tak. – Nie wiem, ile powiedzieć. Jak dotąd nie wydawał się zainteresowany, ale to mógł być podstęp, żebym sam zaczął mówić.

Glenn wyjmuje kartonową teczkę z aktówki i zaczyna przeglądać wydruki. Staram się nie zwracać na nie uwagi, ale tekst przebija przez kartkę. To informacje na mój temat znalezione w internecie: strony wydziału, artykuły, wywiady.

Laborantka bierze patyczek z wacikiem i przesuwając nim pod moimi paznokciami. Robi to delikatnie. Zaskoczyło mnie, że nie wiedziała, czym jest chytridiomikoza. Choć z drugiej strony... Kobieta jest ubrana jak naukowiec, ale tak naprawdę pracuje jako szeregowy technik wyspecjalizowany w zbieraniu, a nie badaniu dowodów.

Przerzuciwszy kilka stron, Glenn spogląda na mnie zaintrygowany.

– Bioinformatyka? Jest pan biologiem?

– Niezupełnie. Bioinformatyka to połączenie nauk biologicznych z metodami i narzędziami informatycznymi.

Glenn stara się zadawać proste, ogólne pytania, ale wyraźnie widzę, że jest inteligentnym człowiekiem, który słucha tego, co mówię – i co przemilczam. Odpowiadam szczerze, ponieważ nie wiem, dokąd zmierza rozmowa.

– Zajmujemy się głównie genetyką. Na przykład DNA. Jest ono tak złożone, że jeśli chcemy je zrozumieć, musimy korzystać z pomocy komputerów.

Kiwa głową.

– Czyli jest pan w pewnym sensie genetykiem?

– Nie. Wprawdzie od czasu do czasu badam DNA, ale znajduje się

ono poza obszarem moich zainteresowań. Obecnie zgłębiam zagadnienie plastyczności fenotypowej.

Łypie na kobietę, która kręci głową, po czym zerka na mnie, unosząc brew.

– Czy słusznie podejrzewam, że nie ma to nic wspólnego z plastikami?

– Jak najbardziej. – Sięgam do tekstu, którym raczę gości na przyjęciach, i przypominam sobie, jak bardzo nie znoszę wyłuszczać laikom sensu mojej pracy. – Czy uprawiał pan sport w liceum?

– Grałem w futbol.

– Czy był pan wtedy bardziej muskularny?

– Dziesięć kilo czystych mięśni. Tęsknię za nimi. – Posyła laborantce uśmiech pełen skrępowania.

Podejrzewam, że kiedy nie maglują podejrzanych i nie szukają obciążających dowodów pod ich paznokciami, zachowują się jak zwyczajni znajomi z pracy i mają swoje żarciki, zrozumiałe wyłącznie dla ludzi z biura.

– Ssaki potrafią zwiększyć swoją masę mięśniową, ale na przykład gady nie – ciągnę. – Jesteśmy w stanie zbudować sobie ogromne mięśnie. Srebrnogrzbisty samiec goryla ma dostęp do większej ilości jedzenia i zwiększa produkcję testosteronu, wskutek czego rosną mu mięśnie, a sierść na plecach robi się srebrna... – Milknę. – Nie zanudzam pana?

Glenn kręci głową.

– Nie, profesorze. Proszę mówić dalej. To fascynujące.

– Słowo „fenotypowy” odnosi się do kodu w naszym DNA, „plastyczność” zaś do jego zmienności. Przykład: chińskie dzieci rosną znacznie wyższe od swoich rodziców. Ich DNA się nie zmieniło, dysponuje tylko wbudowanym kodem odpowiedzialnym za przystosowanie organizmu do większej ilości białka, za powiększenie macicy i tak dalej. Kolejnym przykładem jest otyłość. Wyewoluowaliśmy w środowisku, w którym nie było łatwo o kalorie, dlatego dziś przy braku ostrożności możemy nawet trzykrotnie zwiększyć masę ciała. Plastyczność fenotypowa ma swoje ciemne strony.

– Czyli przyjechał pan obserwować zwierzęta, które potrafią się zmieniać?

– Zasadniczo tak. Interesują mnie zwłaszcza zwierzołaki. – Uśmiecham się z wyższością po własnej dowcipnej uwadze, którą rzucałem setki razy na zajęciach z lekko rozbawionymi studentami.

Nie udaje mi się wzbudzić wesołości w Glennie i laborantce.

– Zwierzołaki? – pyta Glenn.

– Żabiołaki. Konkretnie kijanki – odpowiadam, nieco speszony. – Szczególnie interesujące są kijanki żab leśnych. Jeśli w stawie jest ich zbyt dużo, jedna bądź kilka przechodzi przemianę. Rosną im szczęki i ogony i z roślinożerców kijanki stają się kanibalami. Wyglądają jak miniaturowe piranie, zaczynają pożerać swoje rodzeństwo. Zredukowawszy liczbę kijanek w stawie, odzyskują dawną postać i ponownie dołączają do radosnej gromadki czekającej, by przeobrazić się w żaby.

Glenn przez chwilę przyswaja to, co usłyszał.

– Ciekawe. „Żabiołaki”. Rozumiem. I pan je bada?

– Niezupełnie. Badam ich środowisko. Sądzę, że to zjawisko nie ogranicza się do kijanek. Może dotyczyć zarówno mikroorganizmów, jak i ludzi.

Glenn unosi brew.

– Ludzi?

– Owszem. Możemy je zaobserwować choćby w łonie matki w czasie ciąży bliźniaczej. Jeden płód odbiera substancje odżywcze drugiemu, stąd później ich różna masa. W przypadku zespołu znikającego płodu jeden bliźniak umiera i zostaje wchłonięty przez drugiego. Czy to sprawka matki? A może „złego” bliźniaka? Jeśli tak, to ów „zły” bliźniak zawsze wygrywa. W ograniczonym środowisku, takim jak staw, jeden organizm spontanicznie reguluje liczebność populacji, po czym odzyskuje normalną postać. Drapieżnik alfa, dominujące zwierzę na końcu łańcucha pokarmowego, wyłania się, gdy populacja osiąga określoną wielkość. Obserwujemy to zjawisko u szczurów kanibali, pajaków, a nawet wśród programów komputerowych.

– Owca zamienia się w wilka? – rzuca Glenn.

Zastanawiam się chwilę.

– Niewykluczone. U zwierząt udomowionych trudniej o takie zachowania, ich populacje są bowiem dużo bardziej homogeniczne, a także celowo trzebione. Co innego zdziczały inwentarz, na przykład świnie, które powracają do dawnych form. Zdarza się to również w sforach psów.

– Hm. To naprawdę bardzo ciekawe, doktorze Cray. – Zwraca się do kobiety: – Caroline, masz już wszystko?

– Chwileczkę. – Przesuwa patyczkiem pod paznokciem swojego kciuka, następnie chowa go do plastikowej torebki opisanej PRAWY KCIUK. – Gotowe. – Wkłada wszystkie próbki do torby, zabezpiecza ją specjalną taśmą i pokazuje do kamery.

Wpatruję się we wbite we mnie oko kamery, zastanawiam się, kto jest po drugiej stronie, kto gra rolę Obserwatora.

Glenn wstaje.

– Doktorze Cray, chciałbym pana prosić o wyrażenie opinii na pewien temat, o ile ma pan chwilę. Spróbujemy też znaleźć panu jakieś buty.

Cieszę się, że moich dłoni nie krępują już kajdanki ani plastikowe torebki, ale martwi mnie to, że detektyw Glenn ożywił się na dźwięk pewnego słowa.

„Drapieżnik”.

Samooskarżenie

Detektyw Glenn prowadzi mnie korytarzem. Nadal jest serdeczny i traktuje mnie jak gościa.

– Jestem panu wdzięczny za współpracę, doktorze Cray.

Mijamy otwarte gabinety. Zauważam, że ludzie podnoszą głowy znad biurka i spoglądają na mnie. Przypatrują mi się i bynajmniej nie robią tego mimochodem.

Najwyraźniej jestem podejrzany; policja się mną interesuje, jak to się mówi. Nie wiem jednak, w związku z jaką sprawą.

Powinienem czuć zdenerwowanie, ale – co ciekawe – fakt, że ukrywa się przede mną powód zatrzymania, pozwala mi zachować spokój. To coś zupełnie innego niż czekanie na wyniki badań, z których się dowiem, czy mam raka. Brak wiedzy o stawce, o jaką toczy się gra, skutkuje poczuciem odrealnienia.

Glenn otwiera drzwi prowadzące do pomieszczenia pełnego szaf na dokumenty. Miejsce pośrodku zajmuje duży stół.

– Proszę usiąść, doktorze Cray.

– Wystarczy Theo – rzucam, siadając. W normalnych okolicznościach dużo wcześniej proponuję przejście na ty, ale dotąd byłem nieco zaabsorbowany. – „Doktora” wolałbym zarezerwować dla kolegów po fachu. – Oszczędzam mu wykładu o posiadaczach idiotycznych tytułów naukowych, na przykład doktora psychologii albo pedagogiki, których spotykam na uczelni, a którzy nie byłiby w stanie zdać najprostszego egzaminu z przedmiotów ścisłych, lecz mimo to upierają się, by zwracać się do nich z takim samym szacunkiem, z jakim człowiek odzywa się do, dajmy na to, dyrektora oddziału onkologii szpitala klinicznego.

– Rozumiem. – Detektyw szpera w szafach za moimi plecami, wyciąga różne teczki. – Nie jest pan czasem geniuszem?

– Chodzi panu o grant „dla geniuszy” Fundacji MacArthurów? Nie, ja dostałem nagrodę Brilliant, za „wybitne osiągnięcia”. To trochę co

innego. Okropnie się nazywa, dlatego pomijam ją w swoim życiorysie.
Glenn kładzie teczki na stole i siada po drugiej stronie.

– Niech pan nie będzie taki skromny. To jasne jak słońce, że jest pan geniuszem. Proszę przyznać, że łośki z pana gość.

Schlebia mojej próżności, próbuje mnie urobić. Ale do czego zmierza?

– Nie na tyle łośki, by się domyślić, co tu robię.

Zbrywa pytanie machnięciem ręki.

– Och, formalności. Wkrótce będzie po wszystkim. – Co może oznaczać, że znów założy mi kajdanki. – Jako biolog... przepraszam, chyba powinienem powiedzieć: jako bioinformatyk?

– Niech będzie. Nazwa mojej dziedziny brzmi inaczej na każdej konferencji.

– W porządku. Chciałbym panu, łośkiemu gościowi, pokazać kilka zdjęć z różnych spraw. Ciekawią mnie pańskie wrażenia.

– Wrażenia? Nie jestem jasnowidzem.

– Źle to ująłem. Interesuje mnie, jak pan odbierze te fotografie. Proszę zrobić mi tę przyjemność.

Kusi mnie, by mu wypomnieć, że już od dwóch godzin robię im „przyjemność”, ale odpuszczam sobie. Nie jestem osobą, która dążyłaby do konfrontacji.

Podsuwa mi teczkę. Pozaginane rogi, spłowiała etykieta. Otwieram ją i widzę mężczyznę z rozłupaną czaszką. Jedyne ocalałe oko wpatruje się w obiektyw aparatu, pozostałej części twarzy brak. Płytkę ceramiczną, na której spoczywa głowa, pokrywa rozbryzg krwi. Zamykam teczkę i odsuwam ją od siebie.

– Przydałoby się ostrzeżenie.

– Słucham? – Glenn zabiera teczkę i zerka na jej zawartość. – O rany. Przepraszam. Chciałem panu pokazać tę. – Podsuwa mi inną.
– Co pan o tym sądzi?

Zdjęcie krowy z krwawymi śladami na szyi i karku oraz z rozplatanym brzuchem.

– Chodzi o fachową opinię?

– Tak.

– To martwa krowa.

– Owszem. Ale jak zginęła?
– Czy to jakiś... sprawdzian?
– Nie. Taka tutejsza zagadka. Właściwie bardziej żart. Ranczer twierdzi, że to dzieło chupacabry. Inni, że kosmitów. Brzuch wygląda na wygryziony przez kojoty. Ślady na szyi i karku pozostają tajemnicą.

– Poważnie? – Ponownie przyglądam się ranom.

– Jak najbardziej.

Wpatruję się w ślady, jednocześnie przypominając sobie wszystko, co wiem o krowach, czyli niewiele, ale wystarczająco, by wyrobić sobie pogląd na temat tego, co się wydarzyło. Odkładam zdjęcie na stół. Nadal nie mam pewności, czy mnie nie sprawdzają. Rzecz jest oczywista.

– Chce pan usłyszeć zwięzłą czy rozbudowaną odpowiedź?

– Rozbudowaną, czyli jaką?

– Zawierającą wyjaśnienie, jak do niej doszedłem.

Uśmiecha się pod nosem.

– Niech będzie, profesorze. Poproszę wersję rozbudowaną.

– Jak już mówiłem, badam systemy. Takim systemem jest na przykład DNA. Komórka. Organizm. Staw. Planeta. Każdy z nas funkcjonuje w ramach różnych systemów. Jakie systemy tu widzimy?

– Podsuwam mu fotografię.

– No... sądząc po ugryzieniach kojotów, możemy wyciągnąć wniosek o tym, jakie miejsce zajmuje krowa w łańcuchu pokarmowym.

– Naturalnie. Co jeszcze? Jakie inne systemy? – Wskazuję krwawe ślady na szyi. – Co mogło być przyczyną na przykład tego? Znaleźliście takie ślady również na innych zwierzętach?

– Tak...

– Domyślałam się, że na owcach – wchodzę mu w słowo. – Ale nie na świniami i koniach. Zgadza się?

Glenn potwierdza skinieniem głowy.

– Owszem.

– Wobec tego odpowiedź jest oczywista.

– Oczywista... Czyli?

- Kojoty.
- No dobrze, ale co ze śladami na szyi?
- Wszystkie zwierzęta, które wymieniłem, łączy pewien system.

Jaki?

– Farma – odpowiada Glenn.

– A konkretnie?

– Ranczo?

– Właśnie tak. A po czym na pierwszy rzut oka poznajemy, że ranczo to ranczo?

Kiwa głową i najwyraźniej zaczyna rozumieć.

– Po ogrodzeniu.

– Z drutu kolczastego. Za jego pomocą wyznaczamy granicę systemu. Świetnie się sprawdza w przypadku krów i owiec, ale jest za niskie dla koni, świnie zaś mogą się pod nim przekopać. Giną jedynie te zwierzęta, które jest w stanie powstrzymać ogrodzenie z drutu kolczastego. Owce i krowy.

– Zaplątują się w drut, po czym dopadają je kojoty i odciągają gdzieś dalej?

– Niewykluczone. Podejrzewam, że kojoty nauczyły się zaganiać zwierzęta wprost na ogrodzenie. Krowa się nie zaplątuje, drut jedynie rozcina jej skórę. Pada dopiero wtedy, kiedy straci zbyt dużo krwi, czasem nawet wiele kilometrów od miejsca, w którym została zraniona.

– Imponujące. Cóż mogę rzec? Dla mnie jest pan geniuszem. – W jego słowach kryje się coś, co sprawia, że pochwała wydaje się szyta grubymi nićmi. Glenn kładzie dłonie na pozostałych teczkach. – Te są bardziej drastyczne. Przypadkowe sprawy. Chciałbym, żeby pan zerknął i powiedział, czy przychodzą panu do głowy jakieś naukowe spostrzeżenia.

Przesuwa stosik teczek na moją stronę stołu. Nie dotykam ich.

– Czy po to tu jestem?

– Proszę raz jeszcze zrobić mi przyjemność, profesorze. Może mi pan wierzyć, że w całej komendzie nie ma nikogo równie uprzejmego jak ja.

Dochodzę do wniosku, że wolę nie sprawdzać, co to oznacza. O ile

jestem w stanie się zorientować, policja nie ma wobec mnie żadnych zarzutów, toteż poczynienie kilku spostrzeżeń nie powinno stanowić problemu. Wszystko, byle prędzej się stąd wydostać.

Mam przed sobą dwa tuziny zdjęć przedstawiających zwłoki, krwawe odciski dłoni oraz różne przedmioty. Na fotografiach widnieją co najmniej trzy osoby: starsza kobieta, która wygląda, jakby pobito ją na śmierć, mężczyzna, który odniósł rany klute i cięte, oraz zakrwawiona młoda kobieta, której twarzy nie widać na żadnym ze zdjęć.

Są też ujęcia zakrwawionych ubrań, telefonów komórkowych, pieniędzy oraz pni drzew, jak również innych, czystych przedmiotów.

Pochyliłam się nad fotografiami i zamyślam. Detektyw Glenn oddala się o tysiące kilometrów. Podobnie kamera w rogu, która nadal mi się przygląda. Oraz, przypuszczalnie, Obserwator.

Rozkładałam zdjęcia na cztery kupki i studiuję je pojedynczo. Widzę ugryzienia owadów, ślady oparzeń sokiem sumaka jadowitego, dłoń spoczywającą na zamkniętej szyszce. Nie bardzo wiem, co o tym sądzić. Krowa była łatwa – tylko jedno zdjęcie.

Po kilku minutach spoglądam na Glenna, licząc na jakąś odpowiedź, i orientuję się, że z jego twarzy zniknął uprzejmy uśmiech.

Detektyw wpatruje się w środkową kupkę. Szybko zerka na kamerę, po czym przenosi spojrzenie z powrotem na mnie i odzyskuje panowanie nad sobą.

– Doktorze Cra... Theo, dlaczego umieścił pan tu te zdjęcia?

Czuję, jak kurczy mi się żołądek. Coś się wydarzyło. Coś, co ukazało mnie w złym świetle.

Rozkładałam fotografie ze wskazanego stosika i prędko chcę się wytłumaczyć.

– Wyglądają na różne ujęcia tej samej ofiary.

Glenn wyjmuje zdjęcia zakrwawionej szyszki oraz torebki leżące na kłodzie.

– Na tych nie widać zwłok, a mimo to umieścił je pan na jednej kupce z innymi. – Odkłada je na stół. – Dlaczego?

– Hm. – Zbieram fotografie i znów zaczynam je przeglądać. – Nie

zwróciłem uwagi. Musiałem to zrobić przypadkowo.

– Tu są dwa tuziny zdjęć. Tymczasem pan wybrał sześć pochodzących z tej samej sprawy. Przypadek? Nie sędzę.

– Rzeczywiście, nie wygląda to na działanie losowe... – Usiłuję nadażyć za własnym rozumowaniem.

– Bynajmniej.

Wskazuję liczby umieszczone w dolnej części odbitek.

– Zgaduję, że to numery spraw. Pasują do siebie. W większości. To, zdaje się, zakodowana data.

Glenn zabiera zdjęcia i przygląda się liczbom.

– Tego nie powinno tu być. – Posyła rozdrażnione spojrzenie do kamery. Opadają mu ramiona. – Czyli spojrział pan na numery spraw i na tej podstawie posegregował fotografie? – Wzrusza ramionami i rozkłada ręce w geście frustracji. – Ma to sens.

Powinienem trzymać język za zębami. Ale nie mogę. Dążenie do logicznego wyjaśnienia to mój wewnętrzny przymus, w dodatku niebezpieczny.

– Nie, to nie tak.

Glenn nastawia uszu.

– Wobec tego – pyta spokojnym, opanowanym głosem – skąd pan wiedział, że te zdjęcia pochodzą z jednego miejsca zbrodni?

Wskazówka

Widać, że detektyw Glenn poświęcił sporo czasu na opanowanie sztuki zachowania spokoju i samokontroli w skrajnych sytuacjach. Sądzę, że dotąd działał z pełnym rozmysłem. „Przypadkowo” podsunął mi fotografię rozłupanej głowy, ponieważ chciał się przekonać, jak zareaguję.

Stracił nieco zimnej krwi, kiedy zobaczył, jak segreguję zdjęcia. Zaskoczyło go to. Wydaje mi się, że aż do tego momentu traktował swoje podejrzenia raczej niezobowiązująco. Jego atutem był brak agresji. Gdybym poszedł tym tropem, prawdopodobnie wcześniej zorientowałbym się, o co tu chodzi.

Nie bez powodu od kilku godzin nie widziałem pani szeryf – kobiety, którą zobaczyłem na parkingu przed motelem. Mogę w niej czytać jak w otwartej księdze. Tymczasem Glenn lepiej się maskuje. Przypuszczam, że to ona sprowadziła oddział SWAT, żeby zapukał do moich drzwi. Tymczasem Glenn łagodną perswazją sprawił, że wsiadłem do jego auta dobrowolnie, niczym przestraszone, zabłąkane dziewczę.

– Dlaczego pogrupował pan te zdjęcia? – pyta raz jeszcze.

Rozkładam je przed sobą.

– Zrobiłem to podświadomie.

Jego głos znów wpada w życzliwy ton.

– Theo, czy jest coś, co chciałby mi pan powiedzieć?

– Owszem. Jestem kiepski z botaniki. Nigdy nie potrafiłem zapamiętać tych wszystkich nazw. – Wskazuję niską, kolczastą roślinę. – To nie jest ostropest plamisty, ale coś zbliżonego. – Przenoszę spojrzenie na inne zdjęcia. – Widać tę roślinę jedynie na fotografiach, które ułożyłem na tej kupce. To znaczy, że zrobiono je o tej samej porze roku.

Zabiera je i zerka.

– Chodzi o to zielsko?

– Właśnie, zielsko. – Machnięciem zbywam pozostałe fotografie. – Resztę ułożyłem z innych powodów. – Wskazuję starszą kobietę i wachlarz związanych z nią ujęć. – Tutaj występuje zniekształcenie soczewki aparatu. Widać to w dolnym rogu, tam gdzie są proste linie. – Dotykam kolejnej kupki. – To zeskanowane odbitki z kliszy. Zapewne z lat dziewięćdziesiątych.

– Zapewne – powtarza jak echo Glenn, lekko kręcąc głową.

Rozlega się pukanie do drzwi. Ktoś zaprasza Glenna na korytarz.

– Przepraszam – mówi detektyw i wychodzi.

Słyszę dźwięki rozmowy, ale nie potrafię rozróżnić słów. Jestem zaintrygowany, ale staram się nie okazywać zainteresowania, ponieważ kamera wciąż ma mnie na oku.

Glenn wraca i siada na swoim miejscu. Jest rozluźniony.

– Doktorze Cray, czy mogę panu coś poradzić?

– Oczywiście, być może skorzystam z rady.

– Jeżeli nie daj Boże ponownie znajdzie się pan w takiej sytuacji, proszę nic nie mówić, dopóki nie porozmawia pan z adwokatem. – Stuka palcem w stosik fotografii. – To, co od pana usłyszałem, jest niepokojące. Można wręcz powiedzieć, że obciążające.

– Po prostu byłem szczery.

– Zauważyłem. Szczery ze szkodą dla samego siebie. Ciekawi mnie, dlaczego zatrzymał się pan dłużej na zdjęciu z urazem głowy.

– Ach, czyli to było specjalnie?

– O tak. – Kiwa głową. – Chciałem się przekonać, czy zareaguje pan z odrazą, jak normalny człowiek, czy zacznie się pan ślinić.

– A ja zatrzymałem się dłużej na tym zdjęciu...

– Owszem. Tak jak policjanci i lekarze.

– Kiedyś byłem sanitariuszem.

Uniesienie brwi.

– No proszę.

– Tak. Ale nie dlatego się zatrzymałem. Patrzyłem na krew, która wsiąkła w białą fugę między płytkami. Skojarzyło mi się to z kością.

Glenn mruży jedno oko.

– Z kością? Jest pan dziwny. Nawet pan nie wie jak bardzo. – Przesuwa dłonią ponad fotografiami. – Chce pan wiedzieć, co mnie

najbardziej zaintrygowało?

– Z chęcią się dowiem.

– Ani razu nie wspomniał pan o zwłokach. Zauważył pan wszystko oprócz nich.

Nawet ja muszę przyznać, że to nieco osobliwe.

– Pewnie dlatego, że ludzie nie leżą w moim obszarze zainteresowań...

Glenn wybuchł krótkim śmiechem.

– Zdaję sobie z tego sprawę.

– Czy to znaczy, że... jestem wolny?

– Od początku był pan wolny. Z formalnego punktu widzenia nie został pan aresztowany.

Łypię podejrzliwie na drzwi.

– Mówiąc, że jestem wolny – odzywam się – ma pan na myśli *wolny* wolny? Czy raczej będziecie mnie nękać za Bóg raczy wiedzieć co?

– Jest pan wolny. To nie pana szukamy.

– Nie mnie? Czy dowiem się wreszcie, o co w tym wszystkim chodzi?

– Oczywiście, panie profesorze. Przez chwilę był pan naszym głównym podejrzanym w sprawie morderstwa. Prokurator okręgowy już dobierał krawat, który miał założyć na pańską egzekucję. – Ponownie zerka na kamerę i ścisza głos. – W tych okolicach ludzie stają się ździebko nerwowi, jeśli chodzi o takie sprawy. Koniecznie chcieli się do pana dobrać, żeby zabezpieczyć materiał dowodowy.

Dopada mnie lekkie odrętwienie.

– Ale dlaczego ja? – Można się było domyślić po zdjęciach, ale bywam na tyle oderwany od rzeczywistości, że nie kojarzę najprostszyc faktów.

– Żartuje pan? Jest pan doskonałym materiałem na podejrzanego. Wyniosły, genialny naukowiec. Przychodzi i opowiada o drapieżnikach alfa. Wszystko zbyt dobrze się składało.

Czuję pieczenie na skórze. Glenn jest wyraźnie zrelaksowany, ale boję się, że to może być pozór i że detektyw nadal gra.

Zauważa moje skrepowanie.

– Poważnie. – Wskazuje drzwi. – Może pan wyjść w każdej chwili.

Odwracam głowę, oczami wyobraźni widzę uzbrojonych strażników, którzy wywlekają mnie z pokoju.

– Jeśli to jakaś gra, to nie wiem, co powinienem teraz zrobić. Nie mam też pojęcia, co powiedzieć.

– Przykro mi, doktorze Cray. Wiem, że to wszystko z trudem mieści się w głowie...

Na moment opuszczam swoje ciało i widzę, jak wyglądam. Kiedy pracowałem jako sanitariusz, bardzo często miałem do czynienia z ludźmi będącymi w szoku. Dokładnie tak się teraz czuję.

Mój wzrok wędruje ku zdjęciu leżącemu na wierzchu kupki. Kobieta dłoń, delikatna, zgrabna. Na palcach zastygły czerwone krople. Jej wewnętrzna strona jest oblepiona błotem i krwią.

Rozkładałam pozostałe fotografie i raz jeszcze przyglądam się każdej.

Detektyw Glenn powiedział, że zauważyłem wszystko poza ludźmi.

Teraz ich widzę.

Brakuje wizerunku twarzy.

Teraz wszystko nabiera sensu. Już wiem, co tu robię.

Na moich barkach osadza się nowy ciężar. Po dłuższej chwili podnoszę wzrok na Glenna. Baczenie się we mnie wpatruje.

Znajduję w sobie siłę, by powiedzieć to, czego nie chcę mówić:

– Znam ją...

6

Praca w terenie

– Juniper Parsons – mówi detektyw Glenn, jednocześnie obserwując moją reakcję.

Nie reaguję, co jak sądzę, samo w sobie jest wymowne. Z początku obawiałem się, że wymieni nazwisko kogoś mi bliskiego; nie ma zbyt wiele takich osób. Dłoń na zdjęciu mogła należeć do którejś z moich współpracowniczek albo do córki jakiegoś znajomego.

Jedyną kobietą, z którą ostatnio cokolwiek mnie łączyło – choć to i tak za dużo powiedziane – jest Allison. Wydaje mi się, że natychmiast rozpoznałbym jej dłoń. Poświęciłem wiele nocnych godzin na pieszczenie jej nadgarstków i splatanie z nią palców, gdy rozmawialiśmy o wszystkim: od starych komedii z Bobem Hope'em po zapach powietrza na pustyni Gobi.

Gdyby to ona była na zdjęciu, jej widok wywołałby we mnie jakąś pierwotną reakcję fizjologiczną – rozszerzyłyby się naczynia krwionośne, zjeżyłyby się włosy, poczułbym bolesny ucisk w żołądku.

Ogarnęło mnie przelotne uczucie ulgi, że nie rozpoznaję nazwiska, które wymienił Glenn. Przelotne, ponieważ emocje wyższego poziomu – te, które dyktuje nam nasz społeczny mózg na podstawie wewnętrznych, nie zewnętrznych, doświadczeń – podpowiadają mi, że powinienem mieć poczucie winy. Jak siedzący w kącie zbesztany psiak; nie dlatego, że wie, iż podkradanie jedzenia ze stołu jest złe, ale ponieważ zrobił coś niewłaściwego, czego nie rozumie.

Detektyw Glenn zauważa mój brak reakcji. Z jednej strony wzmacnia to jego wiarę w moją niewinność, a z drugiej prawdopodobnie utwierdza go w przekonaniu, że jestem bardziej niż przeciętny człowiek obojętny na ludzi żyjących dokoła mnie. Jestem karykaturą zdystansowanego naukowca.

Kiepsko sobie radzę z nazwiskami. Obracam imię Juniper w myślach. A może chciał powiedzieć June?

Pamiętam June, choć umiarkowanie wyraźnie. Była moją studentką

przed sześcioma laty, kiedy zaczynałem uczyć na pełny etat. Mnie i moich słuchaczy dzieliła tak niewielka różnica wieku, że miałem poważny kłopot z pogodzeniem roli belfra z potrzebą bycia zaakceptowanym przez grupę niemalże moich rówieśników.

June specjalizowała się w zoologii i zastanawiała nad przeniesieniem na etologię, naukę o zwierzętach w ich środowisku. Wpajałem studentom swoje holistyczne podejście do pojmowania systemów. Zapomnijcie o nazwach i konwencjach, których się nauczyliście – wymyślajcie własne, mówiłem. Zwierzęta noszące taką samą nazwę zachowują się różnie w zależności od ekosystemu. Inuita polujący na wieloryby przewyższające masą wszystkich znanych mu ludzi razem wziętych prowadzi zupełnie inne życie niż weganin z San Francisco, który nie zje niczego, co nie wyrosło w ziemi.

Kilkukrotnie dyskutowaliśmy po zajęciach. Wydaje mi się, że po wykładzie parę razy poszedłem z nią i innymi studentami na pizzę. Nigdy nie pracowała w moim laboratorium i jeśli mnie pamięć nie myli, nigdy nie rozmawialiśmy przez telefon ani nie esemesowaliśmy.

Spoglądałam na Glenna. Musiało minąć sporo czasu.

– Co się z nią stało?

– Pamięta ją pan?

– Chyba tak. Wolą, żeby nazywać ją June. Może uważała, że Juniper¹ to jednak pewna przesada.

– Trzy dni temu odebraliśmy telefon od jej matki. Juniper przebywała tutaj, w tej okolicy. Prowadziła badania. Nagle przestała się odzywać. Wysłaliśmy człowieka do motelu, w którym się zatrzymała. Nie widziano jej od co najmniej trzech dni. W pokoju panował nienaganny porządek. Za to zniknęło jej auto. Namierzyliśmy je w warsztacie, do którego trafiło z zepsutą skrzynią biegów. Dziś rano dwaj turyści natknęli się na jej ciało. Poszukiwania zamieniły się w śledztwo w sprawie domniemanego morderstwa. Pierwsze, co robimy w takich przypadkach, to staramy się ustalić grono osób mogących znać ofiarę. Wypląnęło pańskie nazwisko. – Glenn nie mówi nic więcej, zachowuje swoje policyjne sekrety dla siebie. Czeka, aż coś powiem.

Powinienem zaprotestować czy milczeć?

Detektyw kontynuuje:

– Dwoje znajomych naukowców prowadzi badania na tym samym obszarze...

Teraz chyba należałoby zareagować.

– Nie wiedziałem, że Juniper tu przebywała. Od dawna się nie kontaktowaliśmy.

Glenn wymijająco wzrusza ramionami.

– Miała pańską książkę na iPadzie. I opisy niektórych spośród pańskich badań. To też nas do pana doprowadziło. Wiem, że brzmi to trochę jak z serialu kryminalnego, ale cóż, w prawdziwym życiu czasem też tak bywa.

– Ale teraz już wiecie, że tego nie zrobiłem? – Chcę, żeby zabrzmiało to jak stwierdzenie faktu, a wychodzi mi pytanie, w dodatku zadane rozpaczliwym tonem.

– Sądzę, że możemy wykluczyć pański udział. Nie wiem, czy poprawi to panu humor, ale przesłuchaliśmy również mechanika z warsztatu oraz byłego chłopaka Juniper. Nie był pan naszym jedynym podejrzanym... Tylko najciekawszym.

– Co się zmieniło przez tę ostatnią godzinę? – Boję się zadawać zbyt wiele pytań. Oskarżycielski palec może bowiem bardzo szybko znów zacząć wskazywać mnie.

– Lekarz sądowy gruntowniej zbadał zwłoki. Myślę, że możemy ponad wszelką wątpliwość wykreślić pańskie nazwisko z listy podejrzanych.

Łypię na zwieszającą się rozpaczliwie zgrabną dłoń kobiety.

– No dobrze, ale kto jej to zrobił?

– Nie kto, doktorze Cray, lecz co.

7 Wyspy

– Jak pan na pewno zauważył, obrażenia były poważne – zaczyna Glenn. – Początkowo sądziliśmy, że mamy do czynienia z napastnikiem posługującym się nożem. Ofiara została prawie pozbawiona jednej ręki, a jej głowa niemal odcięta. Znaleźliśmy krwawe ślady stóp i dłoni na odcinku niespełna stu metrów. Kobiętę zaatakowano i ścigano. Niewykluczone, że kilka razy próbowała się wyrwać. Następnie zawleczono ją na kłodę. Wszystko działo się raptem kilkaset metrów od autostrady. Las jest tam raczej rzadki. No, ale takie rzeczy mogą się wydarzyć wszędzie. Staramy się zebrać maksymalną ilość materiału dowodowego, zanim ulegnie zatarciu, o czym zresztą przekonał się pan na własnej skórze.

– „Takie rzeczy”? – Odwracam wzrok od drastycznych obrazów.

– Atak niedźwiedzia. Z początku nie byliśmy pewni. – Detektyw na chwilę milknie. – Rocznie dochodzi do kilkunastu incydentów i mamy średnio jedną ofiarę śmiertelną. – Pokazuje na mnie palcem. – Połowę tego stanowią naukowcy. Drugie miejsce zajmują samozwańczy specjaliści od grizzly. Juniper musiała się znaleźć w niewłaściwym miejscu i niewłaściwym czasie. W ranach na jej ciele znaleźliśmy fragment odcisku łapy oraz włosy, najprawdopodobniej niedźwiedzią sierść. Ekspert ze Służby Ochrony Przyrody potwierdził, że obrażenia wskazują na atak niedźwiedzia.

– Niedźwiedź. – Obracam w myślach to słowo. Kiedy prowadzi się badania w Montanie i Wyomingu, należy bezustannie mieć się na baczności. Ilekroć wyprawiam się na te tereny, zawsze zabieram ze sobą spray na niedźwiedzie. Widziałem już setki osobników, nawet grizzly. Zawsze omijam te zwierzęta z daleka – na szczęście one odwzajemniają się tym samym.

Nie prowadziłem badań terenowych z Juniper, dlatego nie wiem, czy ona też stosowała jakieś środki bezpieczeństwa. Zawsze jednak wydawała mi się bystrą dziewczyną.

Tak czy owak, niedźwiedzie atakują stosunkowo rzadko. Co w sumie wydaje się dziwne, zważywszy na to, jak blisko nich przebywamy, kiedy wyprawiamy się do lasu.

Zamontuj kamerę w obozowisku i włącz ją na noc, a przekonasz się – ku swemu zaskoczeniu i pewnie przerażeniu – jak wiele zwierząt przechadza się i prześlizguje pomiędzy namiotami.

Możesz się natknąć na głodnego misia dosłownie kilka kroków od autostrady, chociaż suną po niej elektryczne tesle na autopilocie i kampery, w których niczego nieświadome dzieciaki oglądają *Gwiezdne wojny* na wielkim ekranie, a w mikrofalówce praży się kukurydza.

Przyroda cały czas tam jest, nawet jeśli jej nie zauważasz.

– Dwa dni temu zadzwonił turysta i doniósł, że usłyszał krzyk kobiety niedaleko miejsca, w którym później znaleźliśmy Juniper. Podobno razem z kolegą udał się w kierunku, z którego dobiegł głos, ale niczego nie zauważył. – Glenn cicho wzdycha. – Potrafię to zrozumieć. Szukałem kiedyś w lesie cadillaca i nawet się nie zorientowałem, że stoję na jego ubłoconym i porośniętym zielskiem zderzaku. Nieźle mi się wtedy dostało.

Nie odzywam się. Mówię sobie, że to dlatego, iż mocno się skupiam.

– Wiadomo, co tu robiła? Mam nadzieję, że nie prowadziła badań nad niedźwiedziami.

Detektyw zagląda do notatnika.

– „Biogeograficzne analogie wyspów”?

– Ach, wyspy – odpowiadam. – Szukała wysp.

– Wysp? Tutaj?

– Tak je nazywamy. Ogólnie rzecz biorąc, chodzi o ekosystemy istniejące w izolacji. W przypadku rzeczywistych wysp czynnikiem oddzielającym jest morze lub ocean. Na pustyni mamy oazy. I nawet w gęstej dżungli można znaleźć pieczary, w których kwitnie odizolowane życie. Pamięta pan, jak mówiłem o zwierzętach wypełniających różne części ekosystemu? O kijankach zamieniających się w drapieżniki alfa? Wygląda na to, że Juniper prowadziła poszukiwania niewielkich ekosystemów, bardziej

samowystarczalnych, niż mogłyby się wydawać na pierwszy rzut oka. Można je znaleźć w niezwykłych miejscach. W jaskiniach, jak już wspomniałem, ale też na ścianach urwisk bądź klifów. A nawet w sztucznym środowisku, na przykład na statkach albo dachach budynków. Ekosystemy różnią się stopniem separacji. Jednakże im bardziej są odizolowane, tym większe jest prawdopodobieństwo, że kilka gatunków przystosuje się do tego, by wziąć na siebie role spotykane w większych systemach. – Uświadamiam sobie, że znów zaczynam głądzić.

– Proszę mówić dalej.

– Z bioinformatycznego punktu widzenia rzecz staje się naprawdę interesująca, jeśli nie ograniczamy się do tradycyjnej taksonomii. Socjologowie dostrzegają kształtujące się struktury dosłownie we wszystkim: od zakładów karnych po komputery grające w pokera.

Dostrzegam związek pomiędzy badaniami Juniper a tym, czego nauczałem, i czuję lekkie wyrzuty sumienia.

– Przekonywałem moich studentów, że modele komputerowe są, owszem, pouczające, ale nie mówią nam wszystkiego na temat systemów zewnętrznych. Te trzeba zestawiać i porównywać samemu. Trzeba wychodzić poza laboratorium. Badać niezbadane...

Detektyw Glenn zwraca uwagę na moje dłonie. W stresie zginam je, prostuję i ściskam. Blokuję dopływ krwi, bieleją mi palce.

– Wszystko w porządku, doktorze Cray?

Kręcę głową.

– Nie. Właśnie sobie przypomniałem jedną z moich rozmów z June... Juniper. Poprosiła mnie o radę.

Wspomnienie staje się wyraźniejsze. Razem z grupą studentów poszedłem na pizzę do pobliskiej restauracji. June – June o jasnobrązowych oczach – usiadła na kanapie obok mnie.

Odgarnęła włosy z czoła i posłała mi delikatny uśmiech.

– Profesorze Theo, jakiej rady udzieliliby pan początkującemu naukowcowi? – zapytała. Oparła łokieć na zagłówek kanapy. Przesunąłem się, żeby miała więcej miejsca. Skwitowała to kolejnym uśmiechem.

Pamiętam, jak bardzo się bałem, żeby nie wyjść na jednego z tych lubieżnych wykładowców, którzy osaczają młode studentki jak zdesperowane wilki, po czym ze zdziwieniem przyjmują opinie, że ich środowisko pozostawia wiele do życzenia, jeśli chodzi o przyjazny stosunek do kobiet.

Język jej ciała był dla mnie wielką niewiadomą. Niewykluczone, że zachowywała się kokieteryjnie i tak jak niektóre dziewczęta stosowała pewne triki mające wywołać reakcję mężczyzn, którzy w innych okolicznościach by ją zlekceważyli. Nie wiem. Skupiłem się na pytaniu.

I udzieliłem szczerzej odpowiedzi. Odsunęła się lekko, po to tylko, by położyć łokieć na blacie stołu, wesprzeć głowę na dłoni i wsłuchać się w moje słowa.

Sądziłem, że po prostu stara się być uprzejma. Ale teraz już wiem, że wszystko, co wówczas powiedziałem, potraktowała bardzo poważnie.

I te słowa, moje słowa, ją zabiły.

8 Granice

Od Pliniusza Starszego, który zginął w drodze do Pompejów po wybuchu Wezuwiusza, po czasy współczesne bycie naukowcem wiąże się z ryzykiem. Specjaliści od patogenów umierają, usiłując walczyć z chorobami. Astronauci tracą życie podczas wejścia w atmosferę, a badacze oceanów – w trakcie eksplorowania głębin.

Nawet laboratorium może się okazać polem niebezpiecznych zmagania. Panią Skłodowską-Curie zabiły pierwiastki, które pomagała nam zrozumieć. Łowca wirusów w ośrodku bezpieczeństwa biologicznego piątego stopnia, w którym szoruje się do czysta każdą drobinę powietrza, może umrzeć, jeśli w jego rękawiczce zrobi się choćby mikroskopijna dziurka.

Czasem przyczyną zgonu jest niedbalstwo, innym razem to, że nie rozumiemy natury rzeczy, które staramy się badać. Ale równie dobrze może chodzić o zwykłego pecha, o to, że znalazło się w niewłaściwym miejscu i niewłaściwym czasie.

Przekonując studentów do tego, by wychodzili poza mury laboratorium, zaglądali pod kamienie i szukali odpowiedzi tam, gdzie rzadko się ich szuka, zakładałem chyba, że będą to robili ostrożnie i z rozwagą. A może moja wina polegała na bagatelizowaniu niebezpieczeństw, których nie sposób wytłumaczyć?

Mimo że spędziłem w lasach znaczną część młodości, to jednak dziś, kiedy noszę okulary i w roztargnieniu przyczesuję włosy, studentom na pewno kojarzę się raczej z cierpiącymi na agorafobię profesorami angielskiego albo dwunogimi szczurami laboratoryjnymi, które oglądają światło dnia wyłącznie w drodze do sklepiku w klubie studenckim.

Nie jestem miłośnikiem ekstremalnego survivalu, co to, to nie. Granicę mojego zainteresowania otwartą przestrzenią wyznacza zapas wody i batonów z muesli w plecaku. Nierzadko moja znajomość lasu okazuje się bardziej abstrakcyjna i teoretyczna niż praktyczna.

Niemniej przyswoiłem sobie pewien zasób wiedzy na temat przetrwania w dziczy od mojego ojczyma, wojskowi instruktorzy na kursach dla rezerwistów wpoili mi zaś zdroworozsądkowe podejście do natury, słusznie w wielu sytuacjach postrzegając moją intelektualną ciekawość jako przeszkodę na potencjalnym polu bitwy.

Podejrzewam, że lekceważąc swój ograniczony zasób wiadomości, niejako pchnąłem Juniper w kierunku tego, co się stało.

Detektyw Glenn odbiera telefon, a ja siedzę i wpatruję się w wyciągniętą dłoń nieszczęsnej dziewczyny.

Palce trwale zwinęły się w bólu, kiedy jej organizm przestał wytwarzać koenzymy zapobiegające sztywnieniu mięśni zwanemu stężeniem pośmiertnym.

W semestrze zawsze brakuje godzin, by przekazać studentom to, co naprawdę istotne. Siadałem do konspektów zajęć i bez końca je przerabiałem, starając się zawrzeć esencję tego, co uważałem za absolutnie niezbędne. Jakimś sposobem udawało mi się znaleźć czas również na zabawę; pozwalałem studentom grywać w gry wideo na monitorze w sali wykładowej – w ten sposób pokazywałem, że potrafię się wyluzować, jednocześnie ucząc, że nawet cyfrowy ekosystem jest w stanie przestrzegać emergentnych reguł.

Dziś żałuję, że poświęcałem tak wiele czasu podobnym nedorzecznościom. Albo kiedy w dni filmowe oglądaliśmy obrazy pokroju *Avatara* i usiłowaliśmy racjonalizować cykl życiowy kosmitów.

Powinienem był wpajać im wiedzę o przetrwaniu.

Gry wideo i filmy były formą egoistycznego dogadzania sobie. Nigdy nie byłem powszechnie lubianym wykładowcą, który rzuca dowcipami i potrafi swobodnie rozmawiać ze studentami. Posługując się tymi tak zwanymi rozrywkowymi pomocami dydaktycznymi, próbowałem zwrócić uwagę na istnienie związku pomiędzy tym, co fajne w życiu, a światem, w którym żyjemy.

Kiedy teraz patrzę na zdjęcia biednej Juniper, czuję się tak samo głupio jak nauczyciel historii, który wparowuje do klasy w przebraniu Kapitana Ameryki.

Powinienem był nauczyć ją i jej kolegów zasad bezpieczeństwa,

zamiast usilnie zabiegać o to, by mnie polubili.

Juniper nie powinna była znaleźć się w tym lesie sama. Ktoś powinien znać jej miejsce pobytu. Powinna była zabrać broń. Powinna była zrobić wszystko to, czego sam nie robię...

Była impulsywna, dociekliwa i nieświadoma. Niewykluczone, że nauczyła się ode mnie więcej, niż powinna.

– Wszystko w porządku, doktorze Cray? – pyta ponownie Glenn.

Dociera do mnie, że zebrałem sześć fotografii Juniper ze stołu i niemal przycisnąłem je do piersi. Speszony odkładam je na blat.

– Przepraszam. – Odsuwam krzesło. – Chyba już pójdę. Jeśli mogę.

– Tak, oczywiście. – Glenn wstaje i podchodzi do drzwi, żeby otworzyć je przede mną. Kładzie dłoń na klamce. – Przed chwilą rozmawiałem ze Służbą Ochrony Przyrody. Wysłali na miejsce swojego najlepszego tropiciela. Schwytamy tego zwierzaka. O ile to jakaś pocięcha.

Posyłam mu blady uśmiech.

– Obaj wiemy, że nie. Niedźwiedź zachował się po prostu zgodnie ze swoją niedźwiedzią naturą. – Nabieram powietrza do płuc, które jakoś nie chcą pracować. – Juniper powinna była to uwzględnić.

– Proszę nie mieć o to do niej pretensji – mówi Glenn.

Spoglądam na detektywa i odpowiadam krótko i z nienawiścią do samego siebie:

– Mam pretensję. Ale bynajmniej nie do niej.

9 Północ

Zastępca szeryfa podwozi mnie do motelu. Jest późne popołudnie. Wsiadam z auta, biorę ze sobą kartonowe pudełko zawierające buty, laptop i inne rzeczy, które policja zabrała z mojego pokoju i forda explorera.

Rama drzwi jest pęknięta – to pozostałość po interwencji policjantów z jednostki SWAT. Powinienem chyba pójść do recepcji i poprosić, żeby przenieśli mnie do innego pokoju, ale w sumie jest mi wszystko jedno.

Zamykam za sobą drzwi i rygluję je łańcuszkiem. Łóżko jest niepościelone, ale wygląda na to, że poduszki zostały poruszone. Powiedziałbym, że ktoś przejechał po nich klejącym wałkiem, żeby zebrać włosy. Podejrzewam, że szukali nie tylko krwi Juniper, ale w ogóle jakichkolwiek jej śladów.

Kiedy detektyw Glenn ze mną rozmawiał, technik robił pobieżny przegląd tego, co znaleziono w pokoju.

Załóżę się, że gdyby pod prysznicem albo na prześcieradle objawił się długi brązowy włos, Glenn zapytałby, z pozoru niewinnie, czy byłem sam, czy też miałem towarzystwo. Byłby to pierwszy etap ustalania tego, czy jestem kłamcą oraz potencjalnym mordercą.

Zdaję sobie sprawę, że Glenn bacznie mnie obserwował aż do chwili, w której opuściłem biuro szeryfa. Spotkał na swej drodze setki, może tysiące winnych osób. Na pewno ma swoje sposoby, dzięki którym jest w stanie rozpoznać, czy ktoś ma coś na sumieniu. Każdy człowiek jest wprawdzie inny, ale reakcje wszyscy mamy takie same.

Łatwo zaszufładować mnie jako osobę pozbawioną emocji. I chyba rzeczywiście można mnie tak nazwać, posługując się dosłownym znaczeniem tego określenia.

Po śmierci ojca z otwartego, wręcz ekstrawertycznego chłopca przemieniłem się w zamkniętego w sobie młodego człowieka. Matka

posyłała mnie do psychologów. Obawiała się, że przeżywam żalobę w niewłaściwy sposób.

W gabinetach specjalistów dawałem wyraz emocjom jedynie za pomocą odpowiedzi „tak” lub „nie”. Kiedy jeden z terapeutów, doktor Blakely, poprosił mnie o rozwiązanie pisemnego testu zawierającego konkretne pytania o moje uczucia, wówczas to, co działo się w mojej głowie, stało się oczywiste – przynajmniej dla niego i dla mnie.

Blakely posadził moją matkę w fotelu i oświadczył, że radzę sobie z żalem po śmierci ojca tak, jak należałoby się spodziewać. Nie jestem socjopatą ani bezduszną istotą. Po prostu nie wyrażam swoich uczuć ani nawet nie postrzegam ich w tych samych kategoriach i ramach czasowych co inni ludzie.

Kłopot polega na tym, że w przypadku emocji oczekujemy egzaltacji. Ludzie to stadne ssaki z rzędu naczelnych, które uzewnętrzniają własne przeżycia i szukają ich potwierdzenia u innych.

Matka nigdy nie widziała, żebym płakał. Sądziłem, że to ją gnębi i że dlatego posyła mnie do różnych terapeutów. Kiedy nieco podrosłem i zyskałem nowy punkt widzenia – a także zapoznałem się ze spostrzeżeniami Davisa, jej drugiego męża – w końcu zrozumiałem, skąd brała się w niej ta wieczna potrzeba konsultowania się z kolejnymi specjalistami.

Otóż ona sama również *nie płakała*.

Nie potrafiła przyznać się do poczucia winy z powodu niemożności wyrażenia emocji, okazywania których oczekuje się po ludziach doświadczonych stratą kogoś bliskiego.

Nie wątpię, że matka głęboko przeżyła śmierć męża. Wiem, że bardzo go kochała. Tak jak wszyscy. Był człowiekiem bezinteresownym, zmarł podczas próby udzielenia pomocy innym.

Nigdy nie oceniałem matczynego poczucia straty przez pryzmat jej reakcji. Dla mnie to było jasne jak słońce. Kiedy tata umarł, ucichło echo gromkiego śmiechu i przygasło światło, którym ojciec zdawał się emanować. Obca osoba, która odwiedziłaby wtedy nasz dom, od razu zorientowałaby się, że czegoś w nim brakuje.

Przypominają mi się opowieści ojczyrna o przejazdach pociągiem

z Niemiec zachodnich do wschodnich, kiedy stacjonował w Berlinie. Mówił, że miało się wrażenie, jakby barwny film nagle zmieniał się w czarno-biały.

Za życia taty świat wypełniały kolory, po jego odejściu stały się jedynie liczbami w tabelach odcieni. Wszystko wydawało się przygaszone.

Moja reakcja na śmierć Juniper była daleka od wylewnej. Glenn może twierdzić, że jej nie zabiłem, ale kiedy tak leżę na łóżku i wpatruję się w sufit, zastanawiam się, czy detektyw aby nie sądzi, że jestem człowiekiem, który byłby do tego zdolny.

Co miałem powiedzieć, kiedy wymienił jej nazwisko? W jaki sposób miały się poruszyć mięśnie mojej twarzy? Nie wiem. Jestem pewien tylko tego, że właściwa reakcja nie polega na znieruchomieniu i gapieniu się przed siebie jak grecki posąg.

Pod koniec rozmowy Glenn dał mi drugą szansę: pocieszając mnie, że złapią tego niedźwiedzia, pozwolił mi zareagować tak, jak przystało na normalną, czującą istotę ludzką. Tymczasem ja odpowiedziałem słowami naukowca, a nie pełnokrwistego samca, którego jawna niesprawiedliwość popycha do zemsty.

Wyjaśnijmy sobie: nienawidzę tego jebanego niedźwiedzia.

Prawda, działał w zgodzie ze swoją naturą, ale to samo można powiedzieć o eboli albo cholery. Gdybym mógł, obie usunąłbym z powierzchni ziemi.

Niedźwiedzie to fascynujące zwierzęta, które mają więcej cech wspólnych z człowiekiem, niż nam się wydaje. Przystosowały się do życia w niemal tak wielu środowiskach co ludzie. To niezwykle przedsiębiorcze i inteligentne ssaki.

Zasługują na naszą ochronę.

Z wyjątkiem tego jednego osobnika. Był zbyt głupi, by wiedzieć, że łagodna młoda kobieta nie stanowi żadnego zagrożenia – dlatego musi umrzeć.

W tej chwili żałuję, że nie pomagam myśliwym w tropieniu go.

Powinienem być powiedzieć to Glennowi. Właściwą reakcją byłby gniew oraz potrzeba działania.

Podaję, że „pozbawiony emocji” to najłagodniejsze

z określeń, jakich używa, kiedy o mnie mówi.

Pewnie uważa mnie za tchórze.

Prawdziwi mężczyźni – którzy nie znali Juniper i nigdy nie mieli nad nią żadnej władzy – przeczesują las i szukają jej zabójcy.

Tymczasem ja leżę w klimatyzowanym pokoju za niedokładnie zamkniętymi drzwiami i roztrząsam własną niezdolność do okazywania innym, jak bardzo jestem wściekły.

Żadna krytyka ze strony Glenna nie odda tego, jak się teraz czuję.

Jestem żaloszny.

Nie potrafię dać ujścia swojej frustracji, jestem więcej niż żaloszny – jestem bezsilny.

Leżę bez ruchu. Nagle dzwoni telefon.

Detektyw Glenn.

– Mamy go – oznajmia z entuzjazmem.

– Gdzie? Chcę go zobaczyć.

10

Bestia

Skrećam na plac na skraju lasu. Stoi tu należąca do dyrekcji dróg szopa, w której trzymają sprzęt do sprzątania szos. Pod samotną latarnią kłębi się tłumek pochylonych nad czymś mężczyzn.

Grupa liczy co najmniej dwadzieścia osób. Rząd pikapów z uchwytami na broń częściowo przesłania mi widok. Większość pojazdów należy do władz lokalnych i stanowych.

Parkuję explorera i wysiadam. Mam wrażenie, jakby od tego, co leży w kręgu światła rzucanego przez latarnię, dzieliła mnie odległość równa co najmniej boisku piłkarskiemu. Jestem świadom każdego stawianego kroku, ale czuję się, jakbym tkwił w miejscu.

Błyski fleszy rozświetlają pobliskie wysokie sosny jak bezgłośnie błyskawice. W zimnym powietrzu unosi się aromat gorącej kawy. Słychać głośny śmiech.

Usuńmy auta, iPhone'y, pudełka z pączkami i karabiny, a ujrzymy scenę jak z malunków w jaskini Lascaux, gdzie przed dwudziestoma tysiącami lat mężczyźni zbierali się dla uczczenia udanego polowania.

Jestem tu intruzem, a oni – bohaterami ścigającymi potwory zabijające piękne dziewczice. Jestem tylko biernym widzem, który przyjechał ujrzeć oblicze bestii, ale nie ma prawa uczestniczyć w poklepywaniu się po plecach i składaniu sobie gratulacji.

– Doktorze Cray! – odzywa się detektyw Glenn. Rezygnuje z towarzystwa mężczyzny w mundurze Służby Leśnej i podchodzi do mnie.

Nie wiem dlaczego, ale spodziewam się, że zapyta, co tu robię, mimo że sam mnie zaprosił.

Podaje mi rękę. Ma uśmiech na ustach. Poznał Juniper, gdy była już trupem. Dla niego jej historia zaczyna się w momencie, gdy znaleziono ją martwą w lesie, i kończy szczęśliwym zwycięstwem nad potworem, który ją zabił.

To samo tyczy się pozostałych.

Głównym bohaterem ich dramatu jest niedźwiedź. Myśliwi to protagoniści, zwierzę – antagonistą. Nieszczęsna Juniper odgrywa rolę wydarzenia popychającego akcję do przodu. Jest dla nich jedynie imieniem i przyczyną.

Nie mam im tego za złe. Przynajmniej podjęli jakieś działanie, podczas gdy ja wpatrywałem się we własny pepek.

Glenn przedstawia mnie mężczyźnie z oprószoną siwizną brodą, ubranemu w kurtkę Służby Ochrony Przyrody. Ma na sobie szorty i pas z kaburą.

– Kevin Richards. To on wytropił zwierzę i je zabił.

Wymieniamy uścisk dłoni.

– Przykro mi z powodu pańskiej straty. – Posyła mi spojrzenie pełne powagi. Wyczuwam, że należy do tych łowców, których nie cieszy śmierć stworzenia.

Nie przychodzi mi nic do głowy, dlatego odpowiadam samym skinieniem, zbyt zażenowany, by przyznać, że akurat w tej chwili najbardziej oplakuję utracone poczucie dumy.

Pomiędzy ciałami myśliwych miga mi brązowe futro.

Richards ściska mnie za ramię.

– Zapraszam. Zobaczy go pan.

W zamyśle jego gest miał być pocieszający, ale czuję, że zamiast tego osłabia mnie, i z trudem opanowuję chęć uwolnienia się od dotyku.

Richards jest niczym zwycięski rycerz, który pragnie pokazać wystraszonemu wieśniakowi pokonanego smoka. Jakby chciał powiedzieć: „Nie lękaj się, mały człowieczku. Wszystkim się zająłem”.

Pozostali widzą, że Richards i Glenn się zbliżają, i rozstępują się, żebyśmy mogli podejść blisko.

Na żwirze rozłożono dużą niebieską plandekę. Spoczywa na niej góra futra, cała w liściach i gałązkach.

Dostrzegam ciemnoczerwone plamy krwi na ciele; rany nie wyglądają na postrzałowe.

Widoczna jest właściwie tylko jedna rana: wlotowa, tuż za okiem. To był mistrzowski strzał, a dla zwierzęcia – szybka śmierć.

Niedźwiedź wciąż ma otwarte oczy. Szczęki rozchylone jak do

warknięcia, obnażone ostre kły. Pazury wystają z łap jak noże do steków.

Oto potwór, który zabił Juniper.

Oto koszmar, który pozbawił ją życia.

Jest wielki, nawet jak na grizzly.

Patrząc na niego, powinienem poczuć nienawiść.

Instynkt powinien nakazać mi chwycić za siekierę i zacząć rąbać bestię na kawałki, dając upust wściekłości. Tymczasem nie jestem w stanie wykrzesać z siebie choćby tyle gniewu, by splunąć albo pokręcić głową.

Spoglądam na cielsko i widzę jedynie niedźwiedzia.

Po prostu niedźwiedzia.

Wykrzywiony pysk to zapewne spazm w chwili śmierci. Kiedy Richards pociągnął za spust, zwierzę najprawdopodobniej pochylało łeb, próbując wywęszyć, czy znajdzie coś do jedzenia pod kłodą.

Zginęło w chwili spokoju, a nie w ferworze walki. Umarło po cichu i nieświadome – tak to powinno wyglądać.

Tak też powinna odejść Juniper: spokojnie i ze starości.

Szkoda mi niedźwiedzia. Drogi jego i Juniper nie powinny były się zejść. Gdyby znajdowała się dziesięć metrów dalej, z wiatrem od zwierzęcia, niedźwiedź chrapałby teraz smacznie w legowisku, a Juniper jadłaby pizzę i popijała wino w jakiejś knajpce. Oboje byłiby zadowoleni i w dobrych humorach.

Tymczasem mamy martwą dziewczynę w kostnicy i zastrzelonego niedźwiedzia – obiekt drwin i nienawiści – na betonie pod lasem.

Zerkam na Richardsa i rzucam zdawkową pochwałę:

– Dobra robota.

Richards kiwa głową ze zrozumieniem, mimo że tak naprawdę nie wie, o czym myślę, i odchodzi z Glennem.

Stoję nad niedźwiedziem i wpatruję się, tak naprawdę wcale na niego nie patrząc.

– Przepraszam – odzywa się ktoś za moimi plecami.

Odwracam się i widzę młodą kobietę w mundurze zastępcy szeryfa. Ma przy sobie grubą kopertę.

– Pan jest tym biologiem?

– Tak.

– Poproszono mnie, żebym to przyniosła. – Wręcza mi kopertę. – Będę uciekała. Mąż musi jechać do pracy. – Opuszcza wzrok na niedźwiedzia. – Jasna cholera, ale potwór – komentuje, po czym wraca do swojego auta.

Dopiero po chwili dociera do mnie, że trzymam w ręku kopertę. Czy niedźwiedzia zdają się patrzeć na mnie.

Wsuwam dłoń do środka i wyczuwam kilka szklanych fiolek. Z początku nachodzi mnie myśl, że to próbki, które policja zabrała z mojej torby do badań w terenie. Wyjmuję jedną i odczytuję informację na etykiecie.

PARSONS JUNIPER 8.04.17-H.C.M.E.

Zawartość nie pozostawia żadnych wątpliwości. To krew. Ciemna i skrzepnięta. Pobrana z rany. Oglądam kilka pozostałych fiolek. Wszystkie oznaczone w identyczny sposób.

Trzymam jej krew.

W krwi znajduje się DNA. Przepis na Juniper Parsons w moich rękach.

Oczywiście, gdybym mógł przenieść materiał genetyczny do jajeczka i zmusić je do podziału, nawet nie biorąc pod uwagę informacji utraconych wskutek nieznanego metylacji powierzchniowej oryginalnego DNA, to i tak nie uzyskałbym Juniper.

Od zapłodnienia do chwili, w której przysunęła się do mnie, kiedy przed laty siedzieliśmy obok siebie w restauracji, wpływał na nią otaczający ją świat, kształtował tę Juniper, którą zapamiętałem. Tamtej dziewczyny – której nigdy tak naprawdę nie poznałem – już nie ma. Jej DNA jest nią w takim samym stopniu jak przedstawiająca ją fotografia.

Przenoszę spojrzenie na kopertę. Jest zaadresowana.

DR LIAM GOODSON, SOP

To wyjaśnia, dlaczego policjantka przekazała mi te fioleki. Dają znak Richardsowi, który rozmawia z Glennem i kilkoma innymi mężczyznami.

– Przepraszam, ale przed chwilą dała mi to zastępczyni szeryfa. – Przekazuję mu kopertę.

Zagląda do środka i potwierdza skinieniem głowy. Oddaje kopertę starszemu panu z kozią bródką i w grubych brązowych okularach.

– Goodson, to zdaje się dla ciebie.

Doktor Goodson przejmuje kopertę i sprawdza zawartość, po czym uśmiecha się do mnie bez emocji.

– Doktor Cray, zgadza się? Na podstawie tych próbek potwierdzimy, że wytropiliśmy właściwego niedźwiedzia – wyjaśnia w ramach zawodowej grzeczności.

Zakładam, że chcą poszukać krwi Juniper na futrze i w żołądku zwierzęcia.

Kiwam w odpowiedzi głową i odchodzę. Nagle zatrzymuję się, odwracam i zadaję pytanie:

– Po czym poznaliście, że to właściwy niedźwiedź?

– Znaleźliśmy krew na jego łapach i futrze – odpowiada Goodson i wskazuje stojącą na tylnej klapie pikapa skrzynkę na narzędzia, identyczną jak moja. – Sprawdziliśmy ją. Wie pan, jak wygląda terenowy zestaw do badania hemoglobiny?

– Ach, oczywiście. – Chodzi mu o małe testowe fiołki, które zawierają odczynniki zmieniające kolor w zetknięciu z ludzką krwią. W ten sposób można szybko określić, czy ma się do czynienia z krwią człowieka, czy zwierzęcia. W torbie Goodsona znajduje się zapewne kilka zestawów dla różnych grup krwi. Między innymi dzięki temu udaje się chwycić kłusowników.

Wsiadam do explorera i przez kilka minut nie ruszam z miejsca, wpatruję się w tłum stojący nad truchłem niedźwiedzia.

Mój umysł wciąż przetwarza wszystko to, co się ostatnio wydarzyło.

Dziś rano, kiedy wstałem i poszedłem do maszyny do lodu, nawet nie przypuszczałem, że trafię do obsady dramatu o martwej dziewczynie i polowaniu na niedźwiedzia mordercę.

Jest już po wszystkim, a ja nadal chodzę dezorientowany i czuję, że uginają się pode mną nogi.

Rozluźniam mocno zaciśnięte palce prawej dłoni i spoglądam na przedmiot, który w niej trzymam. W mojej głowie nie pojawiają się żadne odpowiedzi, a tylko same pytania.

Najważniejsze z nich brzmi: „Dlaczego poczułem potrzebę ukradzenia próbki krwi Juniper?”.

11

Filantrop

Po przebudzeniu mój wzrok pada na fiolkę z krwią, która leży na szafce nocnej obok trzech pustych puszek po piwie. Wiem, że powinienem ją zwrócić. Fiolka nie ma numeru seryjnego, a w kopercie nie było żadnego wykazu zawartości, lecz i tak ktoś może zauważyć jej brak.

Jestem prawie pewny, że mój czyn można uznać za fałszowanie dowodów, nawet jeśli policja nie prowadzi śledztwa w sprawie o morderstwo.

Czemu ją wziąłem?

Tłumaczę to sobie tak, że zbieranie próbek jest moją drugą naturą. Prowadzę zajęcia o tym, jak pobierać je w terenie, nie dysponując profesjonalnym sprzętem: za pomocą taśmy klejącej, korpusu długopisu i innych powszechnie dostępnych przedmiotów.

Moje laboratorium wygląda jak kolekcja sroczych trofeów. Niektóre przedmioty przydają się od razu, użyteczność innych objawia się dopiero po pewnym czasie.

Osobliwe dziurki w kokonie gąsienicy, na które się natknąłem, pomogły mi wyjaśnić, dlaczego kwiaty chętnie rosną w jednym miejscu, za to w drugim – zaledwie kilkaset metrów dalej, za wzniesieniem – już niekoniecznie. Znajomy entomolog rozpoznał w nich otwory drążone przez termyty. Gąsienice i termyty nie są wprawdzie wrogami, lecz w tym przypadku, ilekroć gąsienica uprzedła kokon na gałęzi drzewa, termit należący do pewnego konkretnego gatunku przewiercał dziurki w jej maleńkim domu i wpuszczał do środka szkodliwe pasożyty. Gąsienica zdychała, nie doczekawszy kolejnego stadium, w którym machałaby skrzydełkami i roznosiła pyłek.

Roztargnienie jest bodaj najniewinniejszym wytłumaczeniem moich działań. Biokleptomania – przynajmniej zrozumiałym. Reszta jest nieco upiorna.

Błąd, który zbyt często popełniamy my, naukowcy, polega na przeświadczeniu, że nazwanie czegoś jest tożsame ze zrozumieniem tego. Szkielet w muzeum albo kropla krwi to bynajmniej nie wszystko. Krew Juniper stanowi zaledwie pojedynczy piksel pełnego obrazu sytuacji.

Więcej dałoby się pewnie wyczytać ze zużytej nici dentystycznej. Przynajmniej wiedziałbym, co Juniper zjadła na kolację i w jakim stanie znajdowało się jej uzębienie, niewykluczone także, że uzyskałbym DNA ostatniej osoby, z którą się całowała.

Przerywam rozważania o własnych motywach i wstaję, żeby pójść do łazienki. Po chwili rozprasza mnie dzwonek telefonu.

Splukuję dłonie, zamiast porządnie je umyć, i sprawdzam numer na wyświetlaczu.

Julian Stein, filantrop z fundacji, która przyznała mi grant. Julian nadał bieg mojemu wnioskowi, pomimo dość pobieżnej konstrukcji tegoż. W przeszłości nieraz mi pomagał.

Julian to dopiero geniusz. Już w dzieciństwie był specem od komputerów, a w wieku siedemnastu lat sprzedał swoją pierwszą firmę software'ową. Potem został inwestorem dostarczającym kapitał wysokiego ryzyka i obłowił się jak cholera.

Jak na faceta, który ma wszystko – dom z widokiem na most Golden Gate, luksusowe apartamenty w Nowym Jorku, spacer po czerwonym dywanie dzięki sukcesom odnoszonym przez niezależne filmy, w których produkcji maczał palce – często, bardzo często przyznaje, że mi zazdrości.

Zabawne to i jednocześnie absurdalne. Podczas gdy ja martwię się tym, czy uczelnia przedłuży ze mną umowę, a jeśli nie, to skąd wezmę pieniądze na czynsz, on – człowiek, którego prywatnym odrzutowcem latają prezydenci – spogląda na mnie z zazdrością.

Rozumiem go dopiero wtedy, kiedy odkrywam coś fascynującego, czy to podczas badań w terenie, czy nawet pracując przy komputerze – ponieważ mam na to czas.

Zwrócił na mnie uwagę, gdy magazyn „WIRED” opublikował artykuł na temat jednego z moich dziwacznych odkryć. Otóż znalazłem sposób na to, jak za pomocą lokalnej książki telefonicznej

albo listy mailingowej prognozować, w których miastach w pierwszej kolejności wybuchnie epidemia grypy. Sporządziłem wykaz przewidywań na podstawie szeregu czynników. Jednym z nich – najważniejszym – była liczba mieszkańców danego miasta noszących to samo nazwisko.

Ludzie noszący to samo nazwisko z reguły są ze sobą spokrewnieni, częściej spotykają się na wspólnych posiłkach i rzadziej wzbraniają się przed wyjadaniem sobie z talerzy – i w ten sposób roznoszą zarazki. Prowadzi to do powstawania weekendowych komórek infekcji, które w poniedziałek rozszerzają się na szkoły i miejsca pracy. Istotnym czynnikiem, który uwzględniłem w moich kalkulacjach, była obecność centrum kongresowego w danym mieście.

Reguła ta nie jest wprawdzie sztywna, ale ma istotną, pożyteczną zdolność objaśniającą. Wciąż czekam, by się przekonać, czy nie okaże się jedynie teorią, która po prostu pasuje do dostępnych danych.

Julian zadzwonił do mnie po lekturze artykułu i zachęcił do prowadzenia dalszych badań w tym kierunku.

Waham się przed określeniem nas mianem przyjaciół. Julian żyje pięciominutowkami. W relacji z nim człowiek doskonale zdaje sobie sprawę z tego, że natychmiast po zakończeniu rozmowy Julian zwróci się do kolejnej osoby z bardzo długiej listy ludzi, z którymi utrzymuje kontakt.

Odbieram telefon i rzucam do słuchawki z lekką chrypką:

– Cześć, Julianie.

– Theo – zaczyna ponurym głosem. – Słyszałem. Jak się trzymasz?

Boję się zapytać, co konkretnie słyszał. O moim aresztowaniu – które nie było prawdziwym aresztowaniem – czy o śmierci Juniper? W przypadku Juliana zastanawianie się, w jaki sposób tak prędko się dowiedział, jest pozbawione sensu.

Postanawiam powiedzieć coś, co mogłoby paść z ust nieco mniej wyrachowanej osoby niż ja.

– Biedna dziewczyna.

– Dobrze ją znałeś?

– Nieszczególnie. Od lat z nią nie rozmawiałem. Nawet nie wiedziałem, że prowadziła badania w tej okolicy. – Czyżbym zanadto

starał się podkreślić swoją niewinność?

– Jakiś czas temu przyznałem jej grant.

– Tak? – Mówiąc szczerze, słabo się orientuję, kogo Julian wspiera finansowo; nie interesuję się tym aspektem jego działalności, jeśli nie liczyć organizowanych przez niego konferencji, w których czasami biorę udział.

– Niezbyt wysoki. Od razu się zgodziłem, jak tylko się dowiedziałem, że była twoją studentką. Kilka razy cytowała twoje prace.

I jak, cholera, wyszła na znajomości ze mną?

– Nie miałem pojęcia. Znałem ją tylko jako słuchaczkę studiów licencjackich.

– Właśnie przeglądam jej profil na Facebooku. Sporo bardzo emocjonalnych wpisów. Musiała być wyjątkową osobą.

Gdybym tylko wiedział. Przełączam Juliana na głośnik. Spróbuję znaleźć ją w sieci. Na pierwszym miejscu wyświetla się link do Twittera. Klikam i pojawia się jej zdjęcie.

Tak, to ona. Uśmiecha się.

Od lat nie widziałem tej twarzy i tego uśmiechu. Powracają wspomnienia.

Była śliczną dziewczyną o nietypowej urodzie. Już pamiętam: jej ojciec był Irlandczykiem, a matka pochodziła z Haiti. Można ją było wziąć za Brazylijkę albo inną piękną mieszankę genów. Była jedyna w swoim rodzaju.

Rzucam pełne skruchy spojrzenie na fiolkę z krwią. Dobrze, że przynajmniej wciąż mamy jej DNA...

Perwersyjna myśl. Nawet jak na biologa.

– Podobno dorwali tego niedźwiedzia?

– Tak, widziałem go wczoraj wieczorem.

– To chyba dobrze.

– Chyba? Wzięli mnie na przesłuchanie. – Mówię to tak, jakbym przyznawał się do winy.

– To zrozumiałe.

– Może i tak. Ale przez pewien czas myśleli, że to ja ją zabiłem.

– Kurwa, ciarki przechodzą.

- No.
- Na szczęście zagadka szybko się rozwiązała.
- Taa... – odpowiadam, przeciągając to słowo.
- „Taa”? Mało przekonujące.
- Słucham? Nie zabiłem jej.
- Ani przez chwilę w to nie wątpiłem – zapewniam.
- Chodzi o to, że... Wiesz, co się mówi o pierwszym wrażeniu. Że często jest trafne.
- Theo, nie nadążam. Co próbujesz powiedzieć?
- Sam nie wiem. Ten detektyw, który mnie przepytował... Bystry. Cwaniak. Nie wyglądał na takiego, którego łatwo wyprowadzić w pole.
- Ale doszli do tego, że zabił ją niedźwiedź, i go znaleźli.
- No tak, tak. – Sięgam po fiolkę i obracam ją w palcach we wpadającym przez szczelinę w drzwiach promieniu słońca. Coś odbija światło.
- Rozmawiałeś już z jej rodzicami? – pyta Julian.
- Mrużę oczy i dostrzegam niewielki fragment włosa. Krótki, prosty i gruby, raczej nietypowy dla człowieka, przynajmniej dla zdrowego człowieka.
- Theo?
- Słuchaj, Julianie, znasz jakichś specjalistów od grizzly?
- Finansowaliśmy projekt badawczy dotyczący różnorodności populacji niedźwiedzi. Chcesz pogadać z kimś stamtąd?
- Nie wiem, o co mógłbym zapytać.
- Nie... Mam tu próbkę krwi Juniper i być może fragment sierści niedźwiedzia.
- Ty ją pobrałeś?
- Nie. Nie do końca. Nieważne. – Odkładam fiolkę na szafkę.
- Chcesz, żeby ktoś ją zbadał?
- Zajęła się tym Służba Ochrony Przyrody. Przemawia przede mną chorobliwa ciekawość.
- Zachowujesz się, jak przystało na naukowca. Jeśli chcesz, możemy zaczekać i przekonać się, co powiedzą. Chociaż podejrzewam, że po prostu potwierdzą, że to był niedźwiedź. Ciekawe

jest natomiast to, czy dolegało mu coś, co mogło go pchnąć do ataku. Albo może to z Juniper było coś nie tak. Teoria, że PMS u kobiet przyciąga niedźwiedzie, to bujda, co nie?

– Powiem ci szczerze, że nawet nie wiem, czy nauka dysponuje wystarczającą ilością danych, aby to stwierdzić. Podejrzewam jednak, że zgłębianie takich rzeczy to już trochę przegięcie.

– Być może – przyznaje Julian. – Pozwól jednak, że cię o coś zapytam. Czy gdyby to Juniper dysponowała próbką twojej krwi i sierści niedźwiedzia, chciałbyś, żeby dopilnowała, by ktoś je zbadał?

– Tak. Ale nie znałem jej na tyle dobrze, by wiedzieć, czy życzyłaby sobie...

– Na pewno tak. Zaufaj mi. Przyślij tę próbkę.

– W porządku. – Wszystko, byle się pozbyć tego przedmiotu.

– Rozmawiałeś już z matką Juniper? – pyta ponownie.

To „już” ma dziwny wydźwięk. Tak jakby rozmowa z jej rodzicami była moim obowiązkiem.

Cholera. Oczywiście, że powinienem zadzwonić. Palant ze mnie. Zadzwonić i powiedzieć, jak bardzo mi przykro – to byłoby normalne i ludzkie.

Waham się.

– Nie. Próbuję zdobyć jej numer.

– Policja ci nie dała?

Nawet nie pomyślałem, żeby poprosić.

– E... dopiero się do tego zabierałem.

– Prześlę ci SMS-em. Też do nich zadzwonię. Byłoby dobrze, gdybyś zrobił to raczej prędzej niż później. Byłeś jej ulubionym wykładowcą i w ogóle.

Ulubionym?

– No tak. Zaraz zadzwonię.

– Świetnie. Przyślę kuriera po próbkę. Mam szybkowynikowe laboratorium, później ci opowiem.

Julian jak zwykle myśli o wszystkim.

Rozłączamy się. Wpatruję się w numer do matki Juniper.

Jak mam ująć w słowa to, co czuję w związku z tym, co się stało? Jak wytłumaczyć, dlaczego mam wrażenie, że to moja wina?

Wiem, że siedzenie w ciemnym pokoju ani trochę nie przybliży mnie do odpowiedzi na pytania. Wybieram numer, licząc, że choć ten jeden raz będę potrafił znaleźć odpowiednie słowa w odpowiednim czasie.

12

Motyle

– Halo? – Przez telefon głos matki Juniper jest lekko napięty, lecz mimo to silny. Dla niej koszmar zaczął się przed kilkoma dniami, kiedy zaginęła jej córka. Miała, jak sądzę, czas, aby w pewien sposób przywyknąć do sytuacji.

– Dzień dobry, mówi Theo Cray. Przed kilkoma laty byłem wykładowcą pani córki. Dzwonię, żeby złożyć pani moje kondolencje. – „Kondolencje”. Puste słowo, za pomocą którego chcę przekazać, że nie mam nic do powiedzenia.

– Profesor Theo? – Ożywia się. – Dziękuję za telefon. Wiele dla mnie znaczy.

– Nie wiem, czy pani powiedziano, ale przebywam w tej samej okolicy co Juniper. – Pomińmy tę część opowieści, w której policja przez chwilę podejrzewała, że to ja brutalnie zamordowałem pani córkę (tego, rzecz jasna, nie mówię).

– Wiem. Od Juniper.

– Ach tak?

– Owszem. Śledziła pańskie badania. Chyba nie muszę panu mówić, jak wielkim był pan dla niej natchnieniem.

Ja?

– Była wspaniałą studentką.

– A czy wspominała, że to dzięki panu porzuciła myśl o przerwaniu studiów?

– E... nie. – Nigdy o niczym mi nie mówiła, z tej prostej przyczyny, że zawsze ograniczałem się do traktowania jej jak jednego z wielu nazwisk na liście studentów.

– Przeżywała trudne chwile. Miała problemy z chłopakiem, a rok wcześniej zmarł jej ojciec. To był stresujący okres w życiu Juniper. Podobno pan natchnął ją nadzieją. Był pan dla niej wzorem.

Ja – towarzysko upośledzony bierny widz świata – wzorem?

– Bardzo pani dziękuję. Nieczęsto słyszę takie słowa. – Mówiąc

dokładniej, nigdy.

– Och, na pewno przemawia przez pana skromność. To, że pan zadzwonił, bardzo dużo dla mnie znaczy.

Powinna raczej na mnie nawrzeszczyć.

– Żałuję tylko... Przepraszam. – Głos mi się łamie. – Żałuję tylko, że nie byłem lepszym nauczycielem. Że nie nauczyłem jej bardziej na siebie uważać. Przepraszam, pani Parsons, nie powinienem tego mówić.

– W porządku. To wszystko dopiero do mnie dociera. – Słyszę, że matka Juniper powstrzymuje się od płaczu. – Była moją ukochaną córeczką. I nagle już jej nie ma.

– Bardzo, bardzo mi przykro. – Nabieram powietrza i przecieram nos.

– Doktorze Theo, dlaczego ona pojechała tam sama? – Ton jej głosu zmienia się z serdecznego i opanowanego w chłodny.

– Nie wiem. Nie wiem nawet, czym się zajmowała. Żałuję, że nie poświęciłem więcej czasu na wpojenie jej tego, jak ważne jest zachowanie ostrożności. – Naraz dociera do mnie, że brzmi to tak, jakbym zrzucał na nią winę, i szybko próbuję się wycofać. – To znaczy... Chciałem powiedzieć...

– Zawsze była ostrożna. W wakacje jeździła do Yellowstone i pracowała ze strażnikami leśnymi. Wiele razy natykała się na niedźwiedzie i zawsze wiedziała, jak się zachować. Ale... widocznie ten jeden raz się zapomniała.

Pierwsze słyszę o tym, że pracowała w lesie. Była lepiej przygotowana, niż sądziłem.

Czuję jeszcze większe wyrzuty sumienia w związku z tym, że złożyłem śmierć Juniper na karb jej nieostrożności. Szukanie przyczyn nieszczęść dotyczących innych ludzi w ich własnych czynkach wprawdzie poprawia samopoczucie, ale jest też niewłaściwe.

Niewykluczone, że jej umiejętności przeżycia w terenie przewyższały moje. Co tylko czyni śmierć tej dziewczyny jeszcze bardziej bezsensowną.

Kiepski to moment na zadawanie takich pytań, ale muszę wiedzieć.

– Po co właściwie Juniper tu przyjechała?

– Chodziło, zdaje się, o badania dotyczące rybich genów.

Jej ciało nie znajdowało się w pobliżu żadnego stawu ani strumienia. Ale kto wie, może wybrała się na pieszą wędrówkę w ramach zwykłego relaksu.

Niemniej jako kolega po fachu, a także były wykładowca Juniper, powinienem przynajmniej dowiedzieć się czegoś więcej na temat zagadnienia, które zgłębiała. Wstyd, że dopiero jej śmierć zwróciła moją uwagę na to, iż jedna z moich studentek zaczęła prowadzić własne ciekawe badania.

– Widział go pan? – pyta matka Juniper.

Mija chwila, zanim uświadamiam sobie, kogo, a raczej co miała na myśli. Niedźwiedzia. Potwora, który zabił jej dziecko.

– Tak, złapaliśmy go wczoraj wieczorem.

„My” – cóż za beznadziejne kłamstwo.

– Dziękuję za pomoc w schwytaniu go. Czuję ulgę na myśl, że nie skrzywdzi już nikogo więcej. Oczywiście Juniper nie chciałaby, żeby to stworzenie cierpiało. Taka już była...

Oczywiście, że tak.

– Zginął szybką śmiercią. Myśliwy położył go jednym strzałem.

– To dobrze. Juniper miałaby do mnie żal o te słowa, ale cieszę się, że dorwaliście sukinsyna. – Milknie. – Przepraszam.

– Nie ma pani za co przepraszać.

– Czy to pewne, że go dopadliście?

Przez chwilę zastanawiam się, czy matka Juniper nie podważa mojej wersji zdarzeń, w której to „my” załatwiliśmy bestię. Już mam się przyznać, gdy dociera do mnie, że chodzi jej o to, czy na pewno zastrzeliliśmy właściwego niedźwiedzia.

– Myśliwi są przekonani, że tak. Zresztą potwierdzą to badania.

Na mojej szafce nocnej leży fiolka z krwią Juniper i fragmentem sierści niedźwiedzia. Przekonuję się do pomysłu Juliana, żeby przeanalizować próbkę.

– Na wszelki wypadek wykonam powtórne badanie – informuję, udając, że mam tu cokolwiek do powiedzenia. – Znam osoby, które mogą przeprowadzić niezależne testy.

– Dziękuję. Dziękuję, doktorze Theo. To wiele dla mnie znaczy.

Bardzo się cieszę, że jest pan tam, na miejscu.

Trochę mi ulżyło, że matka Juniper niejako usprawiedliwiła moje wykroczenie.

– Żaden kłopot – rzucam wspaniałomyślnie i jednocześnie do cna fałszywie. – Proszę dać znać, jeśli będę mógł coś dla pani zrobić.

– Nie chciałabym zawracać panu głowy... Samochód Juniper jest w naprawie. Policja przyśle mi jej rzeczy, ale...

– Zajmę się tym. Proszę tylko podać nazwę warsztatu i miejsca, w którym się zatrzymała. Wszystko załatwię.

Rozmowa dobiega końca. Zapisuję w pamięci, żeby za kilka dni ponownie się do niej odezwać. Nie mogę potraktować tej sprawy tak, jakbym odpajkował telefon w Dzień Matki.

Ta kobieta straciła wszystko, co dla niej najdroższe. Jest przekonana, że byłam ważną postacią w życiu jej córki. Powinienem przynajmniej to uszanować i od czasu do czasu dowiedzieć się, czy wszystko u niej w porządku. Juniper na pewno by tego chciała.

Juniper, im więcej o tobie wiem, tym bardziej interesująca się stajesz.

Ciekawe, co tu robiłaś...

Bliska odległość

Warsztat Brysona stoi na wysypanej żwirem działce przy autostradzie. Po obu jej stronach ciągną się długie pasy pastwisk, a nieopodal znajduje się skraj wysokiego lasu. Kiedy wjeżdżam na plac przed zakładem, pięćdziesięciokilkuletni mężczyzna w utyłanym smarem kombinezonie – zapewne sam Bryson – spogląda na mnie spod maski subaru outbacka.

Na skraju parkingu praży się w słońcu jeep, jak się zdaje, własność Juniper, a obok niego stoi jakiś pikap i toyota camry, której brakuje maski i błotnika.

Bryson podchodzi, żeby się przywitać.

– Pan jesteś ten drugi? – rzuca.

– „Ten drugi”? – pytam, wysiadając.

– Drugi gość, którego przyskrzynili.

Ach, no tak. Jasne. Glenn wspomniał, że mieli jeszcze jednego potencjalnego podejrzanego, zanim zorientowali się, że zabójcą jest niedźwiedź.

Bryson jest z dziesięć centymetrów niższy ode mnie, ale dobrze zbudowany. Widzę tylko jeden podnośnik do samochodów i niewielką wciągarkę. Założę się, że facet ma niezłą krzepę od dźwigania ciężarów całymi dniami.

– Ano – odpowiadam. – Okazuje się, że ten, którego szukali, chodził na czterech łapach.

– Racja.

Wskazuję wóz Juniper.

– Jej matka prosiła, żebym się wszystkim zajął. Mieszka w Karolinie Północnej. Ma pan pomysł, jak go tam przetransportować?

– Laweta, która go przywiozła, obskakuje tylko ten stan. Znam firmę od holowania, ale to będzie kosztowało z osiem stów. Jak pan masz parę tygodni, możesz pan wrzucić ogłoszenie na Craigslist

i może ktoś, kto tu pracuje sezonowo, będzie chciał go odprowadzić.

– Myśli pan, że to ma sens?

Bryson wzrusza ramionami.

– Bo ja wiem. No, ale jak masz pan czas...

– Średnio. Za tydzień muszę być z powrotem w Austin na początek semestru zimowego. Może zamieszczę ogłoszenie na te parę dni.

Zdecydowanie nie chciałbym prosić matki Juniper o pokrycie kosztów odprowadzenia auta. W najgorszym razie ureguluję należność za usługę kartą kredytową i później zastanowię się, jak spłacić dług.

Bryson zerka na swojego explorera.

– Nie myślał pan o nowych oponach?

Już mam go spławić, przyszywając mu łątkę cwaniaczka, ale podążam wzrokiem za jego spojrzeniem i przekonuję się, że przednie opony rzeczywiście są prawie łyse.

Zauważył moje wahanie.

– Spokojna głowa, nie chcę pana naciągnąć. Mogę wymienić przednie ze zniżką. Tylne jeszcze trochę pojeżdżą. Zapłacisz pan stówkę i pięć dyszek.

– Za jedną?

Parska śmiechem.

– Chłopie, gdybym chciał cię ogolić, to podszedłbym cię tak, że nawet byś nie zauważył. Stówka i pięć dyszek za obie. I jeszcze dorzucę wymianę oleju.

– Właściwie to dobry pomysł.

– Mamy poczekalnię z wi-fi, jakby co. Bo poza tym niewiele tu do roboty. – Pokazuje brodą na las. – Co z tego, że złapali miśka? Ja bym się tu na spacer nie wybierał.

– Święta racja.

Bryson wskazuje łąkę zaczynającą się zaraz za blaszanym budynkiem.

– Było jak w filmie z Hollywood. Wylądowali helikopterem, o tam, widzisz pan?

– Tutaj? – Odwracam się w stronę lasu. – Chwileczkę, czy to tu znaleziono Juniper?

– Pięć kilometrów stąd. Między moim warsztatem a motelem Górski Obłok.

Właśnie tam zatrzymała się Juniper.

Wręczam Brysonowi kluczyki.

– Chyba się jednak przejdę.

Sięgam po plecak leżący na tylnym siedzeniu i zarzucam go na ramiona. Nie zamierzam wchodzić do lasu. Będę się trzymał drogi.

Przynajmniej tak mi się wydaje, bo mówiąc szczerze, nie mam żadnego planu.

*

Szosa przecina las jak wąski kanion. Maszeruję zwirowym poboczem, a nie asfaltem, na wypadek gdyby drogą jechał jakiś zamyślony kierowca.

Pastwiska zagadkowo szybko przeszły w zimozielony gąszcz. Pomiędzy nimi rosną pasy wysokiej dzikiej trawy – to ekoton. Drzewa i preria walczą tu o teren, a dzika trawa okupuje środek, tam gdzie kamienista równina ustępuje bardziej miękkiej leśnej ziemi.

W szczelinach popękanego asfaltu na skraju drogi rosną stokrotki i chwasty, wyglądają jak wysepki. Miniaturowe ekotony. Gdybym szukał bakterii absorbującej olej, pobierałbym próbki ziemi z ruchliwej autostrady. Nie wiem, czybym ją znalazł, ale na pewno odkryłbym coś ciekawego.

Przenoszę wzrok na otaczający szosę las i usiłuję wypatrzeć to, za czym rozglądała się Juniper.

Nie od parady byłoby zajrzeć do jej ostatnich wniosków badawczych albo przynajmniej poczytać blog. Nadal jednak czuję się do tego stopnia wstrząśnięty tym, co się wydarzyło, że nie jestem w stanie się przemóc, by poświęcić więcej czasu chociażby na przejrzenie jej profilu na Facebooku. Wszędzie widzę twarz Juniper, prześladowuje mnie.

Przez półtora kilometra droga stopniowo i łagodnie pnie się pod górę; dalej robi się bardziej stromo.

Lustruję drzewa w poszukiwaniu znacznika miejsca, gdzie

znaleziono Juniper. Ludzie z biura szeryfa na pewno użyli jakichś wskazówek.

Natykam się na kilka pozostawionych przez strażników leśnych oznaczeń w kolorze spłowiałej pomarańczy, ale nic poza tym. O ile mi wiadomo, policja podała do publicznej wiadomości jedynie ogólny opis okolicy.

Związek pomiędzy tym lasem a mapą, którą widziałem w biurze Glenna, nie jest dla mnie jasny, mimo że całymi dniami przeglądam mapy prawdziwych i wymyślonych krajobrazów.

Mija mnie ciężarówka z naczepą; targa mną potężny podmuch powietrza.

Powinienem był zapytać o to, kiedy Juniper wstawiła auto do warsztatu. Jak długi odcinek musiała pokonać piechotą?

Postanawiam poświęcić na poszukiwania jeszcze dziesięć minut, a potem zawrócić. Nie mam pojęcia, czego właściwie szukam ani co Juniper mogła robić w tej okolicy, poza tym, że wybrała się pieszo z motelu do warsztatu albo odwrotnie.

Wzgórza po obu stronach szosy są zbyt strome, by mógł się tam utworzyć staw albo jakikolwiek inny zbiornik wodny większy niż średnica pnia drzewa. Jediną rybą w takim akwenu byłaby ta, która wypadła z dzioba jakiegoś ptaka.

Już mam zawrócić, kiedy nagle zauważam zawiązaną na drzewie niebieską taśmę. Wygląda na nową. Kilkanaście metrów dalej w głąb lasu, na granicy prawdziwego gąszczu, widzę kolejną, grubszą i żółtą – to taśma policyjna, taka, jaką w filmach odgradza się miejsca zbrodni.

Zatem to tutaj. Chociaż nie do końca, bo teraz trzeba by zejść na szlak prowadzący tam, gdzie rozegrał się dramat.

Zdecydowanie powinienem wracać do warsztatu. Nie mam tu czego szukać.

A jednak... Zagłębam się między drzewa, wiedziony chęcią obejrzenia miejsca, w którym została zabita Juniper.

14

Żółta taśma

Starożytni Grecy wierzyli, że na początku był chaos, bezkształtna pustka. Z tej amorficznej otchłani wyłonili się tytani oraz bogowie i stworzyli człowieka. W swej najbardziej rozwiniętej postaci – filozof utożsamiał ją z samym sobą – człowiek podjął próbę uporządkowania bezładu, odnalezienia symetrii i zasad rządzących wszechświatem.

Z potrzeby poszukiwania reguł zrodziła się filozofia oraz, dużo później, nauka.

Naukowiec to ktoś, kto stara się dostrzec ład w tym, co nieuporządkowane. Bywa, że jest to po prostu niewykonalne, o czym wiemy dzięki mechanice kwantowej i teorii chaosu. Coś może być takie albo inne, my zaś nie dysponujemy żadnymi narzędziami pozwalającymi przewidzieć, dlaczego dzieje się tak albo inaczej.

Wspinam się po stoku, ponieważ pragnę zrozumieć chaos. Jest zdarzenie: śmierć Juniper. Jest przyczyna: niedźwiedź. Brakuje odpowiedzi na pytanie o motyw; policja nie wyjawiała, co doprowadziło do spotkania człowieka i zwierzęcia.

Pierwszy kawałek taśmy był, tak jak podejrzewałem, jedynie ogólnym znacznikiem. Dziesięć metrów dalej natrafiam na kolejny.

Łącznie znajduję pięć żółtych tasiemek, które doprowadzają mnie na niewielką płaską polanę.

Tu natykam się na pierwszą czerwoną taśmę.

Jest zawiązana na pniu drzewa. Pod nią na korze znajduje się ciemna plama.

Krew.

A mówiąc dokładniej: częściowy krwawy odcisk dłoni.

Juniper dotknęła tego drzewa, kiedy umierała.

Znajduję jeszcze cztery kawałki taśmy oraz trzy czerwone chorągiewki na ziemi.

Niektóre taśmy znaczą fragmenty drzewa, które zostały starannie wycięte w celu przebadania. Analogicznie niektóre chorągiewki

wskazują dziury w ziemi, z których pobrano do analizy zakrwawioną glebę.

Te wgłębienia są niewielkie, mniejsze, niż można by się spodziewać w miejscu, w którym dorosła osoba wykrwawiła się na śmierć.

Przyklękam, żeby przyjrzeć się jednej z plam. Ziemia sprawia wrażenie woskowatej, jest jak glina. Na powierzchni zbierają się kropelki wody, ponieważ minerały tworzące miejscową glebę mają właściwości hydrofobowe.

Niektóre rodzaje ziemi nie przyjmują wilgoci; inne, na przykład spękana pustynna gleba, łąpczywie ją wchłaniają.

Trzeba by odsłonić grubą warstwę, by się przekonać, jak dużo krwi Juniper wsiąknęło w tę polanę. Z pobieżnego oglądu wynika, że niewiele. Niewykluczone, że dziewczyna straciła sporą jej ilość, zanim tu dotarła.

Wycieram dłonie o szorty. Dostrzegam drugi szereg znaczników z żółtej taśmy. Prowadzą w górę stoku.

Wyłania się pewien wzór. Nadal otacza mnie chaos, ale przynajmniej zaczyna zmierzać w jakimś kierunku.

Wspinam się, chwilami niemal tracąc równowagę, kiedy spod moich stóp osypują się kamyczki. Wyobrażam sobie, z jakim trudem Juniper musiała przedzierać się przez tę gęstwinę.

Dwie czerwone chorągiewki wskazują miejsca, w których krew kapnęła na rośliny.

Żółty szlak kończy się na kolejnym drzewie, o które Juniper oparła się dłonią. O dziwo, ślad widać od strony drogi, a nie lasu, gdzie jak zakładałem, doszło do pierwszego spotkania dziewczyny ze zwierzęciem.

Wyżej prowadzi jeszcze dłuższa ścieżka żółtych taśm. Podążam nią, uważając, by nie rozdeptać czerwonych chorągiewek ukrytych pod kłodami albo krzakami.

Stawiam prawą stopę na ziemi i nagle zastygam. To nie odgłos każe mi się zatrzymać – a przynajmniej nie ten, który świadomie odbieram.

Chodzi o sygnał płynący z innej, starszej części mózgu, połączonej z zanikłymi bądź zanikającymi narządami zmysłów.

Już kiedyś to przeżyłem.

Po raz pierwszy, kiedy miałem czternaście lat i ojczym zabrał mnie na wędrowkę po Zachodnim Teksasie. Od czasu do czasu zatrzymywałem się, niepewny tego czy owego. Davis milczał.

Po powrocie do obozu zapytał mnie, czy podczas wyprawy czułem coś dziwnego. Odparłem, że tak, ale nie potrafiłem wyjaśnić dlaczego.

Pokiwał głową ze zrozumieniem, po czym wyjął strzelbę z samochodu.

– Chodź.

Poszliśmy tą samą drogą i zatrzymaliśmy się dokładnie tam, gdzie po raz pierwszy opadło mnie tamto osobliwe uczucie. Davis zmrużył oczy i rozejrzał się po okolicy. Jego uwaga skupiła się na sporym głazie.

Obeszliśmy go. Davis kucnął i pokazał, żebym zrobił to samo. Wskazał niewielką plamę z błota.

Widniał na niej odcisk łapy, większy niż moja pięść. Byłem po lekturze przewodnika dla myśliwych, toteż szybko rozpoznałem trop. Należał do pumy. Oto co obaj wyczuliśmy.

– Ale skąd wiedzieliśmy? – spytałem.

– Być może wychwyciliśmy zapach mięsożercy. A może go usłyszeliśmy. Pamiętaj, że puma zdawała sobie sprawę z naszej obecności na długo przed tym, zanim ją wyczuliśmy.

To była otrzeźwiająca lekcja, którą życie przerabiało ze mną jeszcze wiele razy.

W tej chwili czuję, że coś mi towarzyszy. Jeżeli puszcę się biegiem, postawię się na pozycji przerażonej ofiary. Jeśli będę postępował ze zbyt dużą pewnością siebie, wyjdę na konkurenta do terytorium.

Najlepiej zachować czujność. Wsuwam dłoń do plecaka i wydaję gaz pieprzowy.

Przede mną jeszcze jeden żółty szlak. Może mnie doprowadzić do miejsca, w którym doszło do napadu zwierzęcia na Juniper.

Widziałem martwego niedźwiedzia, ale to przecież wcale nie oznacza, że truchło należało do tego, który odebrał dziewczynie życie. Niedźwiedzie i pioruny robią, na co przyjdzie im ochota, i jeśli chcą,

uderzają w tym samym miejscu dwa razy – wbrew temu, co wmawiają nam specjaliści.

Powiniennem ostrożnie wycofać się w kierunku drogi.

Ale wciąż nie uporządkowałem chaosu.

Pragnę ładu.

Mocniej zaciskam dłoń na pojemniku z gazem pieprzowym i brnę dalej.

Każdy odgłos i każda dłuższa chwila ciszy sprawiają, że się zatrzymuję i lustruję otoczenie.

Nie dostrzegam żadnych drapieźców czających się za drzewami. Co oczywiście nie oznacza, że ich tam nie ma.

Docieram do ostatniej żółtej szarfy i widzę wetkniętą w grunt czerwoną chorągiewkę.

Ziemia jest tu pokryta warstwą sosnowych igieł, ale wyraźnie widać, czym się wyróżnia.

Jest przesiąknięta krwią.

Miejsce spoczynku

Kiedy tak wpatruję się w ciemną plamę na ziemi, w mojej głowie pojawia się makabryczny obrazek. Umysł dokonuje skojarzenia jak w teście Rorschacha i wyświetla mi wizerunek orzełka na śniegu.

W tym miejscu Juniper się szamotała. Młóciła rękami, podczas gdy z jej ciała wypływała krew.

Czy walczyła z niedźwiedziem? Próbowała się uwolnić spod jego cielska?

Zdumiewa mnie to, że zdołała znaleźć w sobie dość siły, by wstać i zbiec w dół stoku.

Jak bym zareagował, gdybym się znalazł w takiej sytuacji? Spanikowałbym i doznał szoku?

Juniper łatwo się nie poddawała. Była dzielną dziewczyną, która nie spoczęła, dopóki jej ciało nie odmówiło posłuszeństwa i nie była w stanie się ruszyć.

Kiedy pracowałem jako sanitariusz, nieraz słyszałem o ludziach, którzy umierali od zupełnie niegroźnych ran. Z kolei inni wychodzili cało z wypadków, które dla pozostałych skończyłyby się tragicznie. Tętnice i podstawowe organy swoją drogą, ale ważna jest również wola przetrwania.

Coś się poruszyło między drzewami. Wstaję, powoli się obracam i spoglądam w las.

Mój wzrok nastawiony na wychwytywanie wzorów żadnego nie dostrzega.

W promieniu dwudziestu metrów ode mnie mogłoby się znajdować kilkanaście różnych zwierząt – od myszy po niedźwiedzia – a ja i tak nie zdołałbym ich zobaczyć.

Pomny niebezpieczeństwa, ale jednocześnie zafiksowany na kręgu krwi na ziemi, ponownie przyklękam i próbuję nadać sens temu, co widzę.

Co takiego sprowadziło Juniper i niedźwiedzia w to miejsce?

Szedł za nią?

Zaskoczył ją?

A może to ona zachowała się niemądrze i postanowiła śledzić zwierzę? Jakkolwiek idiotycznie brzmi ten pomysł, niejeden dureń zginął, próbując to robić.

Znów wstaję. Przesuwam wzrokiem po stoku. Mnóstwo żółtych i czerwonych znaków, ale brak innych barw.

Co się stało z jej plecakiem i butami? Czy policja oznacza specjalnym kolorem miejsce, w którym natrafia na rzeczy osobiste ofiary?

Trudno mi sobie wyobrazić, żeby Juniper zawędrowała tak daleko, nie mając ze sobą choćby butelki z wodą, nawet jeśli wybrała się jedynie na przechadzkę między warsztatem a motelem.

Wciąż też nie rozumiem, co ją sprowadziło aż tutaj. Przecież nie ma tu żadnych stawów ani jezior. Ani choć kałuży większej niż plama jej krwi.

Nie ma nawet gnijących kłód, pod którymi niedźwiedź mógłby znaleźć coś do spałazowania.

Obecność Juniper i zwierzęcia w tym miejscu wydaje się dziełem przypadku.

Niedźwiedzie mieszkają rozległe terytoria. Niewykluczone, że ten konkretny wybrał się na obchód swoich włości.

Chociaż szczerze mówiąc, słabo się znam na tych zwierzętach. Stoję w lesie i roztrząsam motywy działania stworzeń, które w istocie są mi obce – mam na myśli zarówno niedźwiedzie, jak i ludzi.

Na dźwięk trzaskającej gałązki nastawiam uszu. Obracam się na pięcie i widzę pusty las.

Wstrzymuję oddech, zastygam, czekam na ruch.

Wiem, że spoglądam we właściwym kierunku. Jedynie nie widzę źródła odgłosu.

Koncentruję się na miejscu, w którym dwa drzewa rosną w odległości metra, półtora od siebie – takim, jakich tu wiele.

Coś tam jest.

Uznaję, że najlepiej będzie powoli i ostrożnie się wycofać. Trzymając w gotowości gaz i nie spuszczać oka z punktu, który

wziąłem na celownik, robię krok do tyłu. Potem kolejny.

Coś trafia mnie w kostkę. Odruchowo szarpnię nogą i upadam.

Ląduję plecami na ziemi, tak że powietrze uchodzi mi z płuc, a głową uderzam o kamień. Obraz rozmywa się jak program w starym telewizorze.

Robię, co mogę, żeby nie zemdleć.

Słyszę dźwięk trzaskających gałązek. Coś biegnie przez las.

Przemieszcza się w moją stronę...

Podnoszę dłoń, w której trzymam gaz pieprzowy, ale okazuje się pusta.

Wysiłek kosztuje mnie zbyt wiele. Czuję, jak zaciskają się na mnie ciemne palce nieświadomości.

Jednym z ostatnich doznań jest zapach krwi.

Z tyłu głowy sączy się ciepła strużka, ale krew, którą czuję, nie należy do mnie.

Upadłem prosto w „orzelka” Juniper.

W chwili, w której ostatecznie tracę przytomność, pada na mnie cień.

16

Snajper

Budzę się oparty o pień drzewa. Tył bluzy i szortów mam we krwi. Z początku myślę, że jest moja, ale potem przypominam sobie, że przewróciłem się w plamę pozostawioną przez Juniper.

Powraca ostatni obraz, jaki miałem przed oczami, kiedy mdlałem: padający na mnie cień. Wzdrygam się i próbuję wstać, ale brakuje mi sił.

Słyszę szelest. Podnoszę ręce jak przerażone dziecko.

– Spokojnie – odzywa się męski głos na lewo ode mnie.

Detektyw Glenn podchodzi i pochyla się nade mną. W jednej ręce trzyma telefon, w drugiej – zakrwawioną szmatkę. Przykłada mi ją z tyłu głowy. Wytrzymuję ból.

– Dobra wiadomość jest taka, że krew w większości nie jest pańska. Zła, że zanieczyścił pan miejsce zbrodni.

– Przepraszam. – Spoglądam na swoje brudne palce. Jestem cały we krwi Juniper.

– Wczoraj wieczorem padało, plama znacznie się powiększyła. – Policjant podnosi palec i wodzi nim przed moją twarzą. – Widzi pan wyraźnie?

– Tak.

– Kolejna dobra wiadomość: nie trzeba wzywać do pana śmigłowca.

– Nic mi nie jest. Proszę mi dać chwilę.

Szczypie mnie z tyłu czaszki. Ale to powinno minąć. Nie mam sensacji węchowych, nie kręci mi się w głowie, czyli raczej nie doznałem wstrząśnienia mózgu. Raczej.

– Uderzył pan o tamten kamień. Trafił pan w sam środek.

– Coś mnie... przestraszyło.

– Niech pan nie żartuje. – Glenn szuka kawałka suchej ziemi, znajduje go i siada. – Co pan tu w ogóle robi, do cholery?

– Uznałem, że to doskonałe miejsce, żeby wywinąć orła. Nomen omen. – Zerkam na plamę krwi Juniper i kręcę głową. – Mój Boże.

– Owszem, nie wyglądało to najlepiej. Nie odpowiedział pan na moje pytanie. Po co pan tu przyszedł?

– Pani Parsons, mama Juniper, poprosiła, żebym zajął się samochodem jej córki.

Glenn przekrzywia głowę.

– Tutaj? Na górze? Nie widzę tu parkingu. Na pewno dobrze się pan czuje?

– Auto jest w warsztacie u... jak mu tam? U Brysona. Dodatkowo zmienia mi opony. Pomyślałem, że czekając, wybiorę się na spacer.

– I dotarł pan aż tutaj? – pyta Glenn z powątpiewaniem.

– Zobaczyłem taśmy. Byłem ciekaw. A skąd pan się tu wziął?

– Nie muszę mieć powodu. Ale jeśli koniecznie chce pan wiedzieć, to próbuję wyjaśnić wszystkie szczegóły.

Przypominam sobie wrażenie czyjejs obecności.

– Obserwował mnie pan.

– Owszem. Od początku.

– I nic pan nie mówił?

Glenn spogląda w bok; widać, że próbuje wydobyć coś z pamięci.

– Jak to się nazywa? Efekt obserwatora? – Wzrusza ramionami. – Uznałem, że będzie ciekawie popatrzeć, co pan zrobi w sytuacji, gdy wydaje się panu, że jest sam.

– Ale ja wiedziałem, że nie jestem sam.

– Być może. Założę się jednak, że stawał pan na niedźwiedzia albo pumę.

Ma rację.

– Bo to równie dobrze mógł być niedźwiedź albo puma. Zachowywał się pan bardzo cicho. Jest pan byłym wojskowym, prawda? Jaka była pańska specjalizacja?

– Byłem obserwatorem.

Obserwator to żołnierz, który towarzyszy strzelcowi wyborowemu i asystuje mu przy identyfikacji celów.

– No jasne. Podejrzewam, że gdyby był pan snajperem, już bym nie żył.

– Myślę, że sam doskonale się pan wyeliminował z pola bitwy.

Sięgam do tyłu i kładę dłoń na pniu. Powoli wstaję, wspierając się

na drzewie.

– W porządku?

– Chyba tak. – Strzepuję liście, które przyczepiły się do ubrania. – Jak to możliwe, że Juniper dotarła tak daleko w dół stoku po tym, jak tutaj straciła tyle krwi?

Glenn wstaje i unosi brew.

– Skąd wniosek, że znaleźliśmy ją na dole?

– Bo tam jest bliżej drogi. Zakładam, że natknęła się na niedźwiedzia głęboko w lesie i próbowała uciekać w stronę szosy.

Detektyw kręci głową.

– Nie. Umarła tutaj. Dokładnie tam, gdzie pan upadł.

– Wbiegła tu, na górę?

– Czy kiedykolwiek zaatakował pana niedźwiedź?

– Jeszcze przed chwilą sądziłem, że tak.

– A mnie nie. Ale podejrzewam, że instynkt kazałby mi uciekać, gdzie się da.

– No tak. Ma pan rację. Łatwo przedobrzyć w analizie sytuacji, kiedy nie patrzy się z perspektywy osoby walczącej o życie. Mimo wszystko zachowanie Juniper wydaje mi się sprzeczne z intuicją.

Glenn zakłada ręce na piersi i rozgląda się.

– No dobrze. Czy jako naukowiec może mi pan powiedzieć, czego mogła tu szukać?

– Nie mam pojęcia. Jej matka wspomniała coś o rybach. Ale tu, co oczywiste, żadnych nie ma.

– Najbliższe jezioro znajduje się na przełęczy Brookmana. Przed miesiącem zasypała ją lawina błotna. Stąd to dwa dni marszu, w tym połowa przez pastwiska. – Wskazuje w kierunku drogi. – Po drugiej stronie jest kilka stawów, ale podobno nie sposób się tam dostać od szosy.

– Ciekawe. Postaram się poszperać i dowiedzieć czegoś na temat jej badań.

– Proszę dać mi znać, jak panu poszło. Nie możemy również wykluczyć, że szukała drogi na skróty.

– Myślę, że była na to zbyt rozsądna.

Glenn zachowuje się, jakby uważał, żeby czegoś nie palnąć. Kręci

głową.

– Mając za przykład takiego wykładowcę...

– Proszę jej nie oceniać – odpowiadam chłodno. – Jestem ciemną, to prawda, ale z tego, co tu widać, Juniper nie poddała się tak łatwo jak ja.

– Ma pan rację. Przesadziłem – przyznaje poważnym tonem. – To była twarda dziewczyna.

– Żałuję, że nie poznałem jej lepiej.

Glenn obniża głos.

– Panie doktorze, nie jesteśmy już w komisariacie, nie jest pan podejrzany, może pan być ze mną szczery. Znał ją pan całkiem nieźle, prawda? Może nawet mieliście małe *rendez-vous* w mieście?

Zdzieliłbym go, gdyby nie miał broni i gdybym nie był tchórzem.

Jestem w stanie odgryźć się jedynie spojrzeniem pełnym urazy – urazy z powodu tego, że mógł tak o mnie pomyśleć; że mógł tak pomyśleć o Juniper.

– Niech pan nie będzie dupkiem.

Unosi dłonie w geście kapitulacji.

– Przepraszam. Wychodzi ze mnie detektyw. Zawsze szukam dziury w całym. Chciałem zobaczyć, jak pan zareaguje.

– Jakie to ma teraz znaczenie? Juniper nie żyje, a wyście dorwali jej zabójcę.

– Prawda. Ale wie pan, to przypomina badania. Kiedy poznaję kogoś takiego jak pan, koniecznie chcę się przekonać, co mu siedzi w głowie.

Nie jestem pewien, czy podoba mi się wizja detektywa Glenna zgłębiającego moje pobudki.

– Znał pan wcześniej kogoś takiego jak ja?

– Kiedy pana zobaczyłem, to myślałem, że tak.

– Był bełkotliwym bęcwałem jak ja?

Glenn przygląda mi się przez chwilę.

– Nie. Był zabójcą. Bezwzględny typ, jak pan się domyśla.

– Zabójcą? – Żołądek podchodzi mi do gardła.

– Czternaście potwierdzonych trupów.

Dostaję gęsiej skórki, słysząc takie porównanie.

– Seryjny morderca?

– Nie nazwałbym go tak.

Uwaga Glenna nie jest zabawna.

– Wobec tego jak? Masowy zbrodniarz?

– Nie. Snajper. Byłem jego obserwatorem.

Nie bardzo wiem, co o tym sądzić, toteż udaje mi się jedynie wybąkać:

– Stanowię zagrożenie wyłącznie dla samego siebie.

– Być może. Mimo to nadal mam wrażenie, że nie chciałbym zobaczyć pana rozgniewanego.

17

GenBank

Po powrocie do motelu odsłuchuję wiadomość od Juliana. Jest krótka: „Zadzwoń...”.

– O co chodzi? – pytam minutę później.

– Mamy wyniki badania DNA. Wysłałam do ciebie plik. Tylko uważaj, bo sporo waży.

– Już? – Spoglądam na zegarek. Kurier odebrał próbkę niecałe dwanaście godzin temu.

– Jestem właścicielem start-upu specjalizującego się w szybkich badaniach DNA. Nazywa się Xellular. Przez X.

– No jasne. Założę się, że sam go tak ochrzciłeś. Obawiam się, że nie znam. – Wspominał przecież o laboratorium szybkowynikowym; to oczywiste, że należy do niego.

– A owszem. I nie dziwi mnie, że o nim nie słyszałeś, bo nie obsługujemy środowiska akademickiego. Naszym głównym klientem jest CIA. Wykorzystują nasz sprzęt do identyfikacji terrorystów, żeby dowiedzieć się po fakcie, kogo właściwie trafiły ich drony. Pieniądze nie grają roli, agencja chętnie płaci za błyskawiczne wyniki. Plus jest taki, że niedługo udostępnimy nasze usługi komercyjnie.

– Brzmi nieźle. Chociaż powiem ci, że sam nie wiem, czego się spodziewać po DNA Juniper. Gdyby chodziło o coś związanego z hormonami albo feromonami, zapewne wyszłoby to w badaniu osocza.

– Nie, Theo – poprawia mnie Julian. – Mowa o DNA niedźwiedzia.

– Niedźwiedzia? Nie wiedziałem, że na końcu włosa były pozostałości mieszka. Wydawało mi się, że to po prostu fragment trzonu.

– Nie było mieszka. Uzyskaliśmy DNA z trzonu.

– Hm, a to w ogóle możliwe? – Uważa się, że włos zawiera jedynie mitochondrialny DNA, zwane w skrócie mtDNA, które przechodzi z matki na dziecko, podlegając jedynie nieznacznym zmianom. Ojciec

nie przekazuje tego rodzaju DNA. Zmiany w mtDNA zachodzą w tak wolnym tempie – głównie za sprawą losowych mutacji – że można posłużyć się włosem jak swego rodzaju genetycznym zegarem, aby się przekonać, w którym momencie doszło do podziału populacji. Włos w zasadzie nie nadaje się do identyfikacji pojedynczych osób. Mitochondrialny DNA twoje i twoich kuzynów ze strony matki jest bowiem taki sam.

DNA zawierającym połączenie materiału genetycznego matki i ojca jest natomiast DNA jądra komórkowego, w skrócie nDNA – i to ono określa każdego z nas jako odrębny organizm. Dzięki niemu możemy odróżnić poszczególnych ludzi. Kiedy chcemy daną osobę sklonować albo ustalić, czy jest zamieszana w przestępstwo, pobieramy od niej materiał zawierający nDNA.

Komórki krwi i skóry zawierają zarówno nDNA, jak i mtDNA, ale już włos w części trzonowej składa się z martwych komórek, w których, jak się sądzi, próżno szukać DNA jądra komórkowego.

– No proszę: coś, czego Theo Cray nie wie – drwi Julian. – Przyczyną, dla której uważano, że nie można znaleźć nDNA w trzonie, jest proces keratynizacji. Sądzono, że kiedy komórki włosa umierają i twardnieją, ulega on zniszczeniu. Ale ponieważ udaje się uzyskać materiał genetyczny ze skamielin, mimo że teoretycznie powinien on być zniszczony, bo okres jego połowicznego rozpadu upłynął dawno temu, można śmiało założyć, że również włos zawiera nieco przydatnego DNA. Największym wyzwaniem było usunięcie wszystkiego poza tym, co nas interesuje. Kilka lat temu chińscy naukowcy wpadli na pomysł, jak wykorzystać do tego zwykły detergent do prania. Okazuje się, że od pewnego czasu projektuje się specjalne enzymy służące do czyszczenia plastrów krzemowych. Nam udało się wymyślić jeszcze skuteczniejszą formułę wyodrębniania DNA.

– To świetnie. A jak idą prace nad parkiem dinozaurów?

– Ubezpieczenie da nam po kieszeni. W każdym razie pomyślałem, że warto by było porównać niedźwiedzia, który zabił Juniper, z innymi, które napadały na ludzi. Kto wie, może się okaże, że cierpiały na jakąś chorobę wściekłych misiów.

Julian szuka racjonalnego rozwiązania, zupełnie jak ja.

– Nie sądzę, aby przewidywanie zachowań przestępczych dawało w przypadku niedźwiedzi lepsze rezultaty, niż kiedy mamy do czynienia z ludźmi.

Julian znacząco odchrząkuje.

– Kiedyś, kiedy będę miał pewność, że nikt niczego nie nagrywa, odbędziemy politycznie niepoprawną rozmowę na ten temat. Francis Galton mógł mieć rację.

– Galton był rasistą.

– Akurat nie o to mi chodzi. Nieważne. Słuchaj, przesyłam ci ten plik z wynikami badania DNA. Nie zdążyłem wgrać go do GenBanku i sprawdzić, o jaki podgatunek chodzi. Na pewno Służba Ochrony Przyrody już to wie, łącznie z tym, co miś jadł na śniadanie. Moja wiedza o niedźwiedziach ogranicza się do tego, czego nauczyłem się z *Muppetów*.

Julian wie, że to dla mnie wymarzone zajęcie, które pozwoli mi uporać się z tą sprawą na moich własnych warunkach. Dziękuję i się rozłączam.

Niedługo potem przychodzi e-mail ze skompresowanym plikiem. DNA w wersji cyfrowej to po prostu plik tekstowy zawierający listę lokalizacji oraz sekwencje w rodzaju: attgtcccc ggctctctgc tgctgctgct ctccggggcc acggccaccg.

Niezwykłe jest to, że mógłbym teraz wprowadzić te informacje – opisujące kolejność wiązań guaniny, adeniny, tyminy i cytozyny z resztami fosforanowymi i cukrowymi – do maszyny, która odtworzy DNA poprzez opuszczanie zasad azotowych nukleotydów jedna po drugiej do roztworu.

Naukowcy rozsyłają między sobą wiadomości elektroniczne zawierające kod genetyczny zapisany w formie cyfrowej, wprowadzają go do replikatorów DNA, po czym przenoszą kopię DNA do „pustych” komórek, które zaczynają się mnożyć i budować bliźniaczą wersję oryginalnego organizmu.

Wciąż z trudem mieści mi się w głowie, że można przesyłać sobie życie e-mailem, jak – nie przymierzając – zdjęcia kotów. Lada moment przeczytamy, że jacyś naukowcy przesłali przez sieć

prawdziwego kota.

Plik tekstowy jest bezużyteczny dla kogoś, kto nie orientuje się w określonych sekwencjach i ich lokalizacjach. Aby zrozumieć jego zawartość, trzeba go załadować do programu nazywanego przeglądarką, który pozwoli nadać sens ciągom liter i cyfr.

Poszukiwanie genetycznych źródeł choroby polega na przeglądaniu wyznaczonych obszarów i wyłuskiwaniu różnic. Sądziliśmy, że kiedy uzyskamy sekwencję całego genomu, dostaniemy raka i inne schorzenia jak na tacy. Kłopot w tym, że nawet jeśli założymy, iż zaburzenie ma związek z kilkoma konkretnymi genami, to i tak przyglądając się sekwencji, nie jesteśmy w stanie stwierdzić, czy w danym organizmie geny te zostały, czy nie zostały aktywowane. No, ale nauka robi postępy.

GenBank to największa publiczna skarbnica informacji genetycznej. Pełna jest próbek DNA zwierząt z całego świata – wszystkich, od których udało się je pobrać.

Baza w pierwszej wersji mieściła się w kilku tomach w twardej oprawie. Nie zawierała pełnych genów, lecz tylko podstawowe pary zasad. Tymczasem jej najświeższa odsłona liczy sto sześćdziesiąt pięć miliardów par zasad, które wypełniłyby siedem milionów ksiąg.

Na szczęście baza jest dostępna w internecie.

Wgrywam plik, który otrzymałem od Juliana. Kilka chwil później na ekranie pojawia się wynik: *Ursus arctos*.

Niedźwiedź brunatny. W Ameryce Północnej nazywamy go grizzly. Taki jak ten, którego widziałem przy zaśnieżonej szopie.

Informacje, które udaje mi się uzyskać z GenBanku, nie wykraczają poza to, że ten konkretny okaz należy do populacji zamieszkującej stan Wyoming, dokładniej okolice Yellowstone.

Chyba nie powinno mnie to dziwić. Przeglądam sieć pod kątem grup mogących dysponować bardziej szczegółowymi informacjami odnośnie do DNA miejscowych populacji niedźwiedzi i znajduję zespół badawczy o nazwie *Ursa Major*, działający przy Uniwersytecie Stanu Montana.

Pod wpływem impulsu wybieram numer telefonu podany na stronie.

Odbiera kobieta.

– Doktor Kendall. Słucham.

Co powiedzieć? Co powiedzieć?

– Witam. E... Mówi doktor Theo Cray.

– Czym mogę służyć, doktorze Cray? – Jest uprzejma, ale ton jej głosu sugeruje, że jego właścicielka nie lubi zbędnych wstępów.

Po ataku niedźwiedzia na Juniper zespół Ursa Major na pewno jest rozchwytywany. Za bardzo się krępuję, by prosto z mostu powiedzieć, dlaczego dzwonię. Zresztą sam nie jestem pewien, czemu w ogóle to robię.

– Pani doktor, prowadzę w okolicy badania na temat różnych gatunków zwierząt i tak się zastanawiam, czy wasz zespół dysponuje bazą danych niedźwiedzi, które oznakowaliście albo obserwujecie. – Nie wiem, jak wprost poprosić o dostęp.

– Tak. Proszę podać swój e-mail, prześlę panu login. Na której uczelni pan pracuje?

– Na Uniwersytecie Tekszańskim. Ale akurat te badania prowadzę w ramach grantu Brilliant.

– O, geniusz – śmieje się.

– Błagałem ich, żeby zmienili tę nazwę.

– Proszę przesłać wiadomość, korzystając z formularza na stronie, przez którą jak się domyślam, udało się panu mnie znaleźć, a podam panu wszystko, co trzeba. Może w ramach rewanżu szepnie pan o mnie słówko, jeśli będę występowała o grant Brilliant?

– Chętnie.

Tak to bywa w świecie nauki. Wystarczy wysłać odpowiednie sygnały, by móc liczyć na akceptację.

Pięć minut później siedzę w bazie danych doktor Kendall i przeglądam setki rekordów opisujących czarne i brunatne niedźwiedzie, które udało im się namierzyć.

Każdy ma swój kod, na przykład UA20.22.06. Niektóre noszą również przydomki, nadane im przez badaczy terenowych studiujących zachowanie zwierząt: Miodek, Paddington, Paddington 2, Puchatek, Miś Boo-Boo, Pistolecik.

W uwagach znajduję wyjaśnienie, skąd takie, a nie inne

przezwisko. Okazuje się, że niektóre są przypadkowe, na przykład czarny niedźwiedź Pistolecik zawdzięcza ksywkę temu, że w krótkim czasie zdołał zapłodnić trzy samice.

Zajmuje mi to trochę czasu, ale w końcu odnajduję zestawienie DNA. Podstawiam plik od Juliana i szybko uzyskuję wynik: jest niedźwiedź, który pasuje do fragmentu sierści z rany Juniper.

Wywołuję jego kartę i czuję, jak na widok nadanego mu przydomka jeżą mi się włosy na głowie.

Rozpruwacz.

18

Alfa

Karta Rozpruwacza zawiera informacje zebrane z tak zwanych pułapek na sierść – czyli rolek drutu kolczastego rozciągniętych w celu zbierania mieszków włosowych zwierzęcia (w których występuje nDNA) – odchodów, odcisków łap, a także z punktów śledzenia (przez rok Rozpruwacz nosił obrożę z nadajnikiem GPS).

Wygląda zupełnie jak rekord w NSA, tyle że prowadzony dla zwierzęcia. Okazuje się, że faktycznie mogę się dowiedzieć, co jadł na śniadanie: łosinę. Dużo łosiny.

Rozpruwacz zyskał przezwisko dzięki sposobowi, w jaki otwierał brzuchy swoim zdobyczom. Preferował długie cięcia.

Może robił tak po to, by rozkoszować się sokami upolowanej ofiary? Mogę sobie jedynie wyobrażać jego motywy.

Jest też rodowód niedźwiedzia, jego krewni oraz progenitura. Jeśli chodzi o potomstwo, wiadomo tylko o jednym żyjącym okazie, opisanym kodem UA.354.222; przydomku nie nadano. To, jak zakładam, oznacza, że nikt nawet nie zadał sobie trudu prześledzenia związku pomiędzy zaobserwowanym niedźwiedziem a DNA jego potomstwa.

Znaczniki z GPS-u układają się w mapę obrazującą terytorium Rozpruwacza. Okazuje się, że jego tereny łowieckie znajdują się piętnaście kilometrów stąd. Często zdarza się jednak, że niedźwiedzie wyprawiają się poza swój rewir.

Niestety, śledzenie tego konkretnego zwierzęcia przez GPS zakończyło się w zeszłym roku, toteż nie sposób stwierdzić, jak daleko Rozpruwacz dotarł, zanim trafił w te strony.

Lista pułapek na sierść wskazuje na nieco większy zasięg wędrówek. Sporo danych zgromadzonych w tych punktach pochodzi sprzed założenia obroży.

Wydaje mi się dziwne – pewnie dlatego, że nie mam żadnego porównania – że nie licząc ostatnich dni, Rozpruwacz nigdy wcześniej

nie zapuszczał się na tę stronę pasma.

Może zabił Juniper, ponieważ znalazł się na nieznanym terenie? Detektyw Glenn wspomniał o przełęczy zablokowanej z powodu lawiny błota. Niewykluczone, że Rozpruwacz wybrał się na wyprawę poza swoje terytorium i utknął.

Czyste spekulacje.

Ludziom wydaje się, że naukowcy są ekspertami w każdej dziedzinie, podczas gdy w rzeczywistości niektórzy z nas specjalizują się do tego stopnia, że ich wiedza na wiele tematów – na przykład zachowania niedźwiedzi – nie wykracza poza zakres, jaki posiada byle laik.

W karcie znajduję również zdjęcie Rozpruwacza; zrobiono je, kiedy podawano mu środek uspokajający w celu założenia obroży z nadajnikiem GPS. Wygląda podobnie jak wtedy, kiedy leżał martwy na niebieskim brezencie. Dziki i zarazem spokojny. Brakuje mu pazura w lewej przedniej łapie.

Pazury to w zasadzie ostro zakończone paznokcie, które po pewnym czasie odrastają. Wydaje mi się, że kiedy go oglądałem, miał ich komplet. Jak długo odrasta niedźwiedzi pazur?

Mimo to chcę porównać te dwa okazy. Nie było jeszcze konferencji prasowej, ale jestem pewien, że znajdę w internecie zdjęcie zastrzelonego niedźwiedzia zabójcy.

I rzeczywiście. Wystarczyło kilka kliknięć. Gazeta „Bozeman Chronicle” opublikowała artykuł o napaści. Dołączono do niego groźne ujęcie Rozpruwacza z pyskiem skierowanym w obiektyw i obnażonymi kłami.

POSZUKIWANY GRIZZLY MORDERCA SCHWYTANY PRZEZ SŁUŻBĘ OCHRONY PRZYRODY

Bozeman, Montana. Nieoficjalne źródła potwierdzają, że tropiciel ze Służby Ochrony Przyrody zidentyfikował i zastrzelił niedźwiedzia grizzly podejrzanego o spowodowanie śmierci młodej naukowiec, która prowadziła badania na terenie hrabstwa Filmount. Specjalista z Wildlife Genetics International ujawnił, że

materiał genetyczny pobrany od martwego grizzly pozwolił ustalić, iż jest nim niedźwiedź oznaczony kodem UA.223.334.

Prasa oszaleje, kiedy wyjdzie na jaw przydomek nadany naszemu zabójcy.

Ponownie przechodzę do karty Rozpruwacza, żeby sprawdzić, czy ktoś z Ursa Major uaktualnił ją od dnia zastrzelenia niedźwiedzia.

Ostatnie zmiany pochodzą sprzed roku. Pewnie magistrant odpowiedzialny za tę sekcję cierpi na nadmiar obowiązków.

Zamykam kartę przeglądarki razem z aktami Rozpruwacza, gdy nagle coś przykuwa moją uwagę.

Przywracam ostatnio zamkniętą kartę.

Dziwne.

UA.221.999 / „Rozpruwacz”

Kod różni się od tego podanego w artykule.

Czy jeden niedźwiedź może mieć przyporządkowanych kilka rekordów?

Wpisuję UA.223.334 w polu wyszukiwarki. Ciekawe, co się pojawi. Nowa karta.

UA.223.334 / „Bart”

Opis zupełnie innego niedźwiedzia.

Dane tego okazu pochodzą z pułapek na sierść ze znacznie bliższej okolicy. Klikam zdjęcie. Fotografia zrobiona z dużej odległości przedstawia zwierzę idące przez łąkę.

Podobieństwo Barta do Rozpruwacza jest uderzające, ale nawet ja moim niewprawnym okiem mogę stwierdzić, że to chyba jednak dwa różne niedźwiedzie.

Z drugiej strony zdaję sobie sprawę, że przed zimą te ssaki potrafią przybrać na wadze nawet kilkaset kilogramów, a poza tym, prawdę mówiąc, nie do końca wiem, po czym je odróżnić.

Ściągam plik DNA Barta i uruchamiam go w przeglądarce.

Osobliwa rzecz. Okazuje się, że Bart i Rozpruwacz są spokrewnieni, z tym że obaj mają sporo różniących się od siebie sekwencji genów. Jak dalecy kuzyni. Ale nie jak rzekomo to samo zwierzę.

Na wszelki wypadek ponownie czytam artykuł i sprawdzam dane w bazie.

No tak, to dwie różne próbki DNA.

Ktoś musiał się pomylić.

Prędko wpisuję adres Wildlife Genetics International. Jest numer telefonu. Przepisuję cyfry i wybieram zieloną słuchawkę, mimo że nie wiem, co powiedzieć – mam jeszcze większą pustkę w głowie niż wtedy, kiedy dzwoniłem do Ursa Major.

– WGI, do kogo przekierować? – odzywa się kobiecy głos.

– Dzień dobry, czy może mnie pani połączyć z osobą odpowiedzialną za sekwencjonowanie w laboratorium?

– Czyli z doktorem Whitcombem. Chwileczkę.

– Travis przy telefonie – mówi mężczyzna o młodzieńczym głosie.

– Doktorze Whitcomb, przepraszam, że zawracam głowę. Jestem w terenie i nie mogę się dodzwonić do nikogo z laboratorium lekarza sądowego. Czy... może mi pan ponownie przesłać plik tego niedźwiedzia, którego wczoraj zabili?

– Ponownie? – Wydaje się poirytowany. – Jeszcze go wam nie przekazywałem.

Cholera, szybko – jak zareagować?

– A, to przepraszam. Ktoś mnie źle poinformował.

– Nie ma sprawy. Akurat mam plik pod ręką. Do kogo przesłać?

Z pośpiechu podaję mu swój uczelniany e-mail. Później wymyślę jakieś wiarygodne wytłumaczenie, na wypadek gdyby komuś przyszło do głowy o to zapytać.

Dziękuję i rzucam jeszcze:

– Krótkie pytanie: skąd wiedzieli, że chodzi o UA.223.334, skoro nie mieli jego DNA?

– Skąd wiedzieli, że chodzi o tego niedźwiedzia? Nie mam zielonego pojęcia. Dla mnie wszystkie wyglądają tak samo. Proszę zapytać tropiciela.

Rozłączam się i biorę głęboki wdech. Jestem beznadziejnym kłamcą i nie radzę sobie w stresie.

Co gorsza, właśnie przekroczyłem granicę etyki zawodowej. Nie jestem pewien, czy do tego nie złamałem prawa. Wiem tylko, że może się to na mnie zemścić.

Przychodzi plik od Trávisa. Otwieram go w przeglądarce DNA.

Próbka pochodząca, jak utrzymują, od niedźwiedzia, którego truchło oglądałem, zawiera DNA Barta.

Laboratorium Juliana popełniło błąd – to najbardziej prawdopodobne wytłumaczenie, jakie przychodzi mi do głowy. Czym prędzej wybieram numer przyjaciela.

– Co tam? – rzuca.

– Chodzi o twoje laboratorium. Czy ktoś tam nie pomylił próbek sierści?

– Wątpię.

– Jesteś pewien?

– Powiem tak: po pierwsze, w tym laboratorium raczej nigdy wcześniej nie badano DNA niedźwiedzia, a po drugie, gdybyśmy popełniali takie błędy, mogłoby to doprowadzić do wybuchu wojny. W czym problem?

– W niczym, w niczym. Na pewno zrobiliście wszystko poprawnie.

– Ktoś dał dupy, i to po całości. – Muszę kończyć. – Rozłączam się w pośpiechu.

W artykule wspomniano o planowanej konferencji prasowej; spoglądam na zegarek – zaczyna się za dwie godziny.

Powiedzą, że unieszkodliwili zabójcę Juniper.

To nieprawda.

DNA znalezione we włosie tkwiącym w ranie Juniper pochodzi od innego niedźwiedzia niż ten, którego zastrzelili.

To oznacza, że jej zabójca nadal przebywa na wolności.

Wszystko staje się jasne

Podaję swoje nazwisko recepcjonistce w biurze szeryfa i zostaje skierowany do sali konferencyjnej. Udaję, że jestem umówiony, na co uprzejmy zastępca szeryfa prowadzi mnie do pomieszczenia, w którym siedzą detektyw Glenn, szeryf Tyson – kobieta o szerokich barkach, którą po raz pierwszy zobaczyłem na parkingu przed motelem – i kilka innych osób.

Kiedy wchodzę do sali, Richards – tropiciel ze Służby Ochrony Przyrody – i Glenn przerywają rozmowę.

– Doktor Cray? – odzywa się Glenn. – Proszę wybaczyć obcesowość, ale czy ktoś tu pana zaprosił?

W takich sytuacjach lepiej od razu przejść do rzeczy, zamiast próbować się tłumaczyć. Z miejsca więc kieruję pytanie do Richardsa:

– Skąd pan wiedział, że to Bart był niedźwiedziem, który zabił Juniper?

Richards łypie na Glenna i Tyson, licząc na wyjaśnienie mojego najścia. Oboje wzruszają ramionami, więc tropiciel odpowiada:

– Znaleźliśmy krew ofiary na jego futrze. DNA pasowało do niedźwiedzia, którego szukaliśmy.

– Tak, ale skąd pan wiedział, że musi zastrzelić akurat *Barta*? *Skąd pan wiedział, że to właściwy niedźwiedź, zanim go pan zabił?*

– Przepraszam, doktorze Cray – wtrąca Glenn – ale co pan tu właściwie robi?

– Przyszedłem, ponieważ fragment sierści z rany Juniper nie pasuje do DNA Barta.

W pomieszczeniu zapada milczenie. Po pełnej napięcia chwili odzywa się szeryf Tyson. Ma niski głos, mówi spokojnym tonem.

– Skąd pan ma krew Juniper Parsons?

– Dała mi ją przez pomyłkę jedna z pani podwładnych – wyjaśniam rzeczowo. – Postanowiłem przebadać próbkę.

– Postanowił pan przebadać? To się nazywa kradzież dowodów.

Nie podoba mi się groźba w jej głosie.

– Później o tym porozmawiamy. W tej chwili istotne jest to, że zastrzeliliście innego niedźwiedzia niż ten, który zabił Juniper. – Zwracam się do Richardsa. – Bez obrazy.

Czerwony na twarzy tropiciel wali dłonią w stół.

– Znaleźliśmy jej krew na niedźwiedziu!

Nie chcę, żeby poczuł się urażony, ale fakty mówią same za siebie.

– Mimo to DNA znalezione w próbce krwi Juniper wskazuje na innego niedźwiedzia. Może Bart natknął się na jej ciało? – Patrzę na Glenna. – Do diabła, przecież nawet ja wpadłem w kałużę jej krwi. Cały się pobrudziłem. Sam pan widział.

Tyson posyła Glennowi spojrzenie z ukosa.

Glenn wzdycha i wyjaśnia zgromadzonym:

– Ciekawski doktor Cray postanowił odwiedzić miejsce zbrodni.

– Kto panu powiedział, gdzie ono się znajduje? – pyta Tyson, podnosząc głos.

– Sam znalazłem – zapewniam. – Wcale nie tak trudno wypatrzeć znaki przy szosie, jeśli się ich szuka.

– A po co ich pan szukał?

Wymieniam wszystkie powody naraz:

– Ponieważ została zabita jedna z moich studentek. Prawdopodobnie dlatego, że jestem beznadziejnym wykładowcą. Czułem się z tym fatalnie. Chciałem, żeby jej matka dowiedziała się, co się właściwie wydarzyło. Sam nie wiem. Po prostu tam poszedłem.

– W jaki sposób uzyskał pan DNA niedźwiedzia z krwi Juniper? – pyta siedząca po drugiej stronie stołu rudowłosa kobieta. Ma najwyżej trzydzieści kilka lat. Ładna twarz, dyskretny makijaż.

– Próbka, którą dostałem, pochodziła z jednej z ran Juniper. Był w niej fragment sierści.

– Z mieszkim? – Zwraca się do mężczyzny siedzącego po jej lewej stronie. Poznaje go, to koroner.

Mężczyzna kręci przecząco głową.

– W próbkach nie było żadnych mieszków. Sprawdziliśmy. Same trzony.

Kobieta odwraca się do mnie z protekcyjną miną.

– Wygląda na to, że pańskie laboratorium przebadalo mitochondrialny DNA. Ten, kto tam pracuje, powinien wrócić do szkoły.

Czuję, że pieką mnie policzki. Na szczęście nie tracę panowania nad sobą.

– Rozumiem, że nie docierają tu wszystkie nowości ze świata nauki. Sprawny laborant jest w stanie uzyskać DNA jądra komórkowego nawet z trzonu włosa. – Dużo pewności siebie jak na człowieka, który jeszcze rano nie miał o tym wszystkim zielonego pojęcia.

– Czy to prawda? – zwraca się do kobiety lekarz sądowy.

Rudowłosa wzrusza ramionami.

– Nie wiem. Będę musiała popytać.

Próbuję się nieco uspokoić.

– Mam dostęp do zasobów – mówię i od razu żałuję napuszonego tonu.

– Oby też do dobrego adwokata – rzuca złowieszczo szeryf Tyson.

– Chwileczkę – wtrąca Glenn. – Może wysłuchajmy doktora Craya, zanim pošlemy go za kratki. Doktor znał ofiarę. To zrozumiałe, że jest poruszony tym, co się wydarzyło.

Tyson wymownie spogląda na zegarek.

– Byle szybko.

Nikt nie prosi, żebym usiadł, więc podchodzę do białej tablicy i sięgam po mazak. Szkicuję umowną mapę okolicy i stawiam krzyżyk w miejscu znalezienia ciała Juniper.

– Stąd pochodziła próbka krwi, którą dostałem. – Kreślę kolejny krzyżyk. – Tutaj Richards namierzył Barta. To na tyle blisko, że jedno pasuje do drugiego. – Rysuję szeroki okrąg. – To zasięg wędrówek Barta według danych z bazy Ursa Major. Jak wiecie, znano go tutaj. Wygodny podejrzany. Tyle że w próbce pobranej w miejscu śmierci Juniper znajdował się włos należący do niedźwiedzia z innych, odleglejszych stron. Niewykluczone, że wkroczył na terytorium Barta. Juniper mogła się na przykład niespodziewanie znaleźć między nimi. Czy tam, gdzie zginęła, znaleziono DNA należące do Barta?

– Uznaliśmy, że sierść wystarczy – mówi lekarz sądowy.

– Sierść grizzly, tak? Ale nie DNA?

Odpowiada przeczącym ruchem głowy.

Rysuję kółko, w którym zamykam krzyżyk oznaczający miejsce znalezienia ciała Juniper.

– Zatem nie mamy żadnego dowodu, że Bart w ogóle tam był. Mamy za to dowód wskazujący na innego niedźwiedzia.

– To pan tak twierdzi – zauważa rudowłosa kobieta. – Sęk w tym, że pan jako jedyny dysponuje magiczną zdolnością uzyskiwania DNA z trzonu włosa. Też bym tak chciała.

Naraz dociera do mnie, kim ona jest.

– Doktor Kendall, prawda?

– Tak.

– Chętnie umożliwię pani samodzielne zweryfikowanie mojej teorii.
– Julian na pewno zgodzi się na dostęp do swojego laboratorium. – W tej chwili najważniejsze jest to, że jeśli powiecie na konferencji prasowej, że zastrzeliliście niedźwiedzia, który zabił Juniper, nie tylko postacie nieodpowiedzialnie, ale też miniecie się z prawdą. Grizzly zabójca wciąż jest na wolności. Co gorsza, nie wiemy nawet, dlaczego zabił tę dziewczynę.

Szeryf Tyson skupia przenikliwe spojrzenie na Richardsie.

– Czy to możliwe?

Tropiciel bierze głęboki wdech.

– Znaleźliśmy jej krew na niedźwiedziu...

– Tak – mówi szeryf – ale wiadomo, że niedźwiedzie lubią węszyć przy cudzych zdobyczach.

– To prawda. Często tak robią. – Richards pochyla głowę, przyznaje się do porażki. – Tak, to możliwe. Bardzo możliwe. Cholera. A już myślałem, że dorwaliśmy drania. Niedobrze. W dodatku wychodzi na to, że być może zabiłem niewinne zwierzę.

– Odwołujemy konferencję? – pyta Glenn.

Tyson kręci głową.

– Nie. Ustaliliśmy, w jaki sposób zginęła Juniper. Możemy ogłosić, że zamykamy tę część śledztwa. Powiemy ludziom, żeby zachowali ostrożność. – Piorunuje mnie wzrokiem. – Oby pan się nie mylił.

Pod wpływem jej intensywnego spojrzenia robię krok do tyłu – i wpadam na tablicę.

- Bardzo dokładnie to przeanalizowałem.
- Wygląda na to, że mam bałagan w bazie – komentuje Kendall, sprawdzając coś w telefonie, zapewne logi do bazy. – Znalazł pan pasujący okaz?
- Tak... Chodzi o UA.221.999. – Odczekuję chwilę i dopiero wtedy zdradzam jego przydomek: – Znanego jako Rozpruwacz.
- Jezu – bąka Glenn. – Tylko tego brakowało. Grasujący na wolności grizzly o przezwisku Rozpruwacz.
- Jest pan pewien tego wyniku? – dopytuje Kendall.
- Całkowicie – odpowiadam z przekonaniem. – Sprawdziłem kilka razy.

Kręci głową.

– Ale wygląda na to, że chyba jednak pan się pomylił.

– Jak to?

Kendall wzdycha z ulgą.

– Doktorze Cray, UA.221.999, znany jako Rozpruwacz, zdechł w zeszłym roku.

– Zdechł? – Mój mózg przetwarza konsekwencje tego faktu.

– Tak. Osobiście zbadałam jego zwłoki po tym, jak zdjęliśmy mu obrożę z GPS-em. Rozpruwacz jest na sto procent martwy. – Wskazuje tablicę. – Musiało dojść do zanieczyszczenia próbki. Może Juniper oparła się o pień, na którym znajdował się fragment sierści Rozpruwacza. Albo może Bart przez cały ten czas nosił na sobie włosy pochodzące z futra Rozpruwacza. Nie mam pojęcia. Wiem tylko tyle, że dziewczyna nie została zabita przez niedźwiedzia ducha.

Czuję na sobie spojrzenia wszystkich zgromadzonych w sali. Dociera do nich, jak niewiele brakowało, żeby dali się przekonać błaznowi.

Kendall lekko kręci głową.

– Dzięki Bogu – mamrocze Richards.

Zimno wpełza w moje członki. Mazak wypada mi z ręki i ląduje na podłodze.

– Doktorze Cray, proszę opuścić salę – nakazuje szeryf Tyson. – Chcę porozmawiać z detektywem Glennem na temat konferencji prasowej, a także ustalić, czy powinnam pana aresztować, czy raczej

wysłać do psychiatry.

Nie peszą mnie jej słowa. Uświadamiam sobie coś nowego.

Rewelacja Kendall nie jest tym, czym się wydaje.

– Nie rozumiecie? – pytam cicho.

Ignorują mnie i wracają do rozmowy o konferencji.

Żołądek podchodzi mi do gardła.

Nie rozumieją.

A przecież to takie oczywiste.

To dlatego aresztowali mnie na samym początku.

To dlatego Juniper pobiegła w złą stronę.

Wzór jest wyraźny.

– Nie rozumiecie?! – powtarzam znacznie głośniej.

Spojrzenia wszystkich kierują się na mnie.

– Halo! – krzyczy Tyson w stronę otwartych drzwi. – Bardzo proszę, niech ktoś wyprowadzi stąd tego człowieka.

Nie zwracam na nią uwagi. Uderzam dłonią w krzyżyk na mapie, oznaczający miejsce, gdzie znaleziono ciało Juniper.

– Jesteście aż tak tępi? Nie zabił jej niedźwiedź, tylko ktoś, komu zależało, żeby to wyglądało na robotę zwierzęcia!

Cisza na sali.

Doskonale wiem, jak to brzmi. Ale wiem też, że jeśli przynoszę próbkę do laboratorium i odkrywam, że została zanieczyszczona, i jednocześnie mam pewność, że do zanieczyszczenia nie doszło w laboratorium, dochodzę do wniosku, że musiało się to wydarzyć w terenie. A jedynym logicznym wytłumaczeniem faktu, iż włos z futra martwego niedźwiedzia znalazł się na ciele Juniper, jest to, że ktoś go tam umieścił.

Nie pojmuję, jak ani dlaczego, ale logika podpowiada mi wnioski. Niestety, nikt inny nie widzi tego tak wyraźnie jak ja.

W reakcji na mój wybuch do pomieszczenia wpada dwóch barczystych zastępców szeryfa. Popychają mnie na ścianę, zakuwają w kajdanki i wyprowadzają, zanim zdążę cokolwiek wytłumaczyć.

20

Wrobiony

Zamykają mnie w niewielkim pomieszczeniu z metalowymi drzwiami i wąskim oknem z szybą z hartowanego szkła. Pod ścianą naprzeciwko wejścia znajduje się ławka. To cela, ale brakuje w niej toalety. Czyli nie jest przeznaczona do dłuższego pobytu. Oby.

Betonowe ściany i sufit.

Jasna cholera, uświadamiam sobie. Wsadzili mnie za kratki.

Jezus Maria.

Opadam na ławkę. Z jednej strony mam ochotę walić pięściami w drzwi i powtarzać, że doszło do nieporozumienia. Z drugiej wiem, że wezmą to za kolejny dowód mojego obłądu.

Te ich miny, kiedy zbiry szeryf Tyson wyprowadzały mnie z sali...

Myśleli, że wpadłem w szal.

Nie mylili się. Nadal mną telepie. Jestem na nich wściekły za to, że lekceważą oczywistości.

Wpadli po mnie do motelu z jednostką SWAT, bo jakiś aspekt morderstwa Juniper pozwalał sądzić, że sprawcą jest człowiek.

Nie widziałem zdjęć z sekcji zwłok, ale wydaje mi się oczywiste, że rany odniesione wskutek ataku niedźwiedzia i te zadane przez człowieka są do siebie raczej niepodobne.

Z jakiegoś powodu w tym przypadku nie było to oczywiste.

Szukali człowieka i znaleźli go – mnie. Kiedy odkryli fragment niedźwiedziej sierści w ranie Juniper i przyjrzeni mu się dokładniej, zostałem wypuszczony.

Znalezienie krwi Juniper na futrze Barta ułatwiło im sprawę.

Otworzyć, zamknąć.

Dalej nie wnikali. Może dlatego, że moja teoria wydała im się zbyt wydumana. Ale przecież pasuje do dowodów.

Juniper została napadnięta blisko szosy, a mimo to uciekała w przeciwną stronę. Dlaczego?

Najłatwiej wytłumaczyć to tym, że morderca zasłonił jej oczy

i dopiero wtedy zaprowadził na polanę. Nie wiedziała, gdzie się znajduje, dlatego kiedy zaczęła uciekać, biegła po prostu przed siebie.

W jej ranie znalazł się włos z futra Rozpruwacza. Na tyle dobrze zachowany, że laboratorium Juliana zdołało uzyskać z niego nDNA, co graniczyło z niemożliwym. To wręcz nie do pomyślenia w przypadku włosa przez rok poddawanego działaniu czynników atmosferycznych.

Szanse na to, że sierść Rozpruwacza trafiła do rany Juniper w sposób naturalny, są niemal zerowe. Mniej bym się zdziwił, gdyby znaleziono tam włos Charlesa Mansona.

Na miejscu zbrodni nie stwierdzono nic, co świadczyłoby o obecności Barta. Jeżeli tak jak ja wytarzał się w jej krwi, to powinien pozostać po tym jakiś ślad.

Tymczasem cudownym zbiegiem okoliczności krążący wiele kilometrów dalej Bart nosi na sobie krew zabitej dziewczyny.

Gdyby niedźwiedzie były ludźmi, powiedzielibyśmy, że został wrobiony.

To z kolei implikuje istnienie wrabiającego.

Ktoś miał dostęp do krwi Juniper oraz sierści Rozpruwacza. Ktoś zwabił Barta do kałuży krwi dziewczyny.

Prowadzi mnie to do graniczącego z paranoją wniosku: każda z osób biorących udział w konferencji prasowej może być podejrzana.

Najbardziej Richards, tyle że nie zachowywał się w sposób typowy dla winnego. Jego reakcje były naturalne: chciał po prostu dorwać niedźwiedzia, który zabił Juniper. Wyglądał na zdenerwowanego tym, że być może zastrzelił niewłaściwe zwierzę.

Gdyby to on był mordercą Juniper, rozsądek nakazałby mu pójść za przykładem innych i uznać mnie za wariata. Nie zrobił tego.

Jeśli chodzi o pozostałych, to szeryf Tyson jest zimna jak lód, a detektyw Glenn stanowi dla mnie zagadkę, ale sądzę, że oboje wymyśliliby coś lepszego, gdyby chcieli zatuszować morderstwo.

To nie ma sensu. W dodatku kiepsko znam się na ludziach.

Zapewne nie zrobiło tego żadne z nich. Bo gdyby jednak... Byłoby zupełnie jak w powieści Agathy Christie.

Ech, do diabła, pewnie wmawiam sobie nie wiadomo co,

a w rzeczywistości jest tak, jak twierdzą ci ludzie.

Przecucie podpowiada mi, że jednak niekoniecznie. Mimo wszystko wyłania się pewien wzór.

Przy odrobinie szczęścia szeryf i pozostali siedzą w tej chwili w sali konferencyjnej i zastanawiają się nad tym, co powiedziałem.

Kendall sprawia wrażenie bystrej. Na pewno nie daje jej spokoju fakt, że DNA padłego niedźwiedzia wypłynęło rok później i wiele kilometrów dalej. Brak w tym sensu.

Jakie to jednak ma znaczenie, skoro siedzę pod kluczem?

Stukam pięścią o metalową ławkę, usiłując przekonać sam siebie, że to tylko sen. Niestety, nie sen, lecz rzeczywistość.

Kretyn ze mnie.

Siedzę tu, a morderca pozostaje na wolności; pewnie już dawno nie ma go w okolicy.

Udało mu się wszystkich zwieść. Ludzie w sali konferencyjnej – gliniarze i eksperci od flory i fauny – nawet nie wierzą w jego istnienie.

Jezu, co za przerażająca myśl.

Zabić kogoś, nie pozostawiając żadnych śladów, albo ukryć ciało tak, że nigdy nie zostanie odnalezione, to jedno – ale zamordować człowieka i przekonać wszystkich, że ten zginął wskutek ataku dzikiego zwierzęcia?

Genialne.

Zastanawiam się, co to oznacza, i naraz czuję, jak przechodzi mnie dreszcz. Ktoś bardzo długo planował tę zbrodnię albo dysponuje wyjątkowym talentem w dziedzinie zabijania. Być może jedno i drugie.

Obecność włosa z futra Rozpruwacza sugeruje, że morderca od początku zamierzał upozorować zabójstwo Juniper na śmierć w wyniku ataku niedźwiedzia. Nie spodziewał się jednak, że komuś uda się uzyskać DNA z sierści i odkryć, że nieokreślony grizzly to jednak konkretny osobnik.

Przypomina mi się, że Glenn wspomniał o turystach, którzy usłyszeli krzyki i poszli sprawdzić, co się dzieje. Czy zaskoczyli mordercę? Czy chciał przenieść zwłoki Juniper w inne miejsce, ale

musiał uciekać?

Najłatwiej byłoby zakopać ją tam, w tamtym miejscu, gdzie nikt by jej nie znalazł. Ja bym tak zrobił...

Może to zamierzał, ale mu przeszkadzono?

Zostawił włos Rozpruwacza i zabrał nieco krwi Juniper, żeby obciążyć Barta.

Ubrudzenie zwierzęcia krwią dziewczyny nie powinno było sprawić mu większej trudności. Niedźwiedzie są ciekawskie. Wystarczyłoby zwabić go wiadrzem świeżego mięsa.

Może. Sam nie wiem.

Kręcę głową. Od snucia domysłów dostaję migreny.

Słyszę szcęk klucza w zamku i podnoszę wzrok. Do celi wchodzi detektyw Glenn.

– Proszę mnie wysłuchać – nalegam, wstając.

Celuje we mnie teczką, którą trzyma w ręku.

– Nie, doktorze Cray. Usiądzie pan i zamilknie. – Wskazuje brodą stojącą na korytarzu i wpatrującą się we mnie szeryf Tyson. – Jeśli pan tego nie robi, pójdę za radą pani szeryf i skieruję pana na badania psychiatryczne. Jasne?

Potwierdzam skinieniem głowy i opadam na ławkę.

Glenn opiera się o framugę drzwi i otwiera teczkę.

– Poszperałem trochę. – W pierwszej chwili zakładam, że chodzi mu o sprawę, nad którą pracują, ale kiedy podnosi wzrok znad papierów w teczce, moje nadzieje się rozwiewają. – Przyjrzałem się pańskiej przeszłości. Wygląda na to, że jest pan prawdziwą kopalnią problemów.

Kurwa, zaczyna się.

Pora zastrzelić posłańca.

Diabelskie nasienie

Kiedy detektyw Glenn czyta fragmenty dokumentów z mojej teczki, szeryf Tyson bacznie mi się przygląda. Ma nieprzenikniony wyraz twarzy. Przeróżająca kobieta.

– Toczyła się przeciwko panu sprawa przed sądem dla nieletnich w Teksasie – mówi Glenn. – Została zamknięta, ale widzę tu wzmiankę, że kiedy był pan nastolatkiem, zatrzymano pana za konstruowanie ładunków wybuchowych oraz zranienie dziecka. Mógłby pan to wytłumaczyć?

Wbijam wzrok w podłogę.

– Nie bardzo.

Kiedy miałem trzynaście lat i wciąż dochodziłem do siebie po stracie ojca, zainteresowałem się chemią. Nauczyłem się budować bomby z substancji chemicznych dostępnych w domu. Chodziłem do lasu i wysadzałem różne rzeczy.

Wszystko byłoby w porządku, gdyby przyjaciel – nie, raczej zwykły kolega – nie odebrał mi materiałów i nie zechciał wypróbować ich na samochodzie zaparkowanym przed centrum handlowym.

Auto wyszło z eksperymentu niemal nienaruszone, ale ucierpiał młodszy brat tego chłopaka: kwas poparzył mu rękę. Ich rodzice dostali szału.

Pierwszą rzeczą, jaką zrobił mój kolega, było oznajmienie policjantom, że to ja go do wszystkiego namówiłem.

Usiłowałem protestować, powtarzałem, że jestem niewinny, ale niestety – znaleźli laboratorium pod moim łóżkiem.

Dzięki wyrozumiałości sędziego kara ograniczyła się do prac społecznych.

Matka, co oczywiste, ogromnie się przejęła.

To było na krótko przed jej ślubem z Davisem.

Gdyby Davis mieszkał już wtedy z nami, do niczego takiego by nie doszło. Przede wszystkim dopilnowałby, żebym trzymał sprzęt

laboratoryjny pod kluczem i nie dopuszczał do niego kolegów.

Detektyw Glenn zauważa, że zostałem zwolniony ze swojego pierwszego etatu wykładowcy.

Winę znów ponosi mój upór.

Nieznający szczegółów zdarzeń Glenn musi mnie uważać za przemądrzałego chujka.

Mógłbym spróbować wyjaśnić mu, o co dokładnie chodziło, ale widzę, że nie jest w nastroju do wysłuchiwanie opowieści.

Przywołuje mnie do porządku przed panią szeryf.

Może robi to tylko na pokaz.

Nie wiem.

Najlepiej będzie, jeśli się zamknę. Tyson rwie się, żeby mnie ukarać. Podejrzewam, że ostatecznie uda mi się uniknąć odpowiedzialności za rąbniecie próbki krwi, ale zapewne będę musiał wynająć prawnika oraz stawić się na rozprawę. Dam też sobie rękę uciąć, że pani szeryf dopilnuje, abym spędził kilka nocy w celi, zanim będę mógł stanąć przed sędzią w sprawie kaucji.

– Na konferencji prasowej – zaczyna Glenn – wyjaśniliśmy, że może chodzić o innego niedźwiedzia.

Daruję sobie uwagę, że nie miało to sensu, skoro Rozpruwacz wacha kwiatki od spodu.

– Laboratorium raz jeszcze przyjrzy się próbkom, by wykluczyć możliwość zanieczyszczenia materiału – ciągnie. – Ale to wszystko. Sprawę uważamy za zamkniętą. – Wkłada papiery z powrotem do teczki, zamyka ją i rzuca na ławkę obok mnie. – Rozumie pan swoją sytuację?

Kiwam posępnie głową. Glenn wpuszcza panią szeryf.

– Ma pan dwie godziny na wyjazd z mojego hrabstwa – oznajmia Tyson. – Jeżeli zacznie pan kłapać jadaczką, wróci pan za kratki pod zarzutem fałszowania dowodów. Nie muszę chyba dodawać, kogo pierwszego zatrzymam jako podejrzanego, jeśli będzie się pan upierał, że Juniper została zamordowana?

Glenn wyprowadza mnie z budynku i eskortuje do auta. Obaj milczymy.

Nie mamy sobie nic do powiedzenia.

To oczywiste, że detektyw mi nie wierzy. Wyszedłem z aresztu tylko dlatego, że zlitował się nade mną i przekonał Tyson, że zachowuję się tak, a nie inaczej, ponieważ nie mogę się pogodzić ze śmiercią Juniper.

Do diabła, może faktycznie patrzę na sprawę z niewłaściwej perspektywy.

W motelu pakuję się i wymeldowuję. Mówię sobie, że samochodem Juniper zajmę się w późniejszym czasie, i skręcam na autostradę międzystanową.

Niecałe trzynaście kilometrów dalej mijam granicę hrabstwa.

Czteryście metrów od niej stoi motel.

Tkwiący we mnie uparciuch – ten, przez którego straciłem pracę – każe mi włączyć kierunkowskaz i skręcić na parking.

22

Graf

Wariactwo. Rzucam klucz na komodę i zalegam na łożku. Powinienem pracować nad badaniami – w końcu po to przyjechałem w te strony; zebrałem wystarczająco dużo próbek w terenie. Najrozsądniej byłoby wrócić do Austin i zrobić ile się da przed początkiem semestru.

Brzmi racjonalnie i logicznie, prawda? A może nie?

Kiedy znaleziono zwłoki Juniper, myśliwi wyruszyli na poszukiwanie jej zabójcy. Jak nieulekli mężczyźni gotowi bronić członków swego szczepu. Nic nie szkodzi, że jej nie znali – wystarczyło, że należała do rodzaju ludzkiego.

Żadne inne zwierzę nie wyznacza tak szerokich granic jak my, jeśli chodzi o ochronę pozostałych członków grupy.

Przecucie podpowiada mi, że Juniper zginęła z ręki mężczyzny – albo kobiety, nie kierujmy się stereotypami.

Wniosek, który wynika z faktów.

Dlaczego więc nie rozumieją tego osoby będące specjalistami od takich spraw?

Co takiego wiem ja, czego nie wiedzą oni?

Ich lekarz sądowy sprawia wrażenie kompetentnego. Moja wiedza o niedźwiedziach nigdy nie będzie tak rozległa jak Richardsa i Kendall. Detektyw Glenn też nie jest w ciemny bity; badał szczegóły sprawy już po tym, jak podejrzewane zwierzę zostało zastrzelone.

Gdyby to był pierwszy odcinek serialu kryminalnego, jako podejrzanego wskazałbym Glenna. Kiepsko sobie radzę z odgadywaniem czyichś intencji, ale przy każdym naszym spotkaniu detektyw zachowywał się nieufnie w stosunku do mnie.

Nie mogę wykluczyć żadnej ewentualności. Poza jedną: nie jestem typem człowieka, który po godzinnej rozmowie potrafiłby stwierdzić, czy druga osoba jest, czy nie jest winna.

Zasób wiedzy wszystkich tych ludzi razem wziętych przekracza mój

własny. A mimo to leżę, wpatrując się w sufit, przekonany, że zabójca Juniper chodzi na dwóch nogach.

Dlaczego?

Co takiego wiem ja, czego nie wiedzą oni?

Nie chodzi o jedną konkretną rzecz. W żadnej dziedzinie moja biegłość nie sięga zbyt głęboko. W artykułach, badaniach i życiu doszukuję się związków pomiędzy odmiennymi dyscyplinami. Moją domeną są wzajemne relacje różnych zjawisk.

Śledzę cykle życiowe. Przyglądam się krążeniu genów. Konstruję modele komputerowe i szukam dla nich odpowiedników w prawdziwym życiu.

Wynajduję systemy i cykle. Nie ma znaczenia, czy chodzi o obecny w naszych organizmach azot z nawozów, czy o geny, które wyewoluowały przed miliardem lat i kodują określone białka.

Jedne układy rozrastają się lateralnie w przestrzeni. Inne rozwijają się linearnie w czasie.

Wstaję z łóżka, wyjmuję z plecaka mapy i przymocowuję je taśmą do ściany.

Nie jestem detektywem ani specjalistą w zakresie medycyny sądowej.

Jestem biologiem i programistą. To moja dziedzina.

Wbijam czerwoną pinezkę w miejscu, w którym odkryto zwłoki Juniper. Obok lokuję zieloną – zaznaczam nią, gdzie dziewczyna przebywała. Kolejną umieszczam na warsztacie i jeszcze jedną na motelu, w którym się zatrzymała.

Oto miejsca pobytu żywej Juniper. Część jej grafu. Wbijam następną pinezkę w okolicy Uniwersytetu Florydzkiego, gdzie robiła magisterkę, i kolejną – w miejscu jej zamieszkania w Karolinie Północnej. Ostatnią rezerwuję dla Austin – tam była moją studentką.

Punkty na grafie jej życia. Na komputerze mogę stworzyć wersję obrazującą, jak to się zmieniał w czasie. Na razie jednak wystarczy mi taka prosta, czytelna forma analogowa.

Historia Juniper.

Początek miała na porodówce w Raleigh, a koniec – w lesie w Montanie.

Co ją tu sprowadziło?

O życiu decydują tysiące wewnętrznych i zewnętrznych czynników.

Być może jej śmierć była dziełem przypadku – po prostu ktoś zauważył ją przy drodze i zainicjował serię zdarzeń, które doprowadziły do zgonu.

To mógł być ktoś, kogo znała od lat, jeszcze z Karoliny Północnej.

Może jakiś profiler z FBI mógłby przyjrzeć się ranom Juniper i stwierdzić, czy zadała je osoba znana ofierze, czy zupełnie obcy człowiek. Ja tego nie umiem. I nie wiem, jak miałbym przekonać specjalistę z FBI do współpracy, skoro wszyscy miejscowi eksperci sądzą, że sprawcą był niedźwiedź.

Wbijam czarną pinezkę obok dwóch widniejących w miejscu znalezienia ciała Juniper. To jej zabójca. Wiemy, że w którymś momencie ich drogi musiały się zejść.

Kolejna pinezka wędruje tam, gdzie zastrzelono Barta. Zabójca musiał kiedyś odwiedzić również to miejsce.

Ściśle biorąc, nie mam pewności, czy sprawca był tam we własnej osobie. Być może działał ze współnikiem. Grafy nie zawsze ukazują rzeczywistą lokalizację organizmów, czasami jedynie odwzorowują ich współzależności. Na razie przyjmę, że czarne pinezki tworzą graf zabójcy, obrazują zakres jego oddziaływania.

Graf zabójcy...

Siadam i oglądam swoje dzieło. Dysponuję jedynie dwoma faktami, ale zawsze to jakiś początek.

W mojej dziedzinie graf bywa równie pouczający, jak prawdziwe zwierzę albo jego DNA. Czasem nawet bardziej, ponieważ pokazuje, jak badany organizm żył, a nie tylko jakiego koloru miał skórę albo w jakiej kolejności były ułożone jego geny. A czasem mniej, ponieważ potrafi wprowadzić w błąd. Zbyt wiele niepowiązanych ze sobą faktów skutkuje daleko posuniętym nieuporządkowaniem.

Aby poradzić sobie z chaosem, wymyśliłem MAAT-a. To program, którego używam do sortowania tysięcy informacji i wyłapywania wzorów.

Oparłem MAAT-a na swoim sposobie myślenia, ale uczyniłem go znacznie bardziej zaawansowanym.

Napisałem go, wykorzystując kod źródłowy projektu badawczego stworzonego w celu poszukiwania genów odpowiedzialnych za długowieczność. Z każdą kolejną iteracją sztuczna inteligencja programu buduje coraz lepsze algorytmy. I staje się coraz bardziej złożona.

Nie potrafiłbym powiedzieć, w jaki sposób działa aktualna wersja MAAT-a, poza tym, że po prostu to robi. Czasami skutecznie.

Kiedy naukowcy odpowiedzialni za kod źródłowy będący podstawą mojego MAAT-a zapytali stworzoną przez siebie sztuczną inteligencję, co takiego zapewnia długowieczność określonej odmianie muszek owocówek, program wskazał gen aktywowany przez resweratrol, ten sam związek chemiczny, który znajduje się w czerwonym winie i zdaniem wielu odpowiada również za długowieczność ludzi. W odpowiedzi na pytanie o to, dlaczego program wyróżnił akurat ten związek chemiczny, naukowcy otrzymali szereg niezrozumiałych danych.

Biorąc pod uwagę informacje uwidocznione na mojej mapie, MAAT mógłby jedynie potwierdzić to, co oczywiste.

Program udowadnia swoją przydatność, kiedy dysponuje tysiącami albo milionami danych.

Niestety, nie mam ich aż tyle. Zabójca to po prostu dwie czarne kropki w czasie i przestrzeni. Jednakże... wobec braku twardych danych można podsunąć MAAT-owi pewne założenia.

Gdybyśmy zajmowali się cyklami godowymi, a Juniper i jej zabójca byli pumami, mógłbym wprowadzić do MAAT-a częstotliwość, z jaką samica jest w rui, a także podany w przybliżeniu zasięg terytorium samca. Na podstawie tych informacji program powinien oszacować, kiedy ponownie przetną się drogi osobników. Jeśli samiec spółkuje z wieloma samicami i one również mają własne terytoria, MAAT mógłby przewidzieć, gdzie następnie pojawi się samiec.

Jeżeli istnieją jakiegokolwiek ogólne tendencje dotyczące miejsc, w których parzą się pumy, mógłbym zawęzić liczbę potencjalnych lokalizacji na podstawie dostępnych danych geograficznych.

Na koniec MAAT powinien wypluć listę mniej więcej kilkunastu stanowisk, w których mógłbym zamontować kamerę i ze sporym

prawdopodobieństwem oczekiwać, że uda mi się przyłapać parę dużych kotów *in flagranti*, nawet na obszarze obejmującym dziesiątki kilometrów kwadratowych – a wszystko to na podstawie trzech faktów oraz ogólnych informacji nieswoistych dla konkretnego okazu.

Problem polega na tym, że nie mam więcej danych, którymi mógłbym nakarmić MAAT-a.

Nie wiem nic o zabójcy.

Kiedyś musiał się urodzić. Spotkał Juniper. Jakiś czas później – może być mowa o minutach albo latach – zabił ją. Ostatni raz pojawia się, kiedy przenosi jej krew na Barta. Potem znika z grafu.

Potrzebuję więcej informacji niż tylko te widoczne na mojej mapie.

Skąd je wziąć?

Skoro nie mam danych, muszę użyć czegoś, co je zastąpi. To zarazem najlepsze i najgorsze, co mogę zrobić.

Muszę przyjąć założenia.

Innymi słowy, będę zgadywał.

Na prawdziwym grafie czarne kropki byłyby czarno-białe. Pół na pół. Może tak, może nie.

Czasem dzięki założeniom naukowcy docierają w ciekawe rejony. Ale bywa też, że na miesiące, a nawet lata tracą z oczu to, co najważniejsze.

Nasza wojna z rakiem upływa pod znakiem nieustannego zgadywania. Pogoń za wzorem, którego wyglądu nie jesteśmy nawet w stanie próbować się domyślić, kosztowała miliardy dolarów i miliony godzin ludzkiej pracy.

Niemniej zrobiliśmy pewne postępy. Udało się rozwiązać wiele wątpliwości. Ludzie żyją dziś dłużej, ponieważ nie cały nasz wysiłek poszedł na marne. Nadal podejmujemy trud, mimo że niejedno „być może” okazało się ślepą uliczką.

Są mi potrzebne przypuszczenia i hipotezy dotyczące zabójcy.

Nie będę się przejmował, jeśli okażą się niesłuszne. Chodzi o to, żeby od czegoś zacząć.

Założmy, że...

Zabójca Juniper jest sprytny, ponieważ uniknął kary za morderstwo. To nie takie proste. Musiał mieć dużo szczęścia albo

sporo doświadczenia.

No dobrze... Postawmy na doświadczenie.

Cholera. Bywa, że jedno założenie automatycznie przydaje prawdziwości drugiemu.

Skoro sprawca był doświadczony, to znaczy, że zabijał już wcześniej...

Włączam laptopa i szukam w internecie informacji na temat ataków niedźwiedzi w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie.

Na stronie Służby Ochrony Przyrody znajduję szczegółowe raporty. Do większości ataków dochodzi w głębokich ostępach. Sprawdzam, czy zdarzył się jakiś w odległości do kilku kilometrów od autostrady.

Były takie dwa. W pierwszym, przed trzema laty, zginął samozwańczy ekspert od grizzly. Powiedziałbym, że to był rodzaj samobójstwa.

Drugi miał miejsce sześć lat temu. Na drodze leżała wykrwawiająca się kobieta. Zmarła w drodze do szpitala.

Specjaliści uznali, że zabił ją grizzly. Do raportu dołączono diagram obrażeń odniesionych przez kobietę, a także zdjęcie próbki tkanki. Jest nawet włos; nie przeprowadzono badania DNA.

Niedźwiedzia, którego schwytano, zidentyfikowano na podstawie obecności krwi ofiary na jego skórze.

Brzmi znajomo.

Czuję, jak jeżą mi się włosy na głowie. Zwierzęcy instynkt podpowiada mi, że zetknąłem się z czymś groźnym.

Wbijam czerwoną i czarną pinezkę w miejscu odnalezienia ofiary, a także czarną – tam gdzie złapano podejrzanego niedźwiedzia.

Osiemdziesiąt kilometrów dalej, w innym hrabstwie. To nieco osłabia moje podejrzenia wobec detektywa Glenna i spółki.

Scenariusz podobny do tego, w którym zginęła Juniper, wystąpił już w przeszłości.

Dwie czerwone kropki to jednak za mało, aby wyłonił się wzór. Przynajmniej na razie.

Potrzebuję więcej danych.

Ludzka pętla

Dalsze poszukiwania ataków niedźwiedzi wydają mi się pozbawione sensu. Dotyczące ich dane bazują na stwierdzeniu obecności ludzkich szczątków w zwierzęcych odchodach. Odkrycie nie wyklucza jednak scenariusza, w którym zabójca porzuca ofiarę na pastwę niedźwiedzi. Jednego od drugiego – prawdziwej napaści od skonsumowania porzuconego trupa – nie sposób odróżnić. Okazuje się, że niedźwiedzie nie należą do szczególnie wybrednych zwierząt. W doniesieniach o innych atakach nie ma nic podejrzanego, w przeciwieństwie do przypadków Juniper Parsons i tej drugiej kobiety – nazywała się Rhea Simmons.

Znajduję artykuł o Rhei. Miała dwadzieścia dwa lata, pochodziła z Alabamy, a jej rodzina nawet nie wiedziała, że dziewczyna przebywa w Montanie. Rhea podróżowała przez kraj autostopem.

Z pozostałych tekstów, do których dotarłem, wyłania się obraz dziewczyny od kilku lat mieszkającej z dala od swojej rodziny. Simmonsowie poznali los i miejsce pobytu córki, dopiero kiedy odezwała się do nich policja.

Odebrać taki telefon – koszmarnie przeżycie.

Rhea była odludkiem. Na zdjęciach wygląda na młodą hipiszkę; widywałem podobne do niej studentki w kampusie – usiłowały odnaleźć swoje miejsce w świecie. Rhea poszukiwała go podczas samotnych wypraw.

Jej sprawa wydaje mi się obiecująca, ale to wciąż za mało, by wyłonił się wzór – wspólne jest jedynie to, że obie z Juniper były niezależnymi młodymi kobietami. Nasz sprawca ma swój typ, lecz aby poprzeć wzorzec dowodami, potrzeba więcej danych o rzekomych atakach niedźwiedzi.

Rzekomych... To słowo sugeruje, że istnieje osoba, której można zarzucić popełnienie czynu.

Czy można mówić o ataku niedźwiedzia, jeżeli zwierzę zabije cię

w lesie i nikt nie odnajdzie twojego ciała?

Nie.

Wtedy jest to zaginięcie.

Turyści powiedzieli, że słyszeli krzyki Juniper. Rhea dotarła do szosy.

A gdyby nikt nie usłyszał Juniper? Czy wówczas morderca porzuciłby jej ciało?

A może zakopałby ją?

To samo tyczy się Rhei. Czy gdyby nie dowlekła się do drogi, mielibyśmy do czynienia ze zwykłym zaginięciem?

Przechodzi mnie dreszcz. Gdyby zabójca Rhei zdołał ukryć zwłoki, jej sprawa nie trafiłaby na półkę z zaginięciami. Najpewniej stałoby się to dopiero po wielu miesiącach albo latach. I prawdopodobnie nie w Montanie.

Jej rodzice nawet nie wiedzieli, gdzie Rhea przebywa, ale też nie przejmowali się losem córki.

Programy informacyjne przyzwyczyły nas do spraw, w których żona albo mąż znikają w podejrzanych okolicznościach. Albo kiedy córka wychodzi z domu, ale nie dociera do miejsca przeznaczenia.

Ich wspólną cechą są silne więzi rodzinne.

Co jednak, jeśli to dotyczy osoby samotnej? Co z ludźmi prowadzącymi nietypowy tryb życia?

Czy ktokolwiek zgłosiłby zaginięcie bezzębnej kobiety zebrzącej przed supermarketem?

Mnóstwo ludzi rozplywa się bez śladu. Przyczyną mogą być narkotyki, problemy natury psychicznej i wiele, wiele innych.

Nieraz odbierałem telefony od zatroskanych rodziców, którzy zamartwiali się, ponieważ ich pociechy od tygodni nie dawały znaku życia.

Młodym to z reguły mija. Ale nie zawsze. Bywa, że stopniowo odsuwają się od bliskich, by po pewnym czasie stracić z nimi kontakt, choć nie zawsze na stałe.

Przypomina mi się historia pewnej dwudziestotrzyletniej Kalifornijki, którą znaleziono martwą w samochodzie zaparkowanym przed Walmartem. Nie tylko nikt nie zgłosił jej zaginięcia, ale okazało

się, że dziewczyna nie żyje od trzech miesięcy. Zabiła się, a jej ciało rozłożyło się w aucie za przyciemnianymi szybami, dosłownie dwa kroki od uwijających się po parkingu ludzi.

Szukam w Google'u informacji o zaginionych osobach i natykam się na witrynę prowadzonego przez FBI Krajowego Ośrodka Informacji o Przestępstwach. Jest na niej wykaz zaginionych, to znaczy po prostu lista osób, które zniknęły w podejrzanych okolicznościach. Wynika z niej, że obecnie nieznane pozostaje miejsce pobytu osiemdziesięciu czterech tysięcy mieszkańców Stanów Zjednoczonych.

Cholera, dużo.

Owszem, wiele z tych osób ma problemy, między innymi z narkotykami, co sprzyja usuwaniu się poza nawias.

Ale osiemdziesiąt cztery tysiące? To tak, jakby zniknęło całe miasto Boulder w Kolorado.

W dodatku mowa jedynie o tych ludziach, w przypadku których ktoś sięgnął po telefon, wykręcił numer policji i poinformował, że martwi się ich nieobecnością. Kto wie, jak duża jest liczba zaginionych samotnych osób.

Ilu przepada tak, że nikt tego nie zauważa?

Załóżmy, że w kraju grasuje mnóstwo seryjnych morderców zabijających takich ludzi – nikt by się nawet nie zorientował, co się dzieje. Przechodzi mnie dreszcz. Kto wie, czy rzeczywiście tak nie jest.

Wróćmy do mordercy Juniper. Czy poza nią i Rheą ma na sumieniu inne ofiary?

Jak mógłbym się tego dowiedzieć?

Sprawdzam kilka kolejnych faktów i dokonuję odkrycia, które przyprawia mnie o gęsią skórę.

W Montanie i Wyomingu liczba osób zaginionych na sto tysięcy mieszkańców jest wyższa niż w jakimkolwiek innym stanie, z wyłączeniem Alaski, Oregonu i Arizony. Dlaczego?

Może to wynikać ze sposobu gromadzenia danych. Wystarczy jeden dodatkowy punkt w formularzu, by wypaczyć – tutaj: wyolbrzymić – wyniki.

Ale mimo wszystko...

Klikam link do strony Biura Informacji o Osobach Zaginionych w Montanie.

Pojawiają się zdjęcia dwóch uśmiechniętych młodych dziewcząt. Pod nimi znajduje się fotografia pary rdzennych Amerykanów i ich dziecka.

Na liście znajduje się sporo młodych kobiet. To samo w Wyomingu.

Udaje mi się naliczyć co najmniej tuzin dziewczyn w przedziale wiekowym Juniper i Rhei. W większości, o ile nie wszystkie, uciekły z domu, wiele zapewne przed przemocą bądź wykorzystywaniem. Mogły wyjechać z mężczyznami o złych zamiarach.

No tak, ale nie mam powodu zakładać, że zabójca ogranicza się do kobiet.

Nowym informacjom towarzyszy zwykle osobliwy dreszczyk emocji. Trudno go opisać. Tym razem jednak, kiedy patrzę na twarze zaginionych, mam poczucie winy.

Wyjmuję z torby nowe opakowanie kolorowych pinezek, wybieram pomarańczowe i zaznaczam na mapie wszystkie kobiety w wieku powyżej osiemnastu lat, które zaginęły w okolicznych stanach.

Zawężam wyniki do poszczególnych miast. To przygnębiające, jak mało uwagi poświęca się doniesieniom o zaginięciach. Dostępne dane są bardzo skąpe.

Jeszcze smutniejsze jest to, że śledztwo ogranicza się zapewne do wciągnięcia osoby do rejestru i spisania raportu, który potem będzie się kurzył w szafce.

Znaczna liczba tych kobiet nigdy nie zostanie odnaleziona, chyba że policja natknie się na dowody jednoznacznie wskazujące na popełnienie przestępstwa oraz pozwalające ustalić podejrzanego.

Po kilku minutach mapa zapełnia się pomarańczowymi pinezkami. Wbijam je niechętnie; kojarzą mi się z gwoździami do trumny.

Zwracam uwagę na pewną osobliwość, ale wolałbym nie wyciągać pochopnych wniosków.

Dane nie mieszczą się na mapie. Na szczęście mam ze sobą przenośny projektor. Podłączam sprzęt do laptopa i wykorzystując oprogramowanie do mapowania biogeograficznego, tworzę wirtualną

mapę, którą mogę rzucić na ścianę.

Lubię obraz z projektora, daje inną perspektywę niż monitor komputera.

Pojawiają się pomarańczowe kropki. Za pomocą narzędzia do cieniowania nadaję poszczególnym hrabstwom różne kolory w zależności od wielkości populacji. Dzięki temu widzę, czy liczba pomarańczowych kropek koreluje z gęstością zaludnienia.

Nie jestem w stanie stwierdzić, do jakiego stopnia dane, którymi dysponuję, są kompletne i wiarygodne, ale jeśli chodzi o wzory, to – parafrazując oświadczenie Sądu Najwyższego na temat nieprzyzwoitości – potrafię je rozpoznać, kiedy je zobaczę.

Wprowadzam wszystkie zmienne do MAAT-a i porównuję doniesienia o osobach zaginionych z danymi populacji. Udaje mi się ponadto znaleźć statystyki dotyczące odsetka zgłoszeń, w których okazało się, że ktoś uciekł z domu, po czym powrócił cały i zdrowy. To pozwala nieco ograniczyć badany zbiór.

MAAT wytycza strzępiastą ciemnofioletową granicę na mojej mapie. Linia na chwilę wychodzi poza ramkę, po czym wraca i się zakrzywia.

To graf obrazujący zaginięcia osób wykraczające poza liczbę zakładaną na podstawie wielkości populacji danego hrabstwa. Biegnie wzdłuż niektórych – ale nie wszystkich – autostrad międzystanowych.

Biolog przyzwyczajają się do różnych kształtów, jakie mogą przybierać dane przedstawione graficznie na mapie. Łososie płynące w górę rzeki oraz stada zwierząt kreślą bardzo linearne wzory. Ptaki preferują pętle.

W tej chwili patrzę jednak na zupełnie inny wzorzec.

Znam go bardzo dobrze.

To trasa drapieżnika.

Dopadam do klawiatury i z wściekłością zaczynam przebierać palcami, szukając modelu, który utrwalił się w mojej pamięci.

Jest. Kształt nieco się różni, ale ma podobną symetrię. Mógłbym stworzyć formułę fraktalu, który wygenerowałby desenie takie jak ten.

To jednak nie tylko wzorzec, lecz również stojące za nim

zachowanie.

Zachowanie, które kreśli wzór na ścianie i za którym ukrywa się morderca Juniper, wyraźnie pasuje do tego drugiego.

Jego twórcą jest sprawnie działający od milionów lat zabójca. Wykształcił złożony system polowań, który opiera się na koncepcji wiecznego ruchu i umożliwia mu powracanie do tych samych punktów raz za razem, tak że ofiara nigdy nie orientuje się w jego zamiarach.

Spoglądam to na jeden, to na drugi wzór. Z wrażenia muszę usiąść.
To wzór żarłacza białego.

Eksperyment kropli paku

Potraktowane zbyt dosłownie analogie i mapy potrafią być groźne. Mapa stanowi jedynie ilustrację pewnego zjawiska. Nawet jeśli ma postać fotograficzną, nie jest w stanie pokazać, czy teren, który przedstawia, akurat w tej chwili znajduje się pod śniegiem, czy może poranny deszcz zamienił ścieżkę w błotną koleinę nie do przebycia.

Trasa zabójcy Juniper przypomina wzorzec polowań żarłacza białego, ponieważ obu cechują podobne zachowania.

Żarłacze białe nie próbują ukrywać swych ofiar – głównie dlatego, że tuńczyki nie dysponują własną policją i nie szukają zemsty. Za to unikają zbyt częstych polowań w jednym miejscu – po to, żeby ryby nie zapamiętały go i nie skojarzyły z niebezpieczeństwem. Zgładzenie zbyt dużej liczby ofiar wysyła sygnał do systemu, że pora zmienić wzór; policja orientuje się, że coś niedobrego dzieje się w okolicy, kiedy zaczyna odnajdywać ciała porzucane przez mordercę.

Oprócz tego, że postępują ostrożnie, aby nie przesadzić z liczbą zdobyczy w jednym miejscu i nie wywołać niepokoju wśród potencjalnych ofiar, żarłacze białe używają kamuflażu – zupełnie jak nasz zabójca. Te rekiny mają jasne ubarwienie od strony brzusznej i ciemne od grzbietowej, które sprawia, że kiedy patrzymy na nie z góry, stapiają się z dnem, a gdy spoglądamy z dołu – stają się niemal niewidzialne.

Nasz zabójca – naprawdę nie wiem, jak inaczej go nazywać – prawie na pewno ma własny sposób maskowania. Raczej nie rzuca się w oczy. Ukrywając jedne zwłoki, inne zaś – te, których ukryć nie jest w stanie – pozorując na ofiary ataków zwierząt, kamufluje swoją obecność wśród potencjalnych zdobyczy, które niczym stado fok mogą nawet nie zdawać sobie sprawy, że wśród nich znajduje się morderca – dopóki nie będzie za późno.

Rekiny mają do dyspozycji również wyspecjalizowany organ zwany ampułkami Lorenziniego, który pozwala na rejestrację aktywności

elektrycznej zdobyczy szukającej schronienia oraz widzenie przez krew w wodzie podczas szału jedzenia.

Na zasadzie analogii nasz zabójca posiada zapewne własny zestaw zdolności ułatwiających mu namierzanie ofiar. Rozgląda się nie tylko za określonym typem fizycznym, ale również za szczególnym rodzajem bezbronności.

Raporty o zaginionych w Montanie i Wyomingu traktują jedynie o nieobecnych mieszkańcach tych stanów oraz przybyszach z innych miejsc, którzy zniknęli w trakcie podróżowania przez te tereny. Co roku setki tysięcy ludzi przyjeżdżają do Montany i Wyomingu na wakacje albo po to, by podjąć pracę sezonową.

Niektórzy spośród moich studentów podczas przerw w nauce zarabiają kelnerowaniem albo zatrudniają się w miejscowych kurortach.

Ilu młodych ludzi snuje się po tych okolicach samotnie, podczas gdy ich rodzice nie znają miejsca pobytu swoich dzieci ani nawet się tym nie przejmują?

Wychodzi na to, że morderca może mieć na swoim koncie znacznie więcej ofiar.

Na razie to jednak domysły.

Najlepszym sposobem na przekonanie się o wartości modelu jest wykorzystanie go do sformułowania prognozy, której poprawność będzie można sprawdzić.

Na tym etapie jedyne, co mogę zrobić, to posłużyć się MAAT-em do oszacowania liczby osób, które zaginą, oraz określenia prawdopodobieństwa, z jakim w ciągu najbliższych sześciu lat dojdzie do kolejnego ataku niedźwiedzia – ataku podobnego do tych, których ofiarami padły Juniper i Rhea.

Sześć lat to długo. Niektórzy naukowcy czekają całe życie na wybuch wulkanu, powrót komety bądź inne wyjątkowo rzadkie zdarzenie.

Przychodzi mi do głowy najbardziej szalone doświadczenie, o jakim słyszałem. Eksperyment kropli paku węglowego, bo o nim mowa, rozpoczął się w 1927 roku na Uniwersytecie w Queensland. Otóż badacze skonstruowali specjalny lejek przeznaczony do mierzenia

lepkości paku. Od początku eksperymentu spłynęło zaledwie dziewięć kropel tej substancji, co czyni ją dwieście trzydzieści miliardów razy bardziej lepka od wody. Dwa razy zdarzyło się, że problemy techniczne związane ze skierowaną na lejek kamerą internetową uniemożliwiły naukowcom zaobserwowanie tego niezwykle rzadkiego wydarzenia.

W najdłużej trwającym doświadczeniu na świecie występuje metalowa kulka wisząca na nici pomiędzy dwoma metalowymi dzwonkami. Za każdym razem, gdy dotyka któregoś z dzwonek, przejmuję ładunek elektryczny, który posyła ją w kierunku drugiego dzwonek, gdzie następuje wyładowanie.

Widziałem to na własne oczy podczas konferencji w Oksfordzie. Ruch kulki pomiędzy dzwonekami jest niemal niedostrzegalny, choć samą kulkę widać gołym okiem.

Kursuje tak nieprzerwanie od 1840 roku. Nawet bateria – suche ogniwo – jest tą samą, którą zainstalowano przed niemal dwustu laty.

Nauka wymaga cierpliwości. Niestety, nie mam sześciu lat, nie mogę czekać tak długo, aż morderca Juniper upozoruje kolejny atak niedźwiedzia.

Mógłbym pojechać do Parvel, miasta leżącego niedaleko miejsca, w którym natknięto się na ciało Rhei, ale podejrzewam, że niewiele bym tam znalazł. Zresztą i tak nie wiem, czego właściwie miałbym szukać.

Jak podejrzewam, dowiedziałbym się tylko tyle, że to, co ją spotkało, w znacznej mierze przypominało los Juniper.

Muszę uzyskać przynajmniej częściowe potwierdzenie swoich domysłów.

Domysły te – a raczej założenia – są takie, że morderca Juniper zabił wiele razy, jego napaści zaś przypominają ataki zwierząt. Zapisuję w pamięci, by później zastanowić się, co to dokładnie oznacza. Wiem tylko, że detektyw Glenn początkowo sądził, iż sprawcą zbrodni może być człowiek.

Więc co – noże?

Uważam też, że w większości przypadków nie udało się odnaleźć ciała.

Zatem... Muszę teraz jedynie namierzyć niezgłoszony atak zwierzęcia oraz nigdy nieodnalezione zwłoki.

Łatwizna...

Wracam do pinezek oznaczających zaginione osoby. Kilka z nich znajduje się na nakreślonym grubą fioletową kreską szlaku zabójcy.

Nie oznacza to, rzecz jasna, że jest on odpowiedzialny za którykolwiek z tych przypadków, ale jeśli wiemy o istnieniu dwóch obszarów godowych fok oraz miejsca pomiędzy nimi, w którym te zwierzęta często giną, możemy z dużą dozą prawdopodobieństwa założyć, że grasuje tam rekin.

Najnowszy raport o zaginięciu pochodzi sprzed prawie półtora roku. Sporządzono go w miasteczku Hudson Creek, a osobą, o której słuch zaginął, jest kobieta, Chelsea Buchorn. Na policję zgłosiła się jej przyjaciółka Amber Harrison z teorią, że Chelsea została porwana.

Harrison powiedziała, że straciła Chelsea z oczu podczas wędrówki po lesie.

Jej relacja budzi wątpliwości. Udaje mi się znaleźć w sieci tylko dwie wzmianki o tym zdarzeniu. W pierwszej autor pisze, że Amber była wzburzona i podawała sprzeczne informacje. Policja zatrzymała przyjaciółkę Chelsea, ale ponieważ nie dysponowała żadnymi dowodami wskazującymi na przestępstwo, w końcu ją wypuściła.

Czytam między wierszami i wychodzi mi, że panie wybrały się do lasu, żeby się upalić. Amber na haju nie byłaby wiarygodnym świadkiem.

Za to będąc pod wpływem, stanowiłyby razem z Chelsea doskonałe ofiary.

Od Hudson Creek dzielą mnie cztery godziny jazdy. Pakuję swoje rzeczy do explorera i zdaję klucz w recepcji.

Bóg raczy wiedzieć, co recepcjonistka pomyślała o mężczyźnie, który potrzebował pokoju w motelu na cztery godziny.

Hudson Creek

Hudson Creek zaczyna się ciągiem zaniedbanych budynków wyrastających po obu stronach autostrady, które trzymają się szosy jak pąkla butwiejącego drewnianego pomostu. Gdyby Hudson Creek było ekosystemem, powiedziałbym, że jest bliskie rozkładu.

Miasteczko jest gęsto upstrzone tabliczkami z napisem NA SPRZEDAŻ, powbijanymi na posesjach zabudowanych rozpadającymi się domami, które wyglądają, jakby od lat nie zajmował ich żaden dwunożny lokator.

Tu i ówdzie stoją aluminiowe przyczepy pokryte spłowiałą farbą. Obok suszy się pranie rozwieszane na sznurze. Ktoś tu jednak żyje, o ile można to nazwać życiem.

Podróżując, nieraz stykałem się z biedą. Nie każda tchnęła rozpaczą. Odwiedzałem slumsy, w których wieczorami brakuje prądu, ale za to rozbrzmiewa muzyka grana na żywo. Gościłem w dzielnicach nędzy, gdzie para butów jest rzadkością porównywalną z autem ze znaczkiem Tesli, ale za to ludzie noszą ubrania z samodziłału o intensywnych, żywych kolorach.

W Hudson Creek jest zupełnie inaczej. Tu nie ma nowych budynków. Nic też nie wskazuje na to, by miasto próbowało walczyć o przetrwanie.

Jedyną rzeczą, która przeczy rozpadowi, są lśniące nowe auta, które tu i tam stoją na porośniętych chwastami podjazdach.

Tym ludziom wyraźnie pomyliły się priorytety.

Chyba że coś mi umyka.

Czy inwestowałbym w otoczenie domu, gdybym wiedział, że wartość mojej nieruchomości tak czy owak nadal będzie spadała? Pewnie wolałbym przeznaczyć środki na blaszaną kapsułę ratunkową ze skórzaną tapicerką i zestawem głośnomówiącym.

Nie pojmuję, skąd ludzie biorą pieniądze na luksusowe terenówki i corvette.

Domyślam się, że zawsze w grę wchodzi jakiś interes. Dawniej Hudson Creek mogło być miasteczkiem górniczym albo ważnym przystankiem na trasie kolejowej.

A dziś? To zwyczajna przelotówka.

Fioletowy szlak wytyczony przez MAAT-a pokazuje jednak wysokie prawdopodobieństwo, że zabójca odwiedził to miejsce. I to kilka razy. Jechał autem tą samą drogą i przyglądał się tym samym rudom, którym ja się teraz przypatruję.

Czy postrzegał je jako rozkładającą się padlinę, na której będzie mógł żerować?

Miasto, w którym zatrzymała się Juniper, przypominało Hudson Creek, tylko na mniejszą skalę. Na budynku jej motelu wisiał przepalony neon, a na jednej ze ścian widniała goła sklejka. Warsztat Brysona był złomowiskiem, które funkcjonowało wyłącznie dlatego, że jedna osoba potrafiła wymieniać opony i olej.

Wyprzedza mnie ciężarówka; najwyraźniej kierowca miał dość mojej powolnej jazdy i rozglądania się. Wciskam pedał gazu i zmierzam do miejsca, które GPS wskazuje jako centrum Hudson Creek.

Po drodze mijam jedyny nowy budynek w okolicy – cóż za odmiana po kilku kilometrach nędznych bud. To wielka stacja benzynowa połączona z punktem obsługi ciężarówek. Obok widać restaurację, a przed nią parking pełen samochodów.

Ratusz znajduje się jakieś półtora kilometra stąd, ale wyraźnie widać, że to tu, w tej knajpie, bije serce Hudson Creek.

Kiedy szukam gdzieś informacji jako biolog, od razu wiem, do kogo się zwrócić. Mogę zadzwonić albo do miejscowego oddziału Służby Ochrony Przyrody, albo do lokalnej filii Związku Właścicieli Gospodarstw Rolnych.

W obcym stanie kieruję swoje kroki na wydział biologii największej uczelni, a następnie krążę po sieci wzajemnych powiązań, dopóki nie znajdę kogoś, kto dysponuje potrzebną mi wiedzą, na przykład na temat tego czy innego gatunku szczura nadrzewnego albo określonego rodzaju kwitnących kwiatów.

Gdybym był policjantem, zajechałbym na najbliższy posterunek

i poprosił o rozmowę ze śledczym.

Nie ciągnie mnie jednak na komisariat, ponieważ z ostatniego, który odwiedziłem, bezpardonowo mnie wyrzucono.

Istnieje jeszcze jedno źródło, z którego korzystam, kiedy przebywam poza ojczystym stanem albo gdy miejscowi okazują nieufność obcym.

Jeszcze nigdy mnie nie zawiodło. Nie potrzebuję GPS-u, żeby je znaleźć. Wystarczy się rozejrzeć. Namierzę je nawet w tej smutnej dziurze, którą jest Hudson Creek.

I rzeczywiście. Niewielki kościół, przed nim krzyż. Na parkingu stary ford focus.

W każdym kraju, stanie i mieście, które odwiedzam, nieważne jak bardzo odległym od cywilizacji, zawsze udaje mi się znaleźć księdza, siostrę zakonną albo imama, gotowych pospieszyć mi z pomocą.

Postanawiam, że zacznę w tym miejscu, i skręcam na parking.

Kościół składa się z trzech budynków połączonych zadaszonym chodnikiem. Pukam do drzwi prowadzących, jak mi się zdaje, do biura, ale nikt nie otwiera. Pozostałe wejścia też są zamknięte.

Dobiega mnie buczenie kosiarki zza budynku. Skręcam za róg i widzę siedzącego na traktorku mężczyznę w T-shircie, który kosi trawnik ciągnący się aż do nieodległego lasu.

Macham do niego. Ma rzędzące siwe włosy, wygląda na około sześćdziesiąt lat. Wyłącza silnik, schodzi z maszyny i rusza w moją stronę, a ja zaczynam iść w jego kierunku.

– Czym mogę służyć? – pyta, kiedy jesteśmy już tak blisko, że nie musimy do siebie krzyczeć.

– Szukam... – szybko zerkam na tabliczkę przy drodze, żeby sprawdzić, z jakim wyznaniem mam do czynienia; kościół jest baptystyczny – ...pastora.

– Znalazł go pan. – Wyciera brudną dłoń o dżinsy i wyciąga ją do mnie. – Frank. Miło mi.

– Nazywam się Theo Cray. Jestem profesorem z Teksasu.

– Profesorem? Teologii?

– Nie, bioinformatyki. – Słabo sobie radzę w tego typu niezobowiązujących rozmowach, bo nigdy nie wiem, jak przejść do

sedna.

– To coś jak robotyka?

– Nie, pastorze. Jestem biologiem, który wpatruje się w ekran komputera i od czasu do czasu wychodzi do prawdziwego świata.

– Cóż więc pana sprowadza?

– To trochę skomplikowane.

Spogląda na zegarek.

– Przyda mi się przerwa na herbatę. Chętnie wysłucham, co jest „trochę skomplikowane”, i poczęstuję pana napojem. Zapraszam. – Prowadzi mnie do biura. – O co chodzi? Tak w dwóch słowach – rzuca przez ramię.

– Chciałbym się czegoś dowiedzieć o dziewczynie, która tu mieszkała.

– Jakiej dziewczynie?

– Chelsea Buchorn.

Pastor zatrzymuje się i odwraca do mnie. Uśmiech zniknął z jego twarzy.

– Czego konkretnie chciałby się pan dowiedzieć o Chelsea?

Patrzę na niego zaskoczony. Rozpatrując postawę pastora w kategoriach biologicznych, nazwałbym ją nieoczekiwanie defensywną, o ile nie jawnie wrogą.

Kosiarz trawy

Nie wiem, co zrobić. Jedyne, co dla niego mam, to prawda.

- Straciłem kogoś w podobnych okolicznościach.
- Stracił pan kogoś? – Pastor nieco łagodnieje.
- Tak. Moją studentkę. Staram się ustalić, co łączyło...
- Co ją łączyło z Chelsea? Znały się?

Nie pomyślałem, żeby zadać sobie to pytanie. Wątpliwe, ale warto się temu przyjrzeć.

- Nie wiem.
- Więc dlaczego pan mnie pyta?
- Nikogo tu nie znam. Zobaczyłem kościół i uznałem, że kto jak kto, ale pastor na pewno zna tutejszych mieszkańców.

Rozluźnia się.

– Ach tak. Rozumiem. Zapraszam, napijemy się mrożonej herbaty i porozmawiamy. Chelsea nie należała do naszego Kościoła. Niewiele o niej wiem.

Prowadzi mnie do biura. Zajmuję krzesło przy biurku, a w tym czasie pastor nalewa mrożoną herbatę z dzbanka, który trzyma w małej lodówce.

Pomieszczenie jest ciasne i wypełnione książkami. Okno wychodzi na szosę. Na ścianie wiszą zdjęcia dzieci w różnym wieku – zakładam, że to potomstwo pastora – i liczne dyplomy. Na biurku leży laptop i kilka notatników.

Frank robi miejsce, stawia przede mną szklanę z herbatą i siada za biurkiem.

Podnosi szklanę do ust, bierze spory łyk, po czym przykłada ją do skroni.

– Dawniej mieliśmy kogoś, kto robił to za nas. Chodzi mi o koszenie trawy. W ogóle dawniej ludzie robili tu dużo rzeczy.

- Wydawało mi się, że zawsze znajdzie się chętny do takiej pracy. Uśmiecha się pod nosem.

– Nie te czasy. – Wzrusza ramionami. – Kogo konkretnie pan stracił?

– Nazywała się Juniper Parsons.

– To ta dziewczyna, którą zabił niedźwiedź?

– Zgadza się. – Mam wielką ochotę powiedzieć bez owijania w bawełnę, jakie mam domysły, ale uznaję, że powinienem ostrożnie dobierać słowa. – Tak uważa policja. Ale słyszałem, że pewne okoliczności jej śmierci budziły wątpliwości.

– Wątpliwości? To znaczy?

– Zanim śledczy doszli do wniosku, że zabójcą jest niedźwiedź, przesłuchali dwóch podejrzanych mężczyzn. – Nie dodaję, że jeden z nich siedzi właśnie naprzeciwko pastora. – Słyszałem też, że nie wszyscy zgadzają się co do dowodów zawierających DNA. – To prawda, o ile wśród tych „wszystkich” uwzględni się też mnie.

– Ciekawe. Ale co to ma wspólnego z Chelsea?

– Nie jestem pewien. Zniknęła w podobnych okolicznościach.

Frank kręci przecząco głową.

– Nie zniknęła. Wyjechała. Jej przyjaciółki... jak jej było? Amber... nie nazwałbym przesadnie wiarygodną. Obie już wcześniej uciekały z domu, i to kilka razy. Zadawały się z nieodpowiednimi chłopcami. A raczej: lgnęły do nich. W każdym razie tutaj nikt nie traktuje tego poważnie. Chelsea odeszła i tyle. Zdarza się.

– Sprawa jest jednak na tyle poważna, że Chelsea trafiła na listę osób zaginionych.

– Umieścili ją tam z powodu nieskładnych zeznań Amber. Nawet matka Chelsea w to nie wierzy.

– Czyli uważa pastor, że nic jej się nie stało?

– Nie. W każdym razie nie tutaj. Sama szukała kłopotów. Uwielbiała zmyślać. Zapewne jest zachwycona tym, że niektórzy uważają ją za ofiarę.

– Pastor jednak tak nie uważa?

– Niczego nie można być pewnym. Ale wie pan, zanim rzekomo zaginęła, usunęła wszystkie swoje rzeczy z mieszkania. To trochę dziwne, prawda?

– Nie wiedziałem o tym. – Oczywiście, jeśli Chelsea została

zamordowana, jej zabójca mógł włamać się do mieszkania i zabrać jej rzeczy. Nie zdziwiłbym się, chodzi przecież o kogoś na tyle dalekowzrocznego, że zabrał ze sobą włos grizzly na miejsce zbrodni.

Frank chyba coś ukrywa, ale zarazem wydaje się autentycznie przekonany, że Chelsea po prostu zmyła się z miasta.

Jak na duchownego, ma wyjątkowo mało szacunku dla Amber i jej koleżanki. Może w jego mniemaniu są po prostu kolejnymi straconymi duszami w mieście, w którym pastor sam musi kosić trawnik za kościołem?

– Zna pastor inne osoby mniej więcej w jej wieku, które wyjechały?

– Owszem, kilka. Ale to normalne. Tu nie ma żadnych rozrywek dla młodych. Moje dzieci mieszkają w Kolorado i Vermoncie, a nie nazwałbym ich zaginionymi. Nawet jeśli nie dzwonią zbyt często.

– Co na to żona pastora? Syndrom pustego gniazda?

Oblicze Franka tężeje.

– Mieszka w Kolorado. Pomaga najstarszej córce przy dzieciach.

Spędziłem wystarczająco dużo czasu z rozbitymi rodzinami, by rozpoznać szyfr oznaczający separację małżonków. Nawet w dzisiejszych czasach dla baptystycznego pastora musi to być powód do wstydu. Znaczna część pracy duchownego polega bowiem na udzielaniu porad osobom będącym w związkach. Zatem jego rozstanie z żoną może dyskredytować go w oczach wiernych. Nawet jeśli nie każdemu jest pisane pozostać razem aż do śmierci.

– Był pan blisko z Juniper? Byliście małżeństwem? – pyta pastor.

Zaskakuje mnie.

– Ja i Juniper? Nie. Była moją studentką. Jestem kawalerem, skoro o tym mowa.

– Proszę wybaczyć. Wie pan, słyszy się różne historie o wykładowcach...

To prawda.

– Nie widziałem jej od kilku lat. Robi... robiła doktorat i pewnie uczyła studentów na studiach licencjackich. Chyba nie byłoby w tym nic niestosownego, gdybyśmy teraz... Ale nie.

Dziwna myśl. We wspomnieniach widzę dwudziestoletnią dziewczynę, która z zakłopotaniem siada obok mnie w pizzerii. Na

współczesnych zdjęciach wyglądała na nieco więcej lat, ale nie powiedziałbym, że się „zestarzała”. Miała przecież dopiero dwadzieścia pięć lat. Trochę zbyt młoda jak dla mnie, ale na uczelni nikt nie powiedziałby słowa, gdybym zaczął się z nią spotykać po tym, jak przestała być moją studentką i sama zaczęła uczyć.

Odsuwam od siebie tę myśl. Przyjechałem tutaj, ponieważ żywię do niej ojcowskie uczucia, a nie dlatego, że w tajemnicy się w niej podkochiwałem.

– Czy pastor wie, jak mógłbym się skontaktować z Amber?

– Z Amber? Po co?

– Chciałbym poznać jej wersję zdarzeń.

Z gardła Franka dobywa się krótkie stęknienie.

– To trudna dziewczyna. Wciąż pakuje się w tarapaty. Kilka razy ją aresztowano. Nie jest wiarygodna. Nazwałbym ją raczej nieuczciwą.

Łatwo potępia ludzi jak na człowieka, którego rola polega na wsparciu w odnajdywaniu przebaczenia.

– Nie szkodzi. Dowiem się choć części prawdy.

– Jak pan chce. – Przebiega palcami po klawiaturze komputera i po chwili wręcza mi kartkę z zapisanym numerem. – Kiedyś byłem trenerem dziewczęcej licealnej drużyny piłki nożnej – wyjaśnia. – Proszę bardzo.

– Dziękuję. – Kiedy wstaję, przychodzi mi do głowy sposób, w jaki mogę mu się odwdziżyć. – W pańskim schowku na kosiarkę zauważyłem kilka worków nawozu.

– A, tak. Używam go, bo dzięki niemu trawa jest ładna i zielona.

– O dziwo. Większość okolicznych pól ma brązowy kolor. Proszę nie przesadzać z tym nawozem, pastarze, bo to środek przemysłowy. Wystarczy mniej więcej jedna trzecia dotychczasowej ilości. Trawa będzie wyglądała równie dobrze, a pastor nie będzie musiał jej tak często kosić.

Frank z uśmiechem otwiera mi drzwi.

– To wiele wyjaśnia. Ktoś sprezentował mi ten nawóz i zapomniał wyjaśnić, jak go używać.

Pastor wraca do kosiarki, a ja – do swojego explorera.

Siedząc w samochodzie, wybieram numer telefonu Amber. Zgłasza

się poczta głosowa.

– E... Witam, mówi Theo Cray. Chciałbym z panią o czymś porozmawiać... – Podaję swój numer i rozłączam się, bo nie wiem, co jeszcze mógłbym dodać. Czuję się skrepowany, nawet jeśli muszę zostawić banalną, niewinną wiadomość, a co dopiero kiedy chcę porozmawiać o rzekomym morderstwie.

Dwie minuty później dostaję SMS-a z innego numeru.

to pisze ja ambyr. spot @ kingsdiner za 2g. 100LOD300FUL

Cyfry i litery na końcu wiadomości nie wyglądają na adres, nie potrafię rozszyfrować ich sensu. King's Diner natomiast to nazwa restauracji przy stacji benzynowej, którą mijałem po drodze.

Liczę, że Amber zdradzi mi, co oznacza kod, i powie, co się tak naprawdę przytrafiło Chelsea.

Rozchwiana młodzież

Amber – czy też „ambyr”, jak się nazwała w wiadomości – spóźnia się pół godziny. Kelnerka dolewa mi kawę. Dziobię widelcem porcję placka z wiśniami.

– Podać coś innego? – pyta kobieta. Widzi, że nie zjadłem nawet kawałka.

– Nie trzeba, dziękuję.

Obdarza mnie uprzejmym uśmiechem i przechodzi do kolejnego stolika. Jest chyba pod trzydziestkę. Włosy koloru brudny blond, do ramion; wysportowana sylwetka, prowincjonalna uroda.

Podoba mi się to, jak prowadzi niezobowiązującą rozmowę z klientami przy sąsiednim stoliku i jak sprawnie się porusza po zatłoczonej knajpie. Zapewne nie pogardziłaby co najmniej dwiema osobami do pomocy, ale jakoś sama daje sobie radę: przyjmuje zamówienia, pilnuje wydawania posiłków, roznosi jedzenie.

Restauracja jest bardzo zadbana. Na ścianie przy kasie wiszą oprawione fotografie mężczyzn w mundurach i wojskowe naszywki.

Przypuszczam, że w takim mieście jak Hudson Creek dla niektórych nie ma lepszej perspektywy niż zaciągnięcie się do wojska.

Wszystko w Hudson Creek, co nie jest stacją benzynową albo restauracją King's Diner, jest brudne, poplamione i zapuszczone. Po drugiej stronie ulicy znajduje się motel, który wygląda jak przybytek stworzony dla zombie. Obok mieści się sklep spożywczy oklejony reklamami mocnych piw. Dwóch dwudziestokilkuletnich mężczyzn opiera się o maskę zaparkowanego przed sklepem pikapa i zajada się hot dogami i burrito z mikrofalówki. Patrząc na ich wóz, powiedziałbym, że to typowe wsiaki, ale jeden z nich ma na głowie hipsterską czapkę z dzianiny, a drugi jest ubrany w koszulkę z logo firmy Háló.

Zastanawiam się, czy nie odpisać na wiadomość od Amber. Nagle dzwoni mój telefon.

– Gdzie jesteście? – Głos młodej kobiety.
– W King’s Diner.
– Chyba nie w środku, matole?
– No tak. Napisałaś, że...
– Nie o to mi chodziło. Obserwują knajpę. Czekałam na tyłach przy starej myjni.

– Rozu... – zaczynam, ale zdążyła się rozłączyć.

W pośpiechu rzucam pieniądze na stół i wychodzę.

Jak to: obserwują? Kto taki? Co za oni?

Udziela mi się paranoja. Zatrzymuję się na chodniku i rozglądam dokoła. Pomiedzy restauracją a stacją zaparkowało sześć ciężarówek. Za budynkiem knajpy znajduje się niewielki otwarty plac, który zajmują rdzewiejące kontenery.

Myjnia – dla ciężarówek, jak się okazuje – to porośnięta pnączami kruszejąca betonowa konstrukcja. Wygląda jak starożytna świątynia.

Z pęknięć w asfalcie wyrastają wysokie chwasty. Za kilka dekad nie sposób będzie poznać, że w tym miejscu znajdowało się coś stworzonego rękami człowieka.

Zaglądam za budynek. Widzę dziewczynę palącą papierosa i piszącą SMS-a.

Jest ubrana w bluzę z kapturem i dresy. Włosy zebrała w kucyk. Pod grubą kredką do oczu kryje się atrakcyjna młoda kobieta, która wygląda, jakby miała grypę.

– Nie gryzę – mówi na mój widok.

Rozglądam się, szukam wzrokiem tych „onych”, przed którymi ostrzegała.

Zauważa mój niepokój.

– Tutaj nigdy nie przychodzą.

– Ty jesteś Amber? – pytam, podchodząc bliżej. Zauważam grubą warstwę makijażu na jej twarzy. Stosuje go zapewne po to, żeby zamaskować trądzik.

– Mam nadzieję. – Posyła mi uśmiech. – Ile przyniosłeś?

– Czego?

– Forsy.

Może się ukrywa i potrzebuje pomocy? Wyjmuję portfel i zaczynam

przeliczać banknoty.

– Ile?

Zerka na pieniądze i podchodzi bliżej.

– No, wreszcie jakiś konkret. – Ma porażająco miętowy oddech. Tak jakby dosłownie przed momentem wypłukała usta płynem.

Nagle łapie mnie za krocze.

Patrzę na nią zaskoczony.

– E... Chcę tylko porozmawiać.

Nachyla się i szepcze mi do ucha:

– Wszyscy tak mówią.

Po pełnej zakłopotania chwili pokonuję początkowe zdumienie i uwalniam się od jej dotyku.

Zerka ponad moim ramieniem.

Naraz zza rogu wypada z piskiem opon pikap, który stał przed sklepem. Mężczyźni w kabinie gromią mnie wzrokiem.

– O kurwa! – rzuca Amber i daje nogę.

Kierowca i jego kumpel wyskakują z auta.

– Co tu odpierdalasz z moją siostrą?!

– Chciałem tylko porozmawiać! – usiłuję wyjaśnić, podnosząc ręce.

Mężczyzna trzyma w dłoni metalowy kij baseballowy.

Rusza prosto na mnie i uderza kijem w brzuch. Padam na kolana.

Jego towarzysz sprzedaje mi kopniaka w żebra. Przewracam się na bok.

– Zaszła po... – zaczynam, ale urywam, bo muszę się bronić przed gradem ciosów.

Brat Amber – ten w dzianinowej czapce – wali mnie pięścią w szczękę. Moja twarz ląduje w kępcie bujnego wilczomleczu. Tracę przytomność, uparcie zastanawiając się, czy bylina wyrosła w pęknięciu w nawierzchni, czy może cykl wzrostu i spadku temperatur pozwolił jej przebić się przez asfalt i zakwitnąć.

Placek wiśniowy

Dochodzę do siebie. Nie wiem, ile czasu minęło. Udaje mi się dźwignąć z ziemi i oprzeć o ścianę budynku. Cholernie boli mnie w boku. Spluwam krwią. Czerwona ślina ląduje na bucie.

Moje poturbowane żebra przeżywają katusze, kiedy pochylam się, żeby podnieść pusty portfel. Chowam go do kieszeni i zdrową dłonią sprawdzam stan kości. W wielu miejscach mięśnie są obolałe, ale nie czuję przeszywającego bólu ani nie słyszę podejrzanych przytknięć mogących świadczyć o złamanej kości. Może to potwierdzić jedynie prześwietlenie, ale mam wrażenie, że wyszedłem ze starcia bez większych obrażeń.

Brzuch natomiast wyje z bólu. Podnoszę koszulę i widzę siniaka wielkości piłki do futbolu. Przypomina mi się zamach, który wziął brat Amber, kiedy uderzał mnie kijem.

Kuśtykam w stronę mojego auta zaparkowanego przed restauracją, ale przewracam się jakieś sześć metrów od niego. Słyszę czyjeś kroki. Leżę na plecach i wpatruję się w błękitne niebo.

Pochyla się nade mną kelnerka z knajpy i mamrocze: „Matoł”. Tak samo nazwała mnie Amber. To chyba tutejsze ulubione określenie. Kelnerka wygląda ładnie, nie szkodzi, że zmywa mi głowę.

- Nazwała mnie pani matołem? – pytam pomimo bólu.
- Mam wezwać gliny?
- Nie – odpowiadam i siadam. Robi mi się ciemno przed oczami.
- Czyli tak. Matoł z pana. A po karetkę zadzwonić?
- Też nie. Chyba. – Spoglądam na knajpę. – Mogę usiąść w środku? Posyła mi zagniewane spojrzenie.
- Powinien się pan stąd zabierać.
- Niech mi pani da kilka minut, a z chęcią wyjadę z tej pieprzonej dziury. – Drugi raz dzisiaj słyszę, że mam się wynosić z miasta.

Kelnerka przygląda mi się, jak wstaję – nie pomaga, ale widzę, że pilnuje, żebym znów się nie przewrócił i nie rozbił głowy na jej

parkingu.

– Spokojnie – cedzę przez zaciśnięte zęby. – Nie pozwę pani, jeśli się wyłożę.

– Nie szkodzi. I tak nie mam forsy – odwarkuje.

Chwytnąc się balustrad i oparć siedzeń, docieram do boks, w którym wcześniej siedziałem. Zupełnie bez sensu, bo akurat ten boks znajduje się najdalej od drzwi.

Kelnerka postanawia mnie ignorować. Papierowymi serwetkami wycieram krew z ust, po czym przygotowuję prowizoryczny środek odkażający z wody i zwykłej soli.

W aucie mam apteczkę, ale równie dobrze mogłaby się znajdować w innym stanie.

Robię bilans obrażeń. Mnóstwo stłuczeń, ale żadne nie jest poważne; mogło być znacznie gorzej. Z pomocą paracetamolu i snu, oraz może piwka albo dwóch w celach leczniczych, powinienem za dwa dni stanąć na nogi. Przeżyję, choć przez pewien czas będę straszyl wyglądem.

Kelnerka zatrzymuje się przy moim stoliku.

– Może już pan chodzić? To chyba się pożegnamy.

– Tak. Przepraszam. – Zbieram zakrwawione serwetki. – Jeszcze tylko jedno pytanie... – dopiero teraz zauważam jej plaketkę z imieniem – ...Jillian. Co się właściwie stało?

– Jest pan aż tak tępy?

– Najwidoczniej.

Przewraca oczami.

– Wykiwali pana. Wykolegowali. Niech zgadnę: portfel pusty?

– Tak. Widać po pani nastawieniu, że to się często zdarza. Dlaczego policja nie reaguje?

– Sam pan nie chciał ich wzywać, tak? Żaden tego nie robi.

– Żaden... kto? Nie rozumiem.

– Żaden z frajerów.

– „Frajerów”? – Przypomina mi się, co powiedziała Amber podczas naszej krótkiej rozmowy, zanim dostałem łomot. – Chwileczkę... Ona myślała, że chcę u niej kupić... usługi seksualne?

– Nieźle pan gra naiwnego. – Jillian kręci głową i zaczyna

odchodzić.

– Proszę – odzywam się. – Niech mi pani poświęci jeszcze chwilę.

Odwraca się.

– O co chodzi? – rzuca coraz bardziej zniecierpliwiona.

– Nie wiedziałem. Chciałem z nią tylko porozmawiać o Chelsea Buchorn.

Jillian wraca do mojego boksu.

– O kim?

– O Chelsea. O jej zniknięciu. Po to tu przyjechałem. Chciałem ją tylko zapytać, co widziała.

– A co to pana obchodzi?

– Straciłem przyjaciółkę. Miała na imię Juniper. Powiedzieli, że zabił ją niedźwiedź. Sam już nie wiem. – Wbijam spojrzenie w stolik i łapię się za głowę. Czuję, że jestem na skraju załamania. – Chcę się po prostu dowiedzieć, co się wydarzyło. – Na biały plastikowy blat skapuje moja krew. Wycieram ją rękawem.

Jillian siada naprzeciwko mnie.

– Naprawdę nie próbował jej pan przelecieć?

– Mój Boże, oczywiście, że nie. Myślałem, że coś wie. Mówiła, że obserwują ją jacyś „oni”...

– Chodziło jej o policję.

– Aha. Świetnie. – Sięgam do kieszeni po telefon. Ekran jest pęknięty, ale aparat jeszcze działa. Trzęsącymi się palcami wybieram wiadomość od Amber. – Co oznacza „100LOD300FUL”?

Jillian zerka na wyświetlacz. Rozszyfrowanie kodu zajmuje jej raptem kilka sekund.

– Naprawdę mam powiedzieć?

– Poproszę. Nic nie rozumiem.

– Niech pan sobie wyobrazi, że sto i trzysta to ceny. Do „LOD” proszę sobie dodać „ZIK”.

Wbijam spojrzenie w telefon.

– LOD... ZIK. O cholera. – Komuś, kto tak jak ja dużo pracuje z liczbami, kod od razu powinien być się wydać oczywisty. – A „FUL” to „full serwis”, prawda? – Podnoszę wzrok na kelnerkę. Czuję, że pieką mnie policzki. – Ale ze mnie kretyn.

– Cóż... nie każdy może być fizykiem jądrowym.
– Prawdę mówiąc, dostałem się na CalTech, ale zrezygnowałem na rzecz biologii na MIT.

Jej usta układają się w krzywy uśmiech.

– Jest pan naukowcem?

– Owszem, kiedy nie służę za worek treningowy dla braci prostytutek.

Jillian klepie mnie po dłoni – tej, która nie jest spuchnięta.

– Naprawdę zachowuje się pan jak dziecko we mgle. To nie był jej brat, tylko chłopak łamane przez alfons. Cała akcja była ustawiona. Gdyby był pan stąd, zaproponowałaby spotkanie w motelu albo w pana samochodzie. Nic z tego nie wydało się panu podejrzane?

Jasny gwint, jestem jeszcze większym idiotą, niż sądziłem. Amber wzięła mnie na celownik w momencie, gdy zostawiłem bezładną wiadomość na jej poczcie głosowej.

– Skoro wszyscy o tym wiedzą, to dlaczego policja nic nie robi?

– No bo nie jest pan stąd. W Hudson Creek mamy większe problemy. Przyjrzał się pan jej twarzy?

– Tak, oczywiście.

– Chodzi mi o to, czy zwrócił pan uwagę na makijaż.

– No... tak. Uznałem, że chce zamaskować trądzik.

– My to nazywamy gębą po mecie.

Amber wypłukała usta, żebym nie poczuł smrodu gnijących zębów. Chciała się sprzedać, musiała się więc dobrze zaprezentować.

Cholera, teraz to do mnie dociera. Przecież o tym czytałem. Oglądałem w telewizji. Rudery i nowe auta – zupełnie jak w południowo-wschodnich dzielnicach Los Angeles w latach osiemdziesiątych, kiedy rządził crack. Tutaj królową jest metamfetamina.

– Jest aż tak źle?

– W zeszłym miesiącu policja stanowa aresztowała dwóch miejscowych gliniarzy za handel. Ale jest znacznie gorzej.

Wskazuję brodą ścianę ze zdjęciami żołnierzy.

– Wydawać by się mogło, że ma tu kto pilnować porządku.

Jillian przesuwa wzrokiem po twarzach mężczyzn.

– To ci, którzy nie wrócili. Hudson wyróżnia się nie tylko metą. Stąd pochodzi więcej żołnierzy sił specjalnych w stosunku do ogólnej liczby mieszkańców niż z jakiegokolwiek innego miasta w Stanach. Ale przez to też straciliśmy więcej mężczyzn niż inni.

Czyli tak wygląda miasto pozbawione najlepszych, najdzielniejszych mieszkańców. Pozostaje po nich rakowata plaga, która zamienia młodych ludzi w brutalnych socjopatów.

Tworzy się doskonałe środowisko dla mordercy; może czerpać do woli.

– Wie pani coś o Chelsea?

– Nie – odpowiada Jillian. – Byłam w Fort Bragg, kiedy zaginęła.

– Służyła pani w wojsku?

– W rezerwie. Tak jak mój mąż.

– A potem?

– Odeszłam. – Wzdycha. – A on nie wrócił. Ten lokal należał do jego rodziców.

Nie wiem, jak na to zareagować. Ból, który czuję, wydaje się przy tym pozbawiony znaczenia.

Jillian wstaje od stolika.

– Muszę obsłużyć klientów. Może pan jeszcze zostać.

– Dziękuję. Czy zna pani kogoś, z kim mógłbym porozmawiać o Chelsea?

Kręci głową.

– Jedyne osobę, o której wiem, że dobrze ją znała, właśnie zafundowała panu lanie, żeby zdobyć forszę na metę.

– Rozkosznie.

Otwarte rany

W luźniejszych chwilach Jillian sprzedaje mi garść miejscowych plotek i podsuwa nazwę motelu, w którym najrzadziej zdarzają się naloty ludzi z biura szeryfa.

Przybytek Creekside Inn jest jak relikwiarz z czasów, w których kolorowy telewizor był taką atrakcją, jaką obecnie jest wi-fi. Kiedy wchodzę do recepcji, kierownik motelu, starszy pan z kozią bródką, przegląda stosik magazynów o wędkarstwie muchowym.

Wystarczy mu jeden rzut oka na moją twarz, by dojść do wniosku, że nie chce wiedzieć, skąd te siniaki.

Odbieram klucz i kuśtykam do pokoju. Przeniesienie bagażu wymaga trzech wypraw do samochodu. Zbędny trud, zważywszy, że nie mam zamiaru zostać tu dłużej niż dzień albo dwa, akurat tyle, by w miarę dojść do siebie przed powrotem do Austin.

Wiję sobie gniazdko na łóżku, obkładam się poduchami, żeby było mi wygodniej siedzieć. W chwili roztargnienia kładę laptopa na brzuchu – i przeszywa mnie ostry ból.

Siniak ma śliczną żółtą obwódkę. Piękny. Ślad jest tak wyraźny, że niemal jestem w stanie rozpoznać markę buta, który miał na nodze koleżka Amber, kiedy mnie kopał.

Hudson Creek okazało się dla mnie bolesną ślepą uliczką. Jedyna osoba, z którą chciałem porozmawiać, o mało nie posłała mnie do szpitala.

Już chyba tylko z chęci udowodnienia samemu sobie, że nie brak mi wytrwałości, postanawiam pogrzebać w internecie i sprawdzić, czy Chelsea miała może jakichś mniej agresywnych znajomych, z którymi mógłbym zamienić kilka słów.

Na starym zdjęciu na Instagramie widać, jak imprezuje z trzema „najlepszymi kumpelami”. W jednej z nich rozpoznaję Amber z krótszymi i jaśniejszymi włosami. Pozostałe dwie Chelsea oznaczyła jako „Gennifer” i „Lise”.

Zdjęcie zrobiono w kuchni. Dziewczyny w piżamach i z puszkami piwa w dłoniach robią miny do aparatu. Ot, cztery przyjaciółki miło spędzające piątkowy wieczór.

Jedna z nich zaginęła, prawdopodobnie nie żyje. Druga to prostytutka specjalizująca się w rozbojach i kradzieżach.

Znajduję nazwisko Gennifer: Norris. Pojawia się w bazie zdjęć policyjnych stanu Montana. Wygląda staro jak na swój wiek. Zatrzymano ją pod zarzutem zamiaru handlu zakazanymi substancjami.

Lisie Cotlin udało się wyrwać z miasta. Znajduję zdjęcia z jej ślubu w Tampie, które Chelsea polubiła. Pan młody ma na sobie mundur marines.

Przynajmniej jednej z tego towarzystwa się poszczęściło.

Nie jestem w stanie namierzyć nikogo więcej, kto utrzymywałby regularny kontakt z Chelsea. Gennifer znika z internetowego życia przyjaciółki krótko po imprezie uwiecznionej na fotografii.

Posty Chelsea to głównie widoczki z okolic Hudson Creek oraz koty i psy.

Gdybym miał opisać jej profil jednym słowem, powiedziałbym: samotność.

Takie zdjęcia robi człowiek, który kursuje pomiędzy niewartymi zapamiętania miejscami, klepie SMS-y i rozgląda się za ucieczką, kiedy nagle jakiś psiak wystawi łeb ponad płot i obdarzy go bezwarunkowym uśmiechem.

Nic nie wiem na temat Chelsea, ale te obrazy mówią mi, jak patrzyła na świat, a przynajmniej na te jego części, które uznała za godne uwiecznienia i podzielenia się z innymi.

Ostatnie zdjęcie, jakie wrzuciła przed zniknięciem, przedstawia stare metalowe wezgłowie. Podpisała je:

Zawsze chciałam takie mieć.

Poniżej znalazł się komentarz Amber:

Wiesz, że cię do niego przywiążę, suczko!

Żartobliwy podtekst seksualny, jaki często słyszę na zajęciach. Nie przywiązuję do niego większej wagi.

Choć to trochę dziwne, że kupowała nowy mebel tuż przed tym, jak postanowiła opuścić miasto. Nie tak mało prawdopodobne jak podpisanie nowej umowy najmu, ale jednak – pokazuje, że jeżeli rzeczywiście się wyprowadziła, podjęła tę decyzję w ostatniej chwili.

Niespodziewane pukanie do drzwi wyrywa mnie z zamyślenia. Wstaję, krzywiąc się z bólu, ale zarazem czerpię satysfakcję z tego, że przez cały ten czas tylko raz zdarzyło mi się głośniej jęknąć.

Ostrożnie przystawiam oko do judasza i widzę kierownika motelu, który trzyma w ręku torbę.

Otwieram drzwi.

– Zapomniałem czegoś?

Podnosi torbę.

– Jillian przysłała nam kolację. – Wskazuje stół piknikowy niedaleko wjazdu na posesję. – Jeśli zdoła pan tam dotrzeć, będziemy mogli miło spędzić jeden z ostatnich ładnych wieczorów, zanim zacznie się robić zimno.

Wkładam buty i ruszam w drogę. Na miejscu czeka na mnie piwo.

– Gus Wheeler – mówi kierownik, podając mi rękę.

– Theo Cray, jak pan już wie.

Wyjmuje z torby dwa piankowe pojemniki, serwetki i przyprawy.

– Mam nadzieję, że nie jest pan wegetarianinem.

Otwieram pojemnik i czuję zapach cheeseburgera z boczkiem.

– Próbowałem kilka razy. Po czymś takim znów spróbuję.

Z początku Gus niewiele mówi, ja zaś skupiam się na takiej metodzie przeżuwania, żeby nie otworzyła mi się rana w ustach.

Wieczór rzeczywiście jest piękny. Gus przerywa konsumpcję, by przyjrzeć się kolorom nieba, gdy słońce chowa się za górami.

– Jakbym codziennie oglądał nowe dzieło sztuki. Za każdym razem jest inne, a jednocześnie nic a nic się nie zmienia. – Kiwa głową w kierunku miasta. – Nie tak jak inne rzeczy.

– Od jak dawna pan tu mieszka? – pytam pomiędzy łykami.

– Urodziłem się w Helenie. Stamtąd przeniosłem się do Quiet Lake, żeby uczyć w gimnazjum. W końcu wyłądownałem w liceum w Hudson

Creek i zostałem dyrektorem.

– Jest pan wychowawcą?

– Od tego zaczynałem. Ale potem, kiedy sytuacja się pogorszyła, czułem się raczej jak naczelnik więzienia.

Jillian zdążyła mi co nieco opowiedzieć, ale chciałem to usłyszeć od niego.

– Pogorszyła się? W jakim sensie?

– Od czego mam zacząć?

– Zależy, jak daleko sięga ta historia.

– Ile ma pan czasu?

– Całą noc.

Zaginione dziewczęta

Gus otwiera drugie piwo i ciągnie:

– Ludzie starają się zrozumieć przyczynę. Chcą usłyszeć proste wytłumaczenie. Rana na ciele Hudson pojawiła się na długo przed tym, zanim wdało się zakażenie. Kiedyś istniała tutaj placówka handlowa, nazywała się Swanson's Creek. Zatrzymywali się tu traperzy i Indianie i prawie na pewno dawali się skubać właścicielom. Trwało to przez pewien czas, dopóki ktoś nie puścił tego miejsca z dymem. Nieco później natrafiono na srebro w okolicznych górach. – Wskazuje kciukiem majaczące na horyzoncie pasmo. – Sto lat temu działała tu kopalnia. Górnicy zjeżdżali do Hudson, żeby się napić i pójść do burdelu. To samo drwale. Srebro i grzech; oto czym stało miasto. Mężczyźni się osiedlali, zakładali rodziny i Hudson powoli się rozrastało. Grzech jednak nigdy nie opuścił tych stron, wtopił się tylko w tkanekę miasta. Kiedy nastają trudne czasy, wystawia swój łeb. A teraz – Gus kręci głową – czasy są bardzo trudne.

– Jillian wspomniała o policjantach, których aresztowano.

Gus pochyła się nad stołem.

– Zwrócił pan uwagę na lśniące bryki przed oklejbidami? W Hudson handluje się dwoma rodzajami towaru: paliwem do ciężarówek dalekobieżnych i metamfetaminą. Jedno łączy się z drugim. Nie dziwię się tym młodym ludziom, którzy mają dość oleju w głowie, by na zawsze stąd wyjechać.

– A pan? Czemu pan nie wyjechał po przejściu na emeryturę?

– Nie tyle przeszedłem na emeryturę, ile straciłem szkołę. Władze stanu uznały, że muszą zlikwidować placówkę ze względu na zbyt małą liczbę uczniów. Dlaczego wciąż tu mieszkam? W dzisiejszych czasach mnóstwo osób uczy swoje dzieci w domu. Mnóstwo osób niemających do tego kwalifikacji. Zostałem prywatnym nauczycielem, staram się pomagać. – Spogląda mi prosto w oczy. – Wie pan przecież, jak to jest uczyć młodych ludzi. Nie można machnąć ręką

i tak po prostu ich zostawić.

Gdybym tylko miał taką determinację jak on. Czuję się winny z powodu przyjęcia komplementu, który mi się nie należy.

– Pamięta pan Chelsea Buchorn?

– O tak. – Posyła mi spojrzenie z ukosa. – Słyszałem, że poznał pan jej byłych znajomych.

– Tak. Doszło do... nieporozumienia.

– Powiem panu, choć oczywiście ma pan pełne prawo mi nie wierzyć, że to nie są złe dzieciaki. Postępują niewłaściwie, ale myślę, że w innych okolicznościach nie robiłyby tego, czym się zajmują. Pewnie nadal by dokazywały, ale nie aż tak.

Dotykam brzucha i przypominam sobie, jak podokazywały na mnie.

– Dlaczego nikt ich nie powstrzyma?

– Był z nimi taki trochę niezdarny młody chłopiec?

Przypominam sobie kumpla chłopaka Amber, który wyskoczył za nim z pikapa.

– Był.

– To Charlie York, kolega Devona. Syn komendanta policji.

– Rozumiem.

– To wcale nie takie proste. Komendant York przebywa w Kolorado, lecz się na raka. To wersja oficjalna. Plotka natomiast głosi, że York próbuje wymigać się od federalnego aktu oskarżenia. Tych dwóch aresztowanych policjantów to zaledwie czubek góry lodowej. Połowa członków rady miasta jeździ wozami, na które ich nie stać.

Koszmar.

– Jak to działa?

– To nie tak, że dostają torby pełne pieniędzy. To znaczy, niektórzy owszem. Inni, bardziej uczciwi, a raczej ci, którzy chcieliby za takich uchodzić, wynajmują nieruchomości, które kupili za bezcen, albo czerpią zyski z interesów, które przejęli w praktyce za darmo.

– Kto im płaci?

– Każdy, kto chce robić tu biznes i mieć święty spokój. Kiedy Hudson było miasteczkiem górniczym, pieniądze wykładali właściciele burdeli i saloonów. Później ich miejsce zajęli handlarze

nielegalnym alkoholem. Kiedy do Hudson weszła metamfetamina, sytuacja wyraźnie się pogorszyła. Straciliśmy fabrykę przetworów. Czyści ludzie, którzy zostali bez pracy, zaczęli przyjmować brudną forszę.

– Wszyscy?

Gus odchyła się na krześle i mrużąc oczy, spogląda na stojące kawałek dalej przy szosie budynki.

– Widzi pan ten salon łodzi wędkarskich?

– Widzę.

– Właścicielem jest Connor. On i jego żona to moi bliscy znajomi. Mili ludzie. Sprzedają dwie, trzy łódki tygodniowo. Niezły interes jak na tę okolicę. Sądzi pan, że każdego, kto przekracza próg jego sklepu, Connor pyta, skąd wziął pieniądze? Za to, co zarobił na łódkach, niedawno postawił nowy dom. Większość robi tak samo: pracuje uczciwie i przyjmuje pieniądze od nieuczciwych ludzi. Problem polega na tym, że kiedy znasz źródło swoich pieniędzy, nieważne, czy jest legalne, czy nie, wtedy wcale nie chcesz, żeby cokolwiek się zmieniło. Przestaje ci zależeć na pozbyciu się metamfetaminy z Hudson Creek, a zaczyna na stłumieniu przemocy. Zupełnie jak w Las Vegas. Godzisz się z myślą, że tutejsi politycy i policjanci zawsze będą szemrani, ale jesteś gotów to zaakceptować, o ile będziesz się czuł bezpieczny.

Napadnięto mnie, ponieważ nie jestem stąd i w przekonaniu napastników cel mojej wizyty ma związek z nielegalną działalnością. Gdybym poszedł na policję, zapewne trafiłbym za kratki.

– Rzeczywistość w Hudson Creek wygląda tak, że jedyne, co tak naprawdę możesz zrobić, to zamieść problem pod dywan – ciągnie Gus. – Ignorujesz go, po czym nagle się okazuje, że twoja córka się prostytuuje albo twój syn bije tych, którzy próbują gotować metę na boku. Ceną za lśniące nowością auta jest dobro dzieci w Hudson Creek. – Gus bierze głęboki oddech. – Zupełnie jak w tych dawnych opowieściach o ludziach gotowych utopić dziecko w jeziorze, aby zapobiec powodzi. Jeśli robisz to wystarczająco często, jezioro w końcu wysycha, dzieci umierają, a tobie zostaje dziura w ziemi pełna szkieletów.

Nie wiem, co powiedzieć. Postanawiam wrócić do przyczyny mojej wizyty.

– Jak pan myśli, co się stało z Chelsea Buchorn?

– Chciałbym wierzyć, że postanowiła stąd wyjechać. A co naprawdę moim zdaniem się stało? – Wstaje i obraca się w stronę gór, w których znajdowała się kopalnia. – Pokażę panu.

Z trudem dźwigam się z krzesła i staję obok niego.

– Widzi pan tę przełęcz tuż poniżej grzbietu?

Wskazuje siodło na tle pomarańczowo-fioletowych chmur.

– Chyba tak.

– Jakieś dwadzieścia lat temu geodeci znaleźli tam pierwszy szkielet. A potem następne i kolejne. Szkielety ludzi nieżyjących od co najmniej pięćdziesięciu lat. Przełęcz znajduje się około półtora kilometra od szlaku prowadzącego z obozu górników do Hudson Creek. W budynku, który stał najbliżej, mieścił się burdel. Znalezione co najmniej dwanaście ciał, zanim przerwano dalsze poszukiwania. Wyłącznie młode kobiety. Zapewne prostytutki pracujące w burdelu albo obozie. Przechowujemy stare numery miejscowej gazety. W żadnym, choćby jednym, nie ma nawet wzmianki o zaginionych. W tamtym czasie ludzie zakładali, że dziewczyny po prostu wyjechały z miasta. Co najmniej dwanaście z nich tego nie zrobiło. A to tylko te, które udało się odnaleźć. Kto wie, ile było takich, które pewnego dnia zniknęły i nigdy więcej ich nie widziano? W tych górach może być pełno zaginionych dziewczyn. Wtedy, tak jak dziś, ilekroć ludzie odwracali wzrok w obecności zła, ono i tak do nich powracało. Chelsea nie była pierwsza. I zapewne nie będzie ostatnia.

W milczeniu zjadamy placek od Jillian.

Powracam spojrzeniem do przełęczy, na której odnaleziono zapomniane dziewczęta. Ile jeszcze istnieje takich miejsc? Ile jeszcze dzieci w nich spoczywa?

Życzymy sobie dobrej nocy i wracamy każdy do siebie. Popijam tabletkę ibuprofenu akceptowalną ilością piwa.

Kiedy budzę się nazajutrz obolały, tak jak przewidywałem, postanawiam jednak się wstrzymać z powrotem do Austin.

Nadal chcę porozmawiać z Amber.

31 Stalker

Po przebudzeniu, kiedy czuję, że odzyskuję zdolność składowego myślenia, sięgam po telefon i wysyłam wiadomość do Amber.

Musimy porozmawiać.

Mija pół godziny bez odpowiedzi. Postanawiam ująć rzecz w sposób bardziej bezpośredni.

Nie mam pretensji o wczoraj. Chcę porozmawiać o Chelsea. Chyba wiem, co się z nią stało.

Kolejne pół godziny i nadal nic. Dochodzę do wniosku, że po prostu do niej zadzwonię.

Mechaniczny głos informuje mnie, że jej numer nie przyjmuje połączeń.

Zablokowała mnie.

No jasne. Na pewno nie jestem pierwszym facetem, który dzwoni do niej po tym, jak dał się zrobić w wała.

Jadę na stację benzynową napić się kawy. Idąc jasno oświetloną alejką między regałami w sklepie, zauważam półkę z telefonami na kartę. Kupuję aparat za pięćdziesiąt dolarów.

Włączam go po powrocie do auta i bawię się funkcjami. Jest zaskakująco dobrze wyposażony jak na telefon za takie pieniądze. Nie może się równać z moim iPhone'em, ale przynajmniej ma przeglądarkę internetową i działają na nim aplikacje przystosowane do Androida.

Przychodzi mi do głowy ciekawe spostrzeżenie: gdybym zapłacił gotówką, nie dałoby się powiązać tego aparatu i jego numeru z moją osobą.

Wysiadam, wracam do sklepu i kupuję jeszcze jedną sztukę, tym razem płacąc za nią pieniędzmi wyjętymi z bankomatu. Teoretycznie, znając godzinę zakupu i po sprawdzeniu historii operacji bankomatu, można by skojarzyć telefon z pobraną z maszyny gotówką i użytą do tego celu kartą. Ale mam wrażenie, że sposób, w jaki kupiłem telefon, jest wystarczająco bezpieczny. Nie wiem, dlaczego wydaje mi się to takie ważne.

Wczorajsze zdarzenia musiały sprawić, że nabrałem ostrożności.

Odkładam aparat, za który zapłaciłem kartą, i piszę do Amber z drugiego, zakupionego za gotówkę.

Nie gniewam się o wczoraj. Doszło do nieporozumienia. Chciałem porozmawiać z tobą o Chelsea.

Mówiąc szczerze, gniewam się, i to jak cholera. Ale koniecznie chcę się przekonać, co Amber wie, po czym zamierzam jak najprędzej wynieść się z tego miasta.

Siedzę w samochodzie na parkingu i popijam kawę, czekając na wiadomość zwrotną.

Mija godzina. Sfrustrowany wybieram jej numer i słyszę w słuchawce komunikat poczty głosowej.

Nadaję swojemu głosowi najbardziej swobodny ton, na jaki mnie stać, i mówię:

– Cześć, Amber. Mówi Theo. Poznaliśmy się wczoraj. Nie jestem na ciebie zły. Nie obchodzą mnie pieniądze. Chcę tylko porozmawiać o Chelsea i o tym, co się z nią stało. Nie jestem gliniarzem ani żadnym zboczeńcem. Ja też kogoś straciłem. Chcę po prostu porównać obie sprawy.

Rozłączam się z refleksją, że szczerzej się nie dało.

Wczoraj odpowiedziała prawie od razu. Dzisiaj – cisza.

Czuję, że Amber nie chce mieć ze mną nic wspólnego. Z jej punktu widzenia próba kontaktu z mojej strony może oznaczać chęć wciągnięcia jej w pułapkę.

Próbuję spojrzeć na to z perspektywy Amber. Co bym zrobił na jej miejscu? Zareagowałbym paranoicznie. Pomyślałbym, że ten gość

chce mnie zabić.

To, że wspomniałem o Chelsea, mogło ją dodatkowo wystraszyć.

Muszę się zastanowić, jak inaczej do niej dotrzeć.

Uruchamiam przeglądarkę w moim nowym jednorazowym telefonie i znajduję stronę oferującą usługę lokalizacji osób. Zdobycie ostatniego znanego adresu Amber kosztuje mnie pięćdziesiąt dolarów.

To trzynaście kilometrów stąd.

Na zdjęciu z Google Street View widać pikapa Devona na podjeździe. Na jego widok skręca mnie z bólu.

Cholera. Nie będzie łatwo.

Nie mam ochoty na konfrontację z tym chłopakiem.

Wracam do sklepu na stacji i kupuję dwie puszki gazu pieprzowego. Obsługuje mnie ten sam kasjer, u którego płaciłem za telefony na kartę; podaje mi towar bez mrugnięcia okiem.

Mam posiniaczoną twarz, kupuję gaz pieprzowy – to musi wyglądać ślisko. Na jego miejscu zadzwoniłbym na policję.

Ale cóż, najwyraźniej w Hudson Creek coś takiego nie budzi podejrzeń.

*

Kiedy przejeżdżam przed domem Amber, pikap Devona nadal stoi na podjeździe, tak jak na zdjęciu w Google'u. Widząc go z bliska, zaczynam ciężiej oddychać.

Nie opuszczam szyby i nie zatrzymuję się. W końcu odzyskuję panowanie nad sobą, ale dopiero kilka kilometrów dalej.

Dom był piętrowy i miał spore podwórko. Nie wyglądał jak rudera, ale zarówno budynek, jak i otoczenie wydawały się raczej zaniedbane. W pobliżu stały trzy zdezelowane auta – nie chce mi się wierzyć, żeby syn szefa policji jeździł takimi gruchotami.

Z tego, co się dowiedziałem na temat Amber, wynika, że dziewczyna ma hondę civic. Chyba widziałem to auto na podwórzu.

Mój plan polega na tym, że będę przejeżdżał ulicą raz na godzinę, sprawdzając, czy pikap zniknął, a Amber została sama. Pod żadnym pozorem nie zamierzam składać jej wizyty, kiedy Devon będzie

w pobliżu.

Auto chłopaka stoi na podjeździe przez cztery godziny. Na chwilę znika też honda, ale kiedy przejeżdżam kolejny raz, jest już z powrotem.

Wyłaniając się ponownie zza zakrętu i widząc pusty podjazd, czuję osobliwy i perwersyjny przypływ emocji.

Parkuję explorera przy krawężniku. Nie wjeżdżam na podjazd; boję się, że zostanę zablokowany przez inny samochód i wpadnę w pułapkę.

Moja twarz wygląda okropnie, dlatego wkładam czapkę z daszkiem i sięgam po duże ciemne okulary. Kiedy wysiadam, czuję, że trzęsie mi się noga – to kolano próbuje odmówić posłuszeństwa.

Aha, czyli tak wyglądają nogi jak z galarety.

Powiniennem wsiąść z powrotem do auta i pojechać prosto do domu.

Wczorajsze zajście było ostrzeżeniem. Zbyttno się angażuję.

Ale tu, w tym domu, mogę znaleźć rozwiązanie. Albo chociaż coś, co mnie do niego doprowadzi.

Nogi wreszcie odnajdują w sobie odwagę i niosą mnie pod drzwi. W kieszeniach mam dwa pojemniki z gazem.

Na werandzie stoją trzy aluminiowe krzesła, zauważam też brudne popielniczki i pogniecione puszki. W jednej z popielniczek leży szklana fifka do mety.

Przez okno słychać brzęczenie telewizora w salonie. Widzę, że ktoś leży na kanapie.

Pukam do drzwi i natychmiast rozlega się szczekanie psa. Odsuwam się.

– Spokój – odzywa się młody mężczyzna.

Słyszę szuranie nogami i skrobanie pazurami; ktoś zamyka psa w drugim pokoju.

Otwiera mi chłopak z potarganymi włosami, zepsutymi zębami i wyłupiastymi oczami.

– No? – bąka sennie.

– Przyjechałem porozmawiać z Amber. Jest w domu? – Z trudem udaje mi się powstrzymać od jąkania.

Co rusz zerkam przez ramię w obawie, że w każdej chwili mogą na mnie spaść Devon albo Charlie z kijem baseballowym. Trzeszczą drzwi, na które rzuca się zamknięty w pokoju ujadający pies.

Dom wygląda jak chlew. Na podłodze brudne talerze i pojemniki po jedzeniu na wynos. Wszędzie stopy ubrań. Na oparciu kanapy i na podłodze popielniczki pełne petów. Szklane fiki rzucone byle gdzie.

W powietrzu unosi się ostry zapach, którego źródła nawet nie chcę się domyślać.

– Amber, przyszedł jeden z twoich kochasiów! – krzyczy chłopak.

– Kto? – pada z góry.

– Sama se zapytaj. Co to ja jestem, kurwa, twój lokaj? – Posyła mi spojrzenie, jakby chciał powiedzieć: „Co robić?”, przewraca oczami i wraca na kanapę.

Kroki na szczycie schodów. Czuję, że serce mi zamiera.

Bojąc się, że Amber zacznie uciekać, kiedy mnie zobaczy, albo zrobi coś gorszego, odwracam się plecami do drzwi i wpatruję w ulicę.

Amber dociera na dół.

– No?

Odwracam się ze spojrzeniem wbitym w ziemię.

– Chciałem cię zapytać o Chelsea.

– Ale o co chodzi? – Przygląda mi się, usiłuje sobie przypomnieć. Nagle do niej dociera. – Ożeż kurwa!

Chce zamknąć drzwi, ale udaje mi się wsunąć stopę.

– Wypierdalaj albo dzwonię po gliny! Powiem, że próbowałeś mnie zgwałcić – mówi, napierając na drzwi.

Chłopak na kanapie przygląda się tej scenie z rozbawieniem.

– Dzwon – blefuję i postanawiam podbić stawkę. – A ja zadzwonię po stanowych. Zobaczymy, co powiedzą.

Przestaje pchać drzwi.

– Weź się pierdol.

– Amber, zapomnij o wczoraj. Doszło do nieporozumienia. Spotkałem się z tobą, bo myślałem, że będziesz mogła mi powiedzieć, co się stało z Chelsea. Nie chciałem cię przelecieć...

– Nie jestem dziwką, ty chuju! – wrzeszczy przez szparę

w drzwiach.

– Mam to gdzieś – odpowiadam, starając się zachować spokój. – Interesuje mnie wyłącznie to, co się stało z twoją przyjaciółką. – Cofam nogę i robię krok do tyłu, wzmacniając gest podniesieniem rąk. – Proszę.

Przygląda mi się zza drzwi. Cofam się aż na brązową trawę.

– Nie próbujesz się odegrać?

– Nie. Juniper Parsons, ta dziewczyna, którą rzekomo zabił niedźwiedź, była moją studentką. Uczyłem ją.

Odrobinę szerzej otwiera drzwi.

– Serio?

– Serio.

– Trzymaj się z daleka. – Wychodzi z domu i siada na schodkach prowadzących na werandę. Wyjmuje papierosy i zapalniczkę z kieszeni dresów.

Opuszczam ręce, dopiero kiedy zapala papierosa. Obrzuca mnie podejrzliwym spojrzeniem, po czym rozgląda się po ulicy. Bierze kilka uspokajających machów i wreszcie się odzywa:

– Nikt mi nie wierzy. Nawet Devon się ze mnie nabija.

32

Psiapsiółki

Przypominam sobie zajęcia z mowy ciała na kursie psychologii. Siadam przed Amber na usychającej trawie. Dziewczyna pali papierosa. Daję jej chwilę na opanowanie nerwów. Ma szkliste spojrzenie; niewykluczone, że jest naćpana.

Wreszcie, kiedy obojgu nam udaje się nieco uspokoić, mówię:

– Opowiedz mi o Chelsea.

Ściąga brwi i wypuszcza dym kącikiem ust.

– Nie wiem, od zawsze byliśmy najlepszymi przyjaciółkami. Zawsze razem pakowałyśmy się w kłopoty. – Łypnięcie na mnie. – Nie od razu takie... Byłyśmy... jak to dzieciaki. Późno wracałyśmy. Spotykałyśmy się z chłopakami. Kradłyśmy piwo. – Wzrusza ramionami i znów się zaciąga. Z jej ust unosi się kolejna smuga dymu. – No, a kiedy zaczęło nam się naprawdę nudzić, zabrałyśmy się do innych rzeczy. – Milknie. – Matka wyrzuciła ją z domu. Ja wracałam do swojego jak do hotelu. Wiedziałyśmy, że niektóre dziewczyny zarabiają kasę, robiąc różne takie rzeczy. No i lubiłyśmy imprezować. Bo tu jest gówno do roboty, wiesz? Ale nie byłyśmy leśnymi ssakami, nic z tych rzeczy.

Zapamiętuję, żeby sprawdzić, co to takiego ten „leśny ssak”; brzmi jak pojęcie z mojej dziedziny, ale chyba jednak niekoniecznie...

– A ten wieczór, kiedy zaginęła? Co się wtedy działo?

– Chciałyśmy się tylko naćpać. Miałam listek kwasu. Chciałyśmy wziąć w lesie. Większość ludzi posrałaby się ze strachu, a myśmy to uwielbiały. Człowiek kładł się na ziemi, słuchał natury, wgapiał się w gwiazdy. Luz.

– Tak było tamtego wieczoru?

Gasi papierosa i zapala kolejnego.

– Właśnie to jest najbardziej pojebane, że nawet nie zdążyłyśmy wziąć. Szłyśmy i nagle usłyszałyśmy hałas. Można tu trafić na dzika albo co. Zaczęłyśmy rechotać, że to pewnie potwór. Pobiegłam

przodem, Chelsea za mną, ale w pewnym momencie ją zgubiłam. Wróciłam, żeby jej poszukać. Pomyślałam, że wiesz, zebrało jej się na chowanego. Ale nie. Nagle ją zobaczyłam. Stała, jakby nasłuchiwała. Już chciałam ją zawołać, kiedy to ujrzałam, bardzo blisko niej. Wrzasnęłam. Myślałam, że to niedźwiedź. Rzucił taki cień. – Amber unosi ręce i układa je w łuk nad głową. – Myślałam, że to niedźwiedź na tylnych łapach. Ale poruszał się jak człowiek. Zaczął biec w jej kierunku. Chelsea usłyszała mój krzyk i sama też wrzasnęła. Nagle znikła mi z oczu. Widziałam tylko cienie. Zrobiło się bardzo cicho. Coś mi kazało jak najszybciej stamtąd spieprzać. No więc spieprzałam. Ale to za mną pobiegło. Słyszałam. A potem doleciał mnie krzyk Chelsea. Wydaje mi się, że to zawróciło, żeby ją wykończyć. A ja popędziłam przed siebie. – Przetyka ślinę i oblizuje usta. – Wiem, nie powinnam była jej zostawiać. Była moją najlepszą przyjaciółką... Zaparkowałyśmy przy drodze. Wpadłam do samochodu i prędko odjechałam. Prosto na posterunek, ale nie weszłam od razu. Zaczęłam panikować. Myślałam, że może byłam naćpana. Że to wszystko mi się przywidziało. Wiem, że gadam, jakby mi odbiło. Głupio zrobiłam, ale postanowiłam się z tym przespać. Kiedy się obudziłam, świeciło już słońce, a ja ciągle siedziałam w aucie. No więc poszłam na komisariat i opowiedziałam ojcu Charliego wszystko, co zapamiętałam.

– Nie uwierzyli ci?

Kręci głową.

– Nie. Powiedzieli, że to sobie zmyśliłam. I że pokój Chelsea jest pusty. Że nie ma jej samochodu. To wszystko nie ma sensu. – Jej ton głosu staje się wyzywający. – Przecież wiem, że była ze mną tamtej nocy. Przyjechałam po nią. Wzięłyśmy mój wóz, a jej zostawiłyśmy.

– Czy jest możliwe, że postanowiła spłatać ci figla?

– Chciałabym w to wierzyć. Ale czy żart trwałby tak długo? Ha, ha, Chelsea. Gdzie się, kurwa, podziewasz? Nikt nie robi takich długich kawałów.

– Czy podejrzewasz, że ktoś z mieszkańców miasta mógł pragnąć jej śmierci?

– Chelsea to była złota dziewczyna. Tyle że puszczańska. Lubiła

zwłaszcza starszych facetów. Kilku z nich pewnie odetchnęło z ulgą, kiedy zniknęła. Ale czy ktoś mógł ją zabić? Cholera, człowieku, mówimy o Hudson. Tu wszystko jest możliwe. Słyszałeś o tej indiańskiej rodzinie, która zaginęła?

Przypominam sobie coś takiego z bazy danych.

– W gazetach nie napisali, że gotowali metę na boku. Bez pozwolenia. Dlatego już ich nie ma. – Uśmiecha się znacząco i dodaje ciszej: – Wiesz, kto ich widział jako ostatni? Bower i Jackson.

– Kto taki?

– Te gliny, które aresztowano za handel metą. Widzisz, jak bardzo popierdolone jest to miasto?

– Czy ktoś kiedykolwiek wspominał o czymś podobnym do tego, co wydarzyło się tamtego wieczoru, kiedy zniknęła Chelsea?

– Rozmawiałam z jednym Czipewejem. Wychował się w rezerwacie. Powiedział, że jego ziomkowie znają mnóstwo takich historii. Nie uwierzyłam mu. Bo zobaczyłam człowieka, który chciał, żebym pomyślała, że jest zwierzęciem. Ale przecież sama widziałam, że chodził jak człowiek. – Nagle mruży oczy. – Wydawało mi się, że zastrzelili tego niedźwiedzia, który zabił tę twoją dziewczynę.

– Zastrzelili. Ale nic go z nią nie łączyło.

Amber śledzi wzrokiem przelatujące stado ptaków.

– Przynajmniej wiesz, że umarła. Masz co włożyć do grobu. A tutaj wszyscy udają, że Chelsea szaleje gdzieś w wielkim świecie. Ale wiedzą. Wiedzą, że Chelsea nie żyje. Po prostu mają to gdzieś.

Odbieram jej silne poczucie straty; jest jak milcząca rozpacz, jak trzymanie się liny we mgle.

– Pamiętasz miejsce, w którym zniknęła? W którym zobaczyłaś tego człowieka?

– Z grubsza. Pokazałam je policji.

– Znaleźli coś?

– Jaja sobie robisz? Pokręcili się z dziesięć minut i poszli. Położyli na to lachę.

– Czyli nawet nie zabezpieczyli miejsca zbrodni?

– Jakiej zbrodni? – drwi. Wyciąga oskarżający palec. – W dupie to mieli!

– Powiesz mi, gdzie to się zdarzyło? – pytam bez namysłu.
Zanim Amber zdąży odpowiedzieć, słyszę znajomy pisk opon.
– O kurwa – bąka Amber. – Mój chłopak.
No to zaraz się zacznie.

33

Zły Książę

Sztywnieję, słysząc ciężkie kroki Devona na trawie. Chłopak zatrzymuje się tuż za moimi plecami, pada na mnie jego cień.

Prawą rękę trzymam w kieszeni i ściskam w dłoni pojemnik z gazem, ale czuję, że drżą mi palce. Nie wiem, czy zdołam wyjąć ją wystarczająco szybko, a co dopiero zdobyć się na odwagę i wdusić przycisk.

Boję się, że próba postawienia się Devonowi jeszcze bardziej go rozwścieczy. Poprzednio zabrał mi pieniądze, ale zostawił w takim stanie, że mogłem odejść o własnych siłach. Jeśli będę z nim walczył, mogę wyładować w szpitalu. Albo gorzej.

Amber spogląda na stojącego za mną Devona i pozdrawia go lekkim skinieniem głowy.

– Co tam?

– Kto to? – pyta Devon.

Nieznacznie się rozluźniam, kiedy dociera do mnie, że czapka i okulary zrobiły swoje. Pochylam głowę, nie patrzę wprost na niego, żeby nie zobaczył siniaków na mojej twarzy i nie rozpoznał własnej roboty.

– Nikt taki – odpowiada Amber. – Stary znajomy Chelsea.

– Znajomy czy klient? – drwi Devon. Mija mnie, nawet nie zaszczyciwszy spojrzeniem. – Powiedz mu, że twoja cipa już nie jest do wynajęcia.

– Pierdol się. – Amber pokazuje mu środkowy palec.

Devon wchodzi do domu i zamyka za sobą drzwi.

Dziewczyna zaciska powieki i kręci głową.

– Pewnie myślisz, że jestem okropna.

Ściszam głos w obawie, że jej chłopak może mnie usłyszeć, i mówię:

– Uważam, że świetna z ciebie dziewczyna. Pomijając wczorajszą akcję.

– Ta, jasne. Zaczęliśmy to robić po tym, jak jeden kierowca ciężarówki sponiewierał dziewczynę z Quiet Lake. Ostro mu wjebali, kiedy go dopadli. Devon się wkurwił, kiedy widział, że faceci do mnie dzwonią. Co innego ktoś miejscowy, o kim wiedział, że jest w porządku.

Staram się zrozumieć dynamikę związku tych dwojga.

– Czy Devon jest twoim...

– Alfonsem? Jeszcze czego! Nie jestem kurwą! – protestuje.

– Chciałem powiedzieć: „chłopakiem”.

– A. Nasz związek jest otwarty. Zresztą nie twój interes.

Krępuje mnie ta rozmowa.

– Nie chciałem niczego sugerować.

– Masz taką minę, jakbyś mnie krytykował.

– Jestem naukowcem. Na wszystko patrzę w taki sposób.

Amber pokazuje brodą na dom.

– Devon też chciał zostać naukowcem.

– Tak? – mówię trochę za głośno.

– No. Uwielbia naukę. Ma koszulkę z Neilem deGrasse'em Tysonem i w ogóle. Kiedyś się upalaliśmy i oglądaliśmy *Bill Nye the Science Guy*.

Nieoczekiwanie wzbudza to we mnie wesołość. Brzuch protestuje, kiedy zaczynam się śmiać, dlatego szybko się opanowuję.

– Wiem, wiem, pojebane. Oglądałeś kiedyś *Ulicę Sezamkową* na haju? Oni to chyba kręcą specjalnie dla dwulatków i ćpunów.

– Nie. Rzadko brałem. Na studiach byłem na wycieczce w Amazonii, szaman poczęstował nas napojem, którego do tej pory nie potrafię zidentyfikować. Usiedliśmy w koło i zaczęliśmy pić, sądząc, że bierzemy udział w ceremonii podobnej do palenia fajki pokoju. Okazało się jednak, że miejscowi chcieli po prostu namieszać obcym w głowach. Przez kilka godzin siedziałem na drzewie przekonany, że jestem czepiakiem. Kiedy zszedłem i wyjaśniłem, czego doświadczyłem, szaman zapytał, skąd pewność, że nie jestem czepiakiem, który się naćpał i myśli, że jest naukowcem.

Amber stuka palcem w nos.

– Gość wiedział, o czym mówi. No bo skąd pewność?

– Czasem sam się zastanawiam.

Odchyła głowę i wpatruje się w chmury płynące po niebie.

– Chelsea i ja ciągle gadałyśmy o takich rzeczach. Zastanawiałyśmy się, czy świat jest prawdziwy. Kiedy byłyśmy małe, zaglądałyśmy do szaf i za drzwi, bo myślałyśmy, że może znajdziemy przejście, na przykład do Narnii. Do innego świata.

Nie mówi: „innego, lepszego”, ale wiem, co naprawdę ma na myśli.

Wyrwa sterczący w trawie chwast.

– Potem, kiedy byłyśmy starsze i już wiedziałyśmy, że nie znajdziemy żadnego przejścia, uznałyśmy, że inny świat nas otacza, ale nie potrafimy go zobaczyć. Nie chodzi o żadne drzwi percepcji i takie tam, tylko o to, że przyzwyczajamy się nazywać rzeczy tak, a nie inaczej, i myśleć o nich w taki, a nie inny sposób. Zaczęłyśmy wymyślać własne nazwy dla przedmiotów – wyjaśnia po chwili. – Telefon został gadatkiem, a telewizor magicznym oknem. I dla ludzi też. Komendanta Yorka przechrzciliśmy na Nikczemnego Barona, a Charliego na Złego Księcia. Każdy miał nowe imię. Wielebny Cap, Czerwona Wiedźma... Podły Czarodziej to był gość, który gotował metę... – Urywa. – Nieważne. To bzdury.

Czuję powinowactwo z tą zagubioną dziewczyną.

– Wcale nie bzdury. Prowadzę zajęcia na temat nomenklatury. Objaśniam, jak używanie odmiennych, choć wciąż pasujących nazw prowadzi do odmiennego pojmowania rzeczy.

– Czyli że co?

Muszę się chwilę zastanowić.

– Weźmy Hudson Creek. Dziś nie płynie tutaj żaden potok², ale miasto z przyległościami leży w jego dolinie. Ta dolina wygląda jak misa ustawiona pomiędzy dwiema górami. Po drugiej stronie znajdują się dwa inne miasta. Jedno jest położone w bardziej górzystym terenie; mnóstwo tam domków letniskowych, prawda? Drugie sprawia wrażenie całkiem przyjemnego miejsca. Co takiego odróżnia to drugie miejsce? Jak byś je nazwała?

– Wrota Piekieł – odpowiada bez wahania. – Piekło to to nie jest, ale wejście nie może być daleko. Wszyscy krążymy wokół niego, czekamy, kiedy wpadniemy.

– Nic mi o tym nie wiadomo, ale trzeba przyznać, że zło zagościło

w nim na wyjątkowo długo. – Przypomina mi się fioletowa granica rewiru wyznaczonego przez MAAT-a. Ciekawe, co by mi pokazał, gdybym mu podsunął dane z ostatniego stulecia. Czy Hudson Creek było na trasie rogatego? Ze słów Gusa wynika, że owszem. – Amber, czy potrafiłabyś wskazać na mapie, w którym miejscu widziałaś Chelsea po raz ostatni?

Zastanawia się, po czym kręci przecząco głową.

– Nie jestem pewna.

– A czy możesz chociaż powiedzieć, jakimi wskazówkami mam się kierować, szukając tego miejsca?

– Trudno je odnaleźć.

Czuję nagłą irytację, gdy Amber przestaje być pomocna. Być może ten temat wciąż jest dla niej zbyt bolesny.

– Może po prostu sama ci pokażę? – proponuje.

– Chcesz tam wrócić?

– Nie boję się – odpowiada wyzywająco. – Gdyby diabłu na mnie zależało, dorwałby mnie wtedy, kiedy zabierał Chelsea.

Amber to udęczona dusza, ale podziwiam jej odwagę.

Wypad w tamto miejsce wydaje się okropnym pomysłem, ale mimo to zgadzam się z nią pojechać.

Zajęcia w terenie

Kiedy po południu wracam pod dom Amber, pikap Devona nadal stoi na podjeździe. Wysyłam do niej SMS-a z informacją, że czekam.

„Zaraz bede” – odpisuje.

Nie jestem pewien, co spodziewam się znaleźć w lesie. Kto wie, co zastanę na miejscu, skoro policja nie przeprowadziła drobiazgowego śledztwa. Kawałek materiału? But? Cokolwiek, co potwierdzi, że historia Amber jest prawdziwa, będzie dla mnie sygnałem, iż zmierzam we właściwym kierunku.

Ale właściwie jaki mam cel?

Zostało mi raptem kilka dni, zanim będę musiał wrócić do Austin. W obecnej sytuacji zabraknie mi czasu, by się odpowiednio przygotować do nowego semestru. Już wiem, że będę musiał się wyłgać z kilku zebrań wykładowców. Z reguły nie wynika z nich nic konstruktywnego, ale nieobecność miewa konsekwencje. Ważą się losy mojego kontraktu. Muszę być grzeczny, jeśli chcę, żeby go przedłużono.

Pukanie w okno. Podnoszę głowę i panikuję. Przy drzwiach stoi Devon. Pokazuje, że bym opuścił szybę.

Sięgam do dźwigni zmiany biegów, gotów w każdej chwili ruszyć, ale widzę, że Devon robi krok do tyłu i podnosi rękę.

– Chcę tylko pogadać.

Pospiesznie wsuwam dłoń do kieszeni i mocno zaciskam palce na pojemniku z gazem, po czym uchylam okno.

– Amber mówi, że jedzicie tam, gdzie podobno zaginęła Chelsea.

– Tak – odpowiadam z wahaniem. – Właśnie o tym chciałem wczoraj porozmawiać.

– Wiem, wiem. Nieporozumienie. – Opiera dłoń na ramie drzwi. – Nie mogę puścić Amber samej. Skąd mam wiedzieć, że nie jesteś psycholem, który rozwali jej łeb?

Zdejmuję ciemne okulary i wskazuję posiniaczony policzek.

– Naprawdę wyglądam na brutala?

– Możesz być wkurwiony i w ogóle. Ale to była pomyłka. Wina Charliego. Wziął cię za kogoś innego.

– Za kogo?

– Nie wiem. Za jakiegoś gościa, który lubi tłuc dziewczyny. Dobra, niepotrzebnie ci wjebaliśmy, ale kobiet nie tykamy. Nieważne, jadę z wami. – Łapie za klamkę tylnych drzwi.

– Takiego chuja! – wypalam i blokuję drzwi.

Devon wraca do okna.

– Słuchaj, przepraszam za wczoraj. Masz. – Wsuwa rękę do kieszeni i wyjmuję zwitek banknotów. – Zabieraj, to twoje. Charlie ma resztę.

– Wkłada pieniądze przez szparę w oknie jak do automatu z jedzeniem.

Patrzę, jak spadają mi na kolana. Kiedy podnoszę głowę, z domu wychodzi Amber ubrana w kurtkę.

– Zgodził się? – pyta.

Devon przygląda mi się przez szybę.

– To jak będzie?

Coraz lepiej...

– Dobra. Ale siadaj z przodu, żebym mógł cię obserwować – mówię ze świadomością, że bynajmniej nie poczuję się dzięki temu bezpieczniej.

– Jasne. Spoko. – Obchodzi auto i zajmuje miejsce na fotelu pasażera. Amber siada z tyłu za nim.

Przez kilka minut jedziemy w krępującej ciszy. Kątem oka przyglądam się Devonowi. Wzdrygam się, ilekroć się poruszy.

Zerkam w lusterko wsteczne, żeby sprawdzić, czy Amber nie zasadza się na mnie ze struną z pianina.

– Musiałam powiedzieć Devonowi, dokąd jedziemy – odzywa się w końcu. – Uświadomił mi, że możesz być tym gościem, który załatwił Chelsea. Byłabym głupia, gdybym pojechała z tobą całkiem sama.

Czyżby ci ludzie się mnie bali?

– Amber jest ździebko zbyt ufna – stwierdza Devon.

– No właśnie. Dlatego mam ciebie – pada z tylnego siedzenia.

– Kobieto, w życiu nie mogło ci się przytrafić nic lepszego ode mnie.

– O Boziu! Skoro to jest najlepsze, nie chcę wiedzieć, co będzie dalej. – Amber kręci głową i spogląda za okno.

Devon sięga do pokrętła radia, a ja automatycznie wsuwam dłoń do kieszeni. Ruch nie uchodzi jego uwadze.

– Masz ją przy sobie?

„Ją”? Chodzi mu o broń. Może rzeczywiście lepiej, żeby myśleli, że jestem uzbrojony.

– Przezorny zawsze ubezpieczony – rzucam. – Powiedziałem znajomym, dokąd się wybieram – dodaję.

– My też – odpowiada Devon. – Nigdy nie wiadomo.

– Ano nigdy. – Posyłam mu nerwowe spojrzenie, ale jego bardziej interesują domy, które mijamy po drodze.

Odzywa się dopiero po kilku minutach.

– Amber mówiła, że jesteś naukowcem. Jakim?

– Studiowałem biologię, ale zajmuję się też informatyką.

– Fajnie, fajnie. Ja chciałem zostać astrofizykiem.

Cóż za niepowetowana strata dla środowiska naukowego.

– Aż do ostatniego roku studiów jechałem na samych piątkach – opowiada Devon. – Wtedy zachorowała moja mama. Zrobiłem dyplom, ale z trudem. Nie wiem, może się powinienem zapisać na jakieś kursy w sieci. Bez przerwy oglądam Discovery.

– Na haju – wtrąca Amber z tylnego siedzenia.

– Carl Sagan też się często upalał.

– Był również Carlem Saganem – odpowiadam i od razu tego żałuję, ale Devon się śmieje.

– Racja, racja. To jak: Dawkins czy Stephen Jay Gould?

– Czytałeś ich książki?

– No ba. *Ślepy zegarmistrz* to jedna z moich ulubionych lektur w ogóle.

Richard Dawkins i Stephen Jay Gould nie zgadzali się co do tego, czy nadrzędną siłą napędową ewolucji są geny, czy całe organizmy. Prawdę mówiąc, ich dyskusja była jednym z powodów, dla których w ogóle zainteresowałem się bioinformatyką.

Dla naukowca amatora pytanie o stosunek do polemiki Dawkins – Gould jest jak pytanie o to, której drużynie kibicujesz.

Debata wygasła, kiedy zaczęto wyrażać pogląd, że ewolucja jest nazbyt złożonym procesem, aby twierdzenie, iż organizm bądź gen jest w niej czynnikiem decydującym, mogło wyjaśniać sprawę.

– Stoję po stronie Dawkinsa – mówię, żeby Devon nie ukatrupił mnie w lesie. – Choć w sumie to nie takie proste. Jednym z tematów moich badań jest sposób, w jaki definiujemy geny. Jak wiesz, biologia określa gen jako najmniejszą jednostkę dziedziczenia. Rzecz jest jednak bardziej skomplikowana. Na ogół postrzegam zjawiska w kategoriach systemów albo procesów. Niektóre systemy ograniczają się do fragmentów DNA. Inne ewoluują w całe ekosystemy.

– Gdzie twoim zdaniem przebiega granica organizmu?

Najwyraźniej Devon jest inteligentniejszy, niż sądziłem. Trzeba przyznać, że nasze pierwsze spotkanie nie odbyło się w sprzyjających okolicznościach.

– Słyszałem pogląd, że jesteśmy zaledwie skafandrem kosmicznym dla mitochondrialnego DNA – odpowiadam. – Ktoś inny stwierdził, że człowiek to ruchome miasto bakterii jelitowych. Nosimy w sobie więcej bakteryjnego DNA niż własnego. Nie chodzi o długość łańcuchów, lecz o ich ilość. Przybysz z kosmosu mógłby nie poznać nas takimi, za jakich się mamy.

– Ja nie wiem, czy w ogóle nas poznaje – wtrąca Amber.

– Nieustannie się zmieniamy. – Wskazuję ciemniejące niebo. – Wraz ze zmianą pór roku niektóre z naszych genów aktywują się bądź dezaktywują. Z genetycznego punktu widzenia stajemy się wtedy nieco innymi organizmami. Inne zwierzęta również to potrafią. – Nie jestem pewien, czy powinienem w tym momencie wspominać o moich badaniach nad żabiołakami. – Natura steruje nami w dużo większym stopniu, niż bylibyśmy skłonni przyznać.

Przyłapuję Devona na wpatrywaniu się w swoje odbicie w bocznym lusterku. Chłopak ma zapadnięte oczy i skórę zniszczoną przez nałóg.

– To pewne. Pewne jak cholera.

Ta introspekcja jakoś nie dodaje mi otuchy. Wjeżdżamy coraz głębiej w las i coraz bardziej oddalamy się od cywilizacji – oraz

bezpieczeństwa.

Ścieżki w mroku

Zostawiamy explorera przy bocznej drodze, tuż za niewielką działką, na której stoją smętna pizzeria i mikroskopijny sklep spożywczy. Gdybyśmy pojechali szosą trzy kilometry dalej, trafilibyśmy na parking dla kamperów.

Przypuszczam, że Amber i Chelsea często bywały w tym miejscu i prowadziły tam... interesy.

Wąskim szlakiem ruszamy pod górę. Amber prowadzi, Devon idzie kilkanaście metrów za mną, co raczej nie utwierdza mnie w przekonaniu o słuszności decyzji, aby przyjechać tu z nimi.

Wczoraj postąpiłem nierozsądnie, zgadzając się na spotkanie z Amber w nietypowych okolicznościach. A dziś, po tym, co się wydarzyło, jadę z nimi sam do lasu. Czysta głupota.

Jedną rękę trzymam w kieszeni, ściskając pojemnik z gazem. W drugiej dzierzę ciężką latarkę, którą na co dzień wożę w aucie. Mam też inną, lżejszą i nowocześniejszą; tamta jednak w razie czego nie nadawałaby się na broń.

– Coście tu robiły z Chelsea? Bawiłyście się w lesby? – drwi Devon.

– Uciekałyśmy przed takimi durniami jak ty. – Amber zatrzymuje się przy dużym pniaku na szczycie wzgórza. – Tutaj się spotykałyśmy. Zarobiłabym majątek, gdybym oddała na złom wszystko, co tu po sobie zostawiłyśmy. – Wymierza kopniaka wyblakłej puszcze.

– Nie wspominając o sztucznych kutasach – nie ustępuje Devon.

– One przynajmniej nie opadają – odcina się Amber.

Devon bąka coś o posuwaniu tunelu metra, a potem odchodzi, żeby się odlać.

– To się wydarzyło w tym miejscu? – pytam.

Amber wskazuje położoną niżej płaską przestrzeń.

– O, tam. Szłyśmy z drugiej strony. Zobaczyłam cień tutaj, gdzie stoimy. Potem puścił się biegiem.

– Na ilu nogach? – rzuca Devon, zapiąwszy rozporek.

– Na dwóch, baranie.

Chłopak zerka w moją stronę.

– Wcześniej mówiła co innego.

– Od początku twierdziłam, że to był człowiek – wyjaśnia dziewczyna. – Może kawałek biegł na czworakach. Nie wiem, ciemno było.

– Byłaś naćpana – uzupełnia Devon.

– Nie aż tak. Wtedy jeszcze nie.

Schodzę do miejsca, w którym Amber widziała Chelsea po raz ostatni. Na ziemi leży parę kamieni i butwiejących kłód. Sięgam po patyk, kucam i posługując się nim, zaczynam grzebać w ziemi.

Gdyby podłoże było suche i porowate, na przykład piaszczyste, mógłbym nawet odnaleźć ślady krwi. Ale to tutaj okazuje się zwykłą glebą.

– Czego powinniśmy szukać? – pyta Amber.

Wstaję, wzruszając ramionami.

– Nie wiem. Elementów ubrania. Torebki. Czegoś, po czym poznamy, że tu była.

Zaczynamy z Amber przetrząsać zarośla i zaglądać pod kamienie. Devon siedzi na kłodzie i przypatruje się nam.

Sam nie bardzo wiem, za czym powinniśmy się rozglądać, pytam więc Amber, czy pamięta, co Chelsea miała wtedy na sobie.

Dziewczyna odkłada pustą puszkę po piwie.

– Niebieską kurtkę do kolan. Czapkę z dzianiny. Dżinsy.

Znajdujemy puszki po piwie i opakowania po batonach, ale żadnego śladu Chelsea.

Nie wiem, czego się spodziewałem. Zakrwawionego bucika, który pasowałby na nóżkę niegdysiejszego Kopciuszka? Wyznania mordercy?

Poświęcamy pół godziny na spenetrowanie najbliższej okolicy. Devon w tym czasie pisze na telefonie.

– Wielkie dzięki za pomoc – rzuca do niego Amber.

– Przyjechałem tylko po to, żeby ten tutaj cię nie zgwałcił i nie zamordował. – Kiwa do mnie głową i szczyrzy zęby.

Amber zerka w moją stronę.

– A może się bałeś, że zaczniemy się ruchać, kiedy zostaniemy sami?

Uśmiech Devona przygasa.

– Nie wygląda, żeby miał dużego. Ale proszę cię bardzo. Przekonaj się, czy mi zależy. Ruchaj się, z kim chcesz.

Ich sprzeczka mnie krępuje, toteż postanawiam nieco się oddalić.

Nie tracę nadziei, że ktoś z nas w końcu krzyknie: „Eureka!”, kiedy natknie się na trop, który pozwoli rozwiązać zagadkę. Nic takiego się jednak nie dzieje.

Sądzę, że Amber jest na swój sposób szczerą, ale niestety niezbyt wiarygodną. Gdybym wiedział wcześniej, że ona i Chelsea poszły do lasu, żeby wziąć kwas, to chyba odpuściłbym sobie wizytę w Hudson Creek. Zwłaszcza gdybym miał świadomość, że zbiorę łomot.

– Jak długo jeszcze chcecie to robić? – pyta Devon.

– Aż zostawisz nas samych, żebym mogła zrobić mu łaskę.

– Dobra, wystarczy tego. Wracam do samochodu. – Zwraca się do mnie. – Dasz mi kluczyki? Zaczekam w środku.

Jakoś mu nie ufam. Boję się, że gdybym to zrobił, już nigdy nie zobaczyłbym swojego explorera. Devon zachowuje się przyjaźnie, ale to typ, po którym można się spodziewać wszystkiego.

– Nie – mówię z całą mocą, na jaką mnie stać. – Jesteś ostatnią osobą, której powierzyłbym kluczyki do auta.

Devon na chwilę podciąga bluzę, pokazując rękojeść pistoletu.

– Gdybym chciał ci je odebrać, już dawno bym to zrobił.

Zaczynają mi dygotać nogi. Staram się nie okazać strachu.

Amber doskakuje do Devona.

– Jezu, po coś to zrobił? On już i tak uważa nas za psycholi.

Chłopak unosi dłonie.

– Chciałem mu tylko coś udowodnić. – I spoglądając na mnie ponad ramieniem Amber, dodaje: – Sorry, stary. To nie była groźba.

Drżenie nóg nieco ustępuje.

– Może byś nam pomógł? – pytam.

– Mam szukać śladów czegoś, co się nie wydarzyło?

Amber robi zagniewaną minę.

– Mówiłeś, że mi wierzysz.

– Powiem cokolwiek, byle zamoczyć.

– Świnia. – Odchodzi wściekła. – Na tym polega problem tego miasta. Tutaj każdy jest zakłamanym.

Ściemnia się. Chyba powinienem zarządzić koniec poszukiwań, zanim napięcie sięgnie zenitu. Nie mogę się pozbyć wrażenia, że wszystko, co robią Amber i Devon, jest na pokaz i że próbują mnie wrobić. Po wczorajszej napaści nieco inaczej patrzę na świat.

– Nie możesz wymyślić czegoś... naukowego? – pyta Amber.

– To nie czary-mary – szydzi Devon. – Chyba że wozi sonde metanową, taką, jakiej używają w *CSI*. Wozisz? – To do mnie.

– Skąd. Nie jestem specjalistą w dziedzinie medycyny sądowej... – Urywam, bo zamyślam się nad tym, co powiedział Devon.

Szukałem śladów Chelsea: jej ubrań, należących do niej przedmiotów. Może włos na gałęzi albo czegoś, co pozostawił po sobie zabójca.

Jakoś nie przyszło mi do głowy, że mógłbym spróbować odnaleźć samą Chelsea.

Od początku wyobrażałem sobie, że tu będzie tak jak w miejscu, w którym znaleziono leżące na ziemi ciało Juniper. Ale co, jeśli zabójca Chelsea miał więcej czasu, żeby się przygotować? Żeby po sobie posprzątać?

Jeżeli nie zabrał jej ze sobą ani nie zostawił na śmierć, to może... zakopał ją gdzieś tutaj?

Należałoby przeszukać całe hektary ziemi. Życia by nie starczyło.

Chyba że rzeczywiście wykorzystam moc nauki.

– Dobrze się czujesz? – dobiega mnie głos Amber.

– Myśli – wyjaśnia Devon. – Albo zbiera się, żeby cię sprzątnąć.

– Weź się zamknij.

Nagle olśnienie.

– Wiem, gdzie szukać.

Bioróżnorodność

– Nigdy wcześniej tu nie byłeś – zauważa Devon. – A może byłeś? – Jego dłoń wędruje do broni.

Mam poczucie, że to bardzo wystraszony i nerwowy dzieciak, który próbuje maskować niestabilność fałszywą brawurą.

– Spokojnie. Nie, nie byłem. Po prostu wymyśliłem „coś naukowego”. Widzicie to? – Wskazuję latarką bujną zieloną roślinę z małymi białymi kwiatkami. – Poznajcie pęcherznicę. Obok rośnie rutewka zachodnia. To te oklapnięte.

– Rosną na grobach czy co? – pyta Amber.

– Rosną na wielu rzeczach.

Devon się zainteresował i zaczął rozglądać wokół krzaków, przyświecając sobie latarką.

– Tutaj rośnie następna pęcherznica. – Wskazuje kępę. – I tu.

– Ja też znalazłam – dodaje Amber.

Podchodzę zobaczyć, co znaleźli.

– Dobrze. Dobrze.

– Co mamy robić? – pyta Devon.

– Szukać.

Po kilku minutach chłopak zauważa:

– Tu jest całe mnóstwo pęcherznicy.

– Rutewki też – dodaje Amber.

– Wiem. Prowadzimy oględziny. Potraficie odróżnić jedną od drugiej, prawda?

Oboje potwierdzają.

– W porządku. Dorzucimy kolejną. – Wskazuję łodygi zwieńczone niewielkimi białymi kwiatostanami. – To jest międzyga tęga. Za każdym razem, kiedy natkniecie się na którąś z tych roślin, głośno wymówcie jej nazwę. Okej?

– Będzie jakaś nagroda? – żartuje Devon.

– Zobaczymy. Na razie to tylko przypuszczenia.

Przez kolejne pół godziny rozglądamy się za roślinami i wykrzykujemy ich nazwy.

– Pęcherznica! Międzyga tęga! – wykrzykuje Amber.

Podchodzę do niej. Stoi obok odsłoniętych grubych korzeni drzewa.

– Oby tak dalej.

Posuwamy się w dół stoku, w kierunku dolinki leżącej po drugiej stronie wzniesienia, patrząc od drogi.

Idziemy w taki sposób, by nie tracić się z oczu. Rośliny pojawiają się coraz rzadziej. Postanawiam, że pokonamy jeszcze kawałek.

– Pęcherznica, międzyga i rutewka! Hat trick! – cieszy się Devon. – Niezła sztuczka. Chodziło o to, żebyśmy wlepiali gały w ziemię?

Podbiegam do niego.

– Nie. Chodziło o znalezienie miejsca, w którym te trzy rośliny rosną razem.

Okazuje się, że Devon rzeczywiście poprawnie rozpoznał całą trójcę. Stoi na niedużej płaskiej polance u stóp stromej pochyłości. Wzgórze jest łyse, z ziemi wystają pojedyncze luźne kamienie.

Doskonałe miejsce. Silna erozja z góry. Z każdym deszczem zakopane tu ciało znikaloby coraz głębiej pod ziemią.

Podchodzi do nas Amber.

– Któraś z tych roślinek rośnie na trupach? – Wyraźnie wyczuwam strach w jej głosie.

– Nie potrafię powiedzieć, czy istnieje roślina, której wzrost stymulowałyby zakopane pod nią zwłoki. Chyba po prostu wszystko to, co rośnie tuż nad nimi, rozwija się prędzej, o ile martwe ciało szybko się rozkłada i zamienia w nawóz. Wątpię, aby to samo dotyczyło głęboko umieszczonych szczątków. Przykro mi, ale to wykracza poza mój zakres wiedzy.

Devon trąca krzak butem.

– No to czego szukamy?

– Śladu, że ktoś tu był. I że kopał.

– Te rośliny są wszędzie. – Skubie liść międzygi.

– Tak, ale gdzie jeszcze widziałeś je rosnące tak blisko siebie?

– Nigdzie.

– Dlaczego? – Rozglądam się za czymś nietypowym. – A raczej:

dlaczego nigdzie indziej nie rosną razem?

– Bo się nie lubią – podsuwa Amber.

– Dokładnie tak. Rośliny wytwarzają własne herbicydy, którymi wykańczają rywali. Zanim jednak do tego dojdzie, musi minąć trochę czasu. Kopiąc w ziemi, spulchniacie ją. Wśród nasion, które padają na tak przygotowany grunt, aby wypuścić korzenie, zaczyna się wolna amerykanka.

Devon woli od razu przejść do rzeczy.

– Czyli co tu jest?

– Pewnie nic. To tylko teoria.

– No to sprawdźmy. Masz saperkę?

Nie sądziłem, że do tego dojdzie.

– Nie wiem, czy w ogóle powinniśmy tu kopać. – Myśl, że pod moimi stopami może się znajdować Chelsea, budzi we mnie niepokój.

– I co? – Amber dołącza do wymiany zdań. – Pojedziemy na komisariat i powiemy, że znaleźliśmy śliczne kwiatuszki? Równie dobrze możemy od razu wracać do domu.

– Daj kluczyki – mówi Devon. – Skoczę po saperkę.

Wręczam mu je bez zastanowienia.

Kiedy dociera na szczyt wzgórza, odwraca się i krzyczy:

– No to nara, frajerze!

Widząc moją reakcję, wybucha śmiechem i kręci głową.

– Jeśli macie na coś ochotę, no wiecie, to się pospieszcie.

– Co za dureń – wzdycha Amber, wpatrując się w ziemię.

Wiem, o czym myśli. Zastanawia się, czy jej przyjaciółka naprawdę jest tu pogrzebana.

Devon zachowuje się jak palant, bo się denerwuje. To, co tu robimy, dla Amber może się okazać potwierdzeniem, że wtedy, z Chelsea, jej się nie przywidziało.

Smutnym potwierdzeniem. Dopóki ludzie przekonywali ją, że opowiada bajki, w jej umyśle zawsze istniała ewentualność, że mają rację.

I że Chelsea rzeczywiście mieszka poza Hudson Creek i świetnie sobie radzi.

Jeżeli Amber się nie myli... Jeżeli ja się nie mylę... Chelsea gnije

pod naszymi stopami.

Dziewczyna ociera się o mnie ramieniem. Z zakłopotaniem kładę na nim swoją dłoń. Nie wiem, co powiedzieć.

– Przykro mi, że straciłeś przyjaciółkę – szepcze, myśląc zapewne również o własnej stracie.

– Mnie też jest przykro. Żałuję, że nie poznałem jej lepiej.

– Jesteście za wolni. Albo za szybcy – komentuje Devon, zbiegając po stoku z saperką w rękę.

Zauważa łzy w oczach Amber i milknie.

– Tu? – pyta, celując palcem w ziemię.

Odsuwamy się.

– Może być tu – mówię. – Niewykluczone, że ciało znajduje się na głębokości metra albo więcej. Podejrzewam, że będziemy musieli wykopać kilka dziur.

Devon wybiera kupkę ziemi, wyrywając rośliny z korzeniami. Przyglądam się glebie i zastanawiam, po czym poznać, że wcześniej została naruszona.

Devon wykopuje kolejną porcję. Biorę do ręki garść ziemi i zaczynam rozgrzebywać ją palcem, szukając wskazówek. To może potrwać wieczność.

Chłopak przerywa kopanie.

– Mam przejąć od ciebie saperkę? – pytam.

Nie odpowiada. Podnoszę głowę. Widzę, że na coś patrzy. Amber podchodzi do niego, po czym nagle obejmuje się za brzuch.

Wystarczyły trzy ruchy saperką w pierwszym miejscu, w którym postanowiliśmy spróbować.

W dołku znajduje się brudna, ale wyraźnie widoczna jasnoniebieska kurtka.

Amber chowa twarz pod ramieniem Devona. Spoglądam na niego z niedowierzaniem. Chłopak zasłania usta dłonią i kręci głową.

– Ja pierdole. O kurwa.

Nie jestem pewien, które z nas wypowiada te słowa. W każdym razie wszyscy myślimy to samo.

Pozostałości

Uświadamiam sobie, że przedmiotem, który mamy przed sobą, jest po prostu kawałek niebieskiego materiału. Nie wiemy, czy to rzeczywiście kurtka ani tym bardziej – czy należy do Chelsea.

– To ona? – pyta Amber, jakbyśmy znali z Devonem odpowiedź.

Aż do tej chwili wszystko miało charakter teoretyczny. W miarę jak dociera do mnie powaga sytuacji, czuję osobliwą mieszankę radości z odkrycia i przerażenia.

Przyjechałem do Hudson Creek właściwie tylko dla zaspokojenia ciekawości, dysponując hipotezą postawioną na podstawie niewielkiej ilości danych. Przeczucie i MAAT podpowiedziały mi, że znajdę tu coś pasującego do schematu śmierci Juniper.

A teraz patrzę na rzecz mogącą stanowić potwierdzenie słuszności tej hipotezy. Analityczna część mojego mózgu pieje ze szczęścia; neurony, które łechcą, rozwiązując sudoku, wpadają w prawdziwą euforię.

Ale czy to na pewno to, co myślę?

Czy to Chelsea?

Devon trąca kurtkę krawędzią saperki.

– Wykopujemy?

W pierwszym odruchu chcę od razu pójść na policję. Tylko z czym? Ze zdjęciem kurtki w telefonie?

Co się stanie, jeśli przekonamy policjantów, że powinni tu przyjechać – pamiętajmy, że już raz nie byli zachwyceni tym pomysłem – po czym okaże się, że to nic więcej jak tylko kawałek niebieskiego materiału?

Wyjdę na głupka.

Jest tylko jedno rozwiązanie.

– Musimy sprawdzić, co jest pod spodem.

Devon wyciąga rękę, żeby chwycić kurtkę. Łapię go za nadgarstek i powstrzymuję.

– Zaczekaj. – Robiłem to wiele razy podczas badań terenowych albo w laboratorium, kiedy nieuważni studenci dawali się ponieść emocjom.

Wyjmuję z plecaka lateksowe rękawiczki i zakładam je. Noszę je ze sobą, na wypadek gdybym zetknął się z okazem, który mógłby zrobić mi krzywdę albo który ja mógłbym zniszczyć przez dotyk.

Kucam i ostrożnie ujmuję niebieski materiał. Gdybym miał odpowiednie narzędzia, usunęlibyśmy więcej ziemi przed wyciągnięciem kurtki, żeby jej nie zniszczyć.

Powoli ją unoszę. Zaczyna się wysuwać spod ziemi. Przez chwilę czuję opór, na co w głowie rodzi mi się przyprawiająca o mdłości myśl, że Chelsea wciąż ma tę kurtkę na sobie.

Delikatnie ciągnę za materiał. Pojawia się gryząca woń.

Devon wydaje odgłos, jakby się krztusił, i odwraca głowę. Amber zakrywa usta dłonią i robi krok do tyłu, ale nie odrywa oczu od dziury w ziemi.

W trakcie badań terenowych miałem do czynienia z wieloma martwymi organizmami, ale chyba nigdy nie czułem przy tym tak porażająco nieprzyjemnego smrodu.

Zasłaniam usta i nos koszulą i wyjmuję kurtkę z dołka. Jest w strzępach.

Na pierwszy rzut oka wygląda to tak, jakby materiał zaczął się rozkładać. Dopiero po chwili zauważam pięć długich rozcięć.

Kątem oka dostrzegam pod kurtką coś w kolorze marmuru.

Dwoma palcami, jak rydlem, wybieram ziemię i odsłaniam przedramię, nadgarstek i palce.

– O kurwa – bąka Devon.

W milczeniu wpatruję się w znalezisko, nie bardzo wiedząc, co począć. Kopać dalej? Próbować potwierdzić, że istotnie chodzi o trupa Chelsea, a nie jakiś wyjątkowo wyrafinowany żart?

Nie. Ręka jest wystarczającym dowodem. To musi być ona.

Z jednej strony moje własne wątpliwości wydają mi się głupie – bo przecież czy może to być coś innego? Z drugiej strony słyszę głos, który podpowiada mi, że to nieprawda. Nie chce dać wiary.

Podniecenie odkryciem jest zmaćone przez świadomość, że

rzeczywistość okazała się dużo mroczniejsza, niż sobie wyobrażałem.

– Daj saperkę – mówię do Devona.

– Chcesz ją wykopać? – pyta.

– Nie. Zasypiemy ją z powrotem. – Wyjmuję z plecaka worek na śmieci i nakrywam nim ciało, następnie zaczynam zasypywać dół.

– Dlaczego to robisz? – odzywa się Amber przez łyży.

– Ponieważ musimy ją zostawić policji. Znajdujemy się na miejscu zbrodni.

– Dobra, ale dlaczego zasypujesz?

– Żeby nie dobrały się do niej zwierzęta – wyjaśnia Devon.

– Włożymy kurtkę do worka i zabierzemy ze sobą. Resztę na razie zabezpieczymy.

Amber wyciera nos rękawem.

– Zadzwoń na policję? – pyta.

– Nie. Zawieziemy im kurtkę Chelsea – mówi Devon. – Spotkamy się z Charliem w komisariacie. Tak będzie łatwiej niż tłumaczyć wszystko przez telefon.

Wypełniwszy dziurę ziemią, przesuвам na nią kłodę.

– W ten sposób oznaczymy miejsce i utrudnimy dostęp padlinożercom.

Chelsea przeleżała sporo czasu nieniekpokojona, ale po tym, jak ruszyliśmy zwłoki, a zapach gnijącego ciała rozszedł się po lesie jak krew w wodzie, miejscowe zwierzęta już wiedzą, że coś tu jest.

Dociera do nas coraz mniej światła, za niecałą godzinę zrobi się zupełnie ciemno.

– Chyba się porzygam – mówi Amber.

Mógłbym powiedzieć to samo.

– Wracajcie do samochodu. Zaraz przyjdę, tylko schowam kurtkę do worka.

Devon daje mi znak kiwnięciem głowy i odprowadza Amber.

Oboje wspinają się po stoku, a kiedy znikają po drugiej stronie wzgórza, wkładam niebieską kurtkę do worka na śmieci, po czym kłodę, którą w obecności Devona i Amber oznaczyłem grób Chelsea, przesuвам mniej więcej dziesięć metrów dalej.

Nie ufam im, zwłaszcza biorąc pod uwagę niefortunne okoliczności,

w jakich się poznaliśmy. Nie mam wprawdzie powodu, by sądzić, że będą chcieli zrobić coś z ciałem, szczególnie że za godzinę będzie tu policja, ale naukowiec we mnie podpowiada, że nigdy dość ostrożności.

Amber siedzi w explorerze w objęciach Devona.

– Możemy po drodze podrzucić ją do domu? – pyta chłopak. – Wezmę pikapa i spotkamy się w komisariacie.

Prośba jest zasadna, ale myślę sobie, że dobrze zrobiłem, przesuwając tę kłodę.

– Oczywiście.

W milczeniu wracamy do miasta. Amber siedzi z tyłu i cicho łka; mierzy się ze świadomością, że jej przyjaciółka naprawdę nie żyje.

Devon kręci głową i mruczy pod nosem:

– Cholera jasna. Cholera jasna.

38

Informator

O tej godzinie parking przed komisariatem w Hudson Creek jest prawie pusty. Stoi tam tylko sześć radiowozów; oprócz nich widzę dwa cywilne auta. Do rozświetlonej dyżurki wchodzi się przez szklane drzwi.

Zabieram worek na śmieci, do którego włożyłem kurtkę należącą, jak przypuszczam, do Chelsea, i ruszam do budynku.

Wiele się wydarzyło w ciągu ostatnich kilku dni, doszło do wielu dziwnych i nowych dla mnie sytuacji: byłem podejrzany o zamordowanie Juniper, wyśmiano mnie w sali konferencyjnej biura szeryfa hrabstwa Filmount.

Na szczęście dzięki dowodom, które, mam nadzieję, policja uzyska w miejscu, gdzie sprawca zakopał ciało Chelsea, uda się przeprowadzić śledztwo i wywalczyć sprawiedliwość dla Juniper.

Czuję perwersyjną radość na myśl o tym, że szeryf Tyson uświadomi sobie swój błąd, a detektyw Glenn będzie musiał przyznać, że źle mnie ocenił.

Na chwilę się zapominam i traktuję tę sprawę jak prowadzony w branżowym czasopiśmie zawodowy spór o wnioski płynące z artykułu podsumowującego badania. Tymczasem zamordowano przecież dwie dziewczyny, a może nawet dużo, dużo więcej.

Moim celem jest po prostu prawda. Nie wolno mi mieszać do niej swojej próżności.

Wchodzę do budynku. Siedząca za biurkiem pani sierżant podnosi na mnie wzrok. Ma trzydzieści kilka lat, jest dobrze zbudowaną wiejską dziewczuchą i pewnie pokonałaby mnie w walce. Za jej plecami siedzi i rozmawia ze sobą dwóch umundurowanych policjantów. Jeden trzyma nogi na blacie.

– W czym mogę panu pomóc? – pyta rzeczowo policjantka.

Mogę sobie jedynie wyobrażać, z jakimi świrami ma do czynienia na nocnym dyżurze.

Zerkam na jej plakietkę.

– Pani sierżant Palmer, chciałbym zgłosić trop w sprawie zaginięcia Chelsea Buchorn.

Przypatruje mi się przez chwilę. Pewnie zauważyła siniak na mojej twarzy.

– Buchorn? Czy ona czasem nie wyjechała? – mówi, jednocześnie przeglądając kartki notatnika przymocowanego do podkładki z klipsem. – A, jest. Nawet nie wiedziałam, że zakwalifikowano ją do zaginionych. – Odkłada notatnik. – Mówi pan, że ma dowód na jej uprowadzenie?

Kładę worek na blacie.

– Myślę, że została zamordowana.

Palmer spogląda podejrzliwie na worek i kładzie dłoń na kaburze.

– Bardzo proszę odsunąć się od biurka.

Robię, co każe.

– Przepraszam. Wiem, że to wygląda dziwnie.

– Proszę usiąść na tamtej ławce. – Wskazuje mi miejsce pod przeciwległą ścianą, po czym wzywa swoich kolegów, zatopionych w niespiesznej konwersacji: – McKenna, Gunther, pozwólcie na chwilę.

Na widok Palmer z dłonią na pistolecie obaj zrywają się z foteli i podchodzą sprawdzić, co się dzieje. Właściciel plakietki z nazwiskiem „McKenna” jest wysoki i ma gęste czarne wąsy. Gunther jest niższy, masywniejszy i rudy.

– Co jest? – pyta McKenna, obrzucając mnie podejrzliwym spojrzeniem.

– Ten pan twierdzi, że wie coś na temat zaginięcia Chelsea Buchorn.

– Myślałem, że się wyprowadziła – zauważa Gunther.

– To samo powiedziałam. – Palmer ponownie sięga po notatnik i podaje go kolegom, żeby sami się przekonali.

McKenna przerzuca kartki i czyta.

– Pewnie stanowi wciągnęli ją na listę zaginionych. – Kręci głową.
– Muszą to uaktualnić.

– Co takiego pan wie? – pyta Gunther.

– Znalazłem jej zwłoki.
McKenna opuszcza notatnik.
– Słucham?
– Zwłoki Chelsea Buchorn. Zdaje się, że je znalazłem. – Wskazuje brodą worek. – To chyba jej kurtka.
Gunther podchodzi do worka.
– Mówiąc, że znalazł pan jej zwłoki, ma pan na myśli to, że natknął się na coś, co pana zdaniem należało do niej, i uważa pan, że w pobliżu może się znajdować jej ciało? – Zadając to pytanie, jednocześnie otwiera worek, z którego bucha odór rozkładu. – O kurwa! – wymyka mu się.
McKenna wyjmuje z kieszeni niebieskie rękawiczki. Sięga po kurtkę.
W jaskrawym świetle to, co wcześniej wziąłem za brud, okazuje się ciemnymi, czerwono-brązowymi plamami krwi.
Gunther wodzi wzrokiem po rozcięciach materiału.
– Jasna cholera.
McKenna chowa kurtkę z powrotem do worka.
– Gdzie pan to znalazł?
– Niedaleko autostrady numer dziewięćdziesiąt. Na GPS-ie mam dokładną pozycję.
McKenna zawiązuje supeł na worku.
– Carole, dzwoń po Whitmyera.
Palmer sięga po telefon.
– Gunny, weź mapę i poproś pana... Jak pan się nazywa?
– Theo Cray. Profesor Theo Cray. – Dodałem tytuł, żeby nie wzięli mnie za świra, ale zabrzmiałem jak ostatni osioł.
– Profesorze, czy mógłby pan zaznaczyć na mapie miejsce, gdzie znalazł ciało?
Gunther gestem zaprasza mnie do biurka. Przez chwilę grzebie w szufladzie, w końcu wyjmuje mapę.
– Jak pan znalazł ciało? – pyta, rozglądając się za długopisem. Jest blady jak ściana.
– Szukałem go.
– Szukał pan? Jak długo?

– Jakąś godzinę. – Próbuję się zorientować w mapie.
– Godzinę? No to się panu poszczęściło...
– Raczej. Ale miałem pomysł, gdzie szukać. – Stukam palcem w mapę. – Poza tym pomagali mi Amber Harrison i jej chłopak Devon.

Gunther milczy przez chwilę.

– Hm. Proszę zaznaczyć miejsce. – Podsuwa mi notatnik. – A tu niech pan napisze wskazówki.

Zakreślam obszar na mapie i zaczynam wypisywać szczegóły, takie jak umiejscowienie kłody.

Gunther odchodzi do McKenny i Palmer. Włączam Google Maps i porównuję lokalizację z mapą, którą dostałem od policjanta.

Widzę, że się naradzają całą trójką, ale nie wiem, o czym mówią, bo robią to zbyt cicho.

Amber i Devon powinni już tu być. Wspominali, że sprowadzą swojego kumpla Charliego, syna komendanta.

Wysłałam wiadomość do Amber.

Gdzie jesteście?

Wracam do uwag na temat ciała. McKenna podchodzi do mnie, kiedy już kończę pisać.

– To wszystko? – pyta.

– Tak. Chętnie pojadę z wami i pokażę.

– Przyjedziemy po pana, jeżeli sami nie znajdziemy. Tymczasem proszę opowiedzieć funkcjonariuszowi Guntherowi wszystko, co pan wie. Mamy tu salę konferencyjną.

Gunther prowadzi mnie korytarzem. Przypomina mi się, jak po raz pierwszy prowadzono mnie na rozmowę z funkcjonariuszem. Dziwne *déjà vu*.

Tamten policjant myślał, że jestem mordercą.

Gunther trzyma się na bezpieczną odległość i bacznie mnie obserwuje. Widząc jego zachowanie, bynajmniej nie czuję się, jakby traktował mnie jedynie jak zaniepokojonego obywatela.

Nadal brak odpowiedzi od Amber i Devona.

39

Współwinni

Tak zwana sala konferencyjna dziwnie przypomina pokój przesłuchań.

W kącie stoi kamera, zupełnie taka jak ta w biurze szeryfa hrabstwa Filmount. Gunther otwiera skrzynkę i przestawia kilka przełączników. Zaczyna mrugać czerwone światło.

– Słaby jestem w robieniu notatek – wyjaśnia, wskazując brodą kamerę. – Będziemy nagrywali naszą rozmowę wyłącznie po to, żeby móc zrozumieć pańską opowieść o tym, jak pan znalazł ciało.

Stara się być miły, ale brzmi protekcyjnie. Cechuje go również pewien dystans. Różni się od detektywa Glenna tym, że nie potrafi gładko prowadzić rozmowy.

– Zacznijmy od tego – mówi – skąd wzięło się to limo. – Wskazuje długopisem siniak na mojej twarzy.

– Długa historia. – Nie jestem pewien, czy to odpowiednia pora na wyjaśnianie nieporozumienia, za sprawą którego dwoje ćpunów sądziło, że chcę skorzystać z usług prostytutki.

Dwoje ćpunów, którzy wciąż nie odpowiedzieli na moją wiadomość...

Nękają mnie złe przeczucia, kiedy pomyślę, że Devon i Amber pojechali do domu i zwyczajnie się nawalili. Tylko tego mi brakowało.

– Mamy czas. McKenna chce poczekać na detektywa Whitmyera.

– Przewróciłem się – odpowiadam. To nie do końca prawda, ale przecież pamiętam, że upadłem, kiedy dostawałem łomot.

– Przewrócił się pan? – Notuje coś na kartce. – To samo słyszę od żon damskich bokserów.

Zastanawiam się, jak zmienić temat. Na szczęście Gunther decyduje się odpuścić i przejść do rzeczy.

– Skąd pewność, że znalazł pan zwłoki?

– Och... byłbym zapomniał. – Wyjmuję telefon z kieszeni

i otwieram zdjęcie, które zrobiłem. – Proszę.

Gunther bierze aparat i wpatruje się w obraz przedstawiający bladą białą rękę.

– Pan je zrobił?

– Niecałą godzinę temu. W miejscu, które wam wskazałem.

– Chwileczkę. – Wstaje i wychodzi z moim telefonem.

Zwykle zaczynam się denerwować, kiedy telefon znika mi z oczu. Sytuacja, w której przejmują go szemrani funkcjonariusze policji na posterunku, gdzie rządzi korupcja, ja zaś sam dałem się wciągnąć nie w jedno, ale w dwa śledztwa w sprawie o morderstwo, napełnia mnie wręcz skrajnym niepokojem.

Co się stanie, jeśli Amber i Devon odezwą się akurat wtedy, kiedy policjanci będą mieli w rękach mój telefon? Czy mają prawo przeglądać całą jego zawartość, skoro dobrowolnie im go przekazałem?

Nawet jeśli prawo ich do tego nie upoważnia, nie znaczy to, że tego nie zrobią.

Detektyw Glenn i spółka przejęli mój telefon i laptopa, ale nie zażądali haseł dostępu.

Zresztą nie ma tam nic obciążającego. Może tylko kilka krepujących osobistych e-maili i historia przeglądarki, jakiej należałoby się spodziewać u podróżującego samotnego mężczyzny. Nic nietypowego. Nic, co można by wrzucić w obieg wśród kumpli.

Kusi mnie, żeby wstać i pójść odzyskać telefon. Kładę dłoń na kieszeni, wyczuwam znajomy kształt – i się rozluźniam. Mój osobisty aparat.

Zrobiłem zdjęcie jednorazówką na kartę, którą kupiłem w sklepie na stacji benzynowej. Poza nim niczego tam nie ma.

To nie do końca prawda. Jest rozmowa pomiędzy mną a Amber. Ale przecież powiedziałem im o niej i Devonie.

Fakt, że posłużyłem się tanim jednorazowym aparatem, może budzić wątpliwości, to prawda, ale z pewnością nie może obciążyć mnie bardziej niż to, co jestem gotów powiedzieć.

Gunther wraca i oddaje mi telefon. Na ekranie nadal widnieje zdjęcie martwego ciała.

Nie to, żeby przejrzenie zawartości aparatu i powrót do fotografii mogły sprawić jakąkolwiek trudność.

Podaje mi wizytówkę.

– Proszę przesłać zdjęcie i wszystko inne, czym pan dysponuje, pod ten adres. – Daje mi kilka chwil na wypełnienie polecenia. – To zdecydowanie wygląda na zwłoki.

– Dużo osób przychodzi z takimi historiami, które okazują się fałszywe?

– Zdziwiłby się pan – rzuca beznamiętnie. Przygląda mi się z wyczuwalną niechęcią. – Proszę opowiedzieć, w jakich okolicznościach odnalazł pan ciało.

– Jak już mówiłem, szukałem Chelsea.

Gunther notuje.

– Znał ją pan?

– Nie, nigdy jej nie spotkałem.

– Przeczytał pan o niej w internecie? Pracuje pan w organizacji zajmującej się poszukiwaniem zaginionych osób?

– Nie. Wykładam bioinformatykę. To o zastosowaniu komputerów w naukach biologicznych.

– Nie wiedziałem, że to coś specjalnego. Myślałem, że każdy używa komputera.

Nie potrafię stwierdzić, czy Gunther tylko pozuje na osła, czy naprawdę nim jest.

– W bioinformatyce wykorzystuje się określone symulacje i procesy w celu zrozumienia pewnych zjawisk. Dzięki temu odnalazłem Chelsea, a raczej ciało, które jak sądzę, należało do Chelsea.

– Komputer to panu podpowiedział?

Nie bardzo mam ochotę wnikać w zasadę działania MAAT-a, mówię więc krótko:

– W pewnym sensie.

– Komputer doprowadził pana do miejsca, w którym ją zakopano?
– Policjant nie jest w stanie ukryć sceptycyzmu.

– Nie, to nie tak. – Zaczynam się irytować. – Komputer, to znaczy program, wskazał Hudson Creek jako miasto, w którym z dużym prawdopodobieństwem mogło dojść do morderstwa dokonanego na

młodej kobiecie.

Gunther milczy. Czeką na ciąg dalszy.

– Wprowadziłem do komputera dane o wszystkich zaginionych osobach i przejrzałem rejestr pod kątem tych, które mogły paść ofiarą morderstwa. Tak natrafiłem na Chelsea. Była najbliżej.

– Najbliżej pana miejsca zamieszkania?

– Nie. Mieszkam w Austin. A wtedy byłem w Filmount.

– W Filmount? To tam, gdzie niedźwiedź zabił dziewczynę?

– Tak. Była moją studentką. Myślę, że nie zrobiło tego zwierzę. Dlatego tu przyjechałem.

– Uważa pan, że obie te dziewczyny zabił człowiek? A jedną z nich znał pan osobiście?

– Właśnie tak.

– Przepraszam na chwilę. Sprawdzę, czy Whitmyer już przyjechał. – Znów wychodzi.

Sprawdzam telefon w nadziei, że Amber i Devon się odezwali. Nadal nic. Wysyłam im kolejną wiadomość.

Kiepsko to będzie wyglądało, jeśli dwoje moich świadków zjawi się na totalnym hajju.

Zaczynam się jeszcze bardziej denerwować. A jeśli celowo nie odpowiadają?

W tej chwili najbardziej boję się tego, że kiedy policja dotrze do miejsca pochówku Chelsea, ciała już tam nie będzie. Można się wykończyć nerwowo świadomością, że najważniejszy dowód pozostawiło się po prostu na odkrytym terenie.

Nie znam powodów, dla których Devon i Amber mogliby chcieć ukryć zwłoki Chelsea. Przesunąłem kłodę pełniącą funkcję wskazówki, ponieważ im nie ufam.

Gunther wraca z dwoma kubkami kawy.

– Whitmyer, który pełni u nas obowiązki komendanta, właśnie wyjechał po ciało – informuje mnie. Zauważa telefon w mojej dłoni. – Devon i Amber się odezwali?

– Niestety nie.

– Raczej nie można na nich polegać. Wyślemy kogoś po nich.

Modlę się, żeby nie byli nawaleni.

– No dobrze. Czyli program komputerowy podpowiedział panu, gdzie znaleźć ciało? Cholerka, chciałbym mieć taką apkę.

Myśli, że mam nierówno pod sufitem.

Nie mam do niego pretensji. Biorąc pod uwagę wszystko, co do tej pory powiedziałem, to i tak dziwne, że jeszcze mnie nie zakuli.

Wygląda na to, że jednak muszę wyjaśnić pewne rzeczy.

– Amber pokazała mi, gdzie po raz ostatni widziała Chelsea. Potem przeszukaliśmy okolicę pod kątem śladów pochówku.

– Szukaliście czegoś konkretnego?

– Istnienie jakiegoś znacznika oczywiście bardzo ułatwiłoby nam sprawę. Ale nie. Szukaliśmy skupisk roślin. Fakt, że akurat te, a nie inne rosną w jednym miejscu, wskazuje, że tam właśnie niedawno spulchniono glebę. Rośliny produkują własne herbicydy, służące im do walki o zasoby. W końcu jedna z nich przejmuje teren, o który toczy się bój.

– Chyba nie uczyli mnie o tym w akademii.

– Wie pan, temat mógł się pojawić, o ile któryś z pańskich wykładowców był profesorem botaniki, laureatem Nagrody Nobla i nauczycielem doktorantów na MIT. – Zdaje się, że tym zdaniem wygrałem konkurs na najbardziej zadowolonego z siebie zarozumialca.

– Nie. Uczyli nas, jak obezwładniać podejrzanych gazem pieprzowym i dusić pałką tak, żeby nie było widać śladów.

W jego głosie brakuje poczucia humoru, słychać tylko chłodny dystans.

Przypominam sobie, że dwóch jego kolegów siedzi w areszcie, komendant jest podejrzany o współpracę z handlarzami metamfetaminą, a mieszkańcy miasta sądzą, że funkcjonariusze „pomagają” niektórym z nich zniknąć.

Chcąc jakoś rozładować napięcie, zmuszam się do śmiechu.

– Nie chciałbym się panu narazić. Przyjechałem do Hudson, ponieważ staram się robić to, co słuszne.

Gunther przygląda mi się z kamienną twarzą.

Cholera.

Nagle ktoś puka do drzwi. To Palmer.

– Lawson był u Amber i Devona – mówi. – Obojga nie ma w domu.
– A Charlie? – pytam. – Ktoś z was dzwonił do niego?
– McKenna. Charlie twierdzi, że Amber i Devon nie odzywali się do niego przez cały dzień. – Przygląda mi się przez chwilę, po czym wychodzi.

Do diabła. Oni jako jedyni mogą potwierdzić, w jaki sposób odnaleźliśmy ciało. Tymczasem wsiąkli.

Niewątpliwie obawiają się zainteresowania, jakie skupią na sobie w związku z tą sprawą.

– Kto panu podbił oko? – Gunther nie pyta. Gunther żąda wyjaśnień.

Prawdopodobieństwo

Okazuje się, że funkcjonariusz Gunther to oprych. Miałem już do czynienia z podobnymi do niego. Kierowałem się wtedy zasadą, by za wszelką cenę unikać konfliktu i dawać im to, czego chcą.

Jeżeli powiem, czemu mam podbite oko, pogorszę sytuację Devona i Amber. Mam do nich żal o to, co się stało, i wciąż czuję ból, który mi zadali, ale też jest mi ich zwyczajnie szkoda.

Dodatkowym czynnikiem komplikującym sprawę jest wyjaśnienie, dlaczego w ogóle poszedłem na spotkanie ze znaną w okolicy prostytutką w bodaj najbardziej podejrzanych okolicznościach, jakie można sobie wyobrazić. Gdybym usłyszał tę historię z drugiej ręki, za nic bym w nią nie uwierzył. Profesor kawaler chciał się umówić z młodą dziewczyną w opuszczonym budynku po to tylko, by z nią porozmawiać... Jasne.

W przypadku Gunthera muszę wyznaczyć pewną granicę. Zaczyna mi chodzić kolano. Próbuje je opanować, żeby drżenie nie przeniosło się na resztę ciała.

– Skąd ten siniak? – powtarza Gunther.

– Nie przyszedłem tu rozmawiać o moim siniaku – odpowiadam nieprzekonująco.

– Będziemy rozmawiali o tym, o co pana zapytam.

Spoglądam w oko kamery.

– Chciałbym pomówić z adwokatem.

– Nie został pan o nic oskarżony.

Myślę o tym, że nagranie obejrzą również inni.

– Z chęcią porozmawiam z kimś innym, byle nie z panem.

Przez jego twarz przebiega grymas złości. Osoba oglądająca nagranie zrozumie, że z zawodowego punktu widzenia postawiłem Gunthera w trudnym położeniu. Liczył, że wyciągnie ze mnie coś, co w jakiś sposób mnie obciąży. Na początku byłem rozmowny, ale już nie jestem – ponieważ Gunther okazał się chamem.

Kładzie dłonie na blacie i odsuwa się razem z krzesłem. Robi to na tyle mocno, że stół podjeżdża po podłodze i uderza mnie.

Skoro jest jednym z tych policjantów z Hudson Creek, których *nie* aresztowano, to zdecydowanie nie chciałbym poznać tych, których zatrzymano.

Wstaje i opiera się na blacie.

– Myślisz, kurwa, żeś taki cwaniaczek? – Wsuwa dłoń do kieszeni i wyjmuję kółko z kluczykiem.

Tym samym, którym włączył nagrywanie w kamerze.

Szlag. Podchodzi do szafki z urządzeniem nagrywającym.

– Wszyscy widzieli, jak tu przyszedłeś poobijany.

Kurwa. Kurwa. Kurwa.

Pukanie do drzwi. Gunther gwałtownie odwraca głowę, wyraźnie zjeżony, że mu się przerywa.

– Czego?

Palmer mówi przez zamknięte drzwi:

– Whitmyer cię wzywa. Masz pojechać na miejsce.

– Ki chuj? Rozmawiam ze świadkiem.

Sierżant daje mu znak, żeby wyszedł. Gunther robi to niechętnie, posyłając mi tyle gniewnych spojrzeń, ile stawia kroków.

Drzwi są lekko uchylone. Słyszę szept Palmer.

– ...mówi, że znaleźli zwłoki.

– No to chyba powinienem zmusić go do gadania, nie? – odwarkuje Gunther.

– Whitmyer nie chce, żebyś się do niego zbliżał.

Mówią o mnie.

– Kurwa – cedzi Gunther i wymierza ścianie cios pięścią.

Słyszę, jak odchodzi.

Do pomieszczenia zagląda Palmer.

– Wszystko w porządku? Przynieść panu coś? – Jest uprzejma i miła. Uderzający kontrast z funkcjonariuszem Guntherem.

Nie znam zwyczajów panujących w tym miejscu, dlatego boję się odezwać, ale to silniejsze ode mnie.

– Będę musiał znowu z nim rozmawiać?

Kobieta ogląda się za siebie, potem znów patrzy na mnie.

– Od pewnego czasu wszyscy żyjemy tu w dużym napięciu.

– Słyszałem.

Ścisza głos.

– Chelsea była jego kuzynką.

Jasny gwint. Te cztery proste słowa zupełnie zmieniają kontekst tego, co się przed chwilą wydarzyło. Gunther nadal jest palantem i oprychem, ale teraz jakby trochę bardziej go rozumiem. A przynajmniej tak mi się wydaje.

Palmer daje znak, bym za nią poszedł.

– Wróćmy do dyżurki. Ktoś musi ją obsługiwać, skoro wszyscy pojechali do lasu.

Zajmuję miejsce obok biurka zawalonego albumami ze zdjęciami policyjnymi.

– Whitmyer mówi, że rano przyjadą technicy z policji stanowej. W tej chwili nasi zabezpieczają teren.

– Czy to ona?

– Nie wiem. Wątpię, żeby chcieli naruszyć grób bardziej, niż to konieczne. Wykopanie ciała pozostawią technikom.

Brzmi rozsądnie. Jestem więźniem hollywoodzkiego stereotypu, że każdy posterunek policji dysponuje pełnym zespołem specjalistów w dziedzinie medycyny sądowej, gotowych do działania o każdej porze dnia i nocy.

– Jest pan ekspertem od niedźwiedzi? – zagaja Palmer.

– Nie. Jestem wprawdzie biologiem, ale nie specjalizuję się w niedźwiedziach. – Ani trochę.

– Aha. Na pewno już pan to wyjaśnił Gunny’emu, ale proszę powiedzieć, skąd pan wiedział, gdzie szukać?

– Oparłem się na wersji zdarzeń opowiedzianej mi przez Amber oraz nietypowo rozmieszczonej w tamtym miejscu roślinności.

– Aha. – Palmer mruga bez zrozumienia, ale nie podejmuje tematu i po chwili wraca do pracy. Brak mi odwagi, by zapytać, co dalej, więc po prostu siedzę i czekam.

Mniej więcej po godzinie do budynku komisariatu wchodzi ubrany w grubą kurtkę schludny mężczyzna około czterdziestki.

Pozdrawia Palmer skinieniem głowy, po czym zwraca się do mnie:

– Whitmyer, pełniący obowiązki komendanta policji w Hudson Creek. Czy to pan odnalazł ciało?

Wstaję.

– Tak, ja.

– Dobra robota. Gunny powiedział, że jest pan biologiem i że szukał pan roślin, które rosną na zwłokach.

Jezusie na kółkach. Chyba powinienem napisać o tym książkę.

– W zasadzie tak – odpowiadam, zbyt zmęczony, by wyjaśniać, co i jak.

Whitmyer podchodzi i podaje mi rękę.

– W każdym razie dziękuję. Nie mamy jeszcze potwierdzenia, że to istotnie ciało Chelsea, ale przypuszczam, że tak. – Wskazuje leżący na blacie worek na śmieci z kurtką w środku. – Czy to należało do niej?

– Tak.

Mężczyzna rzuca spojrzenie Palmer.

– Nikt nie pomyślał, żeby zabezpieczyć dowód?

– Przepraszam. McKenna tak to zostawił.

Whitmyer wyjmuję parę rękawiczek i nakłada maseczkę na twarz. Musiał używać ich na miejscu zbrodni.

Ostrożnie rozplątuje supeł zrobiony przez McKennę, zagląda do środka i szybko na powrót zawiązuje worek.

– Carole, czy możesz dopilnować, żeby ten przedmiot trafił do magazynu dowodów rzeczowych?

Palmer zabiera worek i odchodzi.

– Wygląda na to, że Amber i Devon dali nogę – mówi Whitmyer.

– Dlaczego mieliby to robić?

Pokazuje palcem siniak na mojej twarzy.

– Devon?

– Nie zrozumieliśmy się. Chciałem porozmawiać z Amber o tym, co się przydarzyło Chelsea. Devon myślał, że chodzi mi o coś zupełnie innego.

Whitmyer życzliwie kiwa głową.

– Chce pan wniesć oskarżenie?

– Nie. Przyjechałem tu tylko po to, żeby się dowiedzieć, co się stało z Chelsea i jaki to miało związek z Juniper Parsons.

– Tą dziewczyną, która zginęła w Filmount? Zabił ją niedźwiedź, prawda?

– Myślę, że nie. Właśnie dlatego zjawiłem się w Hudson.

– Aha. Zbadaniem ciała zajmą się technicy z policji stanowej. Gdzie pan się zatrzymał? – dodaje po chwili.

– W Creekside Inn.

– U Gusa? To dobry człowiek. Czy jutro też pan tam będzie?

– Tak. W końcu będę musiał wrócić do Austin, ale mogę zostać jeszcze kilka dni.

– W porządku. Jutro złożę pan oficjalne zeznanie. Tymczasem proszę odpocząć.

Spokojna i profesjonalna postawa Whitmyera jest dla mnie prawdziwym wytchnieniem. Wreszcie głos rozsądku w całym tym szaleństwie.

Mężczyzna odprowadza mnie do drzwi.

– Raz jeszcze dziękuję. Skontaktuję się z szeryf Tyson i przekonam się, co wiedzą w Filmount. Rozmawiał pan z nią? – pyta.

Czuję paraliż na samą myśl.

– Owszem... Niestety nie byli zainteresowani tym, co miałem do powiedzenia.

– Jestem pewien, że dzisiejsze wydarzenia pobudzą ich ciekawość.

Czuję, że może nie wyjść z tego nic dobrego.

41

Zastój

Jestem w motelu. O jedenastej rozlega się pukanie do drzwi. Niewiele spałem, mimo że byłem wykończony. Część nocy poświęciłem na porządkowanie notatek i przerzucanie wszystkiego, co udało mi się ustalić, na pendrive dla policji.

Podszedłem do sprawy jak do raportu pisanego na potrzeby czasopisma naukowego. Chcę, żeby śledczy dobrze zrozumieli mój tok myślenia oraz następstwo zdarzeń, które doprowadziły do odnalezienia zwłok Chelsea – może to mieć pierwszorzędne znaczenie dla kwestii mojej wolności.

Do materiałów dołączyłem dane wygenerowane przez MAAT-a, a także instrukcję, jak korzystać z wersji online programu znajdującej się na moim serwerze. Jestem pewien, że FBI i inne agencje dysponują lepszymi, bardziej specjalistycznymi narzędziami, ale mniejsze jednostki, takie jak komisariat w Hudson Creek, mogą nie mieć do nich dostępu.

Złożyłem w całość wszystkie informacje na temat *modus operandi* mordercy, łącznie z wyjaśnieniem, jak wpadłem na trop Chelsea.

W rękach kogoś o większej niż moja wiedzy z zakresu medycyny sądowej oraz metod prowadzenia śledztwa w sprawie kryminalnej może to być niezły materiał wyjściowy.

Działąłem w pojedynkę, a mimo to w zaledwie jeden dzień znalazłem kolejną ofiarę. Przy zaangażowaniu właściwych organów ochrony porządku publicznego morderca zostanie ujęty, zanim zdążę dotrzeć do Austin.

W skrzynce mam dwie wiadomości z pytaniem o to, dlaczego byłem nieobecny na zebraniu wykładowców. Odpowiadam krótko, że pomagałem przy śledztwie.

Pisaniu tych słów towarzyszy przyjemne uczucie. Uganianie się za żabami i dziwnymi atraktorami to jedno, a walka z przestępczością i zmienianie świata na lepsze – coś zupełnie innego.

Sporządziłem listę wszystkich rzeczy, których powinni poszukać w ciele Chelsea. Wbrew obiegowym sądom stał nierdzewna to siedlisko bakterii. Technicy powinni spróbować wyhodować bakterie pobrane z ran Chelsea i Juniper, a także z próbek okolicznej gleby – w celu porównania.

Jeżeli natkną się na kultury współwystępujące w ranach obydwu ofiar, ale nie w glebie bądź na nienaruszonych częściach zwłok, będzie to oznaczało, że w obu przypadkach zabójca użył tej samej broni. Kiedy śledczy ustalą podejrzanego, wystarczy zbadać jakiegokolwiek należące do niego ostre przedmioty pod kątem występowania owych bakterii i stanie się jasne, czy chodzi o właściwego człowieka.

Sporządziłem cały ustęp poświęcony procedurom laboratoryjnym, z których skorzystałbym, chcąc uzyskać statystycznie istotny wynik. Wyjaśniłem w nim również, jak użyć markerów DNA z kultury bakterii w celu identyfikacji na poziomie głębszym niż gatunkowy.

Być może dysponując danymi z laboratoriów policyjnych, mógłbym wprowadzać je do MAAT-a i oferować innym klientom dokładniejsze prognozy?

To mógłby być ciekawy projekt. Przy najbliższej okazji szepnę co trzeba Julianowi; na pewno spodoba mu się ten pomysł.

Wstaję z łóżka i otwieram drzwi. Na progu stoi młody funkcjonariusz policji. Zerkam na plakietkę z nazwiskiem: Wojtczak.

– Profesor Cray?

Potwierdzam skinieniem głowy i przecieram zaspane oczy.

– Poproszono mnie, żebym towarzyszył panu w drodze do komisariatu. Ma pan złożyć oficjalne zeznanie.

– W porządku. Tylko zabiorę kilka rzeczy.

Policjant czeka cierpliwie, aż się ubiorę i pozbieram notatki.

– To pan znalazł ciało? – zagaduje. – Słyszałem, że odkrył pan roślinę, która rośnie tylko na zwłokach.

Ha, poczta pantoflowa.

– To trochę bardziej skomplikowane. – Zarzucam plecak na ramię.

– Wiadomo coś o Devonie i Amber? Znaleźli ich?

– Jeszcze nie.

– A ciało? Wykopali je?

– Nic mi o tym nie wiadomo. Technicy z policji stanowej spędzili w lesie cały poranek. Zjawili się bardzo wcześnie. Zdaje się, że lekarz sądowy dokonał oględzin na miejscu.

Cieszy mnie ich ostrożność i skrupulatność. Miejsce pochówku Chelsea może dostarczyć mnóstwa interesujących danych.

*

Docieramy na komisariat. Policjant prowadzi mnie do sali konferencyjnej, znacznie większej od tej, w której wczoraj przesłuchiwał mnie Gunther.

Zamieram w progę, gdy dostrzegam szeryf Tyson i detektywa Glenna siedzących przy stole.

Ich widok przywołuje bolesne wspomnienie. To zrozumiałe, że powinni być obecni przy tej rozmowie, co nie zmienia faktu, że echo naszych wzajemnych relacji wciąż wywołuje we mnie stres.

Glenn podnosi głowę.

– Co się panu stało w oko, profesorze? – pyta serdecznym tonem.

– Długa historia.

Dostaję miejsce przy drugim końcu stołu.

Wchodzi Whitmyer w koszulce polo z emblematem policji w Hudson Creek. Ma ubłocone buty. Prawdopodobnie od rana przebywał na miejscu zbrodni.

– Witam, profesorze Cray. – Podaje mi rękę.

– Czy to ona? – pytam od razu.

Whitmyer zerka na Tyson. Pani szeryf daje znak głową. Zdaje się, że łączy ich jakieś porozumienie dotyczące sposobu postępowania w tej sprawie. Cieszę się, że współpracują ze sobą.

– Tak, profesorze. To ciało Chelsea Buchorn. Skoro już jesteśmy w komplecie, chciałbym, żeby zreferował pan przebieg zdarzeń, które doprowadziły pana w tamto miejsce. Proszę niczego nie pomijać. – Wskazuje moje podbite oko. – Tu chodzi o Chelsea i Juniper.

Powtarzam wszystko, co opowiedziałem Guntherowi. Opisuję zasadę działania MAAT-a i to, jak doprowadził mnie do Hudson

Creek. Wyjaśniam w szczegółach, jak odnaleźliśmy zwłoki, i podaję kilka punktów odniesienia, w razie gdyby zechcieli to i owo sprawdzić.

To wyczerpujące. Przerywają mi kilka razy, żebym to albo owo doprecyzował, ale nie próbują mi niczego zarzucać.

Na koniec kładę na stole pendrive.

– Tutaj jest wszystko, co powinniście wiedzieć. Łącznie z moimi wskazówkami, jak odnaleźć kolejne zwłoki. Bo wydaje mi się, że to nie koniec.

Przez cały ten czas szeryf Tyson bacznie mi się przyglądała. Pozwalała Glennowi zadawać wszystkie pytania. Od czasu do czasu wskazywała coś na liście, ale twardo milczała.

Dlatego teraz aż podskakuję na dźwięk jej głosu.

– Profesorze Cray, chcę przeprosić za to, jak pana potraktowaliśmy. To zrozumiałe, że bardzo przeżywał pan śmierć przyjaciółki. Powinniśmy byli wysłuchać tego, co miał pan do powiedzenia.

Nie posiadam się z radości. Brakuje mi słów.

– Dziękuję.

Detektyw Glenn wstaje.

– Podziwiam pańską wytrwałość – oznajmia i zaczyna bić brawo.

Po chwili klaszczą wszyscy w sali. Scena jak ze snu. Czuję, że łzy napływają mi do oczu.

– Żal mi jedynie przerwane go życia Juniper. I Chelsea.

Whitmyer zabiera pendrive i kładzie mi ciężką dłoń na ramieniu.

– Dopilnuję, żeby kopia tych materiałów trafiła do Służby Ochrony Przyrody.

– Świetnie, doskonale – odpowiadam i dopiero po chwili dociera do mnie sens słów. – Chwileczkę. Do Służby Ochrony Przyrody? A agencje ochrony porządku publicznego? – Zaskoczony rozglądam się po zebranych.

– Panie profesorze, wiem, że to dla pana duży stres – mówi Whitmyer. – Rozmawiałem z szeryf Tyson i detektywem Glennem o wcześniejszym zdarzeniu. Trudno uporać się z żalem po stracie bliskiej osoby. Z chęcią udzielimy panu pomocy w tym zakresie. Mamy tu terapeutów, świetnych terapeutów.

Patrzę na nich i nie rozumiem.

– A śledztwo w sprawie morderstwa? A szukanie sprawcy?

Whitmyer wymienia spojrzenia z Tyson i Glennem.

– Panie profesorze, wiem, że trudno to panu zaakceptować, ale sprawcą był niedźwiedź. W obu przypadkach. Lekarz sądowy policji stanowej, doktor Wilson, właśnie jedzie tu do nas z ciałem. Twierdzi, że obrażenia wskazują na atak niedźwiedzia.

– Ale przecież była zakopana... – Zaczynam podnosić głos.

– Niedźwiedzie tak robią – mówi Glenn. – Poza tym długo leżała w grobie. Sam pan zauważył, że erodująca skała przykryłaby ciało dodatkową warstwą ziemi i kamieni.

Znów mam przebłysk z naszego ostatniego spotkania. Wtedy puściły mi nerwy i trafiłem za kratki.

Patrzę na Tyson, widzę, jak mnie obserwuje, i wiem, że tylko czeka, aż ponownie wybuchnę.

Mam ochotę przewrócić jebany stół i wrzasnąć na nich. Nie robię tego.

Zachowuję spokój.

– A zeznania Amber Harrison?

– To ja przyjmowałem jej zgłoszenie – mówi Whitmyer. – Była naćpana jak bąk. I wspomniała, że to mógł być niedźwiedź.

– Teraz jest przekonana, że to był człowiek – oponuję, pilnując się, żeby złość nie przelała się do moich słów.

– Być może. Tyle że gdyby teraz złożyła zeznanie, pod warunkiem że zdołalibyśmy ją znaleźć, nie byłoby ono wiele warte. Im więcej czasu upłynęło od zdarzenia, tym mniej możemy polegać na własnych wspomnieniach.

To prawda. Potwierdzam skinieniem głowy.

– Ale laboratorium przeprowadzi pełne badania zwłok?

– Naturalnie. – Obdarza mnie uśmiechem.

– A dane, które zebrałem?

– Osobiście je przejrzę. Proszę się nie pozbywać tych materiałów, mogą się bardzo przydać Służbie Ochrony Przyrody.

– W porządku – odpowiadam cicho. – Czy mogę już iść?

Whitmyer odprowadza mnie do wyjścia.

- Chciałbym uścisnąć pańską dłoń. Dziękuję.
 - Nie ma za co.
 - Ma pan daleko do domu. Wyjeżdża pan jeszcze dzisiaj?
 - Jeżeli nie potrzebujecie ode mnie nic więcej...
 - Na pewno skontaktujemy się z panem telefonicznie. I to nie raz.
- Wychodzę z budynku. Czuję na sobie spojrzenie Whitmyera.

Odprowadza wzrokiem smutnego profesora Donkiszota.

Nie mam tu nic więcej do roboty.

Próbowałem.

Naprawdę się starałem.

Pora wracać do domu.

Na parking wjeżdża furgonetka. Ma z boku napis: LEKARZ
SĄDOWY PRZY POLICJI STANU MONTANA.

W środku znajduje się ciało Chelsea.

Nie powinno mnie to obchodzić. Ale obchodzi. Powinienem wyjechać. Ale nie wyjeżdżam.

Wskrzesiciel

Historia nauki zna wiele przypadków ludzi, którzy musieli wykroczyć poza ramy tego, co społecznie akceptowalne. Dążąc do zrozumienia reguł rządzących ludzkim ciałem, rzymski medyk Galen i geniusz renesansu Leonardo da Vinci musieli uciekać się do wykopywania zwłok z grobów. Dzięki swym odkryciom, dokonany na drodze notorycznego naruszania zasad, ocalili wiele istnień.

Tłumaczę sobie, że mi również zależy na życiu innych i nie chodzi wyłącznie o udowodnienie, że miałem rację. Na wolności grasuje morderca, a ludzie zgromadzeni w sali, z której przed chwilą wyszedłem, nie dostrzegają tego, co oczywiste.

Muszę się przygotować psychicznie na to, co chcę zrobić. Jeśli będę zbyt dużo o tym myślał, nie znajdę w sobie odwagi.

Chowam się za samochodem i obserwuję, jak dwóch mężczyzn w kombinezonach techników wysiada z furgonetki i tylnymi drzwiami wchodzi do komisariatu.

Gdyby chodziło o inną markę samochodu, nawet nie brałbym tego, co chcę zrobić, pod uwagę. Gdyby ciało Chelsea spoczywało zamknięte w kostnicy, myśl o uczynieniu tego byłaby dla mnie tak odległa jak powierzchnia Marsa.

Cóż jednak, skoro mam przed sobą dodge'a sprintera. Takie auta jeżdżą jako karetki. Kiedy byłem sanitariuszem, znałem sprintera jak własną kieszeń.

I chyba ta swojskość sprawia, że nie czuję się, jakbym łamał prawo. A także to, że przecież mogłem pobrać próbki ze zwłok Chelsea, kiedy ją znaleźliśmy, ale nie zrobiłem tego.

Nie zrobiłem, ponieważ wyszedłem z założenia, że prowadzący śledztwo przyłożą się do wytropienia mordercy. Pomyliłem się.

Nie potrafiłbym otworzyć zamka wytrychem, nawet gdyby ktoś przystawił mi pistolet do głowy i kazał to zrobić. Na szczęście wszystkie sprintery, którymi jeździłem, miały ukryty przełącznik do

otwierania drzwi, na wypadek gdyby załoga zapodziała klucze podczas interwencji.

Ceną braku dostępu do auta mogło być czyjeś życie.

Przełącznik nie uruchamia samochodu, jedynie otwiera drzwi. Wszystkie drzwi.

W mojej karetce znajdował się po wewnętrznej stronie lewego przedniego nadkola.

Upewniam się, że w zasięgu wzroku nikogo nie ma, po czym podchodzę do wozu, sięgam ręką i próbuję wymacać przycisk.

Nic z tego.

Powtarzam tę samą czynność po stronie pasażera. Natrafiam na coś gumowego. Naciskam.

Klik!

Dostaję gęziej skórki. Adrenalina zalewa mi organizm. Czuję się, jakbym rozwiązał skomplikowaną łamigłówkę.

Przechodzę na tył furgonetki. Kładę dłoń na klamce, naciskam – działa.

Ogarnia mnie trudny do zdefiniowania niepokój. Nie wahaj się, po prostu zrób, co masz zrobić, mówię sobie.

Wślizguję się do środka i delikatnie zamykam za sobą drzwi.

Nakładam gumowe rękawiczki, trzymając w zębach kieszonkową latarkę.

Worek na zwłoki zajmuje połowę furgonetki. Sądząc po kształcie rysującym się pod czarną gumą, stężenie pośmiertne ułożyło członki Chelsea w niezgrabnej pozycji.

Nie pora teraz na analizowanie agonii, jaką przeszła.

Na studiach przeprowadziłem dziesiątki dysekcji. Ta nie powinna się różnić od pozostałych – jeśli nie liczyć daleko posuniętego stanu rozkładu ciała.

W zestawie do badań terenowych mam fiolki na próbki, ale zapomniałem zabrać maseczkę. Fu. To będzie raczej nieprzyjemne.

Nie myśleć teraz o tym niedopatrzeniu. Odsuwam zamek.

Odór jest nieznośny. Staram się nie oddychać.

Tam, gdzie na skórze Chelsea nie ma krwi, błota albo brudu, jej ciało jest białe jak kreda.

Łatwo znajduję ranę. Jest ich wiele.

Jest cała pocięta, obrażenia wyglądają jak tygrysie pasy.

Mogę zrozumieć, dlaczego dla wszystkich wygląda to na atak zwierzęcia. Był brutalny, bezwzględny. Głowa dziewczyny została niemal oderwana.

Sam zaczynam mieć wątpliwości...

Nie teraz, nie teraz. Powtarzam sobie, że przywiodła mnie tu nauka. Nie ma znaczenia, co mi się wydaje, że widzę, istnieją bowiem znacznie precyzyjniejsze narzędzia umożliwiające zrozumienie tego, co zaszło.

Wypełniam kilka fiolek zgęstniałą krwią i tkanką z trzech różnych ran: na szyi, ręce i klatce piersiowej, tuż pod lewą piersią, tam gdzie pod rozerwaną bluzką widnieje głębokie rozcięcie.

Zauważam ślady na niektórych ranach – to miejsca, z których lekarz sądowy pobrał własne próbki.

Jeśli chcę przeprowadzić swój eksperyment z bakteriami, potrzebuję kawałka skóry Chelsea, ale nie pochodzącego z rany.

Znajduję takie miejsce pod dżinsami, tam gdzie gumka z majtek nadal wrzyna się w ciało; udaje mi się zdobyć czysty wymaz.

To powinno wystarczyć. Później będę musiał się jeszcze postarać o próbki gleby z miejsca pochówku. Na razie kręci się tam tłum policjantów.

Mogę poczekać kilka dni.

Kilka dni...

Pora na powrót do Austin.

Może przyjadę tu w piątek po pracy i wrócę do siebie w niedzielę wieczorem?

Ani to miejsce, ani czas na analizowanie grafiku zajęć na uczelni.

Chowam fiolki do kieszeni, po czym dokładnie zamykam worek.

I proszę, ciało znów elegancko zapakowane. Nawet gdyby lekarz sądowy wiedział, że ktoś poza nim uzyskał próbki, to wątpię, żeby potrafił wskazać, skąd dokładnie zostały pobrane.

Rękawiczki są brudne od ziemi i krwi, ściągam je więc i chowam do kieszeni.

Przykładam ucho do drzwi i nasłuchuję. Cisza.

Przeżywam chwilę paniki, bo nie mogę znaleźć klamki. A jeśli ta furgonetka nie otwiera się od środka?

Nie, jednak jest. Co za ulga! Przeraza mnie myśl, że miałbym utknąć w tym odorze i jechać w nim aż do Heleny.

Powoli naciskam klamkę i ostrożnie otwieram drzwi, tylko na tyle, by móc się przecisnąć.

Stawiam stopę na betonie i od razu czuję, że coś jest nie tak.

Spod smrodu gnijącego ciała Chelsea przebija dym.

Odwracam się i widzę funkcjonariusza Gunthera, który rzuca papierosa na ziemię i piorunuje mnie wzrokiem.

– Co, do chuja? – Jego dłoń wędruje do kabury. – Na ziemię! Już! – wrzeszczy.

Kurwa. Kurwa. Kurwa.

Kozioł ofiarny

Psychologia człowieka to wiedza, która dociera do mnie w sposób teoretyczny i zwykle dopiero po fakcie, ale w gniewie bijącym ze spojrzenia Gunthera oraz w tym, jak policjant rozszerza nozdrza w pierwotnym odruchu, jest coś, co mówi mi, że mężczyzna jest na mnie wściekły nie tylko dlatego, że dopuściłem się wykroczenia. Istnieje pewnego rodzaju więź łącząca go z Chelsea i wykraczająca poza związki rodzinne. I ja tę więź naruszyłem.

Uzmysławiam sobie również, że za kilka chwil będę leżał skuty na ziemi i oskarżony o popełnienie przestępstwa. Zostanie mi zarzucone fałszowanie dowodów, a także kradzież tkanki ze zwłok (nie wiem, jak prawo stanowe Montany odnosi się do tej drugiej kwestii).

Moje prywatne śledztwo w sprawie tego, co przydarzyło się Juniper, moje życie... Wszystko weźmie w łeb, jeśli nie znajdę wyjścia z sytuacji.

Nadal stoję. Podejmuję pierwszą próbę.

– Chciałem tylko obejrzeć rany.

– Na ziemię, kurwa! – Każde jego słowo jest jak rozpalona do białości plwocina.

Wyjmuje broń i celuje mi prosto w twarz. Niewiele mnie dzieli od chwili, w której Gunther naciśnie spust, pocisk pomknie w kierunku mojego czoła, przebije czaszkę i pozostawi z tyłu głowy pięciocentymetrową ranę wylotową, przez którą rozprysnie się mózg.

– Mogę się dowiedzieć, kto to zrobił...

Zdażyłem mimowolnie podnieść rękę. Z psychologicznego punktu widzenia oznacza to, że poddałem się jego władzy. Przyłapał mnie na czymś niewłaściwym, a ja fizycznie przyznałem się poprzez przyjęcie postawy świadczącej o uległości.

Gdybym mógł cofnąć czas o kilka sekund, uśmiechnąłbym się i zachowywał tak, jakby obecność Gunthera w ogóle mnie nie zdziwiła, zamiast gapić się na niego w zdumieniu, mową całego ciała

komunikując strach i poczuwanie się do winy.

Za chwilę, jeśli nie spełnię jego żądania, Gunther podejdzie i przystawi mi broń do czoła, jednocześnie zakuwając mnie w kajdanki. Szkolono go, by nie strzelać do ludzi, którzy nie wykonują gwałtownych ruchów – co innego, jeżeli ktoś stawia opór przy aresztowaniu bądź w jakikolwiek inny sposób zagraża bezpieczeństwu funkcjonariusza policji.

Zazwyczaj, kiedy policjanci zabijają nieuzbrojone osoby, dzieje się tak dlatego, że dostrzegają zagrożenie podczas kontaktu fizycznego albo pociągają za spust w reakcji lękowej, nie zdając sobie sprawy, z jaką siłą na niego naciskali.

Niektórzy noszą pistolety wyposażone w ciężki spust, dwu- albo nawet trzykilowy, po to, aby trudniej było przypadkowo wystrzelić z broni. Gunther wygląda mi na takiego, który preferuje spusty kilogramowe. Jest święcie przekonany, że w sytuacji kryzysowej zdoła nad sobą zapanować. To się okaże w ciągu najbliższych kilku sekund.

Nie ruszam się z miejsca. Gunther zachodzi mnie od tyłu.

– Te rany wyglądają na nietypowe – mówię. – Sądzę, że może chodzić o...

Chwyta mnie za prawy nadgarstek i wykręca. Nie opieram się, bo wiem, że wtedy przystawi mi lufę do nerki.

Próbuję inaczej. Wykorzystuję nasz wspólny cel.

– Możemy rozwiązać tę zagadkę.

Bransoletka zaciska się mocno na moim nadgarstku.

Cholera. Nie da się przekonać, żeby puścić mnie wolno. Wczuł się w rolę. Wkłada całą swoją wściekłość w wykonywanie czynności, których go wyuczono.

Łapie mnie za lewy nadgarstek i wykręca do tyłu. W następnym ruchu chowa broń do kabury, przekonany, że zdąży jej dobrać, zanim – czysto teoretycznie – zdobędzie nad nim fizyczną przewagę.

Dobry moment, by zacząć działać. To, co teraz zrobię, zadecyduje o moim losie.

Druga bransoletka zamyka lewy nadgarstek i wrzyna się w ciało. Gunther kładzie mi dłoń na ramieniu, drugą pociąga za łańcuch

kajdanek i popycha mnie na ścianę budynku.

Muszę postawić wszystko na jedną kartę. Zauważyłem pewną wspólną cechę Chelsea i Gunthera. Oboje mają identyczne szerokie czoło i taki sam kolor włosów. To niewiele, ale jednak. Taki rodzaj podobieństwa można zobaczyć na obrazku z rodzinnego pikniku.

Reakcja Gunthera to coś więcej niż chęć ochrony własnego zestawu genów.

Jest zbyt silna. Świadczy o wstydzie.

Moja jedyna droga ucieczki wiedzie przez domowe szambo.

– Wiem, co zrobiłeś.

Tężeje na ułamek sekundy, po czym zaczyna mnie obszukiwać.

– Nikomu nie powiem.

Prostuje plecy i pochyła się nade mną. Czuję na karku jego oddech.

– Niby co takiego wiesz, do kurwy nędzy?

Nie mam powodów przypuszczać, że Gunther miał cokolwiek wspólnego ze śmiercią Chelsea – aczkolwiek istnieje we mnie silne podejrzenie, że zdaje sobie sprawę, iż przyczynił się do uczynienia z niej łatwej ofiary.

Właśnie tam muszę uderzyć.

– Wiem, że jest twoją kuzynką.

Uderza mnie otwartą dłonią w kark, tak że walę głową o mur.

– Morda w kubel.

Nie zaprzeczył. Swoją reakcją przyznał, że wstydzi się związku. Skoro moje niewinne słowa wywołały w nim takie poruszenie, to to, co teraz powiem, naprawdę nim wstrząśnie.

Zbieram się w sobie i wreszcie...

– Wiem, że ją posuwałeś.

Bach! Wbija mi czubek buta pod kolano. Padam na ziemię. Ułamek sekundy później Gunther łapie mnie za kark i wymierza kopniaka.

Łąduję na boku. Boli jak cholera. Ale to jeszcze nie koniec, o nie.

– Rznąłeś swoją kuzynkę i zrobiłeś z niej kurwę.

– Stul pysk, chuju! – Bach! Trafia mnie butem w środek pleców.

Zwijam się z bólu. Widzę jego nabiegłą krwią twarz. Na czole – identycznym czole jak to należące do Chelsea – pulsuje mu gruba żyła.

Szybko liczę w myślach.

– Ile miała lat, kiedy ją po raz pierwszy przeleciałeś? Czternaście? Piętnaście?

– Myślisz, że jesteś zabawny? – Policzkuję mnie. Cios jest tak mocny, że czuję go w szczęce.

Ale to jeszcze nie wszystko, o nie.

Udaję uśmiech, szczerzę zęby, pokazuję mu, gdzie ma skierować swoją wściekłość.

– Chodziło ci tylko o to, żeby wyruchać kogoś z rodziny, czy po prostu lubisz jebać małe dziewczynki?

Po pierwszym ciosie wszystkie barwy stapiają się w czerwień i fiolet.

Po drugim odskakuje mi głowa i mocno uderza o beton.

Poprzednie manto zebrałem od amatorów. Tym razem mam do czynienia z zaprawionym sadystą.

Trzeci cios jest tak silny, że nawet go nie czuję, bo tracę świadomość.

44

Pacjent

Wiem, że jestem w szpitalu. Kiedy, gdzie i dlaczego – z tym gorzej. Lekarka o kasztanowych włosach, w różowych okularach i z płytkimi zmarszczkami na opalonej twarzy świeci mi światłem w oczy.

Ma ładną buzię, ale poczucie bezradności, jakie we mnie wzbudza, wyklucza wszelkie pożądanie. Chcę, żeby mi matkowała, co jak podejrzewam, właśnie robi.

– Theo? Obudził się pan? – pyta i dodaje coś jeszcze.

W chwili gdy próbuję się odezwać, moja twarz eksploduje bólem, który zagłusza jej słowa.

– Proszę nic nie mówić. Musieliśmy zadrutować panu szczękę.

Zerkam na swoje nadgarstki, żeby sprawdzić, czy jestem przypięty kajdankami do łóżka.

Nie jestem.

Co bynajmniej nie oznacza, że nie zostałem zatrzymany; obecność bransoletek byłaby po prostu ostatecznym tego potwierdzeniem.

Rozglądam się po sali, próbuję ustalić, gdzie jestem.

– Znajduje się pan w szpitalu w Blue Lake – informuje lekarka. – Leży pan u nas od dwóch dni. Ma pan szczęście, że funkcjonariusz Gunther pana znalazł. Obiecał, że zjawi się później, żeby przyjąć od pana zeznanie w sprawie mężczyzn, którzy pana zaatakowali.

Ach, czyli tak brzmi wersja oficjalna. Gunther dopilnuje, żebym się jej trzymał.

Nie pamiętam, co się wydarzyło po ciosie, który pozbawił mnie przytomności, ale mogę się tego domyślić.

Gunther zapewne zdjął mi kajdanki, załadował mnie do radiowozu i dostarczył do szpitala, który, mogę się założyć, nie znajduje się zbyt blisko komisariatu w Hudson Creek.

O to mi chodziło. Gdyby mnie aresztował, miałbym solidnie przechlapane i być może czekałaby mnie odsiadka. Z drugiej strony nie spodziewałem się, że spierze mnie aż tak okrutnie.

Lanie, które mi spuścili Devon i jego kumpel, miało mnie tylko wystraszyć i przepędzić z miasta. Tymczasem funkcjonariusz Gunther postanowił wyładować wściekłość. Przemówiła jego prymitywna natura.

Zakosztowałem tego, co spotkało Juniper i Chelsea przed śmiercią – z tą różnicą, że ich doświadczenie było, rzecz jasna, dużo bardziej przerażające. Moje sprowadziło się do pokazu brutalnej siły.

– Proszę kiwnąć głową, jeśli jest pan na tyle przytomny, żebym mogła zreferować pana stan.

Kiwam. Lekarka przysuwa sobie krzesło i siada. Rzucam okiem na plakietkę: Dr Talbot.

– Doszło do przemieszczenia stawu żuchwowego. Łatwo i bez problemów wrócił na swoje miejsce. Żuchwa nie jest złamana. Ale wolałabym, żeby pozostała unieruchomiona jeszcze przez jeden dzień. Opuchlizna powinna zejść po kilku dniach. Przez mniej więcej miesiąc proszę unikać znacznego rozwierania szczęki – niech pan zapomni o grubych kanapkach, jasne?

Potwierdzam skinieniem głowy.

– Pękła panu chrząstka żebrowa. Przez pewien czas będzie pan odczuwał ból, ale pęknięcie powinno zagoić się samo. Twarz mocno ucierpiała, ale niedługo znów pan będzie śliczny, o ile był pan przed pobiciem. Jeśli nie, to jest dobry moment, żeby pomyśleć o tej długo odkładanej operacji nosa. – Uśmiecha się. – Zatem rokowania są takie, że co prawda trochę poboli, ale nie doznał pan żadnego trwałego urazu. Przepiszę panu krótkoterminowo środki przeciwbólowe i zobaczymy, jak pan się będzie czuł za kilka dni. Potem zalecam ibuprofen albo piwo.

Wyciągam przed siebie dłoń, odwracam ją wewnętrzną stroną do twarzy i stukam palcem drugiej ręki.

– Chce pan lusterko? Na pewno jest pan gotowy na ten widok?

Kiwam głową. Lekarka wyjmuje podręczne lusterko z szuflady w szafce stojącej obok mojego łóżka i podsuwa mi je.

Moje policzki są jak mięsiste fioletowo-żółte grudy. Wzdłuż szczęki biegnie długa niebieska linia obwiedziona popękkanymi naczyniami.

Pracując jako sanitariusz, nieraz widziałem ofiary pobicia.

Nietrudno dopasować rodzaj zdarzenia do charakteru obrażeń. Bójki w barze często kończą się urazami w okolicy oczodołów i popękanyimi żebrami – bo napastnik powalił przeciwnika i zaczął go kopać; coś podobnego spotkało mnie, kiedy Amber spuściła koleżków ze smyczy.

W przypadku wezwań do ofiar przemocy domowej zauważyłem, iż ludzie ci często mieli popękane naczynia na policzkach; wynikało to z tego, że agresor wielokrotnie uderzał w twarz poszkodowaną osobę. Taki cios ma raczej charakter odwetowy niż obronny; policzkowanie jest obliczone na zadawanie bólu, cios pięścią – na unieszkodliwienie przeciwnika.

Zatem po tym, jak mnie zdzielił pięścią, Gunther zaczął mnie policzkować. Widać trafiłem we właściwą, osobistą strunę. Nie chodziło jednak wyłącznie o to, że upokorzyłem go swoją rzekomą wiedzą na temat jego kontaktów seksualnych z Chelsea. Dotknąłem czegoś innego: bezsilnej złości. Gunther nie zdołał obronić dziewczyny, do której bezbronności się przyczynił. Spowodowany tym gniew skierował na mnie. Kiedy leżałem nieprzytomny na ziemi, a Gunther otwierał pięść, by mnie spoliczkować, nie widział, jak sądzę, mojej twarzy. Oblicze, na które się zamierzał, mogło należeć do niego samego albo – co jeszcze bardziej przewrotne – do Chelsea.

Talbot klepie mnie po kolanie.

– Niech pan odpoczywa. Później, jeśli zejdzie opuchlizna, będę mogła zdjąć panu bandaż z głowy. Rany szybko się goją. Oby tak dalej.

Po jej wyjściu zawieszam wzrok na zasłonach. Przez kołyszące się na wietrze gałęzie przeświecają promienie słońca, tworząc hipnotyczny wzór na materiale. Przez wąską szczelinę widzę w oddali ośnieżony szczyt góry.

Dzięki środkom przeciwbólowym mam poczucie błogiego spokoju. Jeśli nie będę poruszał ustami, być może zdołam nawet zapomnieć o koszmarze, jaki przeżyło moje ciało. Lepiej cieszyć się chwilą, póki trwa. Bo za kilka dni ból będzie nie do zniesienia.

A potem... Co potem?

45 W drogę

Spisuję spostrzeżenia na żółtych kartkach notatnika, który Talbot była uprzejma mi dostarczyć po tym, jak zauważyła, że nawet nie włączyłem telewizora.

Myślałem nad pewnego rodzaju równaniem, uproszczoną wersją MAAT-a. Kiedy już zrozumiałem, jak zawęzić obszar poszukiwań, by ustalić miejsce, w którym ziemia została niedawno spulchniona, odnalezienie zwłok Chelsea nie zajęło mi dużo czasu. Nie wiem wprawdzie, na ile chętna do współpracy byłaby flora w innych regionach, ale tu, w Montanie, miejscowe gatunki sprawiły się doskonale.

Równanie przypomina program, rodzaj diagramu z instrukcjami warunkowymi. Na początku należy obliczyć prawdopodobieństwo istnienia zaginionej osoby pasującej do profilu podatności i zestawień otrzymany wynik z danymi geograficznymi oraz informacjami o gęstości zaludnienia. Teoretycznie mógłbym podstawić nowe zmienne i zastosować ten sam schemat w innym miejscu. Zamiast szukać wariacji w roślinności, wykorzystałbym dane topologiczne i oszacował, które miejsca morderca przypuszczalnie uznał za wystarczająco oddalone od cywilizacji, a zarazem na tyle dostępne, by ukrywać w nich ciała. Technicy z zakładu medycyny sądowej mogliby przeszukać teren pod kątem rozkładających się ciał, wykorzystując do tego sondy metanowe. Innym sposobem byłoby użycie sonaru do analizy gęstości gleby, a także przeprowadzenie badań termograficznych o różnych porach dnia; ciało zakopane w ziemi traci ciepło inaczej niż otaczająca je gleba.

Przyszło mi do głowy, że można by też sięgnąć po lidar, który jest rodzajem laserowego radaru odwzorowującego badany obszar w trzech wymiarach. Gdybym miał taką sposobność, szukałbym wgłębień albo wyniesień mniej więcej odpowiadających rozmiarom ludzkiego ciała. Może się to okazać statystycznie istotne i ułatwić

przeczesanie rozległego terenu w stosunkowo krótkim czasie.

Rozlega się pukanie do drzwi. Doktor Talbot zagląda do środka.

– O, wstał pan. To dobrze. Przyjrzyjmy się tej pańskiej facjacie.

Przysiada na brzegu łóżka i delikatnie obmacuje moją twarz. Fascynują mnie jej oczy. To oczywiste, że stara się chłodno i rzeczowo ocenić stan chorego, ale jednocześnie widać w jej spojrzeniu współczucie, niekoniecznie dla mnie jako osoby, ale dla mojego ciała – dla mnie jako pacjenta.

– Sprawdźmy. Proszę zamrużyć, jeśli będzie bolało.

Przesuwa palcami po mojej szczęce. Pojawia się delikatny ból, ale zdecydowanie słabszy w porównaniu z tym, który czułem wczoraj. Nie mrugam.

– Dobrze. Spróbujmy zdjąć.

Odwija bandaż, który unieruchamiał moją szczękę, i odkłada go na bok.

– Teraz proszę powoli otworzyć. Proszę przerwać, gdy tylko poczuje pan ból.

Udaje mi się rozchylić wargi na całkiem sporą szerokość, kiedy nagle przeszywa mnie ostry ból, którego źródło znajduje się w tylnej części jamy ustnej. Zamieram.

Lekarka wyjmuje krótką linijkę i mierzy odległość pomiędzy górnymi i dolnymi zębami.

– Wiem, że to mało naukowy przyrząd, ale mój tata był weterynarzem i w jego praktyce linijka świetnie się sprawdzała. Mam dobrą wiadomość: może się pan przerzucić z jedzenia przez słomkę na wszystko, co się zmieści na łyżce. Poproszę, żeby przynieśli panu zupe. Może być?

– Tak, pani doktor – odpowiadam głosem jak trzeszcząca płyta.

– Podam panu płyny. Tymczasem pora na spotkanie z gościem specjalnym.

Zerkam w stronę drzwi, licząc, że stanie w nich Jillian. Ale nie, w progu pojawia się funkcjonariusz Gunther.

Na krótką chwilę opanowuje mnie drzenie. Nie wiem, czy chodzi o reakcję jakiegoś wyższego poziomu, czy może o odzew pamięci mięśniowej, w każdym razie robi mi się zimno i czuję ucisk

w żołądku.

– Proszę spojrzeć, Theo, kto do pana przyszedł. Człowiek, który pana uratował. – Talbot posyła mi ciepły uśmiech i delikatnie ściska za ramię. – Na pewno cieszy się pan ze spotkania.

Łypię na Gunthera i kiwam głową.

– I to jak.

– Zostawię was samych. – Wstaje i podchodzi do Gunthera. – Bardzo miło z pana strony, że przyjechał pan go odwiedzić.

– Dziękuję, pani doktor – odpowiada z zażenowaniem.

Szczerze mówiąc, czuję się lepiej, widząc, że kłamstwo uwiera go jak za ciasne buty. Gdyby było inaczej, podejrzewałbym go o bycie socjopata. Gunther z zakłopotaniem przyjmuje pochwałę, starając się nie patrzeć na moją posiniaczoną twarz.

Zamyka drzwi za lekarką i siada w kącie. Zgarbiony wbija spojrzenie w podłogę. Nie chce na mnie spojrzeć, nie chce widzieć krzywdy, jaką mi wyrządził.

– Nie powinien pan był wchodzić do tej furgonetki – mówi po chwili krępującej ciszy.

Zmaga się z myślami, zastanawia się, czy postąpił słusznie, nie aresztując mnie.

– Oni nie znajdą mordercy Chelsea – mówię.

– Skąd pan wie?

– Widziałem, jak to wyglądało w przypadku Juniper. Tutaj powtórzy się to samo.

Odetchnąwszy z ulgą, że najwyraźniej nie zamierzam rozmawiać o tym, co mi zrobił, Gunther w końcu postanawia nawiązać kontakt wzrokowy.

– Nic pan nie wie o mnie i o Chelsea.

– Myślę, że bardzo panu na niej zależało. – Pomijam, że jest mu również bardzo wstyd z powodu tego, jaka Chelsea się stała.

– Byłem dla niej jak brat. Jej rodzice nigdy się nią nie interesowali, dlatego musiałem się nią opiekować. – Milknie. – Kiedy podrosła...

W małym mieście, takim jak Hudson Creek, dostępność kobiet jest ograniczona. Dlatego w wielu częściach świata małżeństwa pomiędzy rodzeństwem ciotecznym bądź stryjecznym są na porządku dziennym;

poza tym w społecznościach o sumie zerowej łatwiej zachować stan posiadania.

– Kiedy zobaczyłem, że pan wychodzi z tej furgonetki... Pomyślałem: „Co on odpierdala?”. A potem zaczął pan gadać i nie mógł się zamknąć. Co pan tam w ogóle robił?

– Szukałem bakterii i próbek włosów.

– Od tego naukowego gówna są technicy ze stanówki.

– Ja potrafię to zrobić lepiej. Dysponuję narzędziami nowocześniejszymi o jakieś dwie dekady od tego, co mają oni.

– Ta? A obronią pana w sądzie te „narzędzia”?

– W tej chwili nie dbam o sąd. Chcę znaleźć mordercę.

– Poważnie?

– Na tyle poważnie, że wolałem dać się skopać niż wykopać ze stanu i nie dokończyć tego, co zacząłem.

Kręci głową.

– Wiedziałem, że chodziło tylko o to, żeby mnie podkurwić.

– Dlatego leżę w szpitalu, a nie siedzę w więzieniu.

– Nic straconego.

Wskazuję obolałą twarz.

– Mógł pan powiedzieć, że stawiałem opór przy aresztowaniu, i może by się panu upiekło. Teraz to już niemożliwe. Był pan moją przepustką z więzienia.

– Może. A może nie. – Podnosi się. – Przyniosłem pańskie rzeczy. Plecak jest w szafce.

– Czy teraz usłyszę, że mam się wynosić z miasta?

– Chuj mnie obchodzi, co pan zrobi. Byleś się pan do mnie nie zbliżał. Jesteś pan jakiś dziwny.

Co ty powiesz?

Po jego wyjściu zbieram się w sobie i dźwigam z łóżka. Nie brakuje mi siły, za to leki przeciwbólowe sprawiają, że lekko kręci mi się w głowie. Chyba odpuszczę kolejną dawkę i zobaczę, jak się będę czuł.

Wyjmuję plecak z szafki, żeby dostać się do laptopa. Kiedy odpinam górną kieszeń, zauważam leżącą na moim ubraniu plastikową torebkę na dowody rzeczowe.

W środku znajdują się próbki, które pobrałem ze zwłok Chelsea.
Zostawił mi je.

Rok akademicki

Zamykam oczy i powoli otwieram usta na tyle szeroko, by zmieściła się w nich porcja placka wiśniowego. W tylnej części jamy ustnej czuję taki ból, jakby ktoś atakował końcówki moich nerwów szlifierką, ale znoszę go na tyle długo, by zdążyć włożyć kawałek ciasta i prędko zabrać widelec.

Najpierw czuję na języku kruszonkę, potem cierpkość wiśni, a na koniec lawinę słodkości bitej śmietany, która przyćmiewa wszystko pozostałe. Obracam ją w ustach. Kiedy skupiam się na smaku, ból ogranicza się do tępego pulsowania na drugim planie.

Otwieram oczy i widzę, że Jillian zajęła miejsce w boksie obok Gusa. Oboje patrzą na mnie dziwnym wzrokiem.

– Może panu zmiksować? – pyta kelnerka.

– Albo wolałby pan zostać sam na sam z tym plackiem? – dodaje właściciel motelu.

– Przepraszam. To mój pierwszy stały pokarm od kilku dni. – Biorę kolejny kawałek. – Pycha.

– Ale boli przy jedzeniu.

– Tylko kiedy otwieram usta. Warto przecierpieć.

Jillian wyciąga rękę i klepie mnie po wierzchu dłoni.

– No to niech pan wcina.

Nie uchodzi mojej uwadze, że jej palce lądują na moich kłykciach, zostają tam przez chwilę, po czym ześlizgują się, głaszcząc przestrzeń między nimi. Nie wiem, czy to było celowe, ale z pewnością zmysłowe.

Przygląda się mojej twarzy.

– Nie mogę uwierzyć, że nie złapali drani, którzy to zrobili.

Czuję się wyjątkowo niezręcznie, zmuszony kłamać jej i Gusowi, ale nie chcę powracać do czegoś, co jest zamkniętym rozdziałem.

– Na pewno wzięli mnie za kogoś innego.

– Szkoda, że się pan im nie przyjrzał.

– Fakt. Szkoda.

Gus rzuca ukradkowe spojrzenie Jillian, po czym ona zwraca się do mnie:

– Doktorze Cray, czy w przyszłości będziemy jeszcze mieli okazję widywać pana przy tym stole?

– W poniedziałek muszę być na uczelni. Zaczynają się zajęcia.

– Założę się, że nie może się pan doczekać powrotu – mówi Jillian.

– Tak... – Nabieram na widelec rozsmarowane po talerzu wiśniowe nadzienie. Kojarzy mi się z rozcięciami na ciele Chelsea. Naraz przechodzi mi ochota na jedzenie. – Ale pomyślałem, że może nie powinienem jeszcze wracać do pracy. – Wskazuję opuchniętą twarz. – Studenci chyba nie powinni rozpoczynać nauki, mając przed oczami taki widok.

– Może pan tak po prostu wziąć wolne?

– Oczywiście. Miałem poprowadzić zajęcia dla pierwszoroczniaków. Jest mnóstwo wykładowców nieetatowych, którzy spokojnie poradzą sobie z tym zadaniem.

Mijam się z prawdą. Być może uda mi się wydebić od szefostwa wydziału dzień albo dwa wolnego, o ile znajdę kogoś na zastępstwo, ale biorąc tydzień albo więcej na samym początku semestru, prosiłbym się o wymówienie.

Już od pewnego czasu zastanawiałem się, co robić, a teraz proszę: usta same ułożyły się w odpowiedź. Może w reakcji na sposób, w jaki Jillian zadała pytanie? A może zdecydował widok zwłok Chelsea i myśl, że zabójca Juniper wciąż przebywa na wolności?

Będę musiał powiadomić uczelnię, że nie pojawię się na rozpoczęciu semestru. Zauważam swoje odbicie w metalowym serwetniku i dochodzę do wniosku, że niewykluczone, iż funkcjonariusz Gunther wyświadczył mi kolejną przysługę.

Doktor Bacall, moja przełożona, pochodząca z wielkiego miasta zwolenniczka elityzmu, uważa, że pozostałą część świata zamieszkują zacofani, prymitywni jaskiniowcy. Wystarczy, jeśli wyślę jej e-mail z wyjaśnieniem, że napadł mnie jakiś prostak, i dołączę jedno ze zdjęć, które zrobiłem sobie w szpitalu.

– Znajdzie się dla mnie miejsce w motelu na, powiedzmy, tydzień?

– pytam Gusa.

– Coś wymyślimy. Zastanowię się nad zniżką, jeśli pomoże mi pan przy tym i owym.

Wyłapuję ledwo widoczny uśmiech na twarzy Jillian.

– Muszę wracać do pracy. Cieszę się, że jeszcze trochę pan z nami zostanie.

Gus odprowadza ją wzrokiem, po czym odwraca się do mnie.

– Co pan w związku z tym zamierza?

– W związku z czym?

– Jest pan ślepy bez mikroskopu? Przecież widać, że wpadł jej pan w oko.

– Ach. Jest świetna... Ale nie zabawię tu aż tak długo.

Przewraca oczami i kręci głową.

– Jest pan najgłupszym bystrzaczą, jakiego znam. Podoba jej się pan między innymi dlatego, że jest chwilową fascynacją, a nie kandydatem na długotrwały związek. Miłą przygodą, która potrwa akurat tyle, ile trzeba.

Oglądam się nerwowo przez ramię, by się upewnić, że Jillian jest poza zasięgiem głosu.

– Nie po to tu przyjechałem.

– Niech pan robi, jak uważa... A po co pan przyjechał? – dodaje po chwili.

– Dowiedzieć się, kto zabił Juniper i Chelsea.

– To wszystko? Tysiąc policjantów w całym stanie, a pan jedyny odkryje, kto zabił?

– Tysiąc policjantów i żaden nie wierzy, że morderca w ogóle istnieje. Tymczasem zaczynam myśleć, że może wcale nie tak trudno znaleźć sprawcę, jeśli się wie, gdzie szukać.

– A potem co?

– Nie rozumiem.

– Powiedzmy, że znalazł pan tego swojego mordercę. Co dalej? Aresztuje go pan? Pójdzie pan z tym do prasy? Zabije go pan?

– Jezu. Nie jestem Batmanem... Nie wiem. Pewnie powiem policji.

– Tej samej, która uważa pana za wariata i myśli, że ma do czynienia z serią ataków niedźwiedzi?

– Nie wiem.

Gus patrzy na mnie takim wzrokiem, że zaczynam się czuć jak nierozumne dziecko.

– To nie jest raport z badań. Nie kończy się wnioskami i wykresem. Mówi pan, że chce znaleźć zabójcę i ujawnić światu jego tożsamość. Przy okazji nadeptnie pan na odcisk ludziom, których lepiej nie zaczepiać. Proszę spojrzeć na swoją twarz.

– Nie jestem pewien, kogo ma pan na...

– Różne osoby. Jednego z chłopaków Chelsea? Kogoś, komu puściły nerwy, kiedy pan oznajmił, że znalazł ciało?

– O co panu chodzi?

– Mówiłem, że to miasto jest jak zaogniona rana. Już dwa razy zebrał pan cięgi za samo zadawanie pytań. Co będzie, kiedy zbliży się pan do prawdy?

– Nie wiem.

– No właśnie. Theo, widzi pan tylko to, na co zwraca uwagę. Powiedzmy, że podąży pan tropem niedźwiedzia i wyjdzie prosto na niego. Co wtedy?

– Po prostu będę musiał być ostrożny.

– Jak na razie kiepsko to panu wychodzi. Dać panu radę? Niech pan poflirtuje z Jillian. Zabierze ją jutro na kolację i do kina. Da jej porządnego buziaka, o ile nie będzie się brzydziła patrzeć na tę pańską spuchniętą gębę. Niech pan jej przypomni, że jest atrakcyjną kobietą, a potem wróci na uczelnię i od poniedziałku będzie przykładowym profesorem. Może kiedyś pan opíše, jak znalazł zwłoki Chelsea. Koniec tematu.

– Nie mogę odpuścić – protestuję. – Najpierw Juniper. Teraz Chelsea. Kto wie, ile ich jest? Jakim byłbym człowiekiem, gdybym teraz zrezygnował?

– Żywym.

– Zbyt długo trwałem w bierności.

– Jeśli pan zostanie, profesor będzie musiał odejść.

– Co to znaczy?

Gus wskazuje mnie palcem.

– Jest pan w tym wszystkim pierdoloną ofiarą. Wypadkiem

w zwolnionym tempie, który czeka, żeby się zdarzyć. Powiem szczerze, że nie mam wątpliwości, że jest pan w stanie namierzyć tego mordercę. Ale właśnie to mnie przeraża. Boję się, że pójdzie pan za jakąś wskazówką i więcej o panu nie usłyszymy. Jeśli ma pan rację co do tego, kto albo co stoi za śmiercią dziewczyn, to nawet nie znajdą pańskich zwłok. Nie będzie miejsca zbrodni. Stanie się pan kolejną pozycją w statystykach. – Pokazuje na Jillian. – Co wieczór będziemy tu oboje siadali i spoglądali za okno, myśląc o tym, co się z panem stało, i wiedząc, że leży pan martwy w płytkim grobie pośrodku niczego.

– Powiedział pan, że jeśli zostanę, profesor będzie musiał odejść. Co to właściwie znaczy?

– Tu nie ma miejsca dla kogoś takiego. Jeżeli zdecyduje się pan pozostać, będzie musiał się pan przestawić na sposób myślenia łowcy. Przestanie pan być obserwatorem.

– Jak to zrobić?

– Na początek dostanie pan ode mnie strzelbę. Będzie pan musiał zacząć nosić pistolet. Potrenujemy strzelanie, żeby się pan przypadkiem nie zabił. Poza tym walka wręcz. Obudzę pana jutro z samego rana i razem poćwiczymy. Nie jestem już co prawda tak sprawny jak kiedyś, ale sądzę, że zdołam nauczyć takiego połamania jak pan, jak skuteczniej bronić się przed ciosami.

– Dziękuję.

Gus kręci głową.

– To nie wystarczy. Człowiek przestaje być ofiarą, kiedy zaczyna myśleć jak zabójca. Obawiam się jednak, że akurat tej zdolności panu brakuje.

Ofiary bayesowskie

Pięć dni później. Słońce chowa się w dolinie na zachodzie, żłobiąc długie cienie w blaknącym pomarańczowym świetle, a ja wbijam saperkę w ziemię i zaczynam kopać piątą dziurę, powtarzając sobie, że dziś to już ostatnia.

Dwa lata temu sporządzono raport o zaginięciu dziewiętnastoletniej dziewczyny nazywającej się Summer Osbourne. Mieszkała w miasteczku Silver Rock, położonym pięć kilometrów od Hudson Creek. Mój program wskazał to miejsce jako prawdopodobny obszar działania mordercy.

Nic nie wskazuje na to, aby Summer zajmowała równie niski szczebel drabiny społecznej jak Chelsea, ale to tylko czyni sprawę jej zaginięcia bardziej podejrzaną.

Dołożyłem starań, by się przekonać, czy przypadek Chelsea był jedynie szczęśliwym trafem, czy też MAAT rzeczywiście na coś wpadł. W głębi duszy wiem, że to nie był zwykły fuks, ale jako naukowiec zdaję sobie sprawę, że muszę znaleźć potwierdzenie hipotezy.

Kiedy MAAT oznaczył ten teren, postanowiłem podążyć za jego wskazaniem i przeszukać bazy pod kątem zaginionych pasujących do profilu. Znalazłem sześć z ostatnich dziesięciu lat. Summer to najświeższy przypadek.

Drugim powodem było to, że śledztwo w sprawie śmierci Chelsea utknęło w miejscu. Nikomu się nie spieszy. Sporządzono wstępny raport na temat prawdopodobnego ataku pumy bądź niedźwiedzia i wysłano zwłoki do Bozeman w celu przeprowadzenia dalszych badań.

Mam dość robienia z siebie wariata nawiedzającego komisariaty z szaloną opowieścią o mordercy, który upozorowuje swoje zbrodnie tak, by wyglądały na ataki zwierząt.

W tej chwili moim celem jest zebranie maksymalnej liczby dowodów. To oznacza, że muszę znaleźć kolejne ciało.

Robię przerwę w kopaniu i rozglądam się po otaczającym mnie lesie. Znajduję się w odległości zaledwie sześćdziesięciu metrów od szosy, a mam wrażenie, jakby dzieliły mnie od niej tysiące kilometrów.

Strzelba od Gusa spoczywa w torbie, którą postawiłem w zasięgu ręki, a pistolet – również od niego – zatknąłem za pas. Nie musiał mnie długo przekonywać, bym zaczął nosić jedno i drugie.

W ramach treningu, aby się upewnić, że nadal wiem, jak się obchodzić z bronią – dla własnego bezpieczeństwa – zużyłem całe pudełko amunicji. Wiem, że zdołam wycelować, ale nie jestem przekonany, czy będę na tyle szybki, a także gotowy z psychologicznego punktu widzenia, by w razie potrzeby pociągnąć za spust. Ale cóż, lepsze takie zabezpieczenie niż żadne. Jeśli natknę się na zabójcę, spray na niedźwiedzie zapewne do niczego mi się nie przyda.

Oczywiście prawdopodobieństwo przypadkowego spotkania w lesie mordercy, którego ścigam, jest niebywale niskie. Właśnie: przypadkowego...

Wybieram kolejną porcję ziemi i odsłaniam brudny kawałek fioletowego materiału.

Robię się blady jak ściana. To nic przyjemnego mieć rację w takiej sprawie. Ogarnia mnie przytłaczający strach.

Odrzucam saperkę i wkładam lateksowe rękawiczki. Będę kopał rękami.

Jak najostrożniej usuwam ziemię, aż zaczyna się wyłaniać zarys głowy. Fioletowy materiał to T-shirt. Odciągam go i ukazuje się upiornie biała twarz, która patrzy na mnie mętnymi błękitnymi oczami barwy porannego nieba. Przysłaniają ją kosmyki jasnych włosów – zupełnie jakby czekały na odgarnięcie.

Odsłaniam nagi tułów z ciemnymi, wypełnionymi ziemią rozcięciami na małych piersiach.

Summer ma rozplataną jamę brzuszną, w której widać żołądek i wylewającą się cuchnącą masę nabrzmiąłych jelit.

Muszę pobrać próbki, ale najpierw zrobię sobie przerwę. Te oczy to dla mnie zbyt wiele. Źle się rozłożyły, za co zapewne odpowiadają

koszulka, którą były osłonięte, oraz związki chemiczne w glebie, w której spoczywa ciało. Mam wrażenie, jakby Summer nadal patrzyła na tę ostatnią rzecz, którą widziała przed śmiercią.

Odchodzę kawałek, opieram się o drzewo, usiłuję złapać oddech, utrzymać go w płucach.

Theo, zachowuj się jak naukowiec, mówię sobie. Ona nie potrzebuje, żebyś użalał się nad jej losem, tylko żebyś znalazł tego, kto jej to zrobił.

Odwracam się, klękam przy zwłokach i podejmuję przerwane czynności.

Oczyszczając dziewczęce dłonie z ziemi, myślę o tym, że kiedy Summer była mała, jej matka kąpała ją i szorowała. Czy gdyby ta kobieta wiedziała, jaki los świat postanowił zgotować jej córce, kiedykolwiek wypuściłaby ją z ramion?

Ręce Summer są sztywne, jak należało się spodziewać. Unoszę prawą na tyle wysoko, by nie zasłaniała ran, robię zdjęcie rozcięć i pobieram próbkę tkanki. Na kilka chwil zapominam o jej przejmującym spojrzeniu. Ale kiedy układam rękę w poprzedniej pozycji, dziewczyna nadal patrzy przed siebie – w górę, jakby w poszukiwaniu odpowiedzi wybiegała wzrokiem ku Bogu.

Nikogo tam nie ma, moja droga. A nawet jeśli, to i tak nic go nie obchodzi.

Drga mi ucho. Mam wrażenie, że ktoś mnie obserwuje. Przez chwilę próbuję poddać to doznanie analizie – przypomina łaskotanie w plecach.

Najpierw powoli przesuwam wzrokiem po okolicznych drzewach. Nie dostrzegam jednak nic poza zwykłą leśną florą. Dopiero wtedy lekko obracam głowę.

Wyżej na wzniesieniu, jakieś dziesięć, dwanaście metrów ode mnie, dostrzegam trzy pary oczu, w których odbija się zachodzące słońce.

Wilki.

Duże sztuki.

Zapewne wyczuły trupa na długo przed tym, zanim zobaczyłem jego fioletową koszulkę. Przybyły zwabione zapachem, by obserwować i czekać.

Nie mogę jej tu zostawić. Ciało Chelsea zasypałem, ponieważ nie natknąłem się w okolicy na nic, co mogłoby ją wykopać.

Tymczasem tutaj... Jak tylko odejdę, wilki dobiorą się do Summer bez względu na to, jak głęboko ją zakopię albo czym przykryję. Wiedzą, że tu jest.

Muszę zabrać ją ze sobą.

Kiedy wreszcie udaje mi się ją wydobyć, słońce znajduje się już za horyzontem. Położyłem latarkę na skraju grobu i zwróciłem ją w stronę wilków, ale te zniknęły, gdy nie patrzyłem.

Delikatnie wyjmuję zwłoki i przenoszę je na rozłożoną plandekę. Moją uwagę zwracają srebrzyste oczy – wilki znów tu są, tym razem bliżej.

Obeszły stożek światła i zatrzymały się dosłownie kilka metrów ode mnie.

W teorii wilki unikają ludzi i wyjątkowo rzadko ich atakują. Niestety, nie znam danych na temat interakcji tych zwierząt z ludźmi przebywającymi samotnie w lesie tuż obok rozkładających się szczątków.

Układam Summer na niebieskim brezencie. Ma lekko zgięte nogi, w rozdarciach w czarnych legginsach widać białą skórę. Kiedy próbuję ją zawinąć, kilka kropel mojego potu skapuje na jej twarz i spływa po brudnych policzkach jak łzy.

Warknięcie jednego z wilczych obserwatorów wymusza szybki powrót do rzeczywistości.

Mięśnie Summer rozłożyły się do tego stopnia, że ustąpiło już stężenie pośmiertne, dzięki czemu ciało jest na tyle elastyczne, że mogę przetrzucić je sobie przez ramię.

Na drugim ramieniu wieszam sportową torbę i ruszam do auta, oświetlając sobie drogę latarką.

Podążające za mną szare cienie wydają daremne warknięcia; liczą na to, że upuszczę ciało.

Nic z tego. Nie sięgam po strzelbę ani po pistolet – nawet po to, by oddać ostrzegawczy strzał.

Wilki są tchórzliwymi oportunistami, boją się zaatakować stworzenie większe od siebie. Być może tak jak człowiek, który zabił

Summer.

Mam taką nadzieję.

Modłę się o to.

48

Bezwład

Komendant Shaw stoi przy tylnej klapie mojego explorera i świeci latarką w martwą twarz Summer. Jest ubrany w T-shirt, długą kurtkę i dresowe spodnie, które ledwo obejmują wydatny brzuch. To, że jest policjantem, można poznać jedynie po służbowej latarce.

– Mówi pan, że co to za dziewczyna? – pyta.

– Summer Osbourne – odpowiada jego szczupły zastępca o rzednących kasztanowych włosach. Jako jedyny znajdował się w komisariacie, kiedy się tam zgłosiłem. Po tym, jak pokazałem mu zdjęcia zwłok leżących w bagażniku mojego auta, wezwanie przełożonego na posterunek zajęło mu dosłownie dwie sekundy.

– Osbourne? – powtarza Shaw. – Nie przypominam sobie nikogo takiego.

– Myślę, że mógł pan znać jej ojca. Nazywa się MacDonald – wyjaśnia zastępca.

– Ci, co mieszkają przy stajniach Finleya? W tym wielkim domu? Handlują systemami rurowymi do nawadniania?

– Właśnie oni.

– Ile ich tam było, tych małych MacDonalldów? Sześcioro?

– Razem z Summer pięcioro. Była pasierbicą MacDonalda.

– Summer MacDonald. – Shaw kręci głową. – Uciekła z tym typem z Wyomingu. – Zwraca się do mnie. – Mówi pan, że nazywa się Summer Osbourne?

– Takie nazwisko znalazłem na liście osób zaginionych.

– No to masz pan problem. Oni tego nigdy nie uaktualniają. Jakiś dzieciak ucieka na parę dni z domu, jego rodzice przychodzą i zawracają głowę, że niby zaginął, a potem nawet nie raczą powiadomić, że wrócił.

Drażni mnie ta jego prowincjonalna genealogiczna zgaduj-zgadula.

– Panie komendancie, ta dziewczyna już ni cholery nie wróci do domu.

Obraca się i świeci mi latarką po oczach.

– Miarkuj się, synu. Przyjeżdżasz w środku nocy z półną martwą dziewczyną w bagażniku. To podejrzane. – Zwraca się do swojego zastępcy. – Dobrze pamiętam, że w Hudson Creek jakiś typ zjawił się na komendzie z ciałem?

– Drugi atak niedźwiedzia – klaruje zastępca.

– Jezus Maria. – Nie wytrzymuję. – Po pierwsze, sprawcą nie był niedźwiedź. A po drugie, to ja znalazłem tamte zwłoki.

Komendant wpatruje się we mnie, mrużąc oczy. Przez chwilę wygląda, jakby zastygł, ale zaraz ożywa i wskazuje Summer, rzucając na nią snop światła z latarki.

– Chce pan powiedzieć, że znalazł drugą dziewczynę taką jak ta?

– Można tak to ująć.

Zwraca się do zastępcy:

– To jakiś żart?

– Dlatego pana wezwałem, szefie.

– To dopiero zbieg okoliczności, żeś pan znalazł dwa trupy! Co nie?

Dociera do mnie, że ten człowiek zajmuje się głównie sprzeczkami domowymi, a morderstwo widział, owszem, ale w telewizji.

– Jestem naukowcem. Pracuję nad nową procedurą wykrywania przestępstw. Zająłem się sprawą Summer Osbourne, ponieważ wykazywała zbieżności ze sprawami Chelsea Buchorn i Juniper Parsons.

– Procedurą wykrywania przestępstw?

– Tak. Proszę zapytać w Hudson Creek. Wiedzą o mnie. – Jasne...

– I tak po prostu przywiózł pan tu zwłoki? Nie wie pan, że to podpada pod fałszowanie dowodów?

– Kiedy natrafiłem na ciało, zjawiły się wilki.

– Wilki nie atakują ludzi. To tchórze.

– Nie bałem się o siebie, tylko o nią. Wilki są padlinożercami. Widziały, w którym miejscu ją wykopałem.

– Skoro pan się bałeś, że zjedzą ją wilki, to po coś ją pan wykopywał?

Czy on pyta poważnie? Biorę głęboki oddech.

– Kiedy zaczynałem kopać, nie byłem pewien, czy jej zwłoki

rzeczywiście się tam znajdują.

– Skoro miałeś pan przeczucie, gdzie szukać, to czemuś pan do nas z tym nie przyszedł?

Serio?

– Nie chciałem marnować waszego czasu, na wypadek gdyby się okazało, że się jednak pomyliłem.

– No dobrze, ale mam tu dowód, który zafałszowano. Co niby mam z nim zrobić?

– Jeszcze przed godziną nawet nie zdawał pan sobie sprawy, że ta dziewczyna naprawdę zaginęła. Czeka pana diabelnie dużo więcej roboty.

– Carl, spisz jego zeznania. Ja sprowadzę lekarza, żeby przejął ciało. Zadzwoni do Warrena ze Służby Ochrony Przyrody. – Milknie na chwilę. – I wezwij Jeffersona. Powiedz, żeby wziął zestaw do ekspertyzy i pobierania odcisków palców. Chcę mieć pewność, że dziewczyna nie zmarła w tym SUV-ie.

Carl wbija spojrzenie w zwłoki Summer, po czym zwraca się do komendanta:

– Sądząc po jej stanie, zmarła długo przed tym, zanim ten egzemplarz exploraera zjechał z linii montażowej.

– Rób, co mówię, Carl.

– Tak jest.

Przez kolejne dwie godziny składałem zeznania i odpowiadam na pytania dotyczące umiejscowienia grobu Summer. Następnie na polecenie Shawa zostają mi zdjęte odciski palców i zrobione zdjęcia, a potem jedno i drugie przemielone przez system dla pewności, że nie jestem poszukiwanym mordercą.

Potem jadę z komendantem, Warrenem ze Służby Ochrony Przyrody i jakimś policjantem pokazać, gdzie znalazłem ciało.

Wilków już tam, rzecz jasna, nie ma, ale płytki dół, w którym leżała Summer, wygląda tak, jak go zostawiłem.

Wypuszczają mnie dopiero o północy. Wychodząc, słyszę, jak Warren wyjaśnia, że niedźwiedzie czasem zakopują swoją zdobycz, by później do niej wrócić.

Świetnie, panowie. Wiercie sobie, w co chcecie.

Mam tylko nadzieję, że nikt nie zapomni powiadomić matki Summer i powiedzieć jej, że córka nigdy nie wróci do domu.

Jestem zbyt zmęczony, by wracać po nocy do motelu Gusa, wynajmuję więc pokój w najbliższym mieście.

Zasypiam, stawiając ikсы na mapie wygenerowanej przez MAAT-a. Przecinają stan, podążając za fioletową wstęgą szlaku łowów mordercy.

Każdy ics to potencjalnie kolejna Summer albo Chelsea.

Nie zamierzam przestać kopać. Dlatego muszę się przygotować na kolejne nieprzyjemne spotkania z miejscową policją.

W którymś momencie na pewno przestaną kwitować sprawę standardowym: „To robota niedźwiedzia”.

Przynajmniej taką mam nadzieję.

Licznik ofiar

Lily Ames pochodziła spod Seattle. Rodzice widzieli ją po raz ostatni przed prawie dwoma laty, kiedy postanowiła wybrać się na pieszą wędrówkę po kraju. Wspominała, że zamierza zobaczyć Yellowstone i Montanę.

Dwa dni po odkryciu grobu Summer znajduję Lily pod metrową warstwą ziemi ponad trzysta kilometrów od najbliższego wejścia do parku.

Ma podcięte gardło, i to tak głęboko, że przez ranę widać kręgosłup. Oczy dziewczyny wypełnia strach. Na policzku widnieje żółty siniak – znak, że uderzyła się albo została uderzona na długo przed tym, jak jej serce przestało bić.

Rydlęm, a potem rękami odgarniam ziemię wokół jej nóg i oglądam podeszwy stóp. Krwawa miazga.

Przed śmiercią biegła. Uciekała.

Bawił się nią.

Nakrywam ciało płachtą folii, po czym zasypuję dół.

Wbijam pomarańczową chorągiewkę jako tymczasowe oznaczenie miejsca pochówku, aby policja wiedziała, gdzie szukać, kiedy anonimowo zgłoszę swoje odkrycie.

*

Zanim przekroczyła granicę i dotarła do Montany, Michelle Truyols mieszkała w Albercie w Kanadzie, gdzie najpierw pracowała jako kelnerka, a potem świadczyła usługi seksualne. Według notki w prasie jej przyjaciółka zeznała, że Michelle zaczęła się spotykać z mężczyzną, który był kierowcą ciężarówki dalekobieżnej i zażywał narkotyki. Niewykluczone, że wciągnął Michelle w nałóg.

Jej ciało leży raptem osiemnaście metrów od drogi, tuż za

niewielkim wzniesieniem, w płytkim zagłębieniu, tak jak pozostałe. Prawa ręka jest cała w siniakach, jakby zabójca złapał Michelle, dosłownie ściągnął ją z szosy i przywłókł tutaj.

Na ciele długie rozcięcia, biegnące od pleców po brzuch, jakby zaatakował ją z góry, a potem przygniótł do ziemi.

Pobieram próbki, robię zdjęcia, na koniec składam ją z powrotem do grobu i oznaczam miejsce dla policji.

*

Miejsce spoczynku Stephanie Grant znajduje się pod kępą mieszanej roślinności, tak jak w pozostałych przypadkach. Coraz łatwiej je znajduję, ponieważ nauczyłem się dopasowywać schemat wzrostu roślin do czasu zaginięcia poszczególnych kobiet. Metoda okazała się precyzyjna. Morderca preferuje określony typ ofiar, a także upodobał sobie rodzaj miejsca, w którym zakopuje ciała. Odnalazłem ją w ten sposób, że po prostu stanąłem na wzgórzu i rozejrzałem się. Miałem wrażenie, jakby jej zwłoki niemal mnie wzywały.

*

Czuję się odrętwiały. Jak dotąd pięć ciał. Każde zagubione i prawie zapomniane.

To, że objawiają się mi jako pierwszemu – że jestem pierwszą osobą, która w ogóle zdaje sobie sprawę z ich istnienia – wytrąca mnie z równowagi.

Każda czerwona kropka na fioletowej kresce wykreślonej na mapie przez MAAT-a okazała się strzałem w dziesiątkę. Płyńcie z tego przerażający wniosek.

Jeżeli za każdym razem udaje się poprawnie oszacować prawdopodobieństwo, ze statystycznego punktu widzenia oznacza to, że gdzieś tkwi błąd. Tymczasem nie chodzi o wyjątkową dokładność MAAT-a, lecz o to, że zakopanych ciał jest znacznie, znacznie więcej niż czerwonych kropek.

MAAT pokazuje mi jedynie te o prawdopodobieństwie przekraczającym dziewięćdziesiąt procent. Kiedy przesuwam suwak na pięćdziesiąt procent lub więcej, dzieje się coś przerażającego.

Dwa tuziny zamieniają się w setki.

Wiem już, jak odnajdywać groby określonego typu. Co jednak, jeśli morderca stosuje również inne metody pozbywania się ciał? Niewykluczone, że natrafiam jedynie na ofiary zabójstw dokonanych bez przygotowania, ponieważ sprawcy zabrakło czasu na staranniejsze ukrycie zwłok; co nie zmienia faktu, że i tak robi to całkiem porządnie.

W Montanie mieszka milion ludzi. Jeszcze więcej odwiedza ten stan każdego roku. Należy też uwzględnić ruch tranzytowy, osoby wędrujące po kraju albo zmierzające do Kanady lub wracające z niej.

Wprawne oko z łatwością wypatrzy bezbronną ofiarę – taką, z której zniknięcia nikt nie będzie robił afery.

Tak jak ja nauczyłem się dostrzegać zagłębienia w terenie oraz charakterystyczne kępy roślinności, pod którymi leży zakopane ciało, tak morderca mógł wykształcić w sobie zdolność szybkiej oceny potencjalnej ofiary.

Być może zwraca uwagę na zewnętrzne oznaki uzależnienia od narkotyków. Albo obserwuje i orientuje się, że ofiara nie ma w tej okolicy rodziny ani znajomych.

Przeraża mnie, że zabójca mógł długo rozwijać w sobie tę umiejętność, szlifować ją, aż w końcu przestał bać się konsekwencji.

Ubijając ziemię na grobie Stephanie i umieszczając na nim chorągiewkę, uświadamiam sobie coś bardzo ważnego.

Oczywiście liczy się to, że lokalizuję ciała, pobieram próbki i je badam, ale przecież nie złapię mordercy na podstawie przypadkowego tropu, który pozostawił wskutek swej nieostrożności.

Muszę zrozumieć jego tok myślenia. Muszę się dowiedzieć, dlaczego robi to, co robi.

Nie znajdę tej informacji pod ziemią, ona nie jest zakopana w grobie. Muszę odwiedzić te same miejsca co on i zobaczyć to, co widział.

Muszę udawać, że to ja jestem mordercą.

50

Antropolog

Minęło dziesięć dni, od kiedy wyszedłem ze szpitala. Ignoruję e-maile od mojej przełożonej, boję się ich treści. Zbliżam się do celu, ale potrzebuję więcej informacji.

Doktor Seaver, antropolog w średnim wieku, wykładowca na Uniwersytecie Stanu Montana, prowadzi mnie po schodach do piwnicy, tam gdzie trzyma swoje okazy.

– Chce pan zobaczyć najlepsze? – pyta, posyłając mi iście szatańskie spojrzenie.

Natknąłem się na jego nazwisko przy okazji zbierania danych na temat zabójstw rytualnych w tej okolicy. Seaver, wychowanek Cornell, należy do interdyscyplinarnego zespołu badającego związku przemocy z kulturą. Zainteresował mnie, ponieważ napisał artykuł, w którym zestawiał współcześnie dokonane morderstwa z ich historycznymi precedensami.

Docieramy na sam dół i zagłębiamy się w wąskie przejście pomiędzy rzędami szafek. Nieliczne żarówki przegrywają z panującym tu mrokiem.

Powietrze pachnie stęchlizną, czuć woń rozkładu. Ta piwnica to rażący anachronizm w porównaniu z nowoczesnymi klimatyzowanymi laboratoriami i próżniowymi magazynami.

– Prawdziwe laboratorium znajduje się w Muzeum Gór Skalistych, ale ono zajmuje się głównie paleontologią. Czasami sprzed holocenu. Nasze badania również sięgają daleko w przeszłość, ale dla odmiany większość próbek, jakimi dysponujemy, jest współczesna.

Prowadzi mnie do niewielkiego pomieszczenia ze stołem warsztatowym. Stoi na nim pięć czaszek, każda w osobnym pojemniku z przezroczystego plastiku. Kolor kości oscyluje od ciemnobrązowego po niemal śnieżnobiały.

– Proszę włożyć rękawiczki i przyjrzeć się temu. – Wyjmuje pierwszą czaszkę i podaje mi ją. – Co może pan o niej powiedzieć?

Jest prawie kompletna, brakuje jedynie zuchwy. Łuk brwiowy wydaje się nieco grubszy, a kości policzkowe ciut wydatniejsze niż u typowego Europejczyka, ale czaszka jest chyba współczesna.

– Typ azjatycki?

– Zgadza się. A ta?

Wkłada mi do rąk kolejną. Cechy podobne, jedynie łuk brwiowy odrobinę wyższy.

– Rdzenny Amerykanin?

– Znów dobrze.

Trzecia sprawia mi pewien kłopot, ale w końcu poprawnie przypisuję ją typowi subsaharyjskiemu. Czwarta należała do przedstawiciela ludu środkowoeuropejskiego, a właścicielem ostatniej był mieszkaniec Azji Południowo-Wschodniej.

– Gratuluję doskonałej identyfikacji przynależności etnicznej, doktorze Cray.

– Zaliczyłem sporo zajęć z antropologii.

– A mimo to wśród szczegółów umknął panu obraz całości – odpowiada.

Zerkam na czaszki, zastanawiając się, czego nie zauważyłem. Seaver sięga po czwartą z kolei i ponownie mi ją wręcza. Nadal widzę to samo. Wszystko wskazuje na czaszkę Europejczyka. Szukam jakichkolwiek dodatkowych cech, sprawdzam uzębienie – być może tu natknę się na jakieś odstępstwo, ale nic z tego.

Obracam czaszkę i oglądam kość potyliczną. Wśród ras istnieje współzależność pomiędzy grubością i kształtem tego elementu. U rasy białej nierzadko można zaobserwować dymorfizm płciowy – czyli po prostu odróżnić mężczyznę od kobiety – na podstawie cech potylicy.

Tuż nad kością potyliczną chyba dostrzegam to, na co Seaver próbuje mnie naprowadzić: sporej wielkości pęknięcie. Sprawdzam pozostałe czaszki i na każdej znajduję podobny uraz.

– Ci wszyscy ludzie zostali zamordowani.

– Właśnie. W dodatku zginęli w taki sam sposób: od uderzenia tępym przedmiotem w tył głowy. Takich obrażeń nie spotyka się na polu bitwy. To sposób zadawania śmierci komuś, kto klęczy albo leży na brzuchu. Z moich badań wynika, że około jedna czwarta ciał

znajdowanych w prehistorycznych miejscach pochówku to ofiary takiej właśnie przemocy. Statystycznie rzecz ujmując i pomijając choroby wieku niemowlęcego, najczęstszą przyczyną śmierci w tamtych czasach było celowe działanie drugiego człowieka. – Posyła mi wymowne spojrzenie. – Ten stan utrzymywał się aż do początków rolnictwa, zresztą nawet potem niewiele się zmieniło. Krzywa obrazująca poziom przemocy gwałtownie spada dopiero wraz z nastaniem wieku oświecenia. W dodatku aktów tych nie popełniali nieliczni, wynaturzeni osobnicy. To byli zwykli ludzie. Kto wie, może w dawnych czasach ja byłbym tym, który przytrzymywał nieszczęśnika, a pan wymierzałby mu cios maczugą w tył czaszki.

Niepokoi mnie swobodny ton, jakim sugeruje takie rzeczy. Odnoszę wrażenie, że wiele razy wyobrażał sobie tę scenę.

Ustawia czaszki w rzędzie. Patrzą na nas pustymi, znękanymi oczodołami.

Seaver wskazuje jedną po drugiej, opowiadając historię każdej z nich:

– Ten został zamordowany przed sześcioma tysiącami lat na terenie dzisiejszych Węgier. Ten umarł trzy tysiące lat temu w Chinach. Ten tysiąc lat temu na obszarze Wyomingu. Tę czaszkę dostałem z Genocide Project, należała do mieszkańca Darfuru pochowanego przed pięcioma laty w masowym grobie. Ostatnią znaleziono w lasach Kolorado dwie dekady temu. Nadal nie wiemy, kim byli ci ludzie ani dlaczego zostali zabici.

– Barbarzyństwo.

– Nie, doktorze Cray. – Seaver kręci głową. – Właśnie o to chodzi. Tym zgonom daleko do najokrutniejszych, z jakimi się spotkałem. Ludzi tych uśmiercono w humanitarny, acz beznamiętny sposób. Mam tu inne czaszki i kości, takie, na których widać ślady nacięć i nakłuć powstałe długo przed tym, jak ofiara zmarła. Mam obojczyki z odciskami zębów, które nie są pamiątką po praktykach kanibalistycznych, ale świadczą o tym, że obezwładniwszy ofiarę, ktoś próbował zagryźć ją na śmierć. Mogę panu pokazać miejsca zbrodni, na widok których nawet najbardziej sadystycznemu komendantowi hitlerowskiego obozu koncentracyjnego zebrałoby się

na wymioty. – Wskazuje czaszki machnięciem dłoni. – To jest zabójstwo. A pana interesuje morderstwo.

– Na czym polega różnica?

– Zabicie człowieka to rozwiązanie problemu. Ktoś natomiast morduje, ponieważ chce. Rozwodzi się pan z żoną, bo jej nie kocha. Morduje ją pan, bo jej pan nienawidzi.

Człowiek, który pozbawił Juniper życia, na pewno znalazł w tym przyjemność. Mógł ją udusić albo poderżnąć jej gardło, ale nie zrobił tego. Jego celem było zabijanie samo w sobie. Powraca kwestia metody.

– Czy słyszał pan o przypadku, gdy ktoś mordował tak, aby wyglądało to na atak zwierzęcia?

– Pozorował miejsce zbrodni po fakcie?

– Nie. Zabijał ludzi w taki sposób, jakby robiło to zwierzę.

– W zasadzie wszystkie akty umyślnego zabójstwa w trakcie działań wojennych noszą takie czy inne znamiona symbolizmu zwierzęcego. Zwierzęta jako maskotki oddziałów. Noszenie pazurów bądź kłów w charakterze amuletów. Prehistoryczny człowiek zakładał skóry innych drapieżników, aby przejmować ich moce.

– A akt sam w sobie? Czy istnieją przypadki, w których ktoś świadomie wykorzystywał metody uśmiercania stosowane przez zwierzęta?

– Hm, to już większe wyzwanie. Zanim wyruszyliśmy na sawannę, byliśmy oportunistycznymi wszystkożercami, zjadaliśmy jedynie stworzenia znacznie mniejsze od nas. Musieliśmy wynaleźć włócznię i narzędzia miotające, ponieważ nasze zęby i paznokcie nie były przystosowane do polowań. Mimikra to dość mało wydajna metoda zabijania. Z kilkoma wyjątkami.

– Tak? Jakimi?

– Chodzi o pewne rodzaje broni, które przypominają środki, jakimi dysponują zwierzęta podczas ataku.

– Na przykład?

– Proszę za mną.

Zęby rekina

Seaver zabiera mnie do innej części piwnicy. Zatrzymuje się przed wysokim regałem. Z jednej z półek zdejmuje zakurzone kartonowe pudło. Unosi wieko, odsłaniając płaską maczugę nabijaną w górnej części i po bokach białymi trójkątnymi zębami; wyglądają jak ostrza piły łańcuchowej.

– Na Hawajach nazywają to *leiomano*. Używają zębów żarłacza tygrysięgo. Te pałki przypominają popularne ongiś w Mezoameryce *macuahuitl* wyposażone w obsydianowe ostrza. Ten egzemplarz znaleziono w Illinois. Zęby należały do żarłacza białego. Aby je zdobyć, budowniczo wie kurhanów musieli, rzecz jasna, utrzymywać kontakty handlowe z odległymi kulturami.

Wręcza mi maczugę. Zęby wciąż są ostre. Nie chciałbym, żeby coś takiego wbiło się w moje ciało.

– Najzabawniejsze, że zdaniem niektórych antropologów taka pałka jest bardziej humanitarną bronią niż miecz. W ich mniemaniu dowodzi to, że tych, którzy się nią posługiwali, cechowała większa dobroć serca, niż zwykliśmy im przypisywać. Prawda natomiast jest taka, że tego rodzaju pałki wykonywano, kiedy nie dysponowano żelazem albo brązem. Człowiek trafiony *leiomano* umiera wskutek infekcji w setce niewielkich ran, które trudniej opatrzyć niż jedno duże rozcięcie.

Oddaję maczugę.

– Nie sądzę jednak, aby ktokolwiek zdołał pomylić człowieka zaatakowanego tą bronią z ofiarą napaści rekina.

– Rzeczywiście. Dla Hawajczyków miała ona znaczenie raczej symboliczne. Chodzi panu o coś praktycznego? – Odkłada przedmiot do pudła, a pudło na półkę. – Przenieśmy się kilka rzędów dalej. – Wyjmuje z szuflady długi, zakrzywiony nóż. – Oto *karambit*. Zaprojektowany tak, by przypominał szpon. Dość praktyczny. Jego współczesne wersje bez trudu znajdzie pan w sklepach z nożami. –

Sięga do kolejnej szuflady i wygrzebuje metalowy trzonek zakończony ostrymi pazurami. – A to *zhua*, laska wykorzystywana do ściągania przeciwników z koni i rozrywania tarcz.

Przyglądam się pazurom. Blisko, ale taka broń nie pozostawiłaby głębokich wyżłobień, takich jak te, które znajduję na ciałach ofiar.

Podchodzimy do kolejnego regału. Seaver zagląda do kilku pudeł, aż w końcu natrafia na to, o które mu chodziło.

– Słyszał pan kiedyś o *bagh naka*? To broń pochodząca z Indii, ale w innych kulturach istnieją różne jej odmiany. W dziewiętnastym wieku ludzie walczyli na *bagh naka* dla uciechy radży, aż schodziła im skóra. – Rozwijają szmatkę, w którą jest zawinięta broń, i podnosi metalowy przedmiot wyglądający jak kastet z wystającymi czterema długimi ostrzami.

Jestem w szoku. Wyobrażałem sobie broń, jakiej mógł używać morderca, ale nie przypuszczałem, że może chodzić o coś tak znanego.

– Proszę – mówi Seaver. – Niech pan potrzyma. W Dniu Akcji Bezpośredniej w Kalkucie Hindusi rozdawali *bagh naka* dziewczętom, żeby miały się czym bronić.

Biorę przedmiot do ręki. Szpony wystają na dwa, trzy centymetry. Oczami wyobraźni widzę odmianę *bagh naka* z ostrzami takimi jak w karambicie – wyglądałyby zupełnie jak pazury zwierzęcia. Wystarczy wykonać ostrza z prawdziwych niedźwiedzych pazurów, żeby podobieństwo stało się jeszcze bardziej uderzające.

Unoszę do światła rękę uzbrojoną w *bagh naka*; przed oczami mam rozcięcia na ciele Chelsea. Zsuwam broń z dłoni i odkładam. Proszę Seavera o pozwolenie na wykonanie kilku zdjęć. Jakoś nie mam ochoty więcej dotykać tej rzeczy.

– Spotkał się pan z przypadkami użycia tej broni do zabicia człowieka? Chodzi mi o to, czy coś takiego zdarzyło się tutaj, w Stanach? – pytam.

– Nie zdziwiłbym się, gdyby się okazało, że jakiś maniak sztuk walki rzucił się z tym na swojego współlokatora, ale nie. Potrzeba sporo siły, żeby kogoś zabić za pomocą *bagh naka*.

Myślę o głębokich wyżłobieniach w ciałach dziewcząt.

- Jak dużo?
- Nie wiem. Na pewno tyle, by przebić się do tętnicy.
Wyjmuję telefon i fotografuję przedmiot ze wszystkich stron.
- Dziękuję, doktorze Seaver. Mam jeszcze jedno pytanie. Czy słyszał pan kiedyś, żeby ktoś pomylił napaść dokonaną przez człowieka z atakiem zwierzęcia?
- Kilkaset lat temu mówiło się we Francji o atakach wilków, które tak naprawdę mogły być dziełem człowieka. Stąd wzięły się tamtejsze legendy o wilkołakach.
- A w Ameryce?
- Ma pan na myśli Wendigo?
- Obiło mi się o uszy, ale nie znam szczegółów.
- To algonkińska legenda. Człekopodobny stwór, który pożera ludzi. Rdzenne plemiona traktowały go bardzo poważnie. Ale opowieściom o Wendigo bliżej do kanibalizmu. O to panu chodziło?
- Nie do końca, ale warto się przyjrzeć. Po prostu zastanawiałem się, czy słyszał pan o jakichś niedawnych przypadkach pomylenia człowieka ze zwierzęciem.
- Jeśli mówi pan o niedawnych, to nie.
- Rozumiem. Dziękuję, że zechciał mi pan poświęcić czas.
- Czy lata osiemdziesiąte to dla pana „niedawno”?
- Słucham?
- Potwór z Cougar Creek. Historia stricte lokalna, ale mówiono o niej w kilku programach dokumentalnych, raczej tych poślednich.
- Nic mi o tym nie wiadomo.
- Sprowadziłem się tu już po tym, jak sprawa ucichła, ale przez pewien czas Potwór żył w świadomości miejscowych jako tutejszy Człowiek-Ćma albo Wielka Stopa. Turyści wędrujący szlakami w pobliżu Red Hook donosili o stworzeniu, które obserwowało ich w nocy, kiedy przebywali w obozowiskach. Chyba nawet próbowano do niego strzelać. Niewiele więcej pamiętam. W pewnym momencie wszyscy o tym mówili, a potem ucichło.
- Jak go zapamiętali świadkowie?
- Mówili, że był to człowiek poruszający się na czterech łapach, coś jak wielki kot. Tak mi się zdaje. Na pewno znajdzie pan jakieś

informacje.

– Czy kiedykolwiek kogoś zaatakował?

Seaver wzrusza ramionami.

– Może... O ile dobrze pamiętam, był przypadek biwakowicza z raną na piersi, taką jak od pazurów. – Seaver podkreśla słowa gestem, malując dłonią kształt, który w ciągu ostatnich kilku dni widywałem zdecydowanie zbyt często.

– Dziękuję, doktorze.

Zostawiam go w piwnicy pośród czaszek i narzędzi zbrodni.

Nierozwiązana sprawa

W czerwcu 1983 roku grupa siedemnaścioro obozowiczów, większość z nich świeżo po ukończeniu liceum w Chilton, wybrała się na wędrowkę po lasach hrabstwa Beaverhead. Pierwszej i zarazem ostatniej nocy biwaku doszło do groźnego zdarzenia. Relacje, które udaje mi się odnaleźć w bibliotece publicznej w pobliskim Red Hook, różnią się wprawdzie szczegółami, ale wyłania się z nich ogólny obraz wypadków.

Młodzi ludzie przez kilka godzin wędrowali leśnymi szlakami, aż dotarli do znajdującego się w ostępach źródła. Po drodze kilkorgu z nich wydawało się, że grupę śledzi sporej wielkości zwierzę, być może niedźwiedź albo puma.

Wcześniej zdarzały się w tej okolicy doniesienia o turystach obserwowanych przez jakieś stworzenie. Ponoć przyglądało się ludziom, stojąc na dwóch nogach, a zauważone znikало w zaroślach i chyłkiem się oddalało.

Obozowicze z Chilton mówili o wysokim, gibkim zwierzęciu, zbyt chudym jak na niedźwiedzia. Żadne z nich nie widziało stworzenia zbyt wyraźnie, ale większość zapamiętała, że nie miało ono czarnej bądź brązowej niedźwiedziej sierści, lecz jasnobrązową skórę.

Po rozbiciu obozu trzech młodych ludzi wybrało się na poszukiwanie drewna na opał. Wrócili biegiem po tym, jak jeden z chłopców poinformował pozostałych, że zauważył dużego kota, który siedział na kłodzie i przyglądał się im.

Drugi powiedział, że zwierzę zaczęło go gonić, a kiedy się obejrzał, zobaczył lśniące żółte oczy na wysokości swojej twarzy.

Pozostali obozowicze zlekceważyli te relacje, uznając je za żart. Orzekli, że ich kolegom przywidziało się spotkanie z pumą, i uznali, że w razie czego w grupie będą bezpieczni.

Jak wynika z zeznań, około drugiej w nocy, po tym, jak ostatni z licealistów oddalił się od ogniska i ułożył do snu, kilkoro

biwakowiczów obudził odgłos, jakby coś krążyło między namiotami.

Jedna osoba, która miała przy sobie strzelbę, wyszła sprawdzić, co się dzieje, ale nie zauważyła niczego niepokojącego.

Kilka minut po trzeciej ciszę w obozie przerwał wrzask.

W tym miejscu wersje wydarzeń zaczynają się różnić.

Autor *Prawdziwych opowieści o górskich stworach* twierdzi, że duże, przypominające kota stworzenie na dwóch nogach usiłowało wyciągnąć jedną z dziewczyn z namiotu. Powstrzymała je grupa obozowiczów, z których jeden został rozszarpany na śmierć.

Według *Tajemnic Big Sky* uczniowie ujrzeli upiorne widmo Indianina, które ukazało się na skraju obozowiska, nakazało wielkiej pumie zaatakować biwakowiczów, po czym prędko zniknęło.

Opowieść zawarta w *Spotkaniach z aniołami* mówi o tym, że chłopcy z obozu natknęli się na dziewczęta spółkujące z dziwnymi zjawami, pół ludźmi, pół kotami, co wywołało ich oburzenie.

Bodaj najtrafniejsza wersja zdarzeń – a raczej ta, która najlepiej współgra z doświadczeniami obozowiczów – została podana w artykule w czasopiśmie „Montana Tracker”. Tekst zawiera szczegóły spotkania z nieznanym stworzeniem, opis obrażeń odniesionych przez jednego z uczniów po tym, jak coś wdarło się do jego namiotu, a także czarno-białe zdjęcie przedstawiające czwórkę młodych ludzi na kanapie, z ożywieniem opowiadających o swoich przeżyciach.

Mają miny, które można odczytać na dwa sposoby: oto dowcipnisie, którzy za wszelką cenę próbują nie zdradzić, że to wszystko był jeden wielki żart; albo nastolatki, którzy konsternacją i skrepowaniem reagują na nagłe zainteresowanie mediów ich osobami. Z tonu artykułu nietrudno wywnioskować, że dziennikarz nie potraktował ich przesadnie poważnie.

Wygląda na to, że w ogóle mało kto wziął ich opowieść na serio, jeśli nie liczyć żadnych sensacji autorów książek, które znalazłem w bibliotece.

Rzeczywiście łatwo jest zlekceważyć taką historię. Grupa licealistów wybiera się na wycieczkę do lasu: w głowie im wygłupy, na pewno coś pili i palili, natknęli się na groźne zwierzę

i rozdmuchali to spotkanie ponad miarę.

Ale kiedy przyglądam się fotografii, moją uwagę zwraca wyraz twarzy ciemnowłosej dziewczyny, która przysiadła na brzegu kanapy. Wygląda dokładnie tak, jak musiałem wyglądać ja, kiedy detektyw Glenn przesłuchiwał mnie po raz pierwszy: jest zdezorientowana, speszona i przestraszona.

Autor zdjęcia podpisał ją jako „Elizabeth L.”. Nie wiem, co pozostali zobaczyli tamtej nocy – być może próbowali na siłę znaleźć dla siebie miejsce w tej historii – ale ta dziewczyna ma oczy osoby, która widziała coś, o czym wołałaby zapomnieć.

Niestety, niewiele mogę zrobić, dysponując jedynie imieniem i pierwszą literą nazwiska. Chyba że...

Wstaję od stołu, podchodzę do stanowiska bibliotekarki i pytam, czy przechowują licealne księgi pamiątkowe.

Dziesięć minut później wracam na swoje miejsce z trzema tomami *Roczników czempionów z Chilton*. Przeglądam stronicę kronik w poszukiwaniu „Elizabeth L.”.

Szybko trafiam na właściwą osobę. Każdy rocznik liczy tylko około pięćdziesięciorga uczniów.

Od razu ukazuje mi się jej twarz. Uśmiecha się, śmiało spogląda ku szczęśliwej przyszłości – lata świetlne od przerażonej dziewczyny ze zdjęcia w gazecie.

Z podpisu wynika, że jej nazwisko brzmi „Lee”. Elizabeth ma najlepszą przyjaciółkę, Brandy Thompson, której ulubiony cytat jest wersem z kawałka Bruce’a Springsteena: *'Cause tramps like us, baby, we were born to run*³.

Internet podsuwa niejaką Elizabeth Lee Collins zamieszkałą w Lodge Pine. Adres znajduję w kartotece nieruchomości. Po wprowadzeniu go do wyszukiwarki zdobywam numer telefonu sklepu z artykułami dla ferm rybnych.

No dobrze. Mam numer do Elizabeth, ale czy powinienem do niej dzwonić? Drażnienie historii Potwora z Cougar Creek nie ma zbyt wiele wspólnego z poszukiwaniami zabójcy, na którego poluję. Gdybym chciał sprawdzić każdą legendę miejską, jaka zrodziła się w południowej części Montany, zabrakłoby mi życia, zanim

znalazłbym coś konkretnego.

Historia wydaje się mało poważna, zwłaszcza jeśli weźmie się pod uwagę cudaczność niektórych relacji – duch Indianina, orgia z pół ludźmi, pół zwierzętami – ale... jest w udręczonym spojrzeniu młodej Elizabeth coś, co nie daje mi spokoju. Chcę się dowiedzieć, co wtedy zobaczyła.

Pod wpływem impulsu wybieram numer i w myślach przeklinam się za to, że zawczasu nie zastanowiłem się, co powiedzieć.

– Artykuły dla ferm rybnych. Słucham? – Kobięcy głos.

– Czy rozmawiam z panią Elizabeth Lee?

– Teraz nazywam się Collins.

– Ach, racja. Przepraszam. Otóż dzwonię do pani w bardzo nietypowej sprawie. Prowadzę badania i chciałem zadać kilka pytań.

– O rany. Chodzi o Cougar Creek, tak?

– E... owszem.

– Niech pan posłucha. To był tylko głupi kawał wymyślony przez moich kolegów. Czuję, że po tych ostatnich przypadkach ataków zwierząt ktoś się odezwie i spróbuje mnie w to wciągnąć. Nie mam nic więcej do dodania.

– Głupi kawał.

– Tak. Jeśli interesuje pana, o co w tym wszystkim chodzi, proszę zapytać walniętego profesora, który znajduje ciała.

Nie zdawałem sobie sprawy, jak dobrze znana stała się moja działalność.

– Skąd pani o nim wie?

– Mój mąż jest policjantem. Wszyscy wiedzą. Niech pan porozmawia z profesorem.

– To ja.

– Słucham?

– Theo Cray. To ja znajduję ciała.

Milknie na kilka chwil.

– To pan znajduje te dziewczyny?

– Tak, ja.

– Jak pan myśli, co je zabiło?

– Nie co, tylko kto. Człowiek.

- Człowiek?
- Z krwi i kości.
- Co to ma wspólnego ze mną?
- Pani coś zobaczyła tamtej nocy.
- Przecież mówię, że to był głupi żart.
- Mam przed sobą zdjęcie zrobione kilka dni później. Dziewczyna, którą na nim widzę, nie uważa, że to był kawał.
- To było dawno temu. Niewiele wtedy wiedziała.
- Mimo wszystko chciałbym z panią porozmawiać.
- Wspomniałam, że mąż jest policjantem?
- Owszem.
- No dobrze. – Westchnienie. – Ma pan nasz adres?

53

Cienie

Elizabeth mieszka z mężem w zadbanym piętrowym domu na pięciohektarowej działce. Kiedy wchodzi przez furtkę w płocie, biegną mi na powitanie trzy śliniace się, potykające jeden o drugiego kundle. Nadstawiają się, by je podrapać za uchem, po czym, przyjąwszy tę opłatę za pozwolenie na wstęp na posesję, zostawiają mnie i pędzą w pogoni za niewidzialnym wrogiem.

Elizabeth siedzi na werandzie. Na stoliku stoi dzbanek z mrożoną herbata. Kobieta jest pełniejsza niż na zdjęciu zrobionym tuż po ukończeniu liceum, ale jej oczy i włosy się nie zmieniły.

– Zatem to pan wykopuje martwe ciała? – rzuca na dzień dobry.

– Można to tak ująć.

Pokazuje, żebym usiadł.

– Thomas mówi, że stracił pan przyjaciółkę.

Zakładam, że Thomas to jej mąż policjant, o którym wspomniała.

– Była studentką.

– Podobno na początku zatrzymali pana jako podejrzanego?

– To było specyficzne doświadczenie.

– Domyślam się. No, ale przyjechał pan porozmawiać o Cougar Creek. Naprawdę marnuje pan czas. Mówiłam: to był żart. Nie mam nic do dodania.

Widać, że przygotowała sobie tę odpowiedź. Czuję jednak, że sprawa sprzed lat bardzo jej ciąży.

– Dwoje ludzi uważa, że jednak jest.

– Słucham?

– Dwoje ludzi dostrzega potencjalny związek pomiędzy obiema sprawami. Pani i ja. Kiedy zadzwoniłem, powiedziała pani, że spodziewała się, że prędzej czy później ktoś się odezwie. Jak na razie nikt poza nami nie dysponuje tak gruntowną wiedzą na temat tamtych zająć. Oboje też doszliśmy do identycznego wniosku, że tamte i obecne zdarzenia mogą być powiązane.

– Chyba już pora na pana. Proszę mnie nie zmuszać do poszczucia pana psami – mówi bez przekonania.

– Powodzenia. Zdążyłem je poznać.

Kręci głową.

– Bezwartościowe stworzenia. – Ustępuje w obliczu mojego uporu.

– W porządku. Musi pan wiedzieć, że kiedy to się działo, i później, kiedy moi koledzy wyolbrzymili pewne aspekty tego, co zaszło, nie do końca rozumiałam, co się właściwie stało. A potem wybuchło prawdziwe szaleństwo. Czytałam nawet, że urządziliśmy tam sobie jakąś demoniczną orgię ze zwierzętami i upiorami. Poszłam na tę wycieczkę jako dziewczica i wróciłam z niej również jako dziewczica, bardzo dziękuję.

– Zatem co tam się wydarzyło?

Poświęca chwilę na zebranie myśli.

– Jak pan zapewne wie, nie byliśmy pierwszymi, którzy natknęli się na tego tak zwanego Potwora z Cougar Creek. Reese Penny i Alex Danson zorganizowali wyprawę właśnie dlatego, że usłyszeli pogłoski o czymś dziwnym czającym się w górach. Ubzdurali sobie, że może chodzić o kosmitów albo o Wielką Stopę. W każdym razie pomysł urządzenia biwaku po zakończeniu roku szkolnego chwycił. Poszło nas siedemnaścioro.

– Jakie to były pogłoski?

– Turyści opowiadali, że widzieli zwierzę na dwóch nogach, które im się przyglądało. Poszli na ryby, a kiedy wrócili, zastali zniszczony obóz. Było nawet zdjęcie.

– Zdjęcie?

– Tak. Zrobił je, zdaje się, kuzyn Aleksa, kilka tygodni przed naszą wyprawą. Widziałam tylko rozmazaną odbitkę z powielacza. To mogło być cokolwiek.

– Jak wyglądało?

– Pamiętam, jak Reese powiedział, że przypomina Czarną Panterę, wie pan, tę postać z komiksów. Nawet porównał zdjęcie z rysunkiem na okładce któregoś z zeszytów. No, może. Ale te nowe ofiary, te dziewczyny, zaatakował niedźwiedź, prawda?

– Pięć śladów po pazurach wskazuje na niedźwiedzia. Drapieżny

kot ma cztery pazury.

– Thomas mówi, że ludzie ze Służby Ochrony Przyrody podejrzewają drapieżnego kota z polidaktylią. Stąd to zamieszanie i pomyłki. Podobno zarówno duże koty, jak i niedźwiedzie zakopują swoje zdobycze.

– Pani Collins, ja widziałem, jak były zakopane te zwłoki. Żadne zwierzę nie zrobiłoby czegoś takiego.

– Ale Człowiek-Puma mógłby?

– Nadal nie wiem, co pani zobaczyła.

– Racja. No więc zmierzaliśmy do gorących źródeł. Kilka osób napomknęło, że chyba coś nas śledzi. Ja, Lucy Plavin i kilka dziewczyn zostałyśmy trochę z tyłu, zbierałyśmy kwiatki i rozmawiałyśmy. Szybko odłączyłyśmy się od reszty, ale doszłyśmy do wniosku, że przecież na szlaku łatwo znaleźć drogę. Szłyśmy, robiąc dużo hałasu, śmiejąc się i tak dalej, kiedy nagle Carey Sumter zatrzymała się i spytała: „Co to było?”. Wskazała grzbiet po lewej stronie, którego szczyt zasłaniały drzewa. Niczego nie widziałyśmy. Carey powiedziała, że to było coś dużego, a ja, że jeśli już, to pewnie niedźwiedź. Przestraszyła się, zrobiła się biała jak kreda. Coś zobaczyła, a myśmy jej wmawiały, że się pomyliła. Dziesięć minut później znów się z nami śmiała, jak gdyby nigdy nic. Dopiero kiedy dotarłyśmy do źródła i zaczęłyśmy rozstawiać namioty, okazało się, że trzy albo cztery osoby widziały, jak coś nas obserwuje. – Milknie. –

Wtedy zaczęło się robić trochę nieswojo. Trzy osoby twierdziły, że coś widziały, i to niezależnie od siebie, w różnym czasie. Kiedy porównaliśmy wersje, okazało się, że cała trójka podaje takie same szczegóły: to coś stało na grani po lewej stronie, z początku wyglądało jak człowiek, a potem oddaliło się, poruszając się jak kot.

– Pomyślała pani, że ktoś chce wam zrobić kawał?

– No tak. Stwierdziłam, że to Reese albo Alex przebrali się w kostiumy albo że któryś z ich znajomych schował się za drzewami. Z drugiej strony to właśnie ta dwójka okazała się najbardziej sceptyczna i usiłowała przekonać Carey i pozostałych, że po prostu widzieli niedźwiedzia. Ale oni upierali się, że stworzenie było za chude jak na niedźwiedzia, i mówili, że wyglądało jak to na zdjęciu

Aleksa.

– Widziała je pani później?

Spogląda mi prosto w oczy. Patrzy takim wzrokiem, jakbym nie mógł zadać głupszego pytania.

– Czy je później widziałam? I to jeszcze jak. Przyjrzałam mu się dokładnie, kiedy próbowało mnie wyciągnąć z namiotu.

54

Kontakt

– Po drugiej skrzynce piwa byliśmy bardziej rozluźnieni i uspokojeni. Pary, które wybrały się na wycieczkę po to, żeby móc się migdalić, zniknęły w namiotach. Kiedy już większość z nas położyła się spać, coś zaczęło hałasować na zewnątrz. Carey, Janet, Vivian i ja postanowiłyśmy spędzić noc w jednym namiocie, bo mniej ufałyśmy chłopcom, niż bałyśmy się tego, co mogło buszować w obozie. Jedna z nas obudziła się na dźwięk rozpinanego suwaka – ciągnie Elizabeth.

– Z początku pomyślała, że to przyszła kolejna dziewczyna albo może któryś z chłopaków chce zrobić kawał, ale kiedy sięgnęła po latarkę i zaświeciła, w wejściu do namiotu nikogo nie było. Kilka chwil później Stacey Kavanaugh coś usłyszała i wrzasnęła. To postawiło wszystkich na nogi. Zeszliśmy się przy ognisku i porównaliśmy spostrzeżenia. Połowa namiotów twierdziła, że słyszała, jak coś się kręci po obozie, i widziała przesuwające się cienie. Wspólnie doszliśmy do wniosku, że to musiał być niedźwiedź albo duży kot. Dziewczyny postanowiły, że każda weźmie chłopaka do obrony. Pomyślałam, że Reese i Alex chyba nie mogli wymyślić lepszego planu. Ale obaj wyglądali na tak samo poruszonych jak my. – Uśmiecha się pod nosem. – Wiedziałam, że Scotta Cooka dziewczyny nie interesują aż tak bardzo, jak się wszystkim wydawało, dlatego wybrałam właśnie jego. Do tego był kapitanem drużyny zapaśniczej, więc czułam się przy nim bezpieczna. Biedny Scott. – Poważnieje.

– Nie rozumiem.

– Myślałam, że zna pan tę część opowieści. Przysypiałam na wierzchu śpiwora, bo było gorąco. Scott spał jak suseł, skulony w kącie, ze słuchawkami na uszach i kasetą Depeche Mode w walkmanie. Z początku myślałam, że to sen. Usłyszałam dźwięk, którego nie umiałam zlokalizować. Później dotarło do mnie, że to odgłos bardzo, bardzo powoli rozpinanego suwaka namiotu. Wciąż jeszcze miałam zamknięte oczy i byłam w półśnie, kiedy nagle

poczułam, że coś dotyka mojej nogi. Pomyślałam, że może, wie pan, Scottowi zebrało się na figle. Uznałam, że nie zareaguję i przekonam się, jak daleko się posunie. Wtedy raptem coś chwyciło mnie za kostkę i zaczęło wyciągać z namiotu.

Opowiadając o tamtych zdarzeniach, Elizabeth żywo gestykułuje, a jej twarz wyraża najróżniejsze emocje. Jej ciało odruchowo zaczyna się skręcać, w miarę jak powraca pamięć mięśni.

– Wrzasnęłam i chwyciłam się śpiwora Scotta. Potem próbowałam złapać się pół namiotu, ale to coś było silniejsze ode mnie i materiał wyslizgnął mi się z dłoni. Przekręciłam się na plecy i wtedy zobaczyłam ten cień... tę istotę. Scott wybiegł z namiotu i rzucił się na to. A wtedy... Do diabła, wtedy to coś zaatakowało go pazurami. Pamiętam jak dziś: podniosło ramię i zamachnęło się na Scotta. Potem Reese wypalił z pistoletu, który zabrał ze sobą. Do tej pory nikt nie wiedział, że Reese ma broń. To coś puściło mnie i uciekło do lasu.

– Zostało ranne?

– Nie wiem. Scott na pewno tak. Nie dość, że to coś poharatało go pazurami, to w dodatku pocisk z pistoletu Reese'a otarł się o jego ramię. To dlatego nasze zeznania nie były spójne. Bo widzi pan, do lasów hrabstwa Beaverhead nie wolno wносить broni, a poza tym na Reese ciążyło parę wcześniejszych zarzutów... Obrażenia nie zagrażały życiu – dodaje po zaczerpnięciu tchu. – Rozcięcia wyglądały paskudnie, ale udało nam się opatrzyć je na tyle, żeby Scott bezpiecznie dotarł do przychodni w Red Hook. Rana od kuli była płytka, można ją było wziąć za zadrapanie. Uzgodniliśmy, że przemilczymy kwestię postrzału, ale wie pan, trudno zachować tajemnicę przy takiej liczbie świadków, dlatego wkrótce wszyscy wiedzieli, co się stało. Kiedy szeryf zapytał Scotta, co się wydarzyło, ten się nie przyznał, że został postrzelony, i na tym się skończyło.

– A Potwór z Cougar Creek?

Elizabeth wzrusza ramionami.

– Potwór jak potwór. Wszyscy, łącznie z niektórymi osobami z naszej grupy, uważali, że zmyślamy albo że po pijanemu starliśmy się z pumą. Historia trafiła do gazet. Przez jakiś czas przyjeżdżali łowcy Wielkiej Stopy, ale nie udało im się odnaleźć Potwora z Cougar

Creek. Kilka miesięcy później, kiedy zaginęli ci turyści z Kalifornii, nikt się już nawet nie zająknął o Człowieku-Pumie.

– Jacy turyści? Nic o tym nie wiem.

– Zanim poszliśmy na tę wyprawę, mówiło się o co najmniej dwóch osobach spoza naszego miasta, które widziano, jak wyruszały na szlak, ale z niego nie wróciły. A po naszej przygodzie krążyły plotki o trójce dzieciaków, hipisów czy coś, nie wiem, które przyjechały autostopem do Red Hook i poszły w góry. Ich też nikt już potem nie widział. Nie było żadnej informacji o zaginionych, nic z tych rzeczy. Wydaje mi się, że jakiś strażnik leśny próbował prowadzić poszukiwania, ale na tym się skończyło. Słyszałam też o innych, po których słuch zaginął. O ludziach, którzy przyjeżdżali tu szukać Człowieka-Pumy. Ale kto wie... Gdyby rzeczywiście tak było, ich samochody musiałyby gdzieś zalegać, nie sądzi pan? To pewnie tylko ludzkie gadanie.

– Jak pani myśli, czym było to stworzenie, które próbowało wyciągnąć panią z namiotu?

– Powiedziałabym, że człowiekiem, ale nie pachniało ani nie zachowywało się jak istota ludzka. Scott nosił na piersi blizny po pazurach. Krótco po tamtych wydarzeniach rozповідаł, że walczył z pumą. A potem znużyło go mówienie prawdy. Kilka lat temu zginął w wypadku samochodowym. Pił. Biedny Scott.

Milczymy przez dobrą minutę, wpatrując się w przeciwne końce werandy. Potem Elizabeth odwraca wzrok w moją stronę.

– Co to było? Diabeł. Tamte wydarzenia zmieniły nas wszystkich. Reese skończył ze sobą z tego samego pistoletu, którym postrzelił Scotta. Alex wpadł w narkotyki, zaczął dilować i żył od odsiadki do odsiadki. Carey Sumter miała koszmary. W końcu się wyprowadziła, tak jak większość pozostałych.

– Ale pani została.

– Diabeł może mnie dopaść w każdym miejscu. Nie ma sensu przed nim uciekać. Poza tym wyszłam za gliniarza.

W spojrzeniu Elizabeth nadal dostrzegam to, co dojrzałem w oczach tamtej znękaney, dezorientowanej dziewczyny ze zdjęcia.

Podobieństwa między Człowiekiem-Pumą a moim mordercą są zbyt

wyraźne, bym mógł je zlekceważyć. Być może to czysty przypadek. Podejrzewam jednak, że wtedy, podczas tamtych wczesnych kontaktów, młody zabójca się sprawdzał, uczył się polować.

– Czy wszystkie osoby zagięły na tym samym obszarze?

– O ile mi wiadomo, tak. Chodzi o dolinę ze źródłem. Dlaczego pan pyta?

– Może pani pokazać to miejsce na mapie?

– Oczywiście, ale od lat nikt tam nie zaginął ani nie widział niczego podejrzanego. Wiem, bo nadal się tym interesuję.

– Rozumiem. Mimo to chciałbym tam pójść.

– Po co? Jego już tam nie ma.

– Ale niewykluczone, że tam zaczynał. Muszę się przekonać na własne oczy.

55

Geoinformacja

Siedzę w restauracji Jillian, pochylam się nad stołem zasłanym mapami i diagramami. Niedojedzoną porcję placka wiśniowego odsunąłem na bok. Usiłuję wydobyć sens z dostępnych danych, przyglądam się im, jakbym liczył, że rozwiązanie pojawi się samo i połączy wszystko w jedną całość.

Z pozoru doniesienia o Potworze z Cougar Creek nie mają nic wspólnego z mordercą Juniper. Człowiek, który ją zabił, a także uśmiercił pozostałe dziewczyny, jest do tego stopnia przezroczystry, że władze w ogóle wątpią w jego istnienie. Człowiek-Puma natomiast pchał się na afisz, pojawiał się tak często, że ochrzczono go mianem Wielkiej Stopy z Montany – po czym nagle zniknął po tej nocy, kiedy zaatakował Elizabeth; oczywiście przy założeniu, że to w ogóle był on.

Im dłużej się nad tym zastanawiam, tym więcej sensu nabiera dla mnie scenariusz, w którym Człowiek-Puma to wczesne wcielenie mordercy Juniper i Chelsea, taki jego szczególny *Batman: Początek*. Po tym, jak o mały włos zarobił kulkę – albo może naprawdę został postrzelony – postanowił zmienić taktykę i nauczyć się ukrywać, którą to sztukę opanował perfekcyjnie.

Morderca w swej młodszej odsłonie był jeszcze trochę niezdarny, a także bezczelny, potrafił zaatakować w samym środku obozowiska pełnego ludzi. W późniejszej fazie stał się znacznie bardziej wybredny, jeśli chodzi o ofiary, zapewne każdą obserwował przez dłuższy czas, zanim zdecydował się uderzyć. To wymaga cierpliwości – chyba że samokontrola jest jednym ze źródeł przyjemności towarzyszącej polowaniu. Czyżby zabójca czerpał tyle samo satysfakcji ze śledzenia swoich ofiar co z odbierania im życia?

– Planuje pan wycieczkę? – pyta Jillian, pochylając się nad moim ramieniem.

Przestraszyłaby mnie, gdybym nie wyczuł jej perfum, jeszcze zanim

się odezwała. Ich zapach kojarzy mi się z wistarią.

– W pewnym sensie...

Siada w boksie naprzeciwko mnie. Zamiast fartucha ma na sobie bluzkę z białym kołnierzykiem, w której jest jej bardzo do twarzy.

– Wygląda pani... bardzo ładnie – zauważam.

– Powinien pan mnie zobaczyć w szortach do pieszych wędrówek.

Odpowiadam bladym uśmiechem.

Stuka palcem w mapę.

– To była aluzja, Theo. Kobiety od czasu do czasu je robią. Tylko proszę się nie spodziewać, że będzie ich więcej.

– Aha. – Zaczynam sprzątać ze stołu. – Obawiam się, że to wycieczka innego rodzaju, niż pani sądzi.

– Szuka pan zwłok. Wiem.

– Szczerze mówiąc, nie w tym przypadku. To bardziej kwestia zaspokojenia ciekawości.

– Od dwóch tygodni jeździ pan tam i z powrotem. Nosi pana ta ciekawość. Może tym razem przydałoby się panu towarzystwo?

Myślałem o niej częściej, niż jestem skłonny przyznać. W miarę jak zagłębiałem się w coraz mroczniejsze rejony, łapałem się na tęsknocie za tym stolikiem, za plackiem wiśniowym i za pozorami normalności.

Czasem przyglądam się jej z mojego kąta w knajpie, patrzę, jak się uśmiecha i z jaką lekkością radzi sobie z wachlarzem ludzkich emocji, nie tracąc poczucia własnej istoty. Z jednej strony chciałbym ją mieć przy sobie w tych ponurych miejscach, do których się udaję, a z drugiej – wolałbym, żeby nie skalala się tym całym złem.

– Nie jestem pewien, czy byłbym dobrym towarzyszem.

– Właśnie dlatego potrzebuje pan towarzystwa.

– Może się zrobić niebezpiecznie.

– Obronię pana – deklaruje.

– Ha. Oboje wiemy, jak skutecznie potrafię sam to zrobić...

– Gus mówi, że wasze treningi wyglądają obiecująco.

– Chodzi pani o te sesje o szóstej rano, podczas których Gus atakuje mnie workiem z praniem?

– Jak zwał, tak zwał. Ważne, że widać efekty. Twarz się panu wyciągnęła, plecy się wyprostowały. Gus robi z pana mężczyznę.

- Obawiam się, że prędzej nastąpi koniec świata.
- No, to tym bardziej przyda się panu towarzystwo w wielkim, mrocznym lesie.
- Sam nie wiem...
- Niech ten, kto przeszedł szkolenie wojskowe i potrafi sam się obronić, podniesie rękę. – Jillian unosi dłoń. – Tak myślałam.
- Zapomniałem, że była w wojsku – jest taka... kobieca. Zaprotestowałbym raz jeszcze, że to niebezpieczne, ale skąd mam wiedzieć, że tutaj, w restauracji, naprawdę nic jej nie grozi? Poza tym Potwora z Cougar Creek nie widziano od wielu lat. Wątpię, żeby miał ochotę wracać do swojego dawnego ulubionego miejsca, w którym niemal zginął. Niemniej... w całej tej historii niewiele rzeczy ma sens.
- W porządku – oznajmia Jillian. – Zatem ustalone. Przyjedzie pan po mnie z samego rana.
- Na nic się nie zgodziłem.
- Za późno.
- Wiem, że dyskusja z nią jest bezcelowa. Poza tym, przyznam szczerze, podoba mi się myśl, że będę miał ją całą dla siebie i nie będzie musiała obdarzać swoją uwagą także innych klientów restauracji.
- Wczoraj byli tu jacyś ludzie. Pytali o pana – mówi nagle.
- Tak? Kto taki?
- Nie przedstawili się. Wyglądali na gliniarzy. Nie kojarzę żadnego z nich. Zegarek jednego spieszył się o dwie godziny. Może przyjezdni.
- Policja? Nie tak trudno mnie znaleźć.
- Być może to nic takiego. Podobno już nie szukają niedźwiedzia, tylko pumy.
- Wzdycham.
- No tak. Pięć pazurów. Polidaktylia u kotów z reguły prowadzi do wykształcenia nie pięciu, tylko sześciu lub więcej pazurów. Nie słyszałem, żeby występowała u dużych kotów drapieżnych. Jakby to cokolwiek zmieniało; oni i tak wymyślą teorię, jaką zechcą.
- Czego będziemy jutro szukali? Nie ciało, prawda? To znaczy, na to też bym się pisała. Chyba.
- Nie. Rozejrzymy się za Potworem z Cougar Creek czy też

Człowiekiem-Pumą, jak go czasem nazywają.

Jillian unosi jedną brew. Czeka, aż powiem, że żartuję.

– Zabiorę broń.

– Od dawna tam nie grasuje.

– Nie na niego.

– Ach, rozumiem. Ufa pani szalonemu profesorowi na tyle, by wybrać się z nim na wycieczkę do lasu, ale tylko pod warunkiem, że na wszelki wypadek będzie pani uzbrojona?

– Mniej więcej. Poza tym, jak już wspomniałam, niech pan zaczeka, aż mnie zobaczy w spodenkach...

56

Wąwóz

Puszczam Jillian przodem. Idzie kilka kroków przede mną, głównie dlatego, że w tym miejscu wąwóz jest zbyt wąski, abyśmy mogli iść jedno obok drugiego. Jest też inny powód. Okazuje się, że Jillian nie przesadzała w kwestii spodenek.

Jej obecność w znacznym stopniu mnie rozprasza, ale i tak nie mogę się pozbyć niepokojącego uczucia, jakie towarzyszy mi, odkąd weszliśmy na szlak. Moje wrażenia z pewnością po części są pokłosiem historii Elizabeth oraz echem okropnych myśli o tym, co jeszcze wydarzyło się w tych lasach, ale winna jest też geografia.

Szlak wiedzie dnem łagodnie wznoszącej się doliny pomiędzy dwoma stromymi grzbietami. Dawniej płynął tędy potok, ale przed laty został odcięty i pozostało po nim tylko wyschnięte, kamieniste, wijące się między wzgórzami koryto.

Rosnące po obu stronach drzewa są wysokie i zacieniają wąwóz praktycznie przez cały dzień; jedynie w południe przepuszczają nieco światła.

– Dziwnie tu – zauważa Jillian.

Cieszę się, że to mówi. Milczałem, bo nie chciałem niepotrzebnie jej niepokoić.

– To dlatego, że w takim miejscu czujemy się narażeni na atak. Człowiek z natury nie garnie się do wąskich szczelin.

– Polemizowałabym – odpala z uśmiechem Jillian.

Chwytam dowcip ułamek sekundy za późno i zamiast się roześmiać, muszę niezręcznie wyszczerzyć zęby, kiedy Jillian zerka przez ramię, żeby sprawdzić, jak przyjąłem żarcik.

– No tak... Niektórzy psychologowie ewolucyjni uważają, że jako gatunek preferujemy określone rodzaje krajobrazu i ukształtowania terenu. Architekci krajobrazu wykorzystują tę wiedzę w projektach parków. Okazuje się, że nie służą one odtwarzaniu natury, lecz mają nas uspokajać. Niewielki zbiornik wodny na otwartej przestrzeni,

otoczony kilkoma kępami drzew, w których można się ukryć przed dużym drapieżnikiem. Czegoś takiego szukaliśmy, kiedy porzuciliśmy dżunglę na rzecz sawanny, to starali się oddać średniowieczni pejzażyści, tak od setek lat projektuje się dwory i rezydencje. Tymczasem my, w tej chwili, znajdujemy się w okolicznościach przyrody będących całkowitym przeciwieństwem tamtego idealnego krajobrazu.

– Okej, ale chyba rozumiem, dlaczego grupa nastolatków wpadła na pomysł, żeby zawędrować aż tutaj. To miejsce dające poczucie oddalenia od władzy, choćby rodziców. Zwłaszcza kiedy jest się świeżo po liceum.

Wpatruję się w cienie, próbuję sobie wyobrazić, jak bym zareagował, gdybym spojrział w górę i zobaczył, że ktoś... coś... mi się przygląda.

Są tu tysiące kryjówek. Założę się, że jesteśmy obserwowani. Nazwę Cougar Creek⁴ nadali osadnicy sprzed stu lat, którzy zamieszkali w pobliżu. Statystycznie rzecz biorąc, pumy widuje się tu rzadziej niż w innych rejonach, co być może wynika z nieumiarkowanego odstrzału, mającego z kolei swoje źródło w nazwie tego miejsca – i koło się zamyka. Mimo to jestem przekonany, że o naszej obecności na szlaku wie niejeden mięsożerca.

Jillian zatrzymuje się, żeby zatknąć za ucho kosmyk swoich włosów w kolorze brudnego blond i napić się z manierki.

– Jak pan się trzyma, panie miastowy?

– Ten miastowy przemierzał Belize, kiedy pani wymachiwała pomponami w liceum.

– Pomponami? Grałam w softball i siatkówkę. Lubiłam sobie w coś przyłożyć. Co pan robił w Belize?

– Polowałem na zabójcę.

– O?

– Na *Culicidae*. Komary. Tropiliśmy gatunek charakteryzujący się znaczną skłonnością do przenoszenia malarii. Robiłem licencjat, chodziłem za naukowcem prowadzącym badania w terenie i zbierałem okazy. Rząd chciał wyplenić te owady z najbardziej zagrożonych terenów.

- I co, udało się?
- Miejsce jednego gatunku zajął drugi, nieco tylko rzadziej roznoszący infekcje. Ze statystycznego punktu widzenia zdołaliśmy ocalić jedenaście istnień. W końcu wprowadzono skuteczniejsze metody zwalczania tych owadów.
- Ciekawe. – Przez jakiś czas idziemy w milczeniu. – Tutaj pan robi to samo? – odzywa się w pewnej chwili Jillian.
- Słucham?
- To pana odnajdywanie ciał ofiar i ta dzisiejsza wyprawa przypominają polowanie na chorobę.
- Nie jestem epidemiologiem, jeśli o to pani chodzi. Nie moja dziedzina, ja tworzę modele matematyczne na podstawie systemów biologicznych.
- Ale właściwie zna się pan na wszystkim.
- Można tak powiedzieć. Nawet biologia wydała mi się zbyt ograniczająca i musiałem wymyślić, jak uczynić ją bardziej egzotyczną.
- Mianowicie?
- Na potrzeby mojego doktoratu stworzyłem pięciowymiarowe środowisko, wypełniłem je sztucznym życiem, po czym wprowadziłem doń wektory chorobowe.
- Nawet nie będę udawała, że rozumiem, co to znaczy.
- To był ambitny projekt. Dążyłem do wykazania cech wspólnych bardzo odmiennych systemów. To, jak zabawne zdjęcie z kotkiem rozchodzi się po internecie, wcale nie różni się aż tak bardzo od sposobu, w jaki rozprzestrzenia się wirus grypy. Chciałem stworzyć model o wysokim stopniu skomplikowania, naprawdę udziwniony, a potem poszukać podobieństw.
- I znalazł je pan?
- Całe mnóstwo. Żadne z nich nie stanowiło integralnej części systemu, ale pewnych rzeczy nie sposób uniknąć. Dzięki temu odkryłem miejsca pochówku pozostałych ofiar. Mój model rozwinął nieoczywiste wzorce.
- Sprytne.
- Owszem, ale ograniczone. Odnalazłem wprawdzie sporo cech

wspólnych miejsc, w których morderca zakopywał zwłoki, oraz tych, gdzie potencjalnie mógł przechwytywać swoje ofiary, a mimo to nie dowiedziałem się niczego o nim samym.

Jillian przez chwilę zastanawia się nad moimi słowami, a potem odpowiada:

– Stąd ta wyprawa. Jeśli pański morderca grasował tu za młodu, być może to miejsce powie panu o nim coś więcej.

– Niewykluczone. Może Cougar Creek nie ma z tym nic wspólnego. A może zbiorę dane, które pozwolą mi lepiej zrozumieć tego rodzaju zachowania.

Teren staje się bardziej płaski. Idziemy pod baldachimem drzew. Po półgodzinie docieramy do niewielkiego źródła, przy którym Elizabeth i jej przyjaciele ze szkoły przed laty rozbili obóz.

Sadzawka jest wypełniona ciemną wodą, a jej koniec niknie za zakrętem. Z boku widać spieniony wypływ. Co jakiś czas z dna unosi się bańka. Zapach siarki jest wprawdzie wyraźnie wyczuwalny, ale na szczęście nie drażniący.

Źródło i jego sąsiedztwo otaczają skaliste wychodnie, tworząc coś w rodzaju stromej kaldery. Obecność gorącego źródła wskazuje na uśpioną aktywność wulkaniczną; być może w przeszłości ta góra była działającym wulkanem.

– Widzi pani ten postrzępiony kraniec urwiska, który sterczy na tle nieba jak czarne zęby? – mówię, pokazując palcem. – W innych miejscach, które odwiedzałem, taką formację nazwano by Ustami Piekieł.

– Aż ciarki przechodzą – stwierdza Jillian, przyglądając się skałom.

Wyjmuję wydruki zdjęć z satelity. Ustalenie naszego położenia na mapie zajmuje mi trochę czasu, ale w końcu się udaje.

– Tędy.

Przedzieram się przez zarośla; zamierzam dotrzeć do osuwiska. Jillian twardo idzie za mną. Wspinamy się po kamieniach, aż docieramy na wysokość dwudziestu metrów nad źródłem. Znajduję wąską półkę, na której możemy przysiąść.

Z tej perspektywy polana wokół źródła wygląda jak trawiasty krąg z sadzawką pośrodku. Wyobrażam sobie porozstawiane tam namioty

– są małe, prawie jak zabawki, a ludzie znaczą tyle co nic.

– Jak się tu pani podoba? – pytam.

– Czuję się jak bóg.

– Albo jak diabeł.

Kiwa głową.

– Myśli pan, że obserwował ich stąd?

– Myślę, że nie odstępował ich na całym szlaku. Tak jak pozostających. To miejsce, tam na dole... jest wyjątkowe. Uważał je za swoje.

– Swoje... pole śmierci?

– Zapewne wiele razy.

Wyjmuję mapę cieplną i orientuję ją względem kierunku, w którym patrzymy.

– Co to?

– Strażnicy leśni przeczesali całą okolicę i niczego nie znaleźli. Ale przecież istnieją dziesiątki miejsc, których nie sposób zobaczyć z ziemi.

Chłodniejszy obszar na mapie nakłada się na urwisko znajdujące się w odległości niecałych dwudziestu metrów od nas. Widzę wysoką na około trzy metry stromą ścianę z licznymi pęknięciami. Nad nią znajduje się niewielki występ.

– Potrzyma pani mój plecak?

– Dokąd się pan wybiera?

– Szukałem miejsca, do którego nie mógłby się dostać kot ani niedźwiedź, za to ssak z rzędu naczelnych, owszem.

– Chodzi o półkę?

– Nie, o jaskinię.

57

Kryjówka

Aby się dostać na półkę, muszę wpasować stopę w wąską szczelinę w skale i mocno się chwycić krawędzi występu; aż bieleją mi palce.

Potrafię sobie wyobrazić pumę dającą susa albo niedźwiedzia podciągającego się jak na drążku, gdyby z jakiegoś powodu bardzo mu zależało na znalezieniu się na tej półce, ale nie sądzę, by którekolwiek z tych zwierząt chciało robić to regularnie, jeśli dysponowało innymi, lepszymi miejscami na kryjówkę.

– Theo?! – woła Jillian.

– Chwileczkę. – Przewracam się na plecy i łapię oddech, ignorując ból w ranach, które nie zdążyły się całkiem zagoić. – W porządku – mówię i siadam.

Z mapy cieplnej wynikało, że może się tu znajdować jaskinia. I rzeczywiście – zauważam trójkątny prześwit w skałach, wystarczająco szeroki, by mógł się przez niego przecisnąć człowiek.

Wyjmuję latarkę i świecę do wnętrza szczeliny. Ściana najpierw biegnie prosto, a po trzech metrach skręca w prawo.

– Jeśli nie wyjdę po dziesięciu minutach, proszę... pójść wezwać pomoc, dobrze?

– Dlaczego nie mogę iść z panem?! – krzyczy z dołu Jillian.

– Proszę zaczekać. Najpierw sprawdzę, co tu jest.

– W porządku. Ale po dziesięciu minutach nie pójde po pomoc, tylko po pana.

Z niepokojem zerkam na polanę. Nie wiem, czy po prostu denerwuję się tym, co znajdę w jaskini, czy boję się zostawić tu Jillian samą.

Wyjmuję pistolet, kładę się na półce, opuszczam rękę i podaję broń mojej towarzyszce.

– Proszę.

– A panu co zostanie?

– Zdrowy rozsądek.

– Jak na razie daleko pan na nim nie zajechał. – Odmawia przyjęcia pistoletu. – Chyba lepiej, żeby to pan go miał przy sobie, skoro pierwszy wchodzi do środka?

Nie ma sensu się z nią spierać. Chowam broń z powrotem za pas i wchodzę do jaskini.

Czuję gryzący, przesycony wilgocią zapach, którego nie potrafię zidentyfikować. Przez ostatnich kilka tygodni nawąchałem się zwłok, ale to coś innego.

Zagłębiam się. Za zakrętem pieczara się poszerza. Sufit jest tu niżej, ale nadal mogę iść prawie całkiem wyprostowany.

Skaliste dno jaskini pokrywa warstwa ziemi. Szukam śladów wskazujących na to, że pieczara miała lokatora, ale znajduję jedynie kamienie i kilka suchych gałęzi, prawdopodobnie nawianych przez wiatr w czasie burzy.

Jaskinia jest wystarczająco głęboka, by człowiek mógł w niej zamieszkać albo przynajmniej spędzić kilka dni zabójczego urlopu.

Idę dalej, rozglądając się, choć sam nie wiem za czym. Minęło ponad trzydzieści lat od kontaktu Elizabeth z Człowiekiem-Pumą. Nie jestem pewien, czego powinienem szukać, nawet przy założeniu, że Potwór z Cougar Creek kiedykolwiek tu był.

W porządku, przyznaję, chyba spodziewałem się ujrzeć stos kości zaginionych turystów. Tymczasem nie ma tu nic poza skałą.

Dziesięć metrów dalej docieram do końca jaskini. Dla pewności zawracam i omiatam światłem latarki wszystkie miejsca, w których ściany stykają się z podłożem; szukam małych, wąskich przejść do innych komór.

Bezowocnie.

Wciąż czuję osobliwą woń, ale nie jest to zapach rozkładających się ciał.

Na mapie zazaczyłem jeszcze kilka innych miejsc do sprawdzenia, ale wątpię, żeby którekolwiek wyglądało równie obiecująco jak to. Kieruję się ku widocznym za zakrętem promieniom słońca.

Zbliżając się do wyjścia, wyłączam latarkę. Dostrzegam zarys otworu. Ale w tym ułamku sekundy, który zajmuje pstryknięcie przełącznika, dostrzegam coś, co każe mi ponownie go nacisnąć.

Subtelny szczegół. Mógłbym go nie zauważyć, gdybym stał kilkanaście centymetrów dalej w jedną bądź drugą stronę. Przesuwam snop światła i teraz widzę wyraźnie.

Cztery długie wyłobienia. Mogły je pozostawić na przykład metalowe pazury.

Muszę uważać, żeby nie poddać się efektowi potwierdzenia, ale nic nie poradzę, że nie potrafię znaleźć innego wytłumaczenia dla tych śladów. Wyglądają, jakby Potwór z Cougar Creek ostrzył pazury przed wyruszeniem na polowanie.

Robię zdjęcia, pobieram wiórek z zagłębienia, sprawdzam pozostałe ściany, a potem wychodzę z jaskini z hasłem „Znalazłem!” na ustach.

- Co pan znalazł?
- Ślady czterech pazurów. Był tu!
- Skąd pan wie, że nie chodzi o dużego kota?
- Koty nie pozostawiają kawałków metalu, kiedy ostrzą pazury na skałach.

Pośród swego radosnego podniecenia dostrzegam niepokój w spojrzeniu Jillian. Naraz wszystko to stało się dla niej bardzo rzeczywiste. Poszła ze mną w góry, bo chciałem zbadać starą legendę. Tymczasem wplątałem ją w terażniejsze wydarzenia.

- Było tam... coś jeszcze? – pyta.
- Nie. Tylko ślady pazurów. Być może policja znajdzie coś więcej, kiedy przeszuka dno jaskini.
- Myśli pan, że pofatygują się do czegoś takiego?
- Nie wiem. Mąż Elizabeth jest policjantem. Może teraz, mając dowody, zainteresuje się sprawą.
- Dowody w postaci śladów na ścianie?

Zaczyna do mnie docierać, co Jillian chce powiedzieć. Odkrycie ma wielkie znaczenie – ale tylko dla mnie. Inni je zlekceważą, zwłaszcza policja, która nadal trwa w przekonaniu, że ściga zwierzę, nie człowieka.

– No tak. Rozumiem, co pani ma na myśli. Ale dla mnie to się może okazać pomocne.

– Może to i lepiej – odpowiada, zapewne z ulgą, że jaskinia nie jest wypełniona ciałami. – Może to oznacza, że historie o zaginionych

turystach były zwykłymi plotkami?

– Niewykluczone.

– Nie ma możliwości, że ich tam zakopał?

– Nie. Dno to lita skała. – Rozglądam się po kalderze. – Prawdę mówiąc, nie mam pojęcia, gdzie tu mógłby porzucić ciało bez zakopywania go.

– Potrafiłby pan je znaleźć, gdyby jednak było zakopane?

– Nie w taki sposób, w jaki wytropiłem pozostałe. Minęło zbyt dużo czasu.

– Może po prostu nie ma żadnego ciała.

Wpatruję się w parę, która unosi się nad wodą i rozchodzi w powietrzu.

– Tak...

– Theo? Theo?

Otrząsam się z zamyślenia.

– Tak?

– O co chodzi?

Nadal wbijam spojrzenie w gorące źródło. I znów czuję, jak wypełnia mnie dobrze znany niepokój.

– Nie zakopał ich...

58

Ekstremofil

Jillian przygląda mi się, jak krążę wokół sadzawki. Skraj wody jest ubarwiony na żółto – to od siarki – natomiast środek wygląda jak ciemna otchłań, z której od czasu do czasu unosi się gazowa bańka. Na pierwszych trzech metrach sadzawka jest stosunkowo płytka, ale dalej głębokość gwałtownie rośnie.

Wkładam rękę do wody i szacuję jej temperaturę w kilku miejscach. Najciemniejsza i najgłębsza część zbiornika jest zarazem znacznie cieplejsza od pozostałych. Nie aż tak, żeby można się było poparzyć, ale kojarzy się z gorącą kąpielą.

– O czym pan myśli? – pyta Jillian.

– Wie pani, że w gorących źródłach Yellowstone odkryto drobnoustroje, które znakomicie się rozwijały w temperaturach znacznie wyższych od tych, które uznawaliśmy za zdatne do życia? To tak zwane ekstremofile. Podtrzymują naszą wiarę w istnieniu życia na innych planetach.

Posyła mi niepewne spojrzenie.

– A, super. Czyli co, teraz pan uważa, że mamy do czynienia z kosmitami?

– Jedną chwilę.

Odwracam się w stronę zarośli i zaczynam grzebać w poszukiwaniu dużego drąga. Znajduję coś, co wygląda jak wykoślawione średniowieczne grabie. Wracam nad sadzawkę.

– Sądzi pan, że tam może być ukryte ciało, prawda?

Badam dno kijem i stwierdzam, że gwałtownie się obniża, tak jak podejrzewałem.

– Do tej sadzawki wchodziły setki ludzi – mówię głośno, racjonalizując własny proces myślowy.

– Gdyby coś tam było, na pewno by to znaleźli – dopowiada Jillian, starając się, aby zabrzmiało to jak stwierdzenie faktu.

– Chyba że... – mówię i urywam, kiedy zaczyna mi świtać pomysł.

Nie mam wyjścia. Dno sadzawki wymaga sprawdzenia.

Zdejmuję koszulę i rzuca ją na kłodę. Nie odrywając oczu od wody, zacznę rozsznurowywać buty.

– Theo... Chyba nie zamierza pan tam wejść?

Zerkam na nią.

– Przykro mi, jeśli czuje się pani niezręcznie. Mam na sobie bokserki.

– Jest pan idiotą.

Zdejmuję spodnie i wchodzę. Po chwili moja stopa robi się cieplejsza od reszty ciała. Idę dalej, aż docieram do miejsca, w którym woda sięga mi do piersi.

Im bliżej najciemniejszej części sadzawki, tym goręcej.

– I jak? – pyta Jillian.

– Tutaj całkiem przyjemnie. A na dole? Przekonamy się.

– Proszę obiecać, że nie będzie pan nurkował. Przecież tam musi być wrzątek.

Kiedy to mówi, gazowa bańka wyłania się na powierzchnię i pęka blisko mojej twarzy.

– W zasadzie tak. Ale to nie woda mnie przeraża.

– Tylko te pańskie ekstremofile?

– Jeśli nie wypłynę za dziesięć minut, proszę sprowadzić pomoc.

– Nic z tego. Pójdę do domu i zapomnę, że w ogóle pana znałam.

Nabieram powietrza i nurkuję. Temperatura wody radykalnie rośnie. Czuję to przez skórę na głowie i karku. Kiedy wyciągam przed siebie ręce, końcówki moich nerwów stają się piekącymi punkcikami.

Poruszam nogami, schodzę niżej i naraz natrafiam na ścianę ukropu. Kiedy zaczynają mnie parzyć dłonie, zwracam się ku powierzchni i wypływam.

Czuję na twarzy uderzenie zimnego powietrza.

– Mój Boże! – wykrzykuje siedząca na kłodzie Jillian. – Jest pan czerwony jak burak.

– Gorąco było.

– Zadowolony?

Podpływam pieskiem do brzegu.

– Zadowolony o tyle, że nikt o zdrowych zmysłach nie próbowałby

zejść niżej.

– Świetnie. Czy teraz wyjdzie pan z wody?

– Nie. To tylko potwierdza moje podejrzenia. Poda mi pani tamten kij?

– Będzie pan nim macał, czy nie ma ciał?

– Jeśli mi go pani nie poda, będę to musiał robić zębami. Wybór należy do pani.

– Obrzydliwość – mówi i ciska kij, który ląduje z pluskiem tuż obok mnie.

– Dziękuję.

Biorę drąg, chwytam go jak włócznię i wracam pod wodę. Docieram tak daleko, jak poprzednim razem, i badam dno, szturchając je kijem.

Jego koniec natrafia na kamienie i kłody. Jestem w stanie wytrzymać minutę, zanim gorąco staje się nie do zniesienia. Wracam na powierzchnię zaczerpnąć powietrza i nieco się ochłodzić. Jillian ma nietęgą minę.

– Uprzedzałem, że w grę mogą wchodzić trupy – mówię jej. – Wiedziała pani, na co się pisze.

– Nie spodziewałam się, że jednym z tych trupów będzie pan. Nie przyszłam tu po to, żeby się przyglądać, jak pan się gotuje jak homar.

– Nic mi nie będzie.

– Słyszał pan o żabie i garnku wrzątku?

– To mit. Żaba zawsze wyskoczy z garnka. – Chyba że tą żabą jest zdeterminowany profesor, który nie słucha głosu rozsądku.

Nurkuję i badam dno w innym miejscu. Tym razem kij trafia w kamień, który ustępuje pod naciskiem i zsuwa się, jakby leżał na innym kamieniu. Muszę się wynurzyć, ale zaraz tu wrócę.

– Dlaczego akurat pan to musi robić? – pyta Jillian, kiedy moja głowa ukazuje się na powierzchni.

– Nie byłem w stanie przekonać policji, żeby pofatygowała się pięć kilometrów od komisariatu po pierwsze ciało. Jak pani myśli, co by powiedzieli, gdybym oznajmił, że tamta sprawa ma związek z Potworem z Cougar Creek?

Wracam pod wodę i znów szturcham dno. Kij wbija się w coś, co

biorę za drewno. Szarpie, ale czuję, że się zaczepił.

Ostrożnie holuję tę rzecz do siebie i wyciągam rękę, żeby dotknąć przedmiotu, który nadział się na moją prowizoryczną włóczę. Palce natrafiają na szereg ułożonych obok siebie zakrzywionych kształtów; w pierwszym odruchu kojarzą mi się ze sztchetami w płocie.

Nie spiesz się z wnioskami, mówię sobie. To nie musi być klatka piersiowa człowieka; mogła należeć na przykład do jelenia. Przesuwam dłonią po drugiej stronie przedmiotu, szukam wydatnych kręgów części grzbietowej, charakterystycznych dla jeleni albo niedźwiedzi.

Ale kręgi są krótkie i gładkie. Takie jak ludzkie.

Wynurzam się. Mina Jillian zmienia się w chwili, gdy jej wzrok pada na moją twarz.

– Znalazł pan coś.

– Tak...

Płynę do brzegu, ciągnąc za sobą znalezisko.

Docieram na płyciznę, tam gdzie woda jest bardziej przejrzysta.

Jillian klęka, żeby przyjrzeć się żebrom.

– Ludzkie?

Zostawiam kości w wodzie, a sam wychodzę i siadam na trawie.

– Dorosłej osoby. Prawdopodobnie kobiety.

– Jest tego więcej?

– Podejrzewam, że tak. Woda albo bakterie strawiły tkankę łączną. Musimy zostawić kości w wodzie, dopóki nie zjawi się ktoś, kto usunie je stąd w odpowiedni sposób. Ponieważ po zetknięciu z powietrzem zaczną się rozkładać.

Badam powierzchnię kości tego częściowego szkieletu. Zauważam na żebrach kilka wyraźnych śladów po pazurach.

Jillian też je widzi.

– To on.

– Zdecydowanie.

– A to co?

Przyglądam się miejscu, które wskazuje. Na ciemnym tle kości błyszczy coś metalowego. Odprysk. Utknął w jednym z żeber po lewej stronie klatki piersiowej. Wydłubuję go palcem, chyba nieco zbyt

pochopnie.

Ścieram brud i glony. Ukazuje się spod nich ostry metalowy czubek ostrza noża. Albo może nawet czubek pazura.

Pokazuję go Jillian.

– Nie zostawił tego ani duży kot, ani niedźwiedź. Teraz muszą nam uwierzyć. Muszą.

Dokuczliwe wrażenie

Pierwszy kilometr drogi powrotnej pokonujemy w milczeniu, rozmyślając nad znaczeniem znaleziska. Zrobiwszy kilka zdjęć wydobytej klatki piersiowej, zaciągnąłem ją z powrotem tam, gdzie spoczywała. Zaczeka na nurków policyjnych.

Kiedy w końcu wyszedłem z sadzawki, Jillian wręczyła mi butelkę wody, żebym się obmył. Oznajmiła, że odmawia towarzyszenia komuś, kto cuchnie, jakby się naraz spierdział cały męski internat.

Doceniam fakt, że tak szybko się otrząsnęła z tego, czego była świadkiem, po czym uświadamiam sobie, że tak naprawdę nie wydawała się jakoś szczególnie poruszona odkryciem. Podejrzewam, że w życiu nieraz miała do czynienia ze śmiercią.

Niemniej nadal jest czujna. Kiedy schodzimy wąskim wąwozem, kilka razy łapię ją na tym, że ogląda się przez ramię i przeczesuje wzrokiem krawędź grzbietu.

Niepokój towarzyszący powrotowi na dół jest głębszy od tego, który odczuwaliśmy podczas wspinaczki na górę. Z początku składał to na karb spotkania twarzą w twarz ze śmiercią, ale potem zaczynam reagować nieco paranoicznie.

– To było czyjeś dziecko – odzywa się Jillian, przerywając milczenie.

– Tak. Dziecko, które jak sądzę, zaginęło przed ponad trzydziestoma laty.

– Myśli pan, że tam może być więcej szkieletów?

– Tak.

– Dlaczego pan tak uważa?

– Ponieważ ten znalazłem bez większego trudu. Morderca położył trupowi kamień na piersi, żeby go obciążyć. Prawdopodobieństwo, że trafiłem akurat na ten jeden jedyny spoczywający tam szkielet, jest niewielkie. Jestem przekonany, że nurkowie znajdą ich więcej.

– Tyle lat przeleżał w tej sadzawce. A ludzie tam pływali, bawili

się, nie daj Boże pili z niej wodę, mając cmentarzysko tuż pod stopami. To nie w porządku.

– Wie pani, to było ryzykowne.

Zerka na mnie przez ramię.

– Co takiego?

– Te ciała mogło wzdąć od gazów, a wtedy wypłynęłyby na powierzchnię. Morderca nie postąpił zbyt rozsądnie, pozbywając się ich w taki sposób. Lepiej by zrobił, gdyby zakopał je w lesie.

– To dlaczego je utopił?

– Nie wiem. Ludzie mnie zadziwiają.

– On nie jest człowiekiem.

– Owszem, jest. Tyle że potwornym. Gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że zależało mu na tym, aby mieć wszystkie ciała w jednym miejscu. Pewnie się podniecał, patrząc, jak ludzie pływają w sadzawce będącej grobem.

– Obrzydliwe.

– Pobudzające.

– Że co? Niby jak?

– To, co widzieliśmy, zrobił we wczesnej fazie swojej, nazwijmy to, działalności. Później zmądrzał, ale zapewne wciąż czerpał i nadal czerpie z tego przyjemność. Na tyle dużą, by prowadziła do niedbałości. To oznacza, że morderca może popełniać błędy.

Nagle Jillian się zatrzymuje. Przekrzywia głowę i po chwili rusza dalej.

– O co chodzi? – pytam.

– Ale że co?

– Zatrzymała się pani.

– Tak? Chyba po prostu coś usłyszałam.

Fascynuje mnie ten konflikt pomiędzy zwierzęciem posługującym się instynktem a posiadającym zdolność logicznego myślenia człowiekiem, który odrzuca wszystko, co nie pasuje do wąskich kategorii zmysłów. Właśnie byłem świadkiem, jak Jillian coś wyczuła, po czym szybko wyrzuciła to z pamięci, ponieważ nie potrafiła sklasyfikować zjawiska.

– Czuje pani mrowienie w karku i ucisk w żołądku?

– Tak. A pan?

– Aha.

– Sądzę, że jesteśmy obserwowani – mówi szeptem, nie odwracając się.

Dalej idziemy w milczeniu. Oboje staramy się nie okazywać zaciekawienia tym, co być może podąża naszym tropem. Rozglądamy się po szlaku, ale nie obracając głowami, jedynie wodząc oczami.

Kilometr dalej docieramy do miejsca, w którym las zaczyna się przerzedzać.

– Tutaj nie ma się gdzie ukryć – szepcze Jillian. – Ale za najbliższym zakrętem znowu będzie gęsto. Gdybym była snajperem...

– ...właśnie tam by się pani zaczała.

– Dokładnie tak.

– Niech się pani nie zatrzymuje.

Puszczam ją przodem, pozwalam, żeby się oddaliła, po czym cicho wspinam się na grzbiet. Czekam, aż Jillian dotrze do zakrętu, a potem przechodzę na drugą stronę. Liczę, że obserwator skupi się na mojej towarzysze wyłaniającej się z wąwozu.

Szlak biegnie zakolem wyglądającym jak porośnięty drzewami cypel.

Jeżeli ktoś lub coś nas śledzi i ukrywa się w kępie drzew, która znajduje się na cyplu na wprost mnie, to jedyna droga odwrotu wiedzie dla niego przez obstawiony przeze mnie wąski pas drzew.

Zastanawiam się, co robić: spróbować podkraść się jak najciszej czy jednak zbliżyć się bez podchodów. Uznaję, że lepsze będzie to drugie – pobiegnę pełnym gazem w stronę drzew, modląc się, żeby nie wyskoczyć na pumę.

Jestem w jednej czwartej drogi, kiedy gdzieś trzaska gałąź. Słysząc skrzeczenie ptaków i kilka drozdów zrywa się do lotu, wściekle trzepocząc skrzydłami.

Dziesięć metrów przede mną jedna z gałęzi zaczyna się kołysać. Nie jestem pewien, czy widziałem przemykający cień, czy to tylko ruch drzewa.

Naraz opada mnie strach, że zostawiłem Jillian samą. Biegnę na skraj cypla i widzę, że idzie szlakiem, tak jak szła.

Spogląda na mnie i bez słowa pytająco unosi brew. Wzruszam ramionami.

Już mam zawrócić, kiedy mój wzrok pada na skrawek ziemi pod okapem dolnych gałęzi.

Wyraźny odcisk buta. Dotykam go, żeby sprawdzić wilgotność. Świeży. Nie ma nawet godziny.

Robię zdjęcie telefonem. Kiedy wydaję banknot dolarowy, żeby położyć go obok odcisku dla zobrazowania wielkości, dociera do mnie, jak wielki musiał to być but. Rozmiar pięćdziesiąt albo pięćdziesiąt jeden. Zagłębienie wskazuje, że ten, kto go nosi, musi naprawdę sporo ważyć.

– No i? – pyta Jillian, kiedy dołączam do niej po zbiegnięciu ze wzniesienia.

– Widziałem odcisk wielkiego buta. Pewnie należał do myśliwego.

– Do myśliwego? Tu się nie poluje.

– No tak. Wobec tego pewnie do turysty. Ja też czasem staram się unikać ludzi na szlaku.

– Tak... Zauważyłam. Jest pan pewien, że to nie był nasz stalker?

– To ktoś wysoki i ciężki. Kiepski materiał na ninja.

Wydaje się usatysfakcjonowana odpowiedzią.

Tak sobie myślę: jeszcze kilka minut temu roztrząsałem to, jak prędko zignorowała sygnał od swojego instynktu, a teraz proszę: zapewniam ją, że nie ma się czym martwić, ponieważ odcisk, który znalazłem, nie pasuje do moich oczekiwań.

Badam wzrokiem rysujący się przed nami grzbiet i znów czuję, jak niewidzialna dłoń zaciska się na moim żołądku.

60

Krajobraz

Resztę drogi pokonujemy pod krwawoczerwonym niebem. Wsiadamy do explorera i wymieniamy spojrzenia; obojgu nam wyraźnie ulżyło, że zdążyliśmy dotrzeć do auta przed zapadnięciem zmroku.

– Co teraz? – pyta Jillian, kiedy wyjeżdżamy na szosę.
– Chodzi pani o zwłoki? Wyślę policji anonimowy e-mail ze zdjęciem i dokładną lokalizacją.

– Myśli pan, że dadzą się nabrać?
– Nie. Ale mam za sobą zbyt wiele frustrujących doświadczeń z tutejszymi organami ochrony porządku publicznego. – Wciąż czuję ból w boku po spotkaniu z Guntherem na parkingu.

– Co pan zamierza robić dalej?
– Pewnie będę znajdował kolejne trupy. Sam niewiele więcej mogę, za to zakład medycyny sądowej dysponuje mnóstwem narzędzi. Może coś by dało, gdyby w sprawę zaangażowało się FBI. W którymś momencie policja musi porzucić tę idiotyczną teorię o atakach dzikich zwierząt.

– Kolejne ciała – mówi Jillian, wpatrując się w ciemniejące niebo. Oprócz nas na drodze jest tylko jeden samochód, jedzie jakieś pół kilometra za nami.

– Chcę spróbować odnaleźć starsze ofiary.
– Takie jak te tutaj?
– Tak. I może w innych miejscach. Problem polega na tym, że morderca stał się zbyt sprytny. Wie, jak unikać policji, a na ofiarach nie pozostawia nic, co mogłoby zawierać jego DNA. Wątpię, żeby dziś pozwolił sobie na przeoczenie metalowego odprysku w żebrze. Wraz z rozwojem medycyny sądowej zmieniały się również jego metody.

– Za to te starsze zabójstwa...
– Niewykluczone, że wtedy jeszcze nie był tak przemyślny. Gorące źródło pozwoliło na zatarcie wszelkich śladów na ciałach ofiar, tak więc pod tym względem wykazał się przebiegłością, ale nie udało mu

się ukryć faktu, że w tych stronach grasował morderca. Dziś jest niewidzialny. Dlatego sądzę, że w poszukiwaniu wskazówek należy zwrócić się ku przeszłości.

– Przejrzy pan stare doniesienia o morderstwach?

– Zgłoszenia zaginięć. Raporty z nietypowych napaści z użyciem noża. Wszystko z kilku ostatnich dekad, co mogłoby pasować do jego profilu.

Przegapiłem zjazd. Zwalniam i zaczynam zawracać.

– Ciekawe, jak wygląda. Zorientowalibyśmy się, że to morderca, gdybyśmy go zobaczyli?

– Zastanawiałem się nad tym. Wątpię. To inteligentny człowiek. Prawdopodobnie nie jest też odludkiem.

Jillian przygląda się chmurom w przygasającym świetle dnia.

– Skąd się biorą tacy ludzie?

– Dwa procent populacji to socjopaci. Ich stosunek do innych różni się od naszego. Proszę sobie wyobrazić, że każdego dnia ma pani kontakt z pięćdziesięciorgiem ludzi: w tym zbiorze jedna osoba jest socjopatą.

– Ale nie mordercą.

– Nie. Aczkolwiek gdyby ten ktoś miał magiczny przycisk, którego naciśnięcie eliminowałoby jakiegoś człowieka i przynosiło korzyść pozbawioną ryzyka, ta osoba by się nie zawahała.

– Czy gdyby pan sam był socjopatą, wiedziałby pan o tym?

– Sporo o tym czytałem, kiedy byłem nastolatkiem.

– Autodiagnoza?

– Może trochę. Z tego, co się zorientowałem, osoby inteligentne w pewnym momencie zaczynają się podejrzewać o socjopatię. Pozostali po prostu zakładają, że wszyscy inni są tacy jak oni.

– A co takiego młody doktor Cray wywnioskował na własny temat?

– Stwierdziłem nieuleczalną nieporadność społeczną.

Błysk światła w lusterku wstecznym. Z początku nie zawracam sobie nim głowy, ale potem dociera do mnie, że od wielu kilometrów jedziemy prostą drogą bez odgałęzień.

Jillian zauważa, że zerkam w lusterko.

– O co chodzi?

– O nic.
– Theo – mówi tonem napomnienia.
– Wydaje mi się, że ktoś zawrócił, tak jak my.
– Śledzi nas?
– Dobre pytanie. Proszę wyjąć telefon.
Zatrzymuję auto na poboczu i włączam światło w kabinie.
– Udajemy, że się zgubiliśmy?
Odrywam wzrok od drogi i przenoszę go na telefon Jillian.
– Tak. Kiedy będzie nas mijał, proszę się przyjrzeć, ile osób jest w środku.
– A jeśli się zatrzyma za nami?
– Nie robi tego. Chyba że będzie chciał pokazać, że nas śledzi.
Kątem oka widzę zbliżający się samochód. Przejeżdża obok.
– Miał przyciemniane szyby. To był ciemnozielony yukon.
– Udało się pani zobaczyć tablice?
– Z Montany. Numeru niestety nie przeczytałam.
– Ciekawe. To pewnie nic takiego.
– Nic takiego?
– Aha.
– Okej. – Wydaje się bardziej rozbawiona niż zaniepokojona.
Wyłączam światło w kabinie. Jillian wciąż na mnie patrzy, blask zegarów na desce rozdzielczej rozświetla jej twarz. Kąciki ust unoszą się w uśmiechu.
Długie spojrzenie. Wiem, co oznacza.
Chyba.
Dla niej to wciąż jest po prostu przygoda. Ona zdaje się nic nie rozumieć.
A może to ja nie rozumiem?
Pod wpływem impulsu – albo adrenaliny – pochylam się, a wtedy ona delikatnie rozchyła usta. Składam na nich pocałunek. Głęboki, ale krótki.
Uśmiecha się.
– Tak? – pytam.
– To chyba najbardziej makabryczna pierwsza randka, jaką można sobie wyobrazić.

– Sama pani chciała.

– Wiem. Wiem.

Kładzie dłoń na moim karku na znak, że jeszcze nie zakończyliśmy tematu całowania.

– Zdaje pani sobie sprawę, że w samochodzie, który nas minął, mógł siedzieć morderca?

– Zdaje pan sobie sprawę, jak podniecające potrafi być takie przeżycie?

Jest w niej coś, czemu nie potrafię się oprzeć. Przyciągam ją do siebie i całuję, tym razem z większą siłą. Nasze języki się splatają.

Wsuwam dłoń pod jej bluzkę i dotykam piersi, o których od rana – a właściwie od dnia, w którym ją poznałem – fantazjowałem.

Jej dłoń ląduje na moim udzie i wędruje wyżej, ku wybrzuszeniu w kroczu; Jillian zamyka je w dłoni.

– Może to jakoś wykorzystamy? – szepcze mi do ucha.

Odsuwam się i przyklejam plecami do drzwi.

– Przepraszam, ale...

– O co chodzi? To moja wina?

– Nie! Moja! Zajmuję się mrocznymi sprawami. Odwiedzam mroczne miejsca. Nie powinienem był tam pani zabierać.

– Gdybym z panem nie poszła, nie byłoby mnie tu i teraz.

– Godzinę temu oglądaliśmy szkielet...

– ...człowieka, który nie żyje od trzydziestu lat.

– A morderca nadal grasuje.

– To prawda, Theo... Och, mówmy sobie wreszcie po imieniu! Masz rację, grasuje morderca. Cholerny buntownik, który zabił mojego męża, też przebywa na wolności. Sprawiedliwość nigdy go nie dosięgnie.

– Przepraszam. Przepraszam.

– Nie przepraszaj. Żałujesz, że mnie pocałowałaś?

– Nie.

– Musisz się nauczyć oddzielać od siebie różne aspekty życia. Twój problem polega na tym, że masz jedną szufladkę, do której wszystko wrzucasz.

– W ten sposób się skupiam.

– A nie przyszło ci do głowy, że przez to gonisz w piętę?

Może mieć rację. To nie MAAT podsunął mi myśl o gorącym źródle, tylko przypadkowy fragment rozmowy. Wciąż robię to samo, powtarzam te same ruchy.

Wpatruję się w nią. Jillian zakłada ręce na piersi i obserwuje mnie z tym swoim triumfującym uśmiechem na ustach.

– I co teraz?

Wyłączam profesorski aspekt swojego mózgu i mówię pierwsze, co mi przychodzi do głowy:

– Chodź, przekonasz się na tylnym siedzeniu.

61

Internistka

Doktor Debra Mead patrzy na mnie zza okularów w bardzo grubych oprawkach, wydaje z siebie dźwięk będący skrzyżowaniem stęknienia i westchnienia, po czym mówi:

- Więc to pan jest tym głupkiem, który mi zepsuł próbki?
- Zapewne.
- Tędy. – Prowadzi mnie jednym z korytarzy zakładu medycyny sądowej.

Poznałem ją dzisiejszego ranka. Obudziła mnie, telefonując przed szóstą. Okazuje się, że jedyny na całą Montanę lekarz sądowy jest rannym ptaszkiem.

- Theo Cray? – usłyszałem w słuchawce.
 - Tak.
 - Z tej strony doktor Mead. Czy to pan przysyła mi zwłoki?
- Jej pytanie zabrzmiało tak porażająco bezpośrednio, że poczułem niemal odruchową chęć, by odpowiedzieć twierdząco.
- E... być może. – Jednak się zawahałem.
 - Podobno jest pan jakimś naukowcem.
 - Biologiem.
 - Niech pan nie mówi, że również wykłada.
 - No... wykładam. A o co chodzi?
 - Żal mi pańskich studentów. Proszę przyjechać do zakładu medycyny sądowej w Missouli.

- Kiedy?
 - Natychmiast.
- Mead zakończyła rozmowę na pilnym wezwaniu, nie uzupełniwszy jej o żadne dodatkowe informacje.

Cztery godziny później ta drobna, siwowłosa kobieta, której nie chce się nawet ukryć wzgardy dla mojej osoby, prowadzi mnie korytarzem.

Z jakiegoś powodu od razu ją polubiłem. Być może dlatego, że

poprawił mi się nastrój – bo tak właśnie działa zbliżenie z piękną kobietą w samochodzie na poboczu, jak napaleni nastolatkwie.

– Powie mi pani, o co chodzi? – odzywam się.

– O to, że przeszłam na emeryturę po latach pracy na uczelni, po czym gubernator mianował mnie – pokazuje cudzysłów palcami – stanowym lekarzem sądowym. Okazuje się, że po tym, jak wyjechał stąd ostatni dupek, jestem jedyną osobą w Montanie, która posiada stosowne kwalifikacje. Co za bałagan, mówię panu. Wysyłali zwłoki do Seattle. Do Seattle! Jezu.

– Chwileczkę, mówi pani, że w całej Montanie jest tylko jeden stanowy lekarz sądowy?

– Owszem. Za to nie brakuje koronerów. Byle konował może zdać egzamin. Tyle że oficjalną autopsję, to znaczy taką, którą uzna sąd, musi przeprowadzić ktoś, kto potrafi odróżnić dupę od łokcia. Albo pazur niedźwiedzia od noża.

– Czyli już pani wie, że tych ludzi zabił człowiek?

Zatrzymuje się przed drzwiami i obrzuca mnie takim spojrzeniem, jakby miała do czynienia z półgłówkiem.

– Tak, profesorze Geniuszu. Nie pan jeden potrafi nazwać rzecz po imieniu.

– Dlaczego więc tego nie ogłoszono?

Zbývá pytanie machnięciem ręki i pokazuje, żebym zajął miejsce na krześle.

– Niech pan siada i zdejmie koszulę.

– Słucham?

– Pobiorę krew, próbki skóry, włosów i czego będę chciała.

– Chyba nie rozumiem.

– Mówi pan, że wykłada?

– To już ustaliliśmy.

– No tak. Doktorze Cray, mam tu magazyn pełen ciał, które zamierzam przebadać. Jeżeli znajdę DNA inne niż ofiary, będę chciała się przekonać, czy należy do pana. Kto wie, może to wszystko pana sprawka. Potrzebuję też próbkę nasienia.

– Nasienia?

– I pan uczy biologii? – Kręci głową. – Boże, dopomóż.

- Nadal nie pojmuję.
- To oczywiste. Wyjaśnię prościej. Jeżeli znajdę DNA, będę musiała wykluczyć, że chodzi o pański materiał genetyczny. Wolę to zrobić na miejscu. Nie chce mi się czekać, nie należę do cierpliwych.
- To widać.
- Posyła mi surowe spojrzenie.
- Słuchaj, cwaniaczku. Albo zrobimy to po dobroci i na ochotnika, albo każę sędziemu cię przymusić. Nie chcesz wiedzieć, w jaki sposób pobieramy nasienie siłą.
- Właśnie że chcę. Czy to coś, przy czym pani asystuje?
- Owszem. Biorę dwudziestocentymetrową igłę, wbijam ci ją w mosznę i osuszam ją jak winogrono.
- Wybucham śmiechem.
- Czy ktoś już zwrócił pani uwagę, że to fizycznie niemożliwe?
- Myślisz, że te półgłówki, których tu spotykam, wiedzą, że „moszna” i „można” nie pisze się tak samo? No, to jak będzie?
- Opór jest daremny, prawda?

*

Po pobraniu krwi, mieszków i drobin skóry pozostaje jeszcze jeden pojemniczek do wypełnienia. Czynność okazuje się prostsza, niż sądziłem, ale nie powinno mnie to dziwić – dysponuję przecież świeżym wspomnieniem, do którego mogę się odnieść.

Otwieram drzwi i widzę, że doktor Mead stoi po drugiej stronie korytarza.

- Zapomniał pan, jak się rozpina rozporek?
- Nie, już skończyłem.
- Cholera jasna, jak królik. Kobiety muszą za panem szaleć. – Wyciąga rękę po kubeczek z próbką. – Pozwoli pan, że włożę pańską wydalinę do lodu. A potem wskoczmy w fartuchy.
- W fartuchy?
- Tak. Pańskie uwagi nie były aż tak szczegółowe, jak pan sobie zapewne wyobrażał. Mam kilka pytań dotyczących tego, w jaki sposób odnalazł pan ciała.

– Ciała... Powiedziałem policji tylko o Chelsea Buchorn. A, i jeszcze o Summer Osbourne. – Naprawdę zaczynam się gubić.

Mead obserwuje moją chaotyczną reakcję.

– Jasne – kwituje. – Tyle było w pańskich notatkach. Oprócz tego mamy jeszcze kilka trupów wskazanych przez Anonima. Zna pan jakichś innych początkujących specjalistów w dziedzinie medycyny sądowej, którzy zajmują się wykopywaniem martwych dziewcząt? Czy jest ktoś jeszcze, o kim powinnam wiedzieć?

– No cóż...

Zbыва moje wahanie gestem dłoni.

– Jeśli martwią pana konsekwencje prawne, proszę porozmawiać z prawnikiem. Dopóki to nie nastąpi, zabawmy się w gdybanie, dobrze? Gdyby to pan był Anonimem, który wskazuje policji groby dziewcząt, to w jaki sposób znajdowałby pan ciała i w jakich warunkach? Im prędzej to wyjaśnimy, tym szybciej namierzemy tego, kto naprawdę to robi, i pozwolimy, żeby FBI przemaglowało jego zamiast pana.

– FBI?

Mead wzrusza ramionami.

– Ja nic nie mówiłam.

Cholera. To pewnie oni wczoraj za nami jechali. Z aluzji Mead wynika, że moja działalność może być przedmiotem śledztwa. Jezus.

Jeżeli rzeczywiście tak jest, potrzebuję wszelkiej pomocy, by przekonać ich, że gramy w jednej drużynie. To oznacza, że muszę posłusznie spełnić wszelkie żądania doktor Mead.

*

Przez resztę dnia omawiamy po kolei wszystkie trupy. Opowiadam, jak je znalazłem. Mead zadaje precyzyjne pytania o zapach, głębokość gleby, roślinność.

Mimo że technicy, którzy wydobywali ciała z ziemi, za każdym razem sporządzali szczegółowe notatki, Mead interesują moje osobiste spostrzeżenia poczynione w momencie odkrywania zwłok. Ciekawi ją zwłaszcza barwa skóry.

– Wiadomo coś o próbkach z gorącego źródła? – pytam, kiedy mamy już za sobą analizę ostatniego ciała.

– Gorącego źródła?

– Znalazłem klatkę piersiową w gorącym źródle niedaleko Red Hook.

– Na litość boską! Mówi pan poważnie?

– Wczoraj wieczorem wysłałem e-mail na policję.

– Świetnie. Odpoczywa pan w ogóle?

– A pani?

– Red Hook, powiada pan?

– Tak. Coś pani mówi ta nazwa?

– Być może. Dziwne.

– Co takiego?

– Kiedy pierwszy raz zobaczyłam te ciała, przypomniało mi się coś, nad czym pracowałam przed laty. Chodziło o dziewczynę, była miejscową prostytutką. Miała ślady pazurów na plecach. Nie pięć, tylko cztery nacięcia.

– O! Kiedy to było?

– Będzie ze dwadzieścia lat.

– I nikt nie skojarzył jej przypadku z obecnymi?

– Nie. Zmarła z przedawkowania. Zobaczyłam blizny podczas sekcji zwłok. Miały kilka lat. Zazaczyłam to w raporcie i tyle.

– Niewykluczone, że istnieje związek.

– Być może. Ale biorąc poprawkę na tempo, w jakim działa tutejsza policja, nie liczyłabym, że wkrótce cokolwiek się okaże.

Najbliższa rodzina

Zanim przed ponad dwudziestoma laty trafiła na stół w laboratorium doktor Mead, Sarah Eaves wiodła burzliwe życie. Niewiele faktów z jej dzieciństwa jestem w stanie ustalić – nic poza datą urodzenia i nazwą szpitala, w którym przyszła na świat. Natrafiam na protokół z zatrzymania w związku z kradzieżą w sklepie – miała wtedy osiemnaście lat – oraz postawiony kilka lat później zarzut prostytucji i posiadania narkotyków.

Na trzech zdjęciach policyjnych widzę całkiem ładną, choć smutną i zbyt szybko się starzejącą młodą dziewczynę. Pomiedzy jej aresztowaniem a śmiercią z igłą w żyłę w pokoju motelowym minęło pięć lat.

Niewykluczone, że Sarah uwolniła się od nałogu, ale potem z jakiegoś powodu powróciła do złych nawyków, które w końcu ją zabiły.

Doktor Mead pociągnęła za kilka sznurków i zdobyła adres ostatniego pracodawcy Sarah, baru U Darcy, stojącego przy szosie pod Red Hook.

Siedzę tam teraz, popijam kawę i opieram się pokusie wielkiej porcji naleśników z jagodami, z której zjadłem jakąś połowę. Wyobrażam sobie dziewczynę ze zdjęcia w stroju kelnerki i zastanawiam się, co takiego przeżyła, że postanowiła powrócić do mrocznej przeszłości.

Przed barem zatrzymuje się wyblakła honda civic. Wysiada z niej łysiejący mężczyzna tuż po trzydziestce i wchodzi do lokalu. Robert Moorhen nie nosi nazwiska po matce, ale oboje mają identyczne oczy.

Macham do niego. Podchodzi do mojego boksu, zdejmuje znoszoną długą kurtkę i siada naprzeciwko mnie.

Spogląda na leżącą przede mną teczkę na dokumenty.

– To o mojej matce?

Waham się, czy odpowiedzieć, ponieważ w środku znajdują się

zdjęcia z sekcji zwłok.

- Częściowo tak. Dziękuję, że zechciał się pan ze mną spotkać.
- Nie ma sprawy. I tak mam dziś wolne. Jak mogę pomóc?
- Przede wszystkim musi pan wiedzieć, że nie jestem policjantem.

Pracuję jako naukowiec. To ważne.

Potwierdza skinieniem głowy.

– I tak wszystko bym panu powiedział. Tyle że nie wiem zbyt dużo. Umarła, kiedy miałem pięć lat. Wychowali mnie dziadkowie.

– A pański ojciec?

– Nie bywał w domu. Pracował na platformie wiertniczej, większość czasu spędzał na Alasce i w Kanadzie. Rodzice nie wytrzymali długo ze sobą, rozstali się, zanim skończyłem trzy lata.

– Niełatwo mi to mówić, ale zdaje sobie pan sprawę, że pańska matka miała... burzliwą przeszłość...

– Chodzi o prostytutkę i narkotyki? Proszę mówić śmiało. Dziadkowie nigdy nie poruszali tego tematu, natomiast tata, kiedy się upił, owszem. Chyba wolę nie wierzyć w te opowieści, dlatego po prostu przyjmuję je do wiadomości. Musi pan tylko zrozumieć, że to nie była kobieta, którą znałem. Nie mam zbyt wielu wspomnień związanych z matką, ale wiem, że zawsze była przy mnie. Była naprawdę dobrą mamą. – Wskazuje boks znajdujący się w rogu pomieszczenia. – Kiedy wracałem z przedszkola, siadałem tam i rysowałem. Podchodziła do mnie pomiędzy klientami, sprawdzała, jak sobie radzę. A potem... cóż.

Opis ze wspomnień Roberta nie pasuje do oblicza Sarah ze zdjęć policyjnych, ale mu wierzę.

– Po śmierci pańskiej matki lekarze zwrócili uwagę na dziwne blizny na jej ciele. Pamięta je pan?

Zastanawia się.

– Może? Coś jak ślady psich pazurów?

– Tak. Mniej więcej. Wspominała o tym, skąd się wzięły?

– Wie pan, miałem pięć lat. Na tym etapie życia człowiek przyjmuje świat takim, jaki jest. Być może coś mówiła... Że to pamiątka z młodości?

– Ile mogła mieć wtedy lat?

– Nie wiem. Dziecko myśli, że rodzice od zawsze są dorośli. Dziwne... Mam teraz więcej lat niż ona, kiedy umarła. Mimo to nadal myślę o niej jak o mojej mamie. – Milknie i spogląda za okno. – Blizny... Może to pamiątka po zabawach?

– Zabawach?

– Nie wiem. Po prostu nie mówiła o nich. W ogóle nie lubiła rozmawiać o swoim dzieciństwie.

– Nie potrafię znaleźć żadnych informacji o tym okresie jej życia. Będę wdzięczny za wszystko, co pan wie.

– Odeszła z domu, kiedy miała szesnaście albo siedemnaście lat. To wszystko.

– Z domu?

– Tak, wyprowadziła się od rodziny zastępczej. Nigdy o tym nie mówiła. Tylko tyle, że od najmłodszych lat krążyła od domu do domu.

– Wie pan, kim byli jej zastępczy rodzice? Gdzie mieszkali?

– Nie. Ale to musiało być niedaleko stąd. Wiem, że mama wychowała się w tej okolicy.

Ciekawe. Poproszę Mead, żeby to sprawdziła. Jeżeli blizny Sarah rzeczywiście pochodzą z tamtego okresu...

– Ma pan jakichś podejrzanych? – pyta Robert.

– Nie. Jak już mówiłem, nie prowadzę śledztwa w tej sprawie. Interesuje mnie z naukowego punktu widzenia.

– Mam nadzieję, że złapiecie tego, kto ją zabił.

– Też mam taką... – Urywam, kiedy dociera do mnie, co powiedział. – Chwileczkę. Pańska matka zmarła z powodu przedawkowania narkotyków.

– Owszem. Ale to nie ona wbiła sobie igłę. Zrobił to ktoś inny. I podał jej śmiertelną dawkę.

Wyjmuję raport policyjny z teczki i raz jeszcze przebiegam po nim wzrokiem. Jako przyczynę śmierci autor wymienił przypadkowe przedawkowanie środków odurzających. Być może Robert nie dopuszcza do siebie świadomości, że matka mogła przypadkowo albo celowo odebrać sobie życie. Chociaż mówi o zabójstwie z takim przekonaniem...

– Pana zdaniem matka nie powróciła do dawnych nawyków?

Robert wskazuje stolik, przy którym siadywał w dzieciństwie.

– Tam widziałem ją po raz ostatni. Skończyła swoją zmianę i wyszła na dwór na papierosa. Nigdy przy mnie nie paliła. Wyszła i nie wróciła. Dwa dni później znaleźli ją w motelu trzydzieści kilometrów stąd. – Zaczyna podnosić głos. – Moja matka była dziwką, ćpunką i złodziejką, to wszystko prawda. Ale, do cholery, była też dobrą matką. Kochała mnie. Gdyby naprawdę chciała przyćpać z jakimś swoim dawnym fagasem, toby mnie chociaż odwiozła do dziadków. Nie porzuciłaby mnie.

Robi się czerwony ze złości. Nie tylko na mnie, ale i na krzywdę, którą wyrządził mu świat.

– Przepraszam pana. Nie twierdzę, że było inaczej.

Przez chwilę wpatruje się w parking. Uspokaja się.

– Ja też przepraszam. Bo widzi pan, ja codziennie o tym myślę. Kiedy pan zadzwonił, uznałem, że chodzi właśnie o to. Że rozwiązali tę... jak to się mówi? Zamrożoną sprawę? Chyba liczyłem na zbyt wiele.

– Niekoniecznie. Dlaczego pana zdaniem ktoś mógł pragnąć śmierci pana matki?

– Nie wiem. Jak byłem mały, myślałem, że chodziło o coś takiego jak w filmie, wie pan, że zobaczyła coś, czego nie powinna. A dziś? Nie mam pojęcia. Trudno mi sobie wyobrazić, że ktoś mógł jej nienawidzić.

– Co powiedział pański ojciec?

– Nic. Nie jesteśmy blisko. Może raz napomknął, że pewnie pojechała dać w żyłę z jakimś swoim chłoptasiem ćpunem. Ale niech pan zapyta kogokolwiek stąd, kto ją znał, a usłyszy pan, że nigdy by mnie tak nie zostawiła. Chyba że została do tego zmuszona. Niech pan się zastanowi: kto zostawiłby tu dziecko całkiem same?

– Nie wiem, naprawdę. Ale proszę mi wierzyć, sprawdzę to.

Moja obietnica ma pokrycie. Aby jednak dotrzeć do sedna sprawy, muszę się cofnąć do początków ponurego życia Sarah – i być może do jej pierwszego spotkania z mordercą.

63

Farma

Julie Lane podchodzi do drzwi i wita mnie ciepłym uśmiechem na zmęczonej twarzy. Widzę kilka siwych kosmyków w ciemnych włosach, które nosi związane z tyłu turkusową wstążką; fryzura utrudnia odgadnięcie jej wieku.

Od końca lat sześćdziesiątych do początku osiemdziesiątych prowadziła wraz z mężem rodzinny dom dziecka na farmie, która znajduje się na obrzeżach Red Hook. Na tle gór Montany rysuje się sylwetka jej dużego domu, stojącego w otoczeniu płaskich pastwisk i rosnących na nich wysokich jodeł.

– Dzień dobry, pani Lane. Nazywam się Theo Cray. Rozmawialiśmy przez telefon. Prowadzę badania na temat historii Montany.

– Tak, tak, oczywiście. – Otwiera drzwi i wpuszcza mnie do środka.

W salonie, który wygląda jak żywcem przeniesiony z lat siedemdziesiątych, stoi spłowiała pomarańczowa kanapa. Jedynymi oznakami nowoczesności w tym wnętrzu są telewizor z płaskim ekranem oraz iPad (na wyświetlaczu widać otwartą krzyżówkę).

Siadam na kanapie obok zajmowanego przez gospodynię głębokiego fotela.

– Jak wspomniałem w rozmowie telefonicznej, zgłębiam genealogię mieszkańców stanu. Chciałem porozmawiać na temat kilkorga dzieci, które przewinęły się przez pani dom.

– W porządku. Przyznam jednak otwarcie, że niewiele wiem o ich pochodzeniu. Mieszkały u nas bardzo różne dzieci: białe, latynoskie, indiańskie, mieszane. Dla nas rasa nie miała znaczenia, pragnęliśmy jedynie zapewnić im rodzinne ciepło i aby to osiągnąć, robiliśmy wszystko, co w naszej mocy.

Korci mnie, żeby wtrącić i zapytać, czy którykolwiek z wychowanków zdradzał mordercze skłonności, ale przecież nie mogę wałnąć tak prosto z mostu.

– W jakim były wieku?

– Przyjmowaliśmy głównie nastoletnią młodzież. „Po przejściach”, jak mawiał mój mąż. Ale to były dobre dzieci.

– Nie sprawiały problemów wychowawczych?

Julie wybuchła śmiechem.

– Proszę pana, mówimy o nastolatkach. One wszystkie sprawiają problemy. Ale wiem, że tylko uzewnętrzniały swoje emocje.

– Rozumiem. Czy pamięta pani dziewczynę nazywającą się Sarah Eaves?

Wyraz jej twarzy zmienia się na chwilę, ale potem kobieta kręci przecząco głową.

– Nie... niestety. Czy na pewno mieszkała u nas?

– Tak, na początku lat osiemdziesiątych, przez dwa lata, potem odeszła. Trafiła zresztą niedaleko stąd.

– Możliwe. Może gdyby pokazał mi pan zdjęcie...

Wyjmuję fotografię, którą dostałem od syna Sarah.

– Tak wyglądała w wieku dwudziestu lat.

– Ach – mówi w końcu Julie, przyjrząwszy się twarzy na zdjęciu. – Już sobie przypominam.

– Pamięta pani cokolwiek związanego z tą dziewczyną?

– Niestety, nic mi nie przychodzi do głowy. Mówiłam już, nie pamiętam ich wszystkich. Dzieci było tak wiele... Wie pan, jak to jest.

Od razu widać, że ukrywa znacznie więcej, niż zdradza.

– Rozmawiałem z jej synem. Bardzo go ciekawiło, jaką osobą była jego matka w dzieciństwie.

– Z synem? Sarah urodziła dziecko?

Jej oczy rozbłyskują na wzmiankę o Robercie, a sposób, w jaki wymawia imię „Sarah”, jednoznacznie wskazuje, że była z dziewczyną bliżej, niż jest skłonna przyznać.

– Tak. To bardzo miły młody mężczyzna. Dał mi to zdjęcie.

– Mogę jeszcze raz spojrzeć?

Podaję jej fotografię; bierze ją w obie dłonie.

– Ile ma lat?

– Trzydzieści dwa.

Oczy Julie uciekają w bok: liczy w głowie.

– Och. Tylko tyle? – Ton jej głosu świadczy o nagłym braku

zainteresowania. Oddaje mi zdjęcie.

Czy syn Sarah budziłby większą ciekawość Julie, gdyby był starszy? Czy dlatego, że wówczas mogłaby się domyślić, kto był jego ojcem?

– Czy Sarah miała chłopaka? – pytam.

Julie mruży oczy.

– Nie pozwalaliśmy na takie rzeczy. Dziewczeta mieszkały na piętrze, a chłopcy w baraku obok stodoły.

– Oczywiście. Nie chciałem niczego sugerować.

– Byliśmy bardzo wymagający pod tym względem. Mój mąż Jack nie szczędził pasa, zarówno chłopcom, jak i dziewczętom.

Wyczuwam jej poruszenie. Nie chciałbym denerwować pani Lane, ale obawiam się, że jeśli chcę uzyskać od niej jakieś informacje, będę musiał nacisnąć.

– Wie pani, dlaczego Sarah uciekła?

– Nie – odpowiada szorstko. – Była niespokojnym duchem. Zawsze sprawiała problemy. Podburzała chłopców. Jack starał się, jak mógł, ale ona była nieokiełznana.

Niepokoi mnie sposób, w jaki Julie wymawia imię męża: z niezachwianą pewnością i niemal czcią.

Do moich myśli wkrada się nieprzyjemne podejrzenie, że wśród stosowanych przez Jacka Lane'a kar znajdowało się – jak by to ujął prokurator – uwiedzenie osoby nieletniej, a jego żona była tego doskonale świadoma. Jeżeli zacznę zbytnio naciskać, po prostu wyprosi mnie z domu.

Odpuszczam i próbuję z innej strony.

– Jacy chłopcy przebywali w państwa domu, kiedy mieszkała z wami Sarah?

– Panie Cray, chodzi panu o genealogię czy o Sarah Eaves? – odzywa się surowym tonem. – Chyba pora, żebyśmy się pożegnali.

– Tak naprawdę to interesują mnie blizny na jej plecach. Są pamiątką po pobycie w państwa domu, prawda?

– To był wypadek. Przewróciła się na jedno z narzędzi. Opieka społeczna została powiadomiona. Nie wiem, co pan słyszał, ale to kłamstwo. Niech pan już sobie idzie. – Nie ma już śladu po życzliwej kobiecie, która wpuściła mnie do swego domu.

Muszę spróbować jeszcze jednej rzeczy, zanim pani Lane wezwie policję, żeby ta usunęła mnie z posesji.

Jeżeli morderca był jednym z dzieci w rodzinie zastępczej Lane'ów, kiedy mieszkała tu Sarah, albo opuścił dom na tyle niedawno, by móc ją znać, niewykluczone, że już wtedy miał i testował metalowe pazury. Wyjmuję zdjęcie przedstawiające *bagh naka* i pokazuję je Julie.

– Widziała pani kiedyś taki przedmiot?

Nie odpowiada, ale na widok broni jej oczy robią się jak spodki.

Muszę nią potrząsnąć, wytrącić ją z równowagi.

– Czy pani mąż użył tego na Sarah?

Blednie.

– Jack? Mój Boże, nie! Nie zrobiłby czegoś takiego!

Kryje zatem kogoś innego.

– W takim razie kto? Kto był pani ulubieńcem? Czy to przez niego Sarah miała rany na plecach? Był na nią zły? Zazdrosny o pani męża?

– Dość tego. – Wstaje i wskazuje palcem drzwi. – Proszę wyjść. Zadzwoń do... zadzwonię do szeryfa, jeśli pan nie wyjdzie.

– Chwileczkę! Do kogo chciała pani powiedzieć, że zadzwoni?

– Do nikogo! Proszę wyjść!

Jej głos jest tak nabrzmiały złością, że boję się, by nie dostała zawału.

Byłem tak blisko! Julie Lane miała jego imię na końcu języka!

Przychodzi mi do głowy pewien pomysł. Celowo upuszczam teczkę, po czym klękam, żeby pozbierać papiery, które się z niej wysypały.

Kobieta szybkim krokiem podchodzi do drzwi i otwiera je na oścież.

– Wynocha!

Pospiesznie zbieram dokumenty i wychodzę.

– Przepraszam. Nie chciałem pani rozgniewać.

Trzaska za mną drzwiami, a potem obserwuje przez okno, jak wsiadam do auta i odjeżdżam.

Będę musiał wymyślić jakąś cholernie dobrą wymówkę, żeby za kilka godzin wrócić tutaj i odzyskać telefon, który zostawiłem pod jej kanapą, włączwszy nagrywanie.

64 Wspólniczka

Po godzinie spędzonej w samochodzie zaparkowanym kilometr od domu Julie Lane postanawiam wrócić na farmę. Obmyślam kilkanaście wymówek, ale żadna nie wydaje mi się wystarczająco przekonująca, wszystkie brzmią na wymuszone. Dochodzę do wniosku, że po prostu zapukam do drzwi i powiem, że zostawiłem u niej rządowe papiery – nie sprecyzuję, o co konkretnie chodzi, tylko że dokumenty są rządowe.

Czuję się jak oszust próbujący naciągnąć starszą panią na bzdurną encyklopedię albo lipną polisę ubezpieczeniową. Ale potem przypominam sobie, że ta kobieta być może chroni seryjnego mordercę. Nie można też wykluczyć, że stała z założonymi rękoma, podczas gdy jej mąż napastował seksualnie ich podopiecznych.

Dlatego nie mam wyrzutów sumienia, że zamierzam ją okłamać.

- Mówiłam, żeby pan sobie poszedł – odzywa się zza drzwi.
- Wydaje mi się, że zostawiłem u pani dokumenty.
- Nie zostawił pan. Żegnam!
- Proszę, to ważne papiery. – Pod wpływem impulsu kładę dłoń na gałce i przekręcam.

Drzwi się otwierają, a Julie odskakuje z przerażoną miną. Formalnie rzecz biorąc, właśnie bezprawnie wkroczyłem na jej prywatny teren. Udaję jednak, że nic takiego się nie stało.

Posyłam jej szeroki uśmiech.

- Dziękuję, że mnie pani wpuściła. To zajmie tylko chwilę.

Wymijam ją, zmierzam prosto do salonu, klękam przy kanapie i kładę teczkę z dokumentami obok miejsca, w którym zostawiłem telefon. Julie nie idzie za mną, zatrzymuje się w wejściu do salonu, ułatwiając mi tym ukrycie aparatu w kieszeni. Wyciągam kartkę z teczki, podnoszę ją wysoko i oznajmiam, wstając:

- Jest! Przepraszam za zawracanie głowy.
- Niech pan tylko poczeka, aż... – Nie kończy zdania.

Zatrzymuję się w drzwiach.

– Aż co? Zamierzała pani komuś o tym powiedzieć?

– Policji. W tej chwili dzwonię do szeryfa! – Wyjmuje telefon z kieszeni i trzyma go jak talizman, co tylko podkreśla czczość groźby.

Czym prędzej wskakuję do wozu, wracam w to samo miejsce kilometr od domu pani Lane i odtwarzam nagranie.

Julie odczekała zaledwie minutę po moim wyjściu, zanim sięgnęła po telefon.

– Cholera! – krzyknęła do słuchawki. – Miałam nadzieję, że odbierzesz. Był u mnie pewien człowiek, wypytywał o Sarah, o ciebie i o tatę. Mówiłeś, żebym zadzwoniła, jeśli coś takiego się zdarzy. No więc właśnie się zdarzyło. Kazałam mu iść do diabła i nic nie powiedziałam. Mam jego numer, gdybyś chciał to załatwić.

Rozłącza się. Słysząc kroki. Julie chodzi po domu i mruczy pod nosem. Potem chyba usiadła przy stole w kuchni, do której wchodzi się z salonu.

Dwadzieścia minut później rozlega się dzwonek telefonu.

– Halo? Dzięki Bogu... Tak... Przed kwadransiem... Nazwisko? Kay... Leo Kay, chyba... Jak on się nazywał?... Theo Cray? Właśnie tak! Nieprzyjemny typ... Porozmawiasz z nim?... Och, dziękuję... Dziękuję!

Jak na razie nie powiedziała nic, co zdradziłoby jego tożsamość. Mimo to założyłbym się o wszystko, że zadzwoniła do jednego z dzieci mieszkających u Lane'ów w tym samym czasie co Sarah. Przegląd akt powinien podsunąć nazwiska kandydatów.

Trochę mnie niepokoi świadomość, że ta osoba poznała moje nazwisko, ale nie powinienem być tym zaskoczony.

Długa cisza. Potem Julie mówi:

– W porządku... Tak. A co z samochodami? Powiedziałeś, że przyślesz ludzi, żeby je przestawili... W porządku.

Julie odkłada słuchawkę. Słysząc tylko jej kroki, a potem zjawiam się ja. Brzmie jak cholerny komiwojażer naciągacz, ale trudno – cel został osiągnięty. Wiem, że pani Lane z kimś się skontaktowała.

Być może nawet z *nim*.

Nie mam pojęcia, jak wykorzystać tę informację – mógłbym na przykład ukraść jej telefon, co przez chwilę rozważam – ale zdaje sobie sprawę z jej wielkiej wagi.

Jasna cholera. Możliwe, że jestem naprawdę blisko poznania tożsamości sprawcy – przy założeniu, że osoba, która zostawiła blizny na plecach Sarah, jest tą samą, która dopuściła się wszystkich tych morderstw.

No dobrze, a samochody? O co jej chodziło?

Na podjeździe stało tylko wysłużone kombi. Nie zauważyłem innych aut. Czy coś się kryje w stodole? A może w lesie? Jaki to ma związek z człowiekiem, którego szukam?

Ciekawość doprowadza mnie do szału. Muszę znów tam wrócić.

*

Po zapadnięciu zmroku raz jeszcze jadę do pani Lane. Zostawiam samochód kawałek od domu, a resztę drogi pokonuję pieszo. Idąc wzdłuż siatki, docieram na zaplecze działki, przez cały czas sprawdzając, czy nie zapaliły się światła w oknach, czy ktoś nie wyszedł na dwór albo nie przyjechał.

Mówię sobie, że on nie zjawi się od razu, być może nawet w ogóle. Zwłaszcza jeśli wie, że usiłuję go wytropić.

Zdaje sobie sprawę, że przemawiają przeze mnie pobożne życzenia, a nie racjonalny osąd.

Mijam stodołę i przedzieram się przez gęste zarośla tuż za ogrodzeniem na samym końcu działki. Najchętniej poświeciłbym latarką, ale wtedy Julie zorientowałyby się, że węszę.

W ciemności ledwo widzę własne buty. Wreszcie docieram do lasu. Postąpiłbym rozsądniej, gdybym zaczekał z tą wyprawą do świtu, zamiast kręcić się po nocy, ale zabrakło mi cierpliwości.

W lesie rosną wysokie drzewa, a pod nimi gęste krzaki. Muszę pokonać spory odcinek, zanim udaje mi się znaleźć na tyle szeroką przerwę w chaszczach, że mogę się przecisnąć.

Namierzam wąską, wijącą się pomiędzy zaroślami ścieżkę. Oglądam się za siebie, a ponieważ nie widzę już domu, uznaję, że

mogę włączyć latarkę.

Snop jej światła pada na powierzchnię, od której się odbija. Podchodzę bliżej i okazuje się, że mam przed sobą reflektor samochodu. To zardzewiały niebieski chevrolet citation. Brakuje tablic rejestracyjnych.

Trzy metry dalej stoi kolejne auto: datsun, pomarańczowy od rdzy i również bez tablic.

Omiotam okolice światłem latarki. Prześlizguje się po kolejnych ośmiu albo dziewięciu maszynach. Wszystkie mają co najmniej trzydzieści lat i są przeżarte rdzą; ze wszystkich odkręcono tablice.

Podchodzę do niektórych, otwieram drzwi i przeszukuję schowki, wypatrując czegoś, czegokolwiek, co pomoże mi ustalić ich pochodzenie, ale na próżno.

Dziwne.

Cholernie dziwne.

Robię zdjęcia telefonem. Sprawdzam numery VIN. Te na tablicach rozdzielczych zostały wymazane. Zerkam na stopnie i bloki silników – to samo.

O co chodzi z tymi nieoznakowanymi autami? Stary Jack kierował szajką złodziei samochodów?

Nie.

Nie dlatego tu stoją.

Mój oddech staje się płytki, kiedy naraz uświadamiam sobie, gdzie się znajduję.

Do diabła.

Do ciężkiej cholery.

Muszę się stąd jak najszybciej wynieść.

Ponieważ to nie jest złomowisko...

...tylko kolejny cmentarz mordercy.

65 Śmieciarz

Nic tu po mnie. Teoria błyskawicznie przeradza się w coś bardzo realnego. Tajemniczy wychowanek pani Lane mógł dla mnie pozostać jednym z wielu potencjalnych podejrzanych, ale te samochody wszystko zmieniają.

Turyści, którzy ginęli nad Cougar Creek, przyjeżdżali tu z innych części kraju – ich auta musiałyby gdzieś zalegać, jak słusznie zauważyła Elizabeth.

I rzeczywiście zalegają.

Morderca przyprawiał je w to miejsce.

Puszczam się biegiem przez las, kluczę w labiryncie pordzewiałego złomu. Muszę odnaleźć tę przerwę w zaroślach, przez którą się tu dostałem. Zaczepiam stopą o wystający z ziemi kawałek metalu i lecę do przodu.

Kiedy trafiam łokciem w boczne lustro toyoty celiki, przeszywa mnie lodowaty ból. Cofam rękę i widzę, że wbiły się w nią odłamki szkła. Na drzwiach samochodu widać ślady krwi.

Żeż cholera.

Próbuję wytrzeć krew rękawem, ale zamiast usunąć, tylko ją rozsmarowuję. Widzę przez gałęzie, że w domu w pokoju na górze zapaliło się światło. Niedobrze. Julie musiała usłyszeć, że myszkuje.

Pieprzyć samochód. Owijam rozcięcie rękawem kurtki i ruszam dalej.

Docieram do skraju lasu. Gnam w stronę ogrodzenia, żeby biegnąc wzdłuż niego, wrócić na drogę. Robię mnóstwo hałasu, depcząc suchą trawę. Zawadzam nogą o stos drewna na opał, przewracam go.

W oddali słyszę trzask drzwi. Włączają się światła na podwórzu.

– Wiem, że pan tam jest! – krzyczy Julie Lane, po czym dodaje coś, co mrozi mi krew w żyłach. – Niech no pan zaczeka, aż on się dowie! Zobacz pan!

Zgarbiony – boję się, że wpakuje mi salwę ze śrutówki w kręgosłup

– wybiegam na zwirową drogę.

Z trudem nabieram powietrza, zaczynam się zataczać, chwilami ciemnieje mi przed oczami. Do diabła, straciłem więcej krwi, niż sądziłem.

Opieram się o słupek siatki, biorę głęboki oddech i oglądam się przez ramię. Widzę sylwetkę pani Lane na werandzie. Obserwuje mnie.

Powoli ruszam dalej, uczepiony siatki. W końcu Julie znika mi z oczu. Nadal jestem słaby, ale przynajmniej odzyskuję nieco pewności siebie.

Boję się, że lada moment rozjadą mi się nogi i runę jak długi, ale mimo to idę przed siebie.

Ledwo żywy docieram do explorera. Otwieram drzwi i oglądam rękę w świetle w kabinie. Jest cała we krwi.

Najchętniej natychmiast odjechałbym z tego przekłętego miejsca, ale co, jeśli stracę przytomność za kierownicą i uderzę w drzewo? Nie, problem ręki trzeba rozwiązać tu i teraz.

Zdrową dłonią wydaję apteczkę z bagażnika.

Rozbijając to cholerne lustro, udało mi się uszkodzić żyłę odłokciową. Aby zatamować krwawienie, muszę założyć opaskę uciskową.

Usuwanie odłamka szkła z rany i uciskam rozcięcie. Na szczęście żyła nie jest przecięta, tylko drażnięta, jak przy nieudanym pobraniu krwi. Siadam na zderzaku i czekam, aż płytki krwi skrzepną i zasklepią ranę od środka. Jednocześnie bacznie obserwuję drogę.

Wyjmuję pistolet, który dostałem od Gusa, i kładę go na podłodze bagażnika – na wypadek gdybym musiał szybko po niego sięgnąć. Gorzej, że jestem praworęczny, a chwilowo akurat tę rękę mam unieruchomioną.

Cierpliwości, Theo. Cierpliwości.

Serce wraca do normalnego rytmu. Z czubków palców przestaje kapać krew. Kiedy puszcza żyłę, wciąż jeszcze trochę płynie, ale to już zdołałem zatamować po prostu ciasnym opatrunkiem.

Tę ranę musi jednak obejrzeć prawdziwy – i oburęczny – lekarz, na wypadek gdyby trzeba było założyć szwy.

*

Czterdzieści minut później siedzę na pogotowiu i czekam, aż mnie wywołają. Światłówki i zapach antyseptyków działają na mnie osobliwie uspokajająco. W tej chwili to jedyne relaksujące rzeczy w moim świecie.

Rana znów krwawi, bandaż jest cały czerwony. Mógłbym zwrócić na to uwagę rejestratorce, ale na pewno zostało we mnie jeszcze trochę krwi, zanim znajdę się w stanie naprawdę krytycznym.

Pozbawiona czucia ręka martwi mnie w tej chwili mniej niż świadomość, że potwierdziły się moje podejrzenia.

Siedząc i wykrwawiając się na pogotowiu, lewą ręką sięgam po telefon i przeglądam te doniesienia o zaginięciach w Cougar Creek, które udało mi się znaleźć.

Sześć spośród samochodów, które znalazłem w lesie, pasuje marką, modelem i kolorem do aut należących do zaginionych.

To on.

To naprawdę on.

Piszę SMS-a do policji w Red Hook oraz doktor Mead. Podaję adres Lane'ów, listę samochodów oraz ich związek z Sarah i morderstwami.

Dysponując takimi informacjami, policja będzie mogła zdobyć nazwiska dzieci mieszkających u Julie i Jacka, w tym także jego nazwisko.

Wysyłam wiadomość i czuję przetaczającą się przeze mnie falę ulgi, na którą nakłada się bezcielesna euforia towarzysząca utracie przytomności.

66

Alibi

Posterunek biura szeryfa hrabstwa Poitier w Red Hook to nieduży, doklejonny do poczty budynek o ścianach zasłoniętych biuletynami i ogłoszeniami. Za niewielkim stanowiskiem dyżurki stoją dwa biurka; pozostała część posterunku jest oddzielona metalowymi drzwiami antywłamaniowymi, za którymi, jak sędzę, mieszczą się cela i sejf.

Sierżant Graham, funkcjonariuszka o przyjaznej fizys, którą w tej chwili zdobi wyraz skupienia, spisuje moją opowieść o tym, jak trafiłem do domu Lane'ów i jak znalazłem samochody.

Musiałem nieco zmienić przebieg zdarzeń – powiedzmy, że trochę „zredagowałem” tę historię – ponieważ ewidentnie dopuściłem się naruszenia własności.

– Zapukałem do drzwi. Nikt nie odpowiedział. Poszedłem więc na tyły domu, żeby sprawdzić, czy nie ma tam właścicielki.

– Czy miał pan jej zgodę?

– Rozmawiałem z nią przez telefon. Powiedziała, że mogę przyjechać. – To akurat prawda; do momentu, w którym wyrzuciła mnie za drzwi.

Graham spisuje wszystko drobnym maczkiem.

– Wtedy znalazł pan samochody?

– Zobaczyłem, że za domem rośnie gęsty las, i postanowiłem mu się przyjrzeć.

– Dlaczego?

– Jestem biologiem. W tych okolicach i na takiej wysokości nie spotyka się tak dużych skupisk jodły.

Stuka długopisem o brodę.

– Hm. Nigdy się nad tym nie zastanawiałam.

Odnoszę wrażenie, że sierżant Graham lubi głęboko zastanawiać się nad wieloma rzeczami, i upominam się w myślach, żeby się nie wymądrzać.

– Myślę, że to może mieć coś wspólnego z glebą. Macie tu równiny

polodowcowe. Górna warstwa nadaje się pod uprawę, ale dwa, trzy metry pod powierzchnią są już same kamienie.

– I wtedy zobaczył pan samochody?

– Tak. Dużo samochodów. Wydało mi się to dziwne. Spisałem marki i modele i porównałem te dane z listą aut należących do osób, które zaginęły w latach osiemdziesiątych.

– Myśli pan, że to ma związek ze zwłokami, które się ostatnio odnajdują?

– Tak. Wszystkie te ciała noszą podobne ślady pazurów. Dowiedziałem się, że jedna z podopiecznych rodzinnego domu dziecka państwa Lane'ów miała takie blizny na plecach. Postanowiłem to zbadać.

Odchyła się na oparcie krzesła i mierzy mnie wzrokiem.

– Odważne posunięcie.

– Jedna z ofiar znad Cougar Creek odniosła podobną ranę. Wydawało mi się, że warto to sprawdzić.

– Na własną rękę...

Mówi to nieco protekcyjnym tonem.

– Powiedzmy, że organy ochrony porządku publicznego, z którymi się kontaktowałem, nie wykazały chęci współpracy.

– Jasne. Cóż, mój zapal wcale nie jest większy. Mam tu rosnący stos raportów i zgłoszeń...

– Rozumiem. Ale mówimy o morderstwie.

– Traktuję to bardzo poważnie. – Sięga do nadajnika zamocowanego na ramieniu. – Mówi sto sześćdziesiąt trzy. Mamy kogoś w okolicy szosy numer trzydzieści i Harris Road? Odbiór.

– Cześć, Graham – odpowiada męski głos. – Finley jest jakieś dziesięć minut drogi od tej lokalizacji.

– Połączysz mnie z nim?

Kilka sekund później zgłasza się starszy męski głos.

– Finley. Odbiór.

– Słuchaj, Fin, mówi Graham. Mam tu świadka, który przyszedł z ciekawym tropem. Czy możesz pojechać na Harris Road pod numer osiemset czterdzieści osiem i sprawdzić, czy w lesie na tyłach posesji znajdują się auta? Prawdopodobnie są kradzione. Poproś właścicielkę

o pozwolenie. Jeśli się nie zgodzi, zapytamy szeryfa, co dalej.

– Jasne. To u Lane'ów, prawda?

– Potwierdzam.

– Lane nie wygląda mi na taką.

– Możliwe, że stoi za tym jedno z dzieci, które wychowywały się w jej rodzinie zastępczej.

– Dzieci? Myślałem, że mieszka sama.

– Długa historia.

– Przyjąłem.

Ponownie zwraca się do mnie:

– Zobaczymy, co uda mu się ustalić. Jeżeli właścicielka nie zgodzi się na przeszukanie, postaramy się załatwić nakaz. Na tym etapie będzie pan musiał porozmawiać z szeryfem.

– Zrobię, co będzie trzeba.

– Czyli co, myśli pan, że wszystkie te dziewczyny zabiło jedno z dzieci, które mieszkały u Lane'ów?

– Powiem tak: na pewno istnieje związek pomiędzy tą osobą a Lane'ami. – Ponieważ pani sierżant wydaje się zainteresowana moją teorią, w dodatku jak dotąd nie skuła mnie ani nie wyrzuciła za drzwi, postanawiam spróbować szczęścia. – Jest pani w stanie zdobyć listę dzieci, które się tam wychowywały?

– Musiałabym zadzwonić do opieki społecznej. – Zerka na zegarek.

– Ale... Może odrobina współpracy ze strony organu ochrony porządku publicznego nie zaszkodzi... – Podnosi słuchawkę telefonu stojącego na biurku i wybiera numer. – Cześć, Bonnie, tutaj Graham z biura szeryfa hrabstwa Poitier. Chciałam się dowiedzieć, jak mogę uzyskać dostęp do danych tutejszych rodzinnych domów dziecka, chodzi mi o końcówkę lat siedemdziesiątych i początek osiemdziesiątych... Aha... W Helenie?... A nie możesz elektronicznie? Nie?... Jeśli to nie będzie dla ciebie kłopot, poproś ich, żeby je wyciągnęli i odłożyli dla mnie, dobrze? Współpracują z biurem. – Odkłada słuchawkę i wzrusza ramionami. – Tak wygląda połowa mojego dnia pracy: proszenie o rzeczy, które powinnam móc sprawdzić w sekundę. Moja przyjaciółka zadzwoni do Heleny i poprosi, żeby odłożyli te akta. Jeżeli pańska historia okaże się

prawdziwa, będziemy mogli pokopać trochę głębiej.

Nie mam wątpliwości, że okaże się prawdziwa. Morderca nie zdołałby usunąć takiej liczby samochodów w jeden dzień, nie zostawiając przy tym śladów.

Radio na posterunku ożywa pilnym komunikatem od dyspozytora.

– Pożar przy Harris Road osiemset czterdzieści osiem! Wzywam wszystkie wolne jednostki!

Graham i ja patrzymy po sobie zaskoczeni. Na mojej twarzy maluje się szok; sierżant jest bardziej opanowana.

– Graham, tu Fin – odzywa się męski głos w jej osobistym radiu. – Czy świadek nadal jest z tobą?

– Siedzi przede mną.

– Powiedział, że kiedy opuścił dom Lane'ów?

– Doktorze Cray? – Graham zwraca się do mnie.

– Wczoraj wieczorem. Od razu potem pojechałem na pogotowie. Może pani sprawdzić – odpowiadam.

Graham powtarza do mikrofonu:

– Mówi, że był tam wczoraj wieczorem. W tym samym czasie biuro szeryfa dostało od niego wiadomość.

– Okej. No dobra. Cholera... Słuchaj, las się pali. Pożar wygląda na całkiem świeży. Myślę, że jesteś tu potrzebna.

Graham zrywa się z krzesła.

– Doktorze Cray, muszę zamknąć posterunek, ale byłabym wdzięczna, gdyby pan pozostał w okolicy.

– Oczywiście. Zrobię, co pani każe.

Jezu. Podpalił las, żeby policja nie mogła się dostać do samochodów. Ale czy to mu w gruncie rzeczy w czymkolwiek pomoże?

Oślupiały wychodzę za sierżant Graham i patrzę, jak zamyka posterunek na klucz.

Kiedy Graham idzie do samochodu, jej radio znów wydaje krótki trzask i rozlega się głośny komunikat:

– Dyspozytor, mówi Finley. Jestem przy Harris Road numer osiemset czterdzieści osiem. Mamy tu dziesięć pięćdziesiąt cztery.

Graham odwraca się i mierzy mnie wzrokiem. Jej dłoń spoczywa

na klamce wozu. Pani sierżant waha się, czy otworzyć drzwi.

Zmuszam mięśnie karku do ruchu i żegnam się z nią skinieniem głowy.

– W razie czego będę w barze U Darcy – mówię.

– W porządku. Proszę się stamtąd nie ruszać – zaznacza, po czym wsiada do radiowozu i odjeżdża.

Kiedy jej auto znika za zakrętem, przysiadam i biorę głęboki oddech. Niesamowicie, że wytrzymałem tak długo. Ten ostatni komunikat wywołał we mnie falę paniki, a jej powstrzymanie wymagało ode mnie użycia całej siły woli, jaką dysponuję.

Dziesięć pięćdziesiąt cztery to policyjny kod oznaczający martwego człowieka.

Morderca nie tylko postarał się utrudnić zbadanie samochodów, ale w dodatku uśmiercił panią Lane, kobietę, która go wychowała, i jedyną osobę, jaka mogła połączyć go z jego przeszłością.

67

Podrzutek

Idę do explorera, licząc się z tym, że w każdej chwili zza zakrętu może wypaść radiowóz na sygnale, z którego wyskoczy sierżant Graham, wyciągnie broń i każe mi się położyć twarzą do ziemi.

Odzyskuję namiastkę spokoju, dopiero kiedy jestem już na szosie i jadę w przeciwnym kierunku.

Zastanawiam się, co się wydarzyło po tym, jak wyszedłem od Julie Lane. Morderca musiał dojść do wniosku, że ze swoim odkryciem pójdę do biura szeryfa, dlatego podjął próbę usunięcia starych, dawno zapomnianych dowodów.

Prawdopodobnie zakładał, że auta będą bezpieczniejsze w lesie, niż gdyby usiłował je przenieść. Myślę, że słusznie. Nawet gdyby ktoś się na nie natknął, nie wydałyby mu się podejrzane, bo porzucanie samochodów w lesie to w tych stronach norma. Przeglądając zdjęcia w Google Maps, co rusz natykam się na wraki starych wozów: stoją na klockach albo zarastają zielskiem na podwórzach.

Dlatego samochody na działce Lane'ów nikogo by nie zdziwiły – chyba że ten ktoś wiedziałby, do kogo wcześniej należały. Właśnie to wystraszyło mordercę.

Pożar lasu jedynie odsunie w czasie identyfikację, nawet jeśli zabójca potraktował bloki silników termitem.

Jego prawdziwym zamiarem było jednak uśmiercenie Julie Lane. W ten sposób nie tylko ją uciszył, ale dodatkowo namieszał w głowach stróżom prawa i skierował ich uwagę na mnie. Sprawca usiłował doprowadzić do końca wszystkie wątki ze swojej przeszłości – a także zrobić mnie w morderstwo.

Jestem ostatnią osobą, która widziała Julie Lane żywą. To ja opowiadam osobliwą historię łączącą Potwora z Cougar Creek z niedawnymi morderstwami. I to ja zostawiłem krwawy szlak wiodący z lasu do drogi.

Jeżeli morderca udusił panią Lane i ubrudził jeden z jej

kuchennych noży moją krwią, żeby wyglądało to tak, jakby próbowała się bronić, to doprawdy nie wiem, co będę musiał zrobić, żeby dowieść swojej niewinności.

Zamiast wrócić do motelu Gusa, wybieram zjazd w stronę Heleny. Muszę dobrać się do akt rodzin zastępczych i przekonać się, z kim mam do czynienia. A potem znaleźć sobie prawnika.

Muszę też ostrzec Gusa i Jillian. Najpierw dzwonię do niej.

– Cześć! Co słychać? Jak ci idą poszukiwania? – rzuca na dzień dobry.

Odpowiadam na jednym oddechu:

– Jillian, wydaje mi się, że wiem, kim on jest, a przynajmniej skąd pochodzi. Chyba właśnie zabił swoją matkę z rodziny zastępczej, żeby zatrzeć za sobą ślady.

– W Red Hook?

– Tak. Byłem u niej wczoraj wieczorem, rozmawialiśmy. Znalazłem w lesie dziesięć samochodów, które należały do zaginionych turystów.

– Mój Boże!

– To nie wszystko. On wie o mnie. Zna moje nazwisko. To oznacza, że może się również dowiedzieć o tobie i Gusie.

– Co chcesz powiedzieć?

– Nie wiem. Strasznie mi przykro. Nie chciałem cię w to mieszać.

– Nie zrobiłeś tego. Przestań się obwiniać.

– Możliwe, że on przyjdzie po ciebie.

– Dlaczego?

– A dlaczego robi to, co robi?

– Gdzie jesteś? Przyjedź tu, żebyśmy mogli porozmawiać.

– Najpierw muszę coś zrobić. Chcę zdobyć jego nazwisko.

– A potem od razu przyjedziesz tutaj?

– Tak. Ale zadzwoń do Gusa i ostrzeż go. I jeszcze zadzwoń na policję w Hudson Creek. Powiedz im, co chcesz. Cholera, powiedz, że się mnie boisz.

– Nie mogę tego zrobić.

– Ale coś musisz zrobić.

Mam nadzieję, że po prostu reaguję na wyrost. Nie wiem, co bym

zrobił, gdyby coś się przytrafiło Jillian.

*

W drodze do Heleny chodzą mi po głowie dwie rzeczy. Po pierwsze: co, jeśli morderca wykorzystał pożar lasu i morderstwo Julie Lane do tego, by zapewnić policji zajęcie na czas swojej ucieczki? Zanim władze się zorientują, że należy go ścigać, jego już dawno tu nie będzie.

Po drugie: co, jeśli *nie* wykorzystuje tych zdarzeń w taki sposób? Jeśli postanowił zostać i wyeliminować wszystkich, którzy mogliby go zidentyfikować?

Syn Sarah Eaves jest przekonany, że jego matkę zamordowano. Czy to zabójca wyeliminował kolejnego świadka?

Kiedy docieram do biura opieki społecznej, niepokój tak bardzo ściska mi żołądek, że chwilami tracę orientację. Co gorsza, muszę tam wejść i skłamać.

Wjeżdżam na parking przed klockowatym budynkiem, zajmuję miejsce, ale nie wysiadam. Poświęcam chwilę na opanowanie nerwów. Nazwisko mordercy znajduje się w aktach przechowywanych w tym biurze. Wszystko może się bardzo szybko zakończyć. Muszę jedynie wejść do środka i zdobyć dokumenty, o które poprosiła sierżant Graham.

Myślę, że czyn, który chcę popełnić, kwalifikuje się jako ciężkie przestępstwo. Tyle że w tej chwili to najmniejsze z moich zmartwień.

Wysiadam z wozu, upewniam się, że moje ubranie jest czyste i nie ma na nim plam krwi, po czym kieruję się ku wejściu do budynku.

Ochroniarz siedzący za biurkiem dyżurki podnosi głowę znad telefonu.

– Słucham?

– Przyszedłem po akta dla hrabstwa Poitier.

Jestem gotów zablefować i okazać pozwolenie na prowadzenie badań w parkach narodowych i legitymację z uczelni – z nadzieją, że dokumenty o, bądź co bądź, urzędowym wyglądzie dadzą mi wiarygodności.

- Drugie piętro. Pokój numer cztery.
- Dziękuję.

*

Dwie minuty później zgłaszam się w biurze na drugim piętrze. Noga trzęsie mi się tak bardzo, że muszę ją przycisnąć do krawędzi blatu, żeby to ukryć.

- W czym mogę panu pomóc? – pyta kobieta.
- Witam. Przyszedłem odebrać zamówione przez hrabstwo Poitier akta dotyczące rodzin zastępczych.
- Kiedy zgłaszano zapotrzebowanie?
- Dziś rano.
- A, to przykro mi. Realizacja zajmuje około dziesięciu dni. Dziwię się, że pana nie uprzedzono.
- Cholera. Cholera. Cholera.
- Za dziesięć dni będę siedział w więzieniu albo leżał w grobie.
- Chodzi o te dokumenty dla biura szeryfa hrabstwa Poitier? – dolatuje głos z głębi biura.
- Tak – odpowiada siedząca przede mną kobieta. – Powiedziałam panu, że potrzeba dziesięciu dni...
- Mam je u siebie na biurku – informuje tamta osoba. – Przed godziną mieliśmy kolejny telefon z ponagleniem. Podobno chodzi o śledztwo w sprawie morderstwa.
- Zjawia się kobieta ubrana w elegancką garsonkę. Trzyma w rękach gruby segregator.
- Właśnie skończyłam kompletowanie. Proszę bardzo.
- Przejmując od niej segregator, z trudem powstrzymuję dłonie od drżenia. Otwieram go, niby od niechcenia. Jest wypełniony formularzami i zdjęciami co najmniej trzydziścioro dzieci.
- Dziękuję.
- Przeglądam twarze wychowanków, usiłując wypatrzeć tę należącą do mordercy – i o mało nie wpadam na drzwi.

Środek zaradczy

- Nie odbierze pan? – pyta ochroniarz, kiedy mijam jego stanowisko.
- Słucham? – Podnoszę głowę znad segregatora.
- Mężczyzna wskazuje moją kieszeń.
- Telefon.
- Dopiero teraz dociera do mnie, że dzwoni.
- A, tak. – Wkładam akta pod pachę i sięgam po aparat.
- Nieznany numer, poprzedzony prefiksem, którego nie kojarzę. Kusi mnie, żeby zignorować połączenie, ale w końcu postanawiam odebrać. Siadam na ławce przed budynkiem.
- Halo – rzucam od niechcienia. Wracam do przeglądania dziesiątek twarzy na fotografiach. Szukam dzieci, które mieszkały u Lane’ów w tym samym czasie co Sarah.
- Theo? – odzywa się czyjś głęboki bas.
- Tak... – Docierając do końca zestawienia, odkrywam, że właśnie tam zgrupowano dzieci z końca lat siedemdziesiątych i początku osiemdziesiątych. Zatrzymuję się na twarzy Sarah. Jest młodsza niż na zdjęciu, którym dysponuję.
- Mogę liczyć na twoją uwagę? Bo ty na pewno zwróciłeś moją.
- Ton jego głosu sprawia, że podnoszę wzrok znad akt.
- Kto mówi?
- A jak myślisz?
- Lodowaty paluch strachu dotyka mojego serca.
- Nie jestem pewien...
- Przejdźmy od razu do rzeczy. Oto co zrobisz.
- Z czym?
- Po pierwsze: zniszczysz wszystkie swoje notatki oraz materiały, których jeszcze nie przekazałeś policji.
- Ja pierdolę... To niemożliwe...
- Chwileczkę...
- Milcz, Theo, jeszcze nie skończyłem. – Mówi stanowczym tonem,

jak treser psów, który wydaje komendę „siad!” owczarkowi niemieckiemu. – Po tym, jak zniszczysz notatki, nagrasz materiał wideo ze swoim przyznaniem się do zamordowania Julie Lane.

– Ale ja jej nie zabiłem...

– Oczywiście, że nie. Ja to zrobiłem. Była dla mnie jak matka. Widzisz, do czego przez ciebie musiałem się posunąć?

Z trudem łapię oddech.

– Dlaczego?

– A jak ci się wydaje? Żyłaby, gdybyś nie zapukał do jej drzwi. To przez ciebie umarła.

– Nie, to ty ją... – protestuję słabo.

– Byłem narzędziem, a ty przyczyną. Przecież wiesz. To tylko kolejny bałagan, którego narobiłeś i który teraz musimy posprzątać.

– Ci wszyscy ludzie...

– Każdy kiedyś umrze. Co za różnica?

– Jak... jak mogłeś?

– Taki jestem. Porozmawiajmy lepiej o tym, jaki ty jesteś i co zrobisz. Po tym, jak zniszczysz notatki i przyznasz się do zabicia Julie Lane, zaczną cię wypytywać o pozostałe ciała. Dlatego w swoim zeznaniu powiesz, że manipulowałeś, aby ukryć fakt, że zamordowałeś Juniper Parsons.

– To szaleństwo. Nie da się, to niemożliwe.

Czuję się jak we śnie. Zaciągam się powietrzem i wpatruję w przejeżdżające auta – i tylko tak udaje mi się przekonać samego siebie, że to się dzieje naprawdę.

– Możesz być pewny, że ci uwierzą. Już i tak cię podejrzewają. Rusz głową, wymyśl metody i motywy. Jesteś bystrym facetem. Zbyt bystrym.

– Nie uwierzą mi.

– Uwierzą przynajmniej w część tego, co powiesz. Twoim zadaniem jest przekonać ich do całości. Zależy im na prostym wyjaśnieniu. Wiem, co mówię. Zawsze tak jest.

Nie wiem, dlaczego nawet nie próbuję protestować, jedynie zadaję pytania, jakby to wszystko było nieuniknione.

– A jeśli jednak nie?

– Jeśli ich nie przekonasz? A jak sądzisz, Theo?

Waham się.

– Nie wiem...

– Wysłałam ci zdjęcie.

Odbieram wiadomość. Pojawia się czarno-biały rozmazany obrazek. Z początku nie rozpoznaję szczegółów, a kiedy w końcu dociera do mnie, na co patrzę, świat zamiera.

Widzę Jillian. Śpi w swoim łóżku. Zrobiono jej zdjęcie aparatem do nocnej fotografii.

– Byłem tam wczoraj, Theo. Stałem nad nią przez godzinę, przyglądałem się, jak śpi. Potrafię zachowywać się bardzo cicho. Ale wcale nie muszę wracać do jej domu. Mogę usiąść przy stoliku w restauracji i wsunąć jej nóż między zębra, kiedy będzie dolewała mi kawy. Mogę napaść na nią, kiedy wieczorem będzie szła do samochodu. Mogę zastrzelić ją z odległości stu metrów. Znam wiele sposobów. A twój kolega, ten dziadek? Jak myślisz, trudno będzie go zabić? Mógłbym załatwić oboje w dwadzieścia minut, a potem pojechać na Florydę i złożyć wizytę twojej matce. Albo do Teksasu, i zacząć na chybił trafił zabijać twoich studentów.

Otrząsam się z osobliwego onirycznego stanu i czuję, że burzy się we mnie krew.

– Ty skurwielu...

– Sam zacząłeś. I teraz sam musisz to zakończyć. W tej chwili ważysz za i przeciw. Powiedzieć policji o wszystkim, co ode mnie usłyszałeś? A może zrobić tak, jak ci kazałem? Sądzisz, że zdołają ochronić tych ludzi? Przecież nawet nie wierzą w moje istnienie.

– Znam twoje nazwisko. Powiem im. – Jeszcze nie znam, ale wiem, że znajdę je w segregatorze.

– Nieprawda. Znasz moje dawne nazwisko, którego nie używam od trzydziestu lat. Tamten chłopak, ten, który... Jego już nie ma.

– O to chodzi? Molestował cię jakiś prymityw i dlatego zostałeś seryjnym mordercą?

– Nie, Theo, to nie takie proste. Tak naprawdę wszyscy jesteśmy zwierzętami. Ale to nieistotne. Wiesz, co masz robić.

– Skąd mam wiedzieć, że i tak ich nie skrzywdzisz?

– Nie możesz tego wiedzieć. Ale przecież jesteś logicznie myślącym człowiekiem. Zabicie ich nie leży w moim interesie. Zależy mi tylko na tym, żeby jutro usłyszeć w wiadomościach, że do wszystkiego się przyznałeś.

– A jeśli zrobię to, czego ode mnie żądasz, a oni i tak mi nie uwierzą?

– Dlatego musisz dokonać jeszcze jednej rzeczy, aby ich ostatecznie przekonać. Nie mam pewności, czy w końcu wszystkiego im nie zdradzisz. Dlatego kiedy już się przyznasz, weźmiesz pistolet, który nosisz, i strzelisz sobie w głowę.

– Chcesz... chcesz, żebym się zabił?

– Owszem, Theo. Nagraj swoją spowiedź. Postaraj się, żeby to był najlepszy występ w twoim życiu. A potem się zastrzel. Szybko pójdzie. Nic nie poczujesz. Jillian będzie bezpieczna. Jeżeli tego nie zrobisz, do jutra wieczór umrze ktoś, na kim ci zależy. Może ona. Może Gus. A może ktoś, kogo nie wymieniłem.

Nie wiem, jak długo siedzę – gapiąc się przed siebie, zahipnotyzowany kołyszącą się gałęzią – po tym, jak się rozłącza.

Z odurzenia wyrywa mnie dźwięk dzwonka telefonu.

– Halo.

– Witam, doktorze Cray, mówi sierżant Graham. – Z jej głosu wyławiam teraz znacznie więcej przyjaznych nut niż rano, kiedy rozmawiała ze mną służbowym tonem. – Nie mieliśmy okazji dokończyć. Chciałam zadać panu kilka dodatkowych pytań. Jest pan jeszcze w tym barze?

– Nie... Musiałem coś załatwić.

– Rozumiem. W takim razie gdyby pan mógł zajrzeć na posterunek... Zakończylibyśmy sprawę. Powiedzmy... za godzinę?

– Jasne – kłamię.

– Świetnie. Zatem do zobaczenia.

Nie tylko ja uciekłem się do łgarstwa. Graham była zbyt miła, zbyt serdeczna. Na pewno odwiedziła bar i zorientowała się, że mnie tam nie ma.

Chcą porozmawiać ze mną o pani Lane.

Zastanawiają się, dlaczego ją zabiłem, podpaliłem las i przyszedłem

do nich z historią o Potworze z Cougar Creek. To przecież bez sensu. Jakieś wariactwo. Ale cóż, skoro wszystkie tropy prowadzą do mnie...

Szlag.

Muszę coś wymyślić, jeśli chcę zapewnić bezpieczeństwo Jillian i Gusowi.

Przyznanie się

Joshua Lee Clark – tak się nazywa. Albo nazywał. Zdradzają go oczy: ciemnozielone, osadzone pod grzywą rudawych włosów. Inteligentne, ale wyrażające niepewność. Na zdjęciu w aktach widać nie przestraszonego jedenastolatka, lecz uchwycone w blasku flesza nieufne zwierzę.

Umieszczono go w rodzinie zastępczej po tym, jak znaleziono jego matkę zadżganą w kuchni. Joshua zeznał, że wywiązała się kłótnia pomiędzy kobietą a niemieszkającym z nimi ojcem. Nikt co prawda nie widział, żeby mężczyzna wchodził do domu albo go opuszczał, ale ponieważ w przeszłości dochodziło w tej rodzinie do aktów przemocy, policja uznała przedstawioną przez Joshuę wersję zdarzeń za wiarygodną.

Mnie nie przekonuje – ale mam przewagę w postaci wiedzy o tym, czego dopuścił się później. Głos w słuchawce należał do wyrachowanego, zdolnego do wszystkiego człowieka. Przyznał się do zabicia Julie Lane, swojej matki w rodzinie zastępczej, po to, by ją uciszyć i zrobić mnie w morderstwo.

Zabijanie przychodzi mi łatwo, nieważne, czy robi to dla przyjemności, czy ze względów praktycznych. Zagroził, że jeżeli nie postąpię tak, jak mi każe, uśmierci osoby, na których mi zależy.

Muszę skłamać i wymyślić jakieś cienkie jak bibułka wytłumaczenie. Muszę zrobić wszystko, co w mojej mocy, aby tym samym ludziom, których wcześniej przekonywałem, że w lasach grasuje morderca, wmówić, iż wszystko to było jedynie obmyśloną przeze mnie intrygą.

Czysty absurd, który nijak się nie obroni. Ale Clark ma rację: jeżeli przypieczętuję kłamstwo swoją śmiercią, przyjmą je bez mrugnięcia okiem.

Uwierzą, jeśli przyznam się do zabicia Juniper. Przekonam ich, że odpowiadam za śmierć Chelsea, jeżeli powiem, że zamordowałem ją

podczas zeszłorocznego pobytu w tych stronach.

To samo tyczy się pozostałych ciał. Jeśli się okaże, że nie zgadza się pora i akurat byłem za granicą, kiedy niektóre z tych dziewczyn zmarły, wymyślę jakąś bajkę o tym, że przechowywałem zwłoki w chłodni albo coś w tym stylu.

Powiem, że trupy w Cougar Creek znalazłem w innym miejscu, a następnie lata temu podrzuciłem je do gorącego źródła.

Czy będą się starali podważyć zeznanie martwego człowieka? Dam im to, czego potrzebują – ucieszą się.

Zrobię wszystko, żeby Jillian była bezpieczna.

Będą też potrzebowali motywu. Nie wystarczy, że wyjaśnię, jak udało mi się dokonać tylu morderstw; będą chcieli również wiedzieć, dlaczego wypaczony umysł był zdolny do obmyślenia tak chorego planu.

Powiem, że zawsze było ze mną coś nie tak. Moje myśli obsesyjnie krążyły wokół krzywdzenia kobiet. Kierowało mną pragnienie popełnienia zbrodni doskonałej. Wyznam, że zabiłem Juniper, ponieważ nie wystarczało mi patrzeć na śmierć obcych ludzi; chciałem odebrać życie komuś znajomemu.

A dlaczego zabiłem siebie?

Jako socjopata nie mogę poczuwać się do winy. Zatem dlaczego? Bo chciałem pokazać, że wygrałem? Bo policja zbliżyła się do odkrycia, kim jestem?

Kiedy aresztowano Teda Bundy'ego, ten powiedział policjantowi, który założył mu kajdanki, że wolałby, żeby go zastrzelili. Nie czuł wyrzutów sumienia, ale zarazem nie pozostawał głuchy na własny strach.

Muszę opracować szczegółową chronologię swoich zbrodni. A także przygotować wyjaśnienie, w jaki sposób oszukałem narzędzia służące do datowania zwłok – na przykład trikiem z chłodnią; mogę też wymienić kilka środków konserwujących i przyspieszaczy enzymatycznych.

Dla pewności powinienem też dopilnować, żeby w moim aucie znaleziono stosowne narzędzia i środki chemiczne. Na pewno jest w okolicy sklep, w którym zakupię wszystko, co będzie mi potrzebne.

Tak. Myślę, że dam radę. Posunę się nawet dalej i zamieszczę swoje przyznanie się do winy w internecie, żeby każdy mógł je obejrzeć. Media nie zdołają się oprzeć takiemu kłamstwu.

To przekona mordercę o mojej szczerości.

*

Kiedy życie stawia człowieka w sytuacji zero-jedynkowej, wówczas zyskuje on niezwykłą przejrzystość myśli.

Gdybym miał więcej czasu, zapewne dostrzegłbym inne rozwiązania. Sądzę, że zdołałbym wytropić mordercę, nawet pomimo tego, że zmienił nazwisko. Ale spóźniłem się i działałem zbyt nieporadnie. Jeżeli teraz poproszę go o dodatkowe dni, od razu mnie przejrzy. Ponieważ to on ma przewagę.

Skupiam się na materiałach i substancjach chemicznych, których potrzebuję, aby skutecznie przekonać policję, że byłem w stanie wyprowadzać ją w pole, zaciemniając przybliżony czas śmierci ofiar majstrowaniem przy zwłokach.

Istnieje roztwór enzymatyczny, używany w przemyśle jako środek czyszczący, który mógłby doprowadzić do zaawansowanej martwicy, a potem ulec rozkładowi. Kilkanaście litrów tego środka powinno przemówić policji do wyobraźni. Łagodna kąpiel w kwasie mogłaby wywołać starzenie komórek i odbarwienie skóry.

Mógłbym powiedzieć, że użyłem zbiornika z dwutlenkiem węgla, aby doprowadzić narządy wewnętrzne do rozerwania wskutek rozkładu.

Gdybym chciał porządnie namieszać w głowach ekspertom z zakładu medycyny sądowej, powiedziałbym, że pobrałem krew z jednego ciała i wstrzyknąłem ją drugiemu, żeby utrudnić analizę DNA.

Do diabła, mógłbym nawet przekonująco zamienić zwłoki w martwego klona żyjącej osoby, gdybym tylko przetoczył odpowiednią ilość krwi, wykorzystał czynnik krzepnięcia, aby zagęścił krew w żyłach, do których lekarz będzie się wbijał, a następnie zafałszował dane stomatologiczne, niszcząc zęby kwasem

fluorowodorowym – wyglądałyby jak zaatakowane przez agresywną bakterię.

Już wiem, co powiem. Wiem, co muszę zrobić.

Spiszę wykaz moich metod, sfilmuję przyznanie się do winy i poinformuję policję, gdzie znajdzie moje zwłoki.

Tylko tak mogę zapewnić Jillian bezpieczeństwo.

70 Substytut

*W samotności swej wiele rozmyślam o niepojętych kwestiach przestrzeni,
wieczności, życia i śmierci.*

Alfred Russel Wallace

Sfabrykowanie własnej śmierci łatwiej wymyślić niż rzeczywiście przeprowadzić, zwłaszcza w tak krótkim terminie. Nie ma mowy, abym zdołał przekonać osobę przeprowadzającą szczegółową sekcję zwłok, że cudze ciało, które bada, należy do mnie, ale mogę przynajmniej kupić sobie trochę czasu. Zyskam trzy albo cztery dni, zanim Mead i jej ekipa zabiorą się do rzekomo mojego trupa i uświadomią sobie, że zostali oszukani.

Muszę odnaleźć Joshuę Lee Clarka, zanim to się stanie. Kiedy morderca zorientuje się, co zrobiłem, wpadnie w szal, a wtedy Jillian i Gusowi będzie groziło niebezpieczeństwo.

Gdybym naprawdę sądził, że Clark zostawi ich w spokoju, może i bym wpakował sobie tę kulkę w głowę. Ale nie ufam mu. Kiedy sam siebie wyeliminuję, on nie zawaha się zabić Jillian dla zwykłej przyjemności. Taki już jest, tak postępuje. W rozmowie pozował na opanowanego, racjonalnego człowieka, ale w rzeczywistości jest przecież mordercą czerpiącym satysfakcję z zabijania. Ma tę skłonność w genach.

Aby zyskać na czasie, muszę sprawić, by pomyślał, że nie żyję. Do tego potrzebuję zwłok. Każdego dnia w Montanie umierają przeciętnie dwadzieścia cztery osoby, w tym dwóch lub trzech mężczyzn mniej więcej w moim wieku.

Z informacji, którą wyłuskałem z „Montana Gazette”, wynika, że przed dwoma dniami znaleziono trzydziestoletniego Christophera Dunleavy’ego. Mężczyzna nie reagował na bodźce, toteż przewieziono go do szpitala w Missouli, gdzie stwierdzono śmierć wskutek

przedawkowania leków. Władze starają się nawiązać kontakt z jego najbliższą rodziną. Czytaj: jego ciało leży w szpitalnej kostnicy i czeka, aż ktoś raczy zająć się pogrzebem.

Znalazłem profil Christophera w mediach społecznościowych. Jego twarz wygląda zupełnie inaczej niż moja, ale mamy podobną budowę ciała, a to wystarczy do moich celów.

*

Dzwonię do szpitala. Automatyczna centrala przełącza mnie do kostnicy.

– Chłodnia, słucham – odzywa się kobieta o miłym głosie.

– Dzień dobry, dzwonię z biura szeryfa w Hudson Creek. Czy nadal jesteście państwo w posiadaniu zwłok Christophera Dunleavy’ego?

– Tak. Czekamy, aż zgłosi się ktoś z rodziny. A o co chodzi?

– Pojawiły się pewne okoliczności. Laboratorium stanowe chciałoby obejrzyć zwłoki.

– Kto tak twierdzi?

– Mead, zdaje się. – Podpieram się autorytetem pani doktor.

– Nie ufa naszemu lekarzowi sądowemu?

– Nie, nie. Chodzi o to, że w grę może wchodzić przestępstwo. Laboratorium stara się ustalić źródło tabletek.

– Ach, rozumiem.

– DEA zażądała badań.

– Przyślijcie kogoś, niech się podpisze, i możecie go zabierać.

*

Przygotowawszy teren pod przejęcie ciała, muszę to teraz naprawdę zrobić. Niestety, wyprawa do szpitala moim SUV-em i załadowanie zwłok do bagażnika nie wchodzi w grę.

Szczęśliwie w Helenie udaje mi się znaleźć firmę wypożyczającą samochody dostawcze. Mają czarnego vana z podwyższonym sufitem – nadaje się idealnie na fałszywe auto agencji rządowej.

Za wynajem płacę własną kartą kredytową; zakładam, że zanim policja sprawdzi ten trop, będę już martwy – albo Clark ujęty.

Podjeżdżam pod szpital. Pocą mi się ręce i wcale nie jestem przekonany, czy zdołam zrobić to, co zaplanowałem. Po drodze wstąpiłem do sklepu i pospiesznie kupiłem granatową wiatrówkę, żeby choć trochę wyglądać na pracownika agencji. Jeśli ktoś zapyta, jestem lekarzem z laboratorium federalnego, sprowadzonym tu przez DEA.

Parkuję na tyłach budynku, blisko strefy załadunku. Zmierzając do wejścia, zauważam młodego policjanta; prawdopodobnie ma przerwę, bo stoi, opierając się o radiowóz, i pali papierosa. Z początku zaczynam się denerwować, ale potem przychodzi mi do głowy pomysł.

– Przepraszam – zagaduję.

– Słucham pana.

Dobrze wychowany glina – doskonale.

– Wie pan, gdzie znajdę kostnicę? Mam odebrać zwłoki dla laboratorium stanowego.

Wskazuje drzwi.

– Wydaje mi się, że trzeba wejść tędy, a potem skrócić w prawo. Rzadko tu bywam. Czekam na partnera, który poszedł porozmawiać ze świadkiem.

– A mógłby mi pan pomóc, jeśli ma pan wolną chwilę? Muszę załadować ciało. Przydałby się ktoś do przytrzymania drzwi. Żona mojego partnera zaczęła rodzić w Bozeman i chłopak musiał do niej jechać.

– Nie ma sprawy – odpowiada, gasząc papierosa. – Bylebym nie musiał niczego dotykać.

– Dziękuję, funkcjonariuszu... – zerkam na jego identyfikator – ... Patel, tak? Ja jestem Bill Doff – przedstawiam się nazwiskiem mojego nauczyciela matematyki w liceum.

– Nick. – Podaje mi rękę.

Kiedy wchodzimy do środka, zagaduję go o rzeczy niezwiązane z pracą i oglądam się za atrakcyjną pielęgniarzką, która mija nas w korytarzu.

– Dlatego lubię tu przychodzić – mówi Nick.

W rejestracji wita nas ten sam przyjemny głos, który słyszałem w słuchawce.

– Dobry! – rzucam. – Przyszliśmy po Christophera Dunleavy’ego. Zdaje się, że ktoś dzwonił.

– A, pan z laboratorium stanowego? – Kobieta posyła Nickowi uśmiech, co sugeruje, że policjant wcale nie jest tu aż tak rzadkim gościem, jak mi powiedział.

– Zgadza się.

Podsuwa mi formularz.

– Proszę to wypełnić.

Zaznaczam kolejne okienka i wpisuję nazwisko Mead tam, gdzie trzeba podać zlecającego przekazanie zwłok.

Rejestratorka przelatuje kartkę wzrokiem i kiwa głową.

– Poproszę formularz przeniesienia – mówi.

Co takiego? Trochę się obawiałem, że wydanie ciała będzie wymagało okazania dokumentów, o których nie mam pojęcia.

– Jasne. – Waham się. – Tyle że Mead nic takiego mi nie dała.

Już mam poprosić o wzór, żebym mógł spróbować podrobić go w biurze FedEksu, ale na szczęście kobieta się nie upiera. Być może dlatego, że jest ze mną policjant, co wyraźnie sugeruje, że jestem urzędnikiem wypełniającym swoje powinności.

– Nic nie szkodzi. Proszę po prostu jak najszybciej dostać go faksem. Zlecę sanitariuszowi przygotowanie ciała, przywiezie je za jakieś dziesięć minut.

– Wspaniale.

Kwadrans później odjeżdżam z kradzionymi zwłokami. Zatrzymuję się przed sklepem z artykułami medycznymi, kupuję to, co mogę legalnie nabyć, a pozostałe potrzebne mi materiały przywłaszczam sobie z zaparkowanej nieopodal karetki, korzystając ze sztuczki z otwieraniem drzwi.

71

Ofiara

Martwe oczy Christophera Dunleavy'ego patrzą na mnie zza kierownicy explorera. Jego skóra odzyskała nieco koloru. Nic dziwnego – wtłoczyłem w niego litr własnej krwi. Straciłem jej sporo wskutek wypadku w lesie i zastanawiałem się, czy mogę sobie pozwolić na oddanie takiej ilości.

Ale żeby plan się powiódł, lekarz sądowy, który przyjedzie na miejsce stwierdzić zgon, absolutnie nie może zauważyć oznak bladości. Aby zminimalizować ryzyko, dodałem do swojej krwi nieco rozcieńczającej ją heparyny, po czym wstrzyknąłem płyn trupowi i rozmasowałem mu ciało w okolicy nękłucia.

Na czas tych zabiegów rozkręciłem ogrzewanie w kabinie, a także obłożyłem szyję Christophera ogrzewaczami i wsunąłem mu je pod pachy. Dzięki temu, kiedy lekarz sprawdzi temperaturę, zwłoki będą się wydawały świeże, a nie dopiero co wyjęte ze szpitalnej chłodni.

Wiem, że to wszystko jest szyte grubymi nićmi, ale jeśli uda mi się zmylić osobę przeprowadzającą wstępne oględziny, zyskam czas do momentu, w którym Mead albo ktoś inny otworzy biednego Christophera i zorientuje się w mojej niechlujnej robocie.

Aby usadzić go za kierownicą, musiałem rozluźnić mu członki zeszywniałe wskutek stężenia pośmiertnego. Porcja kwasu solnego wstrzyknięta w główne grupy mięśni odwapniła włókna na tyle, że kończyny Christophera częściowo odzyskały elastyczność.

Mam zatem na wpół sztywnego trupa, który siedzi za kierownicą mojego explorera i trzyma w dłoniach strzelbę Gusa, gotów pociągnąć za spust i odstrzelić sobie twarz – to też łatwiej powiedzieć niż zrobić.

Pomijając oczywiste, trudne do opanowania emocje związane z koniecznością posłania drugiemu człowiekowi kulki w głowę, objawia mi się kolejny, czysto praktyczny problem. Jak pociągnąć za spust tak, żeby wyglądało to na robotę Christophera? Jeśli stanę w otwartych drzwiach, powstanie dziwna, niepełna plama krwi. To

samo, jeśli usiądę na miejscu pasażera.

Rozważam, czy nie przeprowadzić jakiejś linki przez pedał hamulca i pociągnąć za nią, ale w końcu decyduję, że obwiążę sobie rękę workiem na śmieci, sięgnę przez okno i nacisnę spust.

Badający miejsce zdarzenia kompetentny technik na pewno zauważy, że coś tu nie gra, ale znowu – potrzebuję jedynie kilku dni, a nie zagadki, której rozwikłanie zajmie długie lata.

Zastanawiałem się, czy nie podpalić Christophera. Z pewnością utrudniłoby to pracę technikom i lekarzowi sądowemu, ale Clark mógłby zacząć coś podejrzewać. Gdyby media podały informację, że ciało spłonęło w stopniu uniemożliwiającym identyfikację, z pewnością domyśliłby się, że coś jest na rzeczy.

Muszę mu dać dokładnie to, czego zażądał.

Do późna w nocy trudziłem się, żeby nadać Christopherowi świeży wygląd i podrzucić dowody jednoznacznie wskazujące na tożsamość osoby, która siedziała za kierownicą auta. Ubrałem go w moje ubranie i włożyłem mu do kieszeni mój portfel.

Zawijając mu buty, uświadomiłem sobie szczegóły, w których popełniłem błąd – na przykład to, że zrobiłem węzeł do góry nogami. Postarałem się naprawić wszystkie pomyłki; przez dobrą godzinę pochylałem się nad różnymi detalami, żeby moje oszustwo nie od razu wyszło na jaw.

W końcu musiałem dać za wygraną i powiedzieć sobie, że to chyba wystarczy, aby uwiarygodnić moją śmierć w oczach służb, które jako pierwsze zjawia się na miejscu, oraz dziennikarzy, którzy doniosą o niej, podając tyle informacji, by Clark wyciągnął takie wnioski, na jakich mi zależy.

Najważniejszym elementem planu, oprócz szczegółów interesujących wyłącznie specjalistów od medycyny sądowej, będzie moje przyznanie się do winy. Pracując nad Christopherem, układałem sobie w głowie, co chcę powiedzieć. W ten sposób odwracałem uwagę od okropnych rzeczy, które robiłem z ciałem tego człowieka.

W przeszłości miałem co prawda do czynienia ze zwłokami, ale w tym przypadku przekraczałem granicę. Jak wiele różniło mnie od Clarka? Owszem, Christopher nie żył, ale przecież bezczeciłem jego

szczątki. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnął, kiedy łykał śmiertelną dawkę leków, było to, żeby jakiś palant grzebał w jego zwłokach. A jego rodzina? Co się stanie, kiedy w końcu ktoś się zgłosi po ciało Christophera i zobaczy, co z nim zrobiłem?

Świadomość nikczemności mojego uczynku dociera do mnie z taką siłą, że muszę zrobić sobie przerwę.

Przysiadam na ziemi, tam gdzie zaparkowałem explorera. Wpatruję się w twarz Christophera. Światło księżyca odbija się od jego czerwono-białych policzków, nadając mu wygląd istoty nie do końca z tego świata.

– Theo, co ty, do cholery, wyprawiasz? – pytam sam siebie.

– Walczę o przetrwanie – odpowiadam.

Założę się, że nawet jeśli przeżyję ten bajzel, nikt nie będzie w stanie zrozumieć, dlaczego postąpiłem tak, a nie inaczej. „Dlaczego nie powiadomiłeś policji? Dlaczego nikogo nie ostrzegłeś?” – tak będą pytali.

Jeżeli zdarzenia nie przebiegną po mojej myśli, te pytania będą mnie prześladowały do końca życia.

Wszystkie te przygotowania, całe to planowanie miało na celu odwrócenie uwagi od prawdziwego problemu. Zakładając, że uda mi się przekonująco upozorować swoje samobójstwo i zwieść policję, lekarzy i Clarka, nadal będę musiał się zmierzyć z najważniejszą, największą zagwozdką: kim jest Clark? I gdzie przebywa?

Kazał mi się zabić, ponieważ przestraszył się, że zanadto się do niego zbliżyłem. W rzeczywistości nie wiem nic ponad to, co już przekazałem policji.

Tak samo jak ona zawędrowałem do ślepego zaułka.

Mogę liczyć jedynie na to, że Clark obawia się mnie nie z powodu tego, co wydaje mu się, że wiem, lecz z powodu tego, czego odkrycia, jego zdaniem, jestem bliski.

72 Breaking news

O godzinie 7.22 na terenie nieukończonego osiedla mieszkaniowego w północno-zachodniej części miasta znaleziono ciało w zaparkowanym samochodzie. Z niepotwierdzonych źródeł wiemy, że przypuszcza się, iż ofiara, trzydziestokilkuletni mężczyzna, zginął od samobójczego strzału w głowę. Nieznane są wprawdzie motywy jego działania, ale możemy potwierdzić, że dziś rano o wcześniejszej godzinie nasza redakcja otrzymała link prowadzący do zamieszczonego w serwisie YouTube materiału wideo, zawierającego rzekome przyznanie się do winy osoby mającej związek z odkrywanymi niedawno ciałami ofiar rzekomych morderstw. Przypomnijmy, że chodzi o ciała osób, które policja uznała wcześniej za ofiary ataków zwierząt. Nagrania dokonano w samochodzie, prawdopodobnie w tym samym miejscu, w którym znaleziono zwłoki. Będziemy na bieżąco informowali o rozwoju sprawy.

73

Truposz

Popijam zwietrzałą kawę i z pokoju na piętrze obserwuję parking przed motelem. To nie paranoja. Po prostu zmęczyło mnie wielogodzinne wgapienie się w ekran komputera.

Do dystrybutorów paliwa podjeżdża wielka ciężarówka. Krępy facet w jasnobrązowym skórzanym płaszczu wysiada z szoferki i idzie do budynku stacji. Jest bodaj ósmym z kolei, który wykonuje dokładnie te same czynności. Tak jakby przysyłali ich wszystkich z castingu na kierowcę ciężarówki.

Osiemnaście godzin temu telewizja podała informację o mojej śmierci. Uzupełniono ją moim nazwiskiem i nagraniem, które rozesłałem do stacji. Ostatnie dwanaście godzin spędziłem zabunkrowany w motelu trzysta kilometrów od Heleny, próbując rozgryźć schemat Clarka. Co pewien czas nerwowo przeglądam internet, żeby się przekonać, czy policja już wpadła na mój trop.

W tle cicho gra telewizor. Z niecierpliwością oczekuję kolejnych newsów. Trzy razy trafiłem w wieczornych serwisach informacyjnych na fragmenty mojego wyznania, okraszone ujęciami sfilmowanego z daleka miejsca mojej sfingowanej śmierci. Policja nie zorganizowała jeszcze konferencji prasowej, jedynie poinformowała, że śledztwo trwa.

Staram się nie myśleć o tym, jak doniesienia mediów odebrali Jillian i Gus, nie mówiąc już o moich rodzicach. Kilka razy byłem o krok od zadzwonienia do nich i zapewnienia, że nic mi nie jest.

Ale nie mogę tego zrobić. Jeszcze nie teraz.

Najpierw muszę odnaleźć mordercę.

Wiem, że nie zaatakuje Jillian ani Gusa zbyt szybko po mojej śmierci, ponieważ zwróciłoby to uwagę policji, która zorientowałaby się, że grasuje inny morderca. Clark jest bystry i cierpliwy. Poczeka, aż opadnie pył – a potem przyjdzie po nich i zamknie rozdział.

Rozpraszało mnie nieustanne sprawdzanie doniesień, dlatego

napisałem prosty skrypt, który przeszukuje sieć pod kątem mojego nazwiska i wysłała mi powiadomienie, ilekroć pojawi się ono w jakiegokolwiek wydawanej w Montanie gazecie.

Mam też skaner częstotliwości policyjnych, który pozwala mi monitorować aktywność tutejszych stróżów prawa, oczywiście tych niekorzystających z zaszyfrowanych kanałów. Przynajmniej będę miał niewielkie fory, kiedy już przejrzą mój podstęp i zaczną się do mnie zbliżać.

Zaparkowałem vana za budynkiem, blisko schodów pożarowych. Mogę się do niego dostać wyjściem od przodu albo przez okno z tyłu, które otworzyłem i unieruchomiłem za pomocą liny przywiązanej do sedesu. Wiem, że to pewnie przesada, ale przecież policjanci nie są jedynymi ludźmi, których wizyty mam prawo się obawiać.

Clark to wytrawny myśliwy. Nie wątpię w jego groźby wysuwane pod adresem Jillian i Gusa, tak jak jestem pewien, że spróbuje mnie dopaść, jeśli tylko się dowie, że jednak żyję.

Dlatego też tak ważne jest odnalezienie go teraz, póki pozostaje martwy.

Niestety, wszystkie moje wysiłki spełzają na niczym.

Joshua Lee Clark zniknął w latach osiemdziesiątych, krótko po tym, jak ustały doniesienia o Potworze z Cougar Creek. O ile mi wiadomo, kolejny raz bestia podniosła łeb sześć lat temu pod Red Hook – tam bowiem znalazłem jego najstarszą, to jest zabitą najwcześniej ofiarę w tych stronach.

Podaję, że przedtem był aktywny w różnych częściach stanu, ale też nie zdziwiłbym się, gdyby się okazało, że wyjechał stąd na dziesięć albo dwadzieścia lat.

Dzięki wykorzystywanemu w antropologii oprogramowaniu służącemu do rekonstruowania twarzy na podstawie struktury kostnej stworzyłem portret dorosłego Clarka, a następnie porównałem go ze zdjęciami zamieszczonymi w dostępnych w sieci policyjnych kartotekach. Potem przejrzałem tysiące wskazań, które algorytm uznał za spełniające kryterium podobieństwa, i odrzuciłem osoby o łatwych do prześledzenia związkach rodzinnych.

Otrzymałem zbiór niespełna dwustu osób. Zapoznałem się

z kryminalną historią każdej z nich i postanowiłem zdać się na instynkt.

Wyszedł mi tuzin potencjalnych znaków zapytania, aczkolwiek do żadnego nie byłem przekonany. Wiem, że to mało naukowa podstawa do dalszego działania, ale podejrzewam, że Clark jest zbyt inteligentny i ostrożny, by dać się przyłapać na czymś tak względnie prostym jak napad na sklep albo handel metą z samochodu. Niemniej, mając na uwadze jego brutalne skłonności, uznałem za całkiem prawdopodobne, że w pewnym momencie mógł stracić panowanie nad sobą i zostać aresztowany – dlatego sprawdzałem dalej.

Kiedy te metody nie dały oczekiwanego rezultatu, spróbowałem przestawić się na nieszablonowy tor myślenia. Od dwóch godzin siedzę zahipnotyzowany przez fioletową wstęgę aktywności Clarka, którą wyrysował mi MAAT.

Przyjeżdżające na stację i odjeżdżające z niej ciężarówki poddają mi pomysł. Postanawiam znaleźć trasę zbliżoną do szlaku zbrodni. Nic nie pasuje.

Problem polega również na tym, że ze wskazania MAAT-a jasno wynika, iż granicę rewiru łowieckiego Clarka wyznacza dostępność ofiar. Sugeruje to, że morderca modyfikuje swój szlak na podstawie tej dostępności, co byłoby jednak trudne, gdyby musiał przemieszczać się zadaną trasą. Wykres pokazywałby skupiska ofiar wokół określonych dat, a tak nie jest.

Wraz z każdą ślepą uliczką, do której trafiam, rośnie mój strach. Rozbijam się o mur dostępu do danych. Wykupiłem prawo wglądu do dziesiątków baz, ale to za mało. Gdybym dysponował uprawnieniami, jakie ma FBI, być może bardziej by mi się poszczęściło.

A może wcale nie. Całkiem możliwe, że podchodzę do sprawy od złej strony.

Złapałem kilka ciekawych tropów, które wzbudziły we mnie nadzieję, ale niestety się urwały.

Poszedłem do łazienki na stacji benzynowej i dopiero tam uświadomiłem sobie, że w różnych miejscach rozsianych po całym stanie widziałem automaty sprzedające prezerwatywy i drugie, w których można kupić miętówki.

Pobiegłem z powrotem do pokoju i zacząłem szukać związku, wiedziony myślą, że może osobą, która uzupełnia zawartość tych maszyn, jest Clark, ale znów do niczego mnie to nie doprowadziło. Według obliczeń MAAT-a Clark równie dobrze może być kimś, kto znacznie oddala się od domu, by dopiero tam zabijać.

To musi być coś oczywistego. Jestem tego pewien. Po prostu nie potrafię odnaleźć związku. Nie wiem, może wprowadzę nowe założenia i przekonam się, czy MAAT wyskoczy z czymś, co mnie oświeci.

Clark w jakiś sposób poznaje swoje ofiary. Widuje je, orientuje się w ich przyzwyczajeniach. Ma możliwość obserwowania ich. Czeka na dogodny moment.

Wprowadzam te parametry do MAAT-a, przekładam je na kod. Znajomość z ofiarami oznacza, że przed napaścią Clark musiał się widzieć z większością z nich przynajmniej raz. Wiedza o przyzwyczajeniach świadczy o tym, że do pewnego stopnia poznał ich otoczenie – posiada informacje o miejscach pracy i wzorcach zachowań społecznych tych osób. Podatność na atak oznacza, że mógł czekać, aż znajdzie się z nimi sam na sam w sytuacji podyktowanej wykonywanym przez niego zawodem – może być na przykład taksówkarzem albo listonoszem.

Sformułowanie wysoce prawdopodobnej sugestii zajmuje MAAT-owi zaledwie ułamek sekundy. Przechodzi mnie dreszcz. Jeśli wziąć pod uwagę te kryteria, najodpowiedniejszym zawodem dla Clarka byłby policjant drogówki.

Otrzeźwiony

To świetna teoria, wiele by wyjaśniała. Szkoda, że sprawdza się jedynie w ograniczonej rzeczywistości, którą zaprogramowałem MAAT-owi. Clark powinien mieć około sześćdziesiątki. W patrolach drogówki w stanie Montana nie jeżdżą tak starzy policjanci.

Może ma wyższy stopień i pracuje w biurze? Wątpię. Sądzę, że nie chciałby, aby ktokolwiek grzebał w jego przeszłości. Nie wykluczam tego, ale zaliczam do kategorii „być może”.

Dostaję już świra. Postanawiam wybrać się na przejażdżkę. Opuszczenie motelu wiąże się z ryzykiem. Ale przecież to samo tyczy się polowania na seryjnego mordercę.

*

Coś mi podpowiada, że muszę wrócić tam, gdzie to wszystko się zaczęło. Zawracam i kieruję się w stronę hrabstwa Filmount, gdzie zamordowano Juniper.

To ostatnia pewna lokalizacja Clarka. Był tam tej nocy, kiedy zginęła Juniper.

Coś sprawiło, że tych dwoje spotkało się w jednym miejscu. Czy Clark ją obserwował? Czy raczej działał pod wpływem impulsu?

Jadę przez noc i zastanawiam się nad wzorcami, które stworzył MAAT po tym, jak wprowadziłem dane o znanych seryjnych mordercach. Wypłynął wtedy porażająco oczywisty fakt, który już wcześniej powinienem był wziąć pod uwagę.

MAAT wyodrębnił bowiem trzy wyraźne modele. Pierwszym z nich był morderca działający na bardzo dużym obszarze, w typie Teda Bundy’ego, którego szlak zabójstw wiódł przez cały kraj. Bundy nigdzie nie mógł zagrzać miejsca i często się przeprowadzał. Zdarzało się, że osiadał na dłużej, ale wtedy zwracał na siebie uwagę. Bywał

aresztowany, wymykał się jednak i nadal zabijał.

Takich jak Bundy nie cechuje przesadna ostrożność. Liczą, że zdążą się przenieść w nowe miejsce, zanim policja wpadnie na ich trop.

Clark jest inny. Na przestrzeni wielu lat często odwiedza te same miejsca. Mordercy, którzy trzymają się jednej lokalizacji, mogą to robić pod warunkiem, że są niewidzialni, że zajmują w społeczeństwie pozycję wykluczającą ich z kręgu podejrzanych i że większość ich ofiar stanowią ludzie przez to samo społeczeństwo ignorowani: prostytutki, uzależnieni od narkotyków, bezdomni.

Szczególnie „płodni” zabójcy, którzy działają w jednym miejscu, obierają za cel określoną grupę, na przykład prostytutki, bądź stosują wyrafinowane metody ukrywania swych zbrodni.

Jeffrey Dahmer mieszkał w ubogiej okolicy, a jego ofiarami byli przede wszystkim młodzi, nieutrzymujący kontaktów z rodzinami homoseksualiści.

Przez ponad dwie dekady Ponury Śpioch, którego prawdziwe nazwisko brzmiało Lonnie David Franklin Jr., seryjny morderca z Los Angeles, mordował głównie czarnoskóre prostytutki borykające się z uzależnieniem od narkotyków.

John Wayne Gacy nie pasował do szablonu, polował bowiem na ofiary wywodzące się z różnych socjoekonomicznych środowisk. Czasem byli to młodzi mężczyźni pracujący na budowach realizowanych przez jego firmę, a czasem geje, których podrywał, krążąc po mieście, zabierał do swojego domu i mordował.

Zarówno Ponury Śpioch, jak i John Wayne Gacy byli znanymi członkami swoich społeczności, co paradoksalnie wzmacniało efekt niewidzialności. Kiedy ludzie znikali albo byli uprowadzani – czasami całkiem dosłownie przed ich domami – oni sami pozostawali poza podejrzeniami.

Wspólnym mianownikiem w przypadku tych morderców jest to, że okazywali się nimi ludzie, z którymi policja miała w jakiś sposób do czynienia na wczesnym etapie ich zabójczej działalności. Bundy’ego kilka razy zatrzymywano. Nastoletnią laotańską ofiarę Dahmera stróżę prawa odwieźli do domu jej przyszłego mordercy, ponieważ obawiali się interweniować w przypadku, jak sądzili, zwyczajnej

kłótni homoseksualnych kochanków. Rodzice jednej z ofiar Gacy'ego wykonali ponad sto telefonów na policję, błagając o sprawdzenie go po tym, jak zniknął ich utrzymujący bliskie kontakty z Gacym syn; policja nie zareagowała. Dwadzieścia trzy lata później chłopak odnalazł się jako jedna z dwudziestu siedmiu ofiar mordercy zakopanych pod jego domem.

Jest więcej niż bardzo prawdopodobne, że Clark rozmawiał z władzami, czy to jako świadek, czy jako osoba wykluczona z grona podejrzanych.

Biorąc pod uwagę, że nikt tu nawet nie traktuje poważnie twierdzenia, jakoby w Montanie działał seryjny morderca, jest całkiem możliwe, że rodzice niektórych spośród zaginionych dziewcząt wskazywali Clarka, ale zostali zignorowani.

Coś mi umyka...

Coś ważnego.

Muszę się cofnąć do początku.

Kiedy policja jeszcze myślała, że Juniper zamordował człowiek – zanim zaczął się ten cały cyrk z niedźwiedziem – podejrzewała dwie osoby: mnie i mechanika Brysona.

Obu nas szybko uwolniono od zarzutów. Wiem, dlaczego zrobili to w mojej sprawie, ale co z Brysonem?

Czy miał niepodważalne alibi? A może nie potraktowali jego przypadku z należytą starannością?

Bryson wydał mi się całkiem sprawny fizycznie. Pamiętam, że miał pod sześćdziesiątkę, czyli byłby mniej więcej w wieku Clarka.

Za dużo tego. Na najbliższym zjeździe opuszczam autostradę i zatrzymuję się na parkingu przy zamkniętej stacji benzynowej piętnaście kilometrów od granicy hrabstwa Filmount.

Zaglądam do ewidencji budynków i przepatruję wpisy dotyczące warsztatu Brysona. Potem wyszukuję informacje o nim samym. Pełne nazwisko: Philip Joseph Bryson. Właściciel warsztatu od dwudziestu lat. Druga żona. Matka mieszka w Missouli. Bryson ma dwie siostry.

Cholera. Już samo to.

Nie może być Clarkiem.

To nie znaczy, że nie jest mordercą, ale wtedy musiałbym wyrzucić

do kosza wszystko, co doprowadziło mnie do Julie Lane i do samochodów.

Samochody.

Te przeklęte auta...

Wóz Juniper znajdował się w warsztacie Brysona, gdzie był naprawiany. To dlatego wybrała się na pieszą wyprawę do lasu.

Jezus Maria.

Mordercą Juniper nie był ktoś, kto ujrzał ją w mieście albo spotkał idącą drogą.

On zobaczył jej samochód u Brysona.

Wiedział, że jest zdana na własne siły.

Rozmawiała z nim. Niewykluczone, że Bryson go zna.

Auta w lesie za domem Lane... Dlaczego nadal są tak ważne?

KURWA MAĆ!

Już rozumiem wzorzec!

Wiem, czym jest Clark. On znajduje się wszędzie. Jest niewidzialny. Może robić, co chce, na oczach wszystkich, a nikt nawet nie pomyśli, że to on zabija.

Jezu, muszę ostrzec Jillian i Gusa.

75 Stalker

W domu Jillian świecą się wszystkie światła, ale jej telefon milczy. Próbowałem też zadzwonić do Gusa, ale od razu włącza się poczta głosowa. Wmawiam sobie, że nie odbierają, ponieważ nie znają numeru mojego nowego, jednorazowego telefonu. Modlę się, żeby to był prawdziwy powód.

Chciałem zadzwonić na policję, ale rozmyśliłem się, uznawszy, że co najwyżej wyślą radiowóz, który przetoczy się przed budynkiem i odjedzie. Jeżeli Clark obserwuje dom, uzna to za podejrzenie.

W najlepszym wypadku policja pokręci się przez kilka godzin, bacząc na dom, ale jeśli Clark zechce dopaść Jillian, to i tak ją dopadnie. Nie ma mowy, żeby z komisariatu w Hudson Creek skierowano tu większą liczbę funkcjonariuszy, nie dysponując bardziej wiarygodnymi dowodami. Zresztą nawet jeśli, to i tak nie wiem, ile wiary mogę pokładać w Whitmyerze.

Boję się, że znają Joshuę Lee Clarka osobiście i bez dowodów na poparcie mojej teorii o tym, kim naprawdę jest, zwyczajnie mnie wyśmieją. Aby mieć pewność, że nie zostanę zlekceważony, muszę wykrzyczeć jego imię głośno i wyraźnie, tak by wszyscy usłyszeli. Najpierw jednak moją powinnością jest zapewnienie Jillian i Gusowi bezpieczeństwa. A to ryzykowne przedsięwzięcie.

Zostawiam auto przecznicę od jej domu. Jillian mieszka w trzypokojowym budynku, naprzeciwko którego znajduje się porośnięta drzewami działka. Tego się boję. Człowiek pokroju Clarka mógłby ukryć się tam jak strzelec wyborowy i nigdy nie zostać odkryty.

W okolicy panuje spokój. Auto Jillian stoi na podjeździe. Żaden z sąsiadów nie parkuje na ulicy.

Las wywołuje we mnie nerwowość. Boję się, że morderca może się tam czaić i obserwować. Dlatego postanawiam pójść okreśną drogą i zbliżyć się do domu Jillian od tyłu, przechodząc przez sąsiednią

posesję i ogród.

Tutaj też cisza i spokój. Gdzieś w oddali szczeka pies, ale nikt się tym nie przejmuje.

Dom jest zalany światłem. Kucam za krzakiem rosnącym obok stosu drewna i przyglądam się przez chwilę, czekając, aż ujrzę sylwetkę Jillian. Lampa na werandzie jest włączona, to samo żyrandole w kuchni i jadalni.

Mija pięć minut. Żadnego ruchu. Postanawiam jeszcze raz zadzwonić.

Pięć dzwonek, potem odzywa się poczta.

Cholera.

Już mam ponownie wybrać numer Jillian, kiedy nagle dostaję powiadomienie wygenerowane przez jeden z moich skryptów.

PILNE! PODEJRZENIA WOKÓŁ DOMNIEMANEGO SAMOBÓJSTWA

O nie. Nie tak szybko! Przeglądam artykuł. Niewymieniona z nazwiska osoba z policji w Helenie twierdzi, że moja tożsamość nie może zostać potwierdzona z powodu „rozbieżności” stwierdzonych przez lekarza sądowego.

Kurwa.

On już wie.

Ponownie dzwonię do Jillian. Tym razem wyciszam dźwięk w słuchawce i nasłuchuję. Melodia dzwonka. Dobiega z wnętrza domu.

Dlaczego nie odbiera?

Nie mogę dłużej czekać.

Biegnę na werandę, uruchamiając przy tym lampę z czujnikiem ruchu.

Dopadam przesuwanych drzwi, przyklejam twarz do szyby i zaglądam do środka. Pusto. Mój wzrok niestety nie dociera do sypialni.

Próbuję otworzyć drzwi, lecz nie ustępują. Chcę zastukać w szybę, ale boję się, że dźwięk zdradzi Clarkowi moją lokalizację.

Przeskakuję przez balustradę werandy i skradam się wzdłuż

bocznej ściany budynku. Rolety są opuszczone, ale widzę sączące się zza nich światło.

Podchodzę do okna sypialni i przykładam ucho.

Wydaje mi się, że słyszę czyjś głos.

Unoszę rękę, żeby delikatnie zapukać w szybę, ale zamieram, kiedy nagle między drzewami po prawej stronie strzela gałązka.

Ktoś tu jest.

Przyklejam się plecami do ściany i przepatruję cienie, szukając źródła dźwięku. Widzę tylko ciemność.

Zobaczy mnie, jeśli się ruszę. Jeżeli czai się z karabinem, zdejmie mnie i nawet nie będę wiedział, co mnie trafiło.

Kucam, wydaję telefon z kieszeni i zasłaniam go kurtką. Blask ekranu sprawia, że mój wzrok traci zdolność rozróżniania kształtów w ciemności.

Kolejny raz próbuję się skontaktować z Jillian.

Jej aparat dzwoni kilka metrów ode mnie.

Jillian odbiera po trzecim dzwonku.

– Halo?

– Jillian! To ja!

– Theo!

Słyszę jej głos przez szybę.

– Posłuchaj uważnie. Grozi ci niebezpieczeństwo.

Ruch za moimi plecami. Nadal oślepiiony blaskiem wyświetlacza widzę jedynie odległą ogrodową latarnkę.

– Nie ruszaj się – odzywa się głos w mroku.

Sięgam za plecy, żeby dobyć broni, ale mężczyzna w masce rusza w moją stronę i oddaje strzał.

Moja pierś eksploduje bólem. Przewracam się.

76

Ochrona

Jaskrawe światło świeci mi w oczy. Ktoś do mnie mówi.

– Theo, dobrze się pan czuje?

Powoli odzyskuję ostrość widzenia. Sanitariusz odchyła mi powieki i sprawdza, czy moje źrenice się rozszerzają.

Próbuję poruszyć rękami, ale nie mogę. Przechodzi mi przez głowę myśl, że zostałem sparaliżowany; po chwili dociera do mnie, że nie – po prostu ręce mam wygięte do tyłu i skute kajdankami.

– Co się stało?

– A co pan pamięta? – pyta sanitariusz.

– Sprawdziłem... czy wszystko w porządku u Jillian. Jillian! Gdzie ona jest?

– W domu.

– Muszę z nią porozmawiać.

Sanitariusz robi krok do tyłu i ściąga rękawiczki.

– Decyzja należy do tych panów.

Nieco z boku stoją detektywi Glenn i Whitmyer. Jest z nimi trzeci mężczyzna, którego nie rozpoznaję.

Już wiem, po co tu przyjechałem. Migające światła karetki odbijają się od drzew. Ścisza mnie w żołądku. Dopada mnie świadomość, że zostałem zdemaskowany. Chcę na nich wrzasnąć, ostrzec, ale boję się, że wtedy wyjdę w ich oczach na jeszcze większego szaleńca.

Moja koszula jest rozdarta na piersi. W miejscu, w którym przeszył mnie porażający ból, mam przyklejony plaster z opatrunkiem. Ktoś – pewnie jeden ze stojących na ulicy ubranych w maskujące stroje policjantów – potraktował mnie paralizatorem. Chyba powinienem się cieszyć, że to nie był prawdziwy pistolet; co z tego, skoro cały jestem obolały.

Widocznie czekali na mnie. To oznacza, że od początku nie kupili mojej upozorowanej śmierci albo że szybko się zorientowali w oszustwie.

Nieznany mi mężczyzna w schludnej czarnej wiatrówce siada obok mnie na tarasie na tyłach domu. Gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że jest agentem federalnym.

– Doktorze Cray, czy czuje się pan na siłach porozmawiać?

– Czy Jillian nic nie grozi?

– Nie. Znajduje się w środku.

– A Gus?

– Też. Czy może pan powiedzieć, co tu robi? A przy okazji wyjaśnić, dlaczego spotykamy pana żywego?

Nie mogę oderwać wzroku od lasu.

– Z powodu mordercy. Powiedział, że skrzywdzi ich, jeśli się z wami skontaktuję.

– Tak? Kiedy to panu powiedział?

– Dwa dni temu.

– Osobiście? A może listownie?

Odwracam głowę i obrzucam go spojrzeniem.

– Dlaczego pan mnie traktuje jak głupka?

– Naprawdę to robię? Po prostu staram się ustalić okoliczności. Porozmawiajmy o pańskim przyznaniu się do winy.

– Kim pan jest?

– Agent Seward. FBI. Zainteresowałem się pańską osobą po tym, jak zaczął pan odnajdywać te ciała. Te, które jak pan teraz twierdzi, sam podrzucił.

– To było kłamstwo.

– Naprawdę? Bardzo przekonujące.

Wreszcie odzyskuję jasność umysłu.

– Agencje Seward, proszę mnie uważnie posłuchać. – Mówię to na tyle głośno, żeby dotarło do Whitmyera i Glenna. – Mężczyzna, który zabił te kobiety. Który zabił Juniper Parsons. Wiem, kim on jest.

– Joshua Lee Clark – dopowiada Seward.

– Owszem, ale już się tak nie nazywa. Wyjechał z Montany i wrócił z nową tożsamością.

– W porządku. Jak więc brzmi teraz jego nazwisko?

– Nie wiem.

Seward uśmiecha się zadowolony z siebie i zwraca się do

pozostałych:

– Niezbyt to pomocne.

– Oni wiedzą, o kogo chodzi – mówię. – Prawdopodobnie rozmawiali z nim dziesiątki razy.

– Panowie? – odzywa się agent z sarkazmem w głosie. – Macie mi coś do powiedzenia?

Whitmyer przewraca oczami i kręci głową, ale Glenn pozostaje skupiony.

– Kim on jest? – pyta mnie.

Ignoruję Sewarda i zwracam się bezpośrednio do Glenna:

– Wiedział, że Juniper jest bezradna z powodu zepsutego auta. Mijał Chelsea i pozostałe. Wiedział, kiedy ktoś nie był z tych stron i nie miał z nimi żadnych powiązań.

– Niby skąd? – pyta Seward, próbując odzyskać kontrolę nad rozmową.

– Ponieważ jest kierowcą jebanej pomocy drogowej – odpowiadam mu z niezachwianą pewnością. – Jest pierwszą osobą, do której dzwonicz, kiedy złapiesz gumę albo skończy ci się paliwo w szczerym polu. Opowiadasz mu historię swojego życia, kiedy odwozi cię do warsztatu. – Przenoszę spojrzenie na Whitmyera. – Udało wam się znaleźć samochód Chelsea?

– Nie...

– Nie. Ale mamy ciało. Ktoś musiał odholować jej wóz.

Seward wstaje i podchodzi do Whitmyera i Glenna, żeby się naradzić. Widać, że zaskoczyło go to, co ode mnie usłyszał. Sądząc po jego lekceważącym tonie, powiedziałbym, że o ile nie uwierzył w moją śmierć, to w przyznanie się do winy już tak. Nie spodziewał się, że wskażę kogoś konkretnego.

Glenn kiwa głową. Whitmyer swoją kręci. Mają nazwisko. Wiedzą, o kim mówię. Po prostu nie chcą przyjąć tego do wiadomości.

– Kim on jest? – pytam głośno. – Jak on się nazywa?

Seward odwraca głowę i piorunuje mnie wzrokiem.

– Proszę zaczekać.

– Mam czekać? Mojej rodzinie grozi niebezpieczeństwo. Nikt nie jest bezpieczny! – Zaczynam odchodzić od zmysłów. – Dajcie mi

porozmawiać z Jillian. Jillian!

Słyszę kroki za plecami. Odwracam się i widzę ją stojącą w drzwiach.

– Theo! – Na widok kajdanek zasłania usta dłonią.

– Proszę wrócić do środka! – krzyczy Seward.

– Co tu się dzieje? – pyta Jillian.

– On przyjdzie po ciebie, po mnie, po Gusa i wszystkich! – wrzeszczę.

– Kto?

– Facet z pomocy drogowej.

– Joe Vik? – bąka Jillian, po czym spogląda na policjantów i agenta. – Czy to prawda?

– Na razie nic nie wiemy – odpowiada Whitmyer. – Poślemy kogoś, żeby porozmawiał z Joem.

– Jesteście po imieniu? – pytam z niedowierzaniem.

– Niech pan się zamknie, doktorze Cray – odwarkuje Whitmyer. – Albo dostanie pan kolejną porcję prądu.

– Niczego pan nie rozumie.

Whitmyer odpycha Sewarda, podchodzi i kuca przede mną. Celuje we mnie palcem.

– Mam serdecznie dość twoich głodnych kawałków, Cray. Trzymaj gębę na kłódkę!

– Nie wiesz, z kim zadzierasz – mówię pod nosem.

– Ach, tak? I co z tym zrobisz?

– Nie ja, durniu. On! Joe Vik. To on jest mordercą!

– Znam go od dwudziestu lat. A ty co... przyjechałeś tu ile... dwa tygodnie temu? Wiem doskonale, z czym mam do czynienia.

Glenn próbuje interweniować i uspokoić nastroje.

– Doktorze Cray, przesłuchamy Vika. Przekonamy się, czy to, co nam powie, będzie miało ręce i nogi. Sytuacja jest pod kontrolą.

Kręcę głową.

– Nic pan nie rozumie. Nie ma pan pojęcia, do czego on jest zdolny. Przejrzałem jego wzorzec. To nie człowiek, tylko potwór, który potrafi doskonale udawać jednego z nas, ale tak naprawdę pragnie jedynie zabijać. Ciała, które odnalazłem, to zaledwie ułamek całości.

To dopiero początek.

Słysząc trzeszczenie policyjnego radia. Zastygamy w napięciu. Odzywa się głos dyspozytora:

– Ranny funkcjonariusz! Potrzebne wsparcie na Valley Pine numer dwieście trzydzieści dziewięć. Powtarzam: ranny funkcjonariusz.

Whitmyer spogląda na stojącego najbliżej policjanta z Hudson Creek i bąka zdumiony:

– To u Joego. – Biegnie do radiowozu, dając znak pozostałym. – Jedziemy!

– Potrzebujecie pomocy? – pyta Seward.

Whitmyer wskazuje na mnie i mówi:

– Pilnujcie tego dupka!

– Przekłety kretyn – odpowiadam. – Nic nie rozumie. Wy też nie. Joe Vik czekał na ten dzień. Przez lata zabijał w tajemnicy. Krył się. Teraz już nie musi. Wreszcie może pokazać, kim naprawdę jest.

– Co to znaczy? – pyta Glenn.

– Jedyne, na czym mu zależy, to zabijanie.

– Sądzę, że nasi chłopcy sobie z nim poradzą – kwituje Seward.

– Ile czasu minęło? Dziesięć minut? A już wam załatwił jednego, może dwóch ludzi. Vik na nich czekał. Zabije Whitmyera i pozostałych. A potem zjawi się tutaj.

Otoczenie

Seward chodzi tam i z powrotem po podwórzu za domem Jillian. Zwarte w pięści dłonie oparł na biodrach i wsłuchuje się w meldunki, które wybrzmiewają przez radio jedyne go pozostałego na miejscu policjanta z Hudson Creek.

Radio ożywa sporadycznie. Radiowóz Whitmyera podjechał pod dom Joego Vika. Policjanci zastali jednego funkcjonariusza leżącego na podjeździe, a drugiego schowanego za samochodem i krwawiącego z rany na szyi.

Meldunek Whitmyera ograniczył się do poinformowania, że jego ludzie zbliżyli się do budynku i zajęli pozycje wokół posesji.

Glenn rozmawia z policją hrabstwa Filmount, składa sprawozdanie z dotychczasowych wydarzeń. Co najmniej trzy razy wymienił nazwisko Joego Vika. Chyba nie zna go tak dobrze jak Whitmyer, ale wydaje się, że go kojarzy.

Otwierają się drzwi. Jillian wychodzi na taras i siada obok mnie.

– Bardzo proszę, żeby wróciła pani do środka – mówi Seward.

– To mój teren prywatny. Zasadniczo mogłabym kazać wam go opuścić.

– Utrudnianie aresztowania to przestępstwo.

Jillian wskazuje kajdanki.

– Niby w czym miałabym przeszkadzać? Przecież już go aresztowaliście.

Seward odwraca się do radia.

– Otoczyliśmy dom. Wezwę Joego do poddania się – mówi Whitmyer.

– Każcie mu poczekać i wezwijcie jednostkę SWAT! – krzyczę.

– A może pozwolimy Whitmyerowi robić, co do niego należy? – komentuje z przekąsem Seward.

Glenn przerywa rozmowę przez telefon.

– Może jednak Whitmyer powinien się wstrzymać? – mówi.

– Znają się z Joem – wtrąca zastępca szeryfa z Hudson Creek. – Kto wie, może Whitmyerowi uda się przemówić mu do rozumu.

– Co się dzieje? – pyta mnie szeptem Jillian.

– Joe Vik zaatakował policjantów. Załatwił co najmniej dwóch.

– Joe Vik... No proszę.

– Kim on jest?

– Ma firmę. Autoholowanie, handel częściami i inne tego typu. Sponsoruje tutejszą Małą Ligę.

– No tak, ale kim jest?

– Wszyscy go znają, ale chyba nikt zbyt dobrze. Ma żonę i dwie córki, zdaje się, że z pierwszego małżeństwa.

Cholera.

– Niech ktoś zadzwoni do jego żony i dzieci! Tylko niech to będzie ktoś znajomy! – krzyczę do zastępcy szeryfa. Zbыва mnie machnięciem ręki. Seward gromi mnie spojrzeniem.

– Chyba nie sądzisz, że je skrzywdzi? – pyta z niedowierzaniem Jillian.

– Pewnie już nie żyją. Były dla niego tylko przykrywką. Już nie są mu potrzebne...

Rozumiem zwierzęta, ale ludzie wciąż mi się wymykają.

– Wchodzimy! – oznajmia Whitmyer, a w następnej sekundzie jego głos tonie w huku strzelaniny.

– Czy to był TAR-21? – rzuca zdumiony zastępca szeryfa. – Muszę tam jechać.

Biegnie do radiowozu, włącza koguta i odjeżdża.

– Dasz radę przełączyć się na ich kanał?! – krzyczy Seward do sanitariusza.

– Spróbuję – odpowiada mężczyzna i zaczyna manipulować przy radiu w karetce.

– Jezu – bąka Seward i zwraca się do Glenna: – Jak daleko są pańscy ludzie?

– Będą za dwadzieścia minut. – Pokazuje na mnie. – Proponuję, żebyśmy wszyscy weszli do środka i dowiedzieli się, z czym mamy do czynienia. – Bierze mnie pod rękę, pomaga wstać i prowadzi przez drzwi.

- Nie możecie zdjąć mu kajdanek? – pyta Jillian, idąc za nami.
- Theo Cray jest podejrzany o popełnienie przestępstwa – odpowiada Seward, zamykając drzwi. – Kajdanki zostają.
- Wobec tego przynajmniej przełożmy je na przód – proponuje Glenn. Wyjmuje kluczyk i otwiera jedną bransoletkę, żebym mógł zmienić pozycję rąk. – Proszę usiąść.

Siadam na kanapie Jillian i dopiero teraz uświadamiam sobie, jak bardzo bolą mnie ręce. Jillian siada obok mnie. Seward posyła jej wymowne spojrzenie, ale ona go ignoruje.

- Jak wygląda Joe Vik? – pytam.
- Rosły typ – mówi Glenn. – Myślę, że może mieć nawet dwa metry wzrostu. Zbudowany jak sztangista. Rude włosy i broda. Spokojny. Trudno mi go sobie wyobrazić jako mordercę, który skrada się do ofiar.

- Kiedy był młodszy, brano go za pumę. Teraz udaje niedźwiedzia.
- Udaje niedźwiedzia? – Seward kręci głową. – Nadal nie jestem przekonany, czy kupuję tę teorię.
- Czyli uważa pan, że policjantów zabił grizzly z karabinem maszynowym?

– Dlaczego myśli pan, że Joe przyjdzie pana zabić? – hamuje mnie Glenn. – Chodzi o zemstę?

– Nie. Nie sądzę, aby postrzegał te sprawy w tych samych kategoriach co my. Powiedział, że zabije Jillian i Gusa, jeśli nie zrobię tego, co mi każe. Moim zdaniem przykładem dużą wagę do tego rodzaju gróźb. Może ją spełnić dziś albo za dziesięć lat. Jeśli chodzi o mnie, to pragnie mojej śmierci z bardzo praktycznego powodu: nie chce, żebym ponownie go odnalazł, kiedy ucieknie.

– Bo jest pan jedynym, który może to zrobić – komentuje drwiąco Seward.

Piorunuję palanta wzrokiem.

– Jestem jedynym, który w ogóle zdał sobie sprawę z jego istnienia. Gdzie się przez ten czas podziewało FBI? No, gdzie byliście? Żeby udowodnić, że mam rację, musiałem dosłownie podtykać wam zwłoki pod nos. A nawet wtedy...

– Zwłoki, przy których pan grzebał, jak sam pan przyznał – wtrąca

Seward.

– Na litość boską! Pan ciągle o tym? Proszę się rozejrzeć. Wymyśliłem to wszystko, żeby on nie dorwał Jillian. Nie miałem wyboru.

– Mógł się pan z nami skontaktować.

Wydaję głośny jęk.

– I co byście zrobili? Myślicie, że Whitmyer bawi się w chowanego przez radio? Nie, ten człowiek już nie żyje. Próbowałem go ostrzec, ale nie chciał słuchać.

– W porządku – ucina Glenn. – Co teraz?

– Podejrzewam, że kiedy przedrze się przez policjantów, przyjedzie tutaj.

– Nie kiedy, a jeśli – zaznacza Seward.

– Myślę, że zdążył opuścić dom. Zastrzelił Whitmyera, żeby wszystkich tam ściągnąć. – Wskazuję w kierunku ulicy. – Policjanci z Hudson Creek już odjechali.

– I sądzi pan, że przybędzie tutaj – mówi Glenn.

– Skieruje się tam, gdzie według niego przebywam. Czyli albo tu, albo na komisariat w Hudson Creek.

Seward kręci głową.

– Przecież nie zaatakuję posterunku policji.

– Ilu, pana zdaniem, funkcjonariuszy znajduje się w tej chwili w budynku komisariatu? Jeden? Dwóch?

Do pokoju wchodzi sanitariusz. Ma zboląłą minę.

– Jest meldunek. Około pięciu zabitych, w tym Whitmyer. Policja weszła do domu i znalazła kolejne trupy. Żona i dzieci Vika. Zabił je w pokojach, każde strzałem w głowę.

– Zrobił to, zanim przyjechała policja – mówię. Czuję, że żołądek podchodzi mi do gardła. To poczucie winy. – Myślę, że zastrzelił rodzinę, jak tylko się zorientował, że mogłem upozorować samobójstwo.

– A co z samym Vikiem? – pyta Seward sanitariusza.

– Zniknął. Nie wiadomo jak. Powiedzieli tylko tyle, że nie było go w domu.

– No dobrze – mówi Glenn. – Bierzemy mój wóz i jedziemy do

mojego biura. Karetka też.

– To pięć razy dalej niż komisariat w Hudson Creek – oponuje Seward.

– Śmiało, może pan poczekać na Vika. Ja wolę się przenieść tam, gdzie mam szansę się obronić.

Seward cmoka z niesmakiem.

– Przecież to tylko jeden człowiek.

78 Kryjówka

Pędzimy autostradą w kierunku hrabstwa Filmount. Przed nami gna na sygnale karetka. Auto prowadzi Glenn, obok niego siedzi Seward, ja i Jillian z tyłu. Jillian obejmuje dłońmi moje skute kajdankami nadgarstki.

Nadal nie do końca dociera do niej, co się dzieje.

– To znaczy, że on naprawdę chce cię dopaść? – mówi.

– Jeśli sądzi, że w ten sposób się mnie pozbędzie, to tak. Zabiłby mnie wcześniej, ale uznał, że spróbuje za jednym zamachem posprzątać po sobie i zyskać na czasie.

– Każąc ci, żebyś się zabił?

– Tak. Spodziewał się, jak sądzę, że jeśli nie spełnię jego żądania ani nie pójdę na policję, to na pewno pobiegnę do ciebie. Pewnie zaczął się w pobliżu twojego domu i czekał.

– Dlaczego po prostu nie uciekniesz? – rzuca Seward. – Ja bym tak zrobił.

– Mówiłem: boi się, że pomogę wam go złapać. Niestety, przecenia moje możliwości.

– I dlatego chce uderzyć w nas? Jakoś tego nie widzę...

– Zrobi to tak, że nawet się nie zorientujemy.

– Za dwie godziny będę tu miał więcej ludzi, niż widział w całym swoim życiu. To *on* nawet się nie zorientuje, kiedy będzie po wszystkim.

– Oby miał pan rację, ale nie sądzę, że pójdzie tak łatwo. Wystrzelał policjantów z Hudson Creek, ponieważ go zlekceważyli. Kiedy przyjdzie po mnie, zrobi to sposobem.

– Wydaje się panu, że go zna? – odzywa się Glenn.

– Znam tylko liczby i wykresy, które się do niego odnoszą. Ofiary, które znalazłem w lesie, nie są jedynymi na jego koncie. Jillian, mówiłaś, że Vik prowadzi różne interesy. Wiecie, kto rozprowadza metamfetaminę w waszych hrabstwach? Za iloma dilerami

wystawiliście listy gończe, a mimo to nie potraficie ich namierzyć?

– Twierdzi pan, że Vik zajmuje się też handlem narkotykami? – pyta Seward.

– Czy ktoś widział tę parę ćpunów, która pomogła mi odnaleźć ciało Chelsea Buchorn? Sądzicie, że uchowałiby się tak długo bez kolejnego zatargu z prawem?

– Zabił ich? – odzywa się Glenn.

– Sądzę, że tak. Moim zdaniem zabijanie to dla niego zarówno hobby, jak i zawód.

– Być może – mówi Seward. – Ale seryjni mordercy nie bawią się w Terminatora, tylko po prostu uciekają.

– Ile pan wie o ludziach takich jak Joe Vik? Z iloma tak płodnymi seryjnymi mordercami mieliśmy do czynienia?

– Jak bardzo płodnymi? – pyta Glenn.

– Nie dowiemy się, dopóki nie zaczniemy się cofać po jego śladach. Skromnie licząc? Trzysta.

– Trzysta ofiar? – Seward parska szyderczym śmiechem. – Ktoś tu zdrowo przesadził.

– Czyżby? Dziesięć albo więcej morderstw rocznie na przestrzeni trzydziestu lat. To prosty rachunek, proszę samemu policzyć. A potem proszę spojrzeć na liczbę osób zaginionych na terenie Montany i zadać sobie pytanie, dlaczego jest wyższa niż na Florydzie albo w Kalifornii. Nie chodzi wyłącznie o błędy w rejestrze zaginięć. Te dane wskazują na działalność bardzo aktywnego seryjnego mordercy.

– No dobrze, ale... trzysta? – zauważa Glenn.

– Gary Ridgway, Morderca znad Green River, zabił czterdzieści dwie kobiety w ciągu zaledwie dwóch lat. Złapano go dopiero dwie dekady później. Jego IQ wynosiło osiemdziesiąt dwa. Jak pan sądzi, czy Joe Vik jest osobą inteligentną?

– I to bardzo.

– Skoro zatem niezbyt rozgarnięty nekrofil, który lubił wracać do lasu, żeby uprawiać seks ze swoimi ofiarami, mógł pozbawić życia tak wiele kobiet w tak krótkim czasie i wymykać się organom ścigania przez dwadzieścia lat, to jak wam się wydaje, jaki wynik mógł uzyskać morderca pokroju Vika?

– Trzysta osób? – mówi Seward, wciąż starając się ogarnąć myślami tę liczbę.

– Lekko licząc.

– Nigdy nie było czegoś takiego.

– A przynajmniej nic o tym nie wiecie. Ridgway zostawił mnóstwo śladów DNA. Gacy zakopywał zwłoki pod własnym domem. Robert Hansen, mężczyzna, który uprowadzał prostytutki i polował na nie w lasach Alaski, powtarzał to ponad trzydzieści razy, zanim wpadł, dlatego że jednej z jego ofiar udało się zbiec. Liczby nie kłamią. Statystycznie rzecz biorąc, nie udaje wam się złapać większości dobrze zorganizowanych seryjnych morderców. A o istnieniu tych naprawdę biegłych w swoim, nazwijmy to, fachu, tych, którzy nie zostawiają śladów DNA, nie zabijają w promieniu dziesięciu kilometrów od miejsca zamieszkania, a także starannie dobierają swoje ofiary i metody ukrywania zwłok, nawet nie wiecie. Nie macie ich akt w Quantico, bo nigdy świadomie się z kimś takim nie zetknęliście.

– Za to pan zna wszystkie odpowiedzi – kwituje Seward.

Co za tuman.

– Nie, dysponuję wyłącznie liczbami. Ale opowieść, w którą się układają, jest przerażająca. Istnieje co najmniej trzydziestu aktywnych morderców w typie Vika.

– Złapmy najpierw tego jednego, a później będziemy się martwili o pozostałych – zauważa Glenn.

– Będzie pan miał co robić za kratkami – dodaje Seward.

– Nadal się upieracie przy aresztowaniu? – wtrąca Jillian. – Po tym wszystkim, co Theo zrobił?

– Proszę to powiedzieć rodzicom Christophera Dunleavy’ego po tym, jak zobaczą, co pani chłopak wyrządził zwłokom ich syna – mówi Seward.

– Kluczowym słowem są tu „zwłoki” – rzucam, ale przecież nie mogę udawać, że Seward nie ma racji. Spoglądam smutnym wzrokiem na Jillian. – Uznałem, że nie mam innego wyjścia.

Ściska moją dłoń.

– Wierzę ci.

– Z perspektywy czasu widzę, że to było jednak głupie. Powiniennem być spróbować zwabić go do siebie.

– Wyjdziemy z tego...

– Jasna cholera! – Krzyk Glenna nie pozwala Jillian dokończyć zdania. Detektyw usiłuje zjechać na pobocze.

Jadąca przed nami karetka nagle przewraca się na bok i sunie po asfalcie prosto na nas.

Uderza nas dachem. Zaczyna nami kręcić, przebijamy się przez barierkę i lecimy do rowu.

Kiedy wypadamy z drogi, widzę mijający nas z dużą prędkością potężny czarny wóz pomocy drogowej. Zapalają się jego światła stopu, po czym zaczyna zawracać z piskiem opon.

79
Kraksa

SUV sunie tyłem w dół trawiastej pochyłości i z impetem zatrzymuje się na linii drzew. Moja głowa uderza o zagłówek i odbija się od niego. Twarz pędzi na spotkanie z nadgarstkami w kajdankach. Rozbijam sobie nos. Przez chwilę widzę gwiazdy i czuję cierpki zapach krwi.

– Nic ci nie jest? – pyta Jillian. Odpina pas i podsuwa się do mnie.
– Chyba... nie.

Jillian wyciąga rękę i łapie Sewarda za ramię.

– Zdejmie mu pan wreszcie te cholerne kajdanki?

Seward nie reaguje.

Jego głowa zwiesza się bezwładnie na bok. Szyba w oknie po jego stronie jest rozbita.

Łapię go oburącz za szyję i szukam pulsu.

– Żyje.

Glenn rozmasowuje skronie.

– Cholera jasna! Wszyscy cali?

Jillian wyciąga do niego rękę; podsuwa mu ją niemal pod nos.

– Kluczyki do kajdanek. Natychmiast!

– Chwileczkę... – Jest roztrzęsiony po zderzeniu. – Wezwę pomoc.

Wyjmuje telefon i zaczyna wybierać numer. Rozdrażniona Jillian przechyla się przez siedzenie i zaczyna grzebać w kieszeniach Sewarda.

– Tylko ostrożnie. Może być ranny – ostrzega Glenn.

– Tak pan myśli? – kwituje Jillian.

Coś się poruszyło w snopach jaskrawego światła, które reflektory auta pomocy drogowej rzucają przez krawędź szosy tam, gdzie nasz samochód wyłamał barierkę.

Odruchowo łapie Jillian za kołnierz kurtki i szarpie do tyłu.

– Kryj się!

– O co chodzi? – pyta Glenn.

Ułamek sekundy później na przednią szybę SUV-a spada grad pocisków, rozbijając ją w drobny mak i zasypując nas deszczem odłamków.

Przyciskam Jillian do podłogi, osłaniam ją swoim ciałem.

Po chwili wali w nas kolejna seria. Za każdym razem, gdy pocisk trafia w maskę albo kratownicę wlotu powietrza, słychać metaliczne uderzenie.

– Dostał ktoś?! – krzyczy Glenn z przedniego siedzenia; pewnie tak jak my kuli się na podłodze.

– Ja nie – odpowiada szeptem Jillian.

– Ja też nie.

Mignięcie światła.

– Przemieszcza się.

– Nie wstawajcie – poucza nas Glenn. Słyszę, jak wysuwa magazynek z pistoletu, po czym wkłada go z powrotem. – Policzę do trzech i odpowiem ogniem.

– Już go tam nie ma – mówię.

– Co?

– Będzie próbował wykonać jakiś manewr. Pewnie zajdzie nas od pańskiego boku.

– Dlaczego pan tak myśli?

– Bo wie, że jest pan uzbrojony i musi pana wyeliminować w pierwszej kolejności.

– Jest pan...

PAM! PAM! PAM! PAM! PAM! PAM!

Kule śmigają tuż nad naszymi głowami, racząc nas kolejną porcją strzaskanego szkła.

– KURWA MAĆ! – wrzeszczy Glenn.

– Dostał pan?

– Drasnął mnie. Pocisk przeszedł przez drzwi. Uwaga, będę strzelał. Wsiądźcie z drugiej strony i schowajcie się za autem!

– Moment – mówi Jillian. Widzę, że ma klucze Sewarda. Nerwowo szuka tego otwierającego kajdanki. Znalazła. Rozpina bransoletki. – Już.

Glenn pociąga za spust; kabinę wypełnia ogłuszający huk.

Po omacku znajduję klamkę, otwieram drzwi i wymykam się pochyłony. Jillian idzie w moje ślady.

– Wyszliście?! – krzyczy Glenn.

– Tak.

– Leży w trawie. Wydaje mi się, że go trafiłem.

– Albo po prostu składa się do strzału – zauważa Jillian.

– Być może. Puszczę jeszcze jedną serię. Kiedy zacznę, biegnijcie do lasu.

Nie podoba mi się ten pomysł. Las to domena Vika. Ale nic lepszego nie przychodzi mi do głowy.

– Jazda! – krzyczy Glenn i znów naciska spust.

Ruszamy z Jillian przez las, ale w chwili gdy Glenn przestaje strzelać, od razu się zatrzymuję.

– O co chodzi? – pyta Jillian.

Znajdujemy się jakieś trzy metry od auta. Zwracam uwagę na trawę za drzewami. Nigdzie nie widać Joego.

– W drugą stronę! – Ciągnę ją za rękę. – On już tu jest!

Obiegamy wóz, tak że teraz stoi między nami a lasem, i zaczynamy wspinać się po pochyłości w stronę szosy.

Oglądam się i widzę wystającą zza deski rozdzielczej lufę pistoletu Glenna.

– Jest między drzewami! – krzyczę do detektywa. – Chce pana zająć od tyłu!

Glenn podnosi głowę i zauważa, że biegniemy w kierunku drogi. Niewiele myśląc, gramoli się z auta przez rozbitą przednią szybę, przetacza się przez maskę i zaczyna pędzić za nami.

W pewnym momencie zatrzymuje się i spogląda na samochód; pewnie waha się, czy zostawić Sewarda.

PAM! PAM! PAM! PAM! PAM! PAM!

Kule lecą od strony lasu i odbijają się od auta.

– SZYBCIEJ! – krzyczę do Glenna.

Jillian ciągnie mnie za ramię; też chce, żebym się pospieszył.

Przeskakujemy przez barierkę, akurat kiedy dosięga jej seria. Pociski z głośnym brzękiem odbijają się od metalu. Glenn dociera do pochyłości, odwraca się i odpowiada Vikowi ogniem.

Kiedy karabin cichnie, detektyw rusza dalej i po chwili dołącza do mnie i Jillian.

Biegniemy do leżącej na prawym boku karetki. Do zderzenia doszło dosłownie przed paroma minutami, dlatego koła wciąż się obracają, a kogut na dachu nadal świeci.

Sanitariusz leży w środku na drzwiach od strony pasażera i próbuje wstać.

Wyciągamy go z kabiny.

– Nic panu nie jest?

– Chyba nie.

Wskazuję Jillian.

– To zabieraj ją pan i uciekajcie stąd.

– Nie – stwierdza kategorycznie Jillian. Zwraca się do sanitariusza.

– Niech pan ucieka!

Wystraszony strzelaniną mężczyzna nie traci czasu na zastanawianie się i z miejsca puszcza się biegiem.

Widzimy czerwono-niebieskie światła radiowozu policji z Hudson Creek. Auto zatrzymuje się z piskiem za naszymi plecami. Wysiada z niego starszy policjant.

– Co się dzieje?

– Strzelec w lesie! – krzyczy Glenn.

Policjant rusza w naszą stronę. Vik ma go jak na dłoni.

– Nie podchodź! – ostrzega Glenn.

PAM! PAM! PAM!

Pocisk przeszywa ramię funkcjonariusza. Mężczyzna z krzykiem pada na ziemię.

– Niech pan mi pomoże! – rzucam do Glenna i pochyłony podbiegam do postrzelonego policjanta.

– Zabierzmy go do radiowozu i spływajmy stąd – proponuje Jillian.

PAM! PAM! PAM! PAM! PAM! PAM!

Kule z karabinu dziurawią policyjne auto. Spod maski bucha kłęb pary; pocisk przebił chłodnicę.

– Cholera! No to nas uziemił! – cedzi Glenn. – Będę strzelał. Wy w tym czasie zabierzcie ранego do karetki.

Glenn dwa razy pociąga za spust, po czym chowa się za radiowóz.

Jillian pomaga mi przenieść policjanta do wnętrza karetki. Kiedy wciągamy go przez leżące na boku drzwi, mężczyzna dzielnie stara się powstrzymać od krzyku.

Zaczynam otwierać schowki w podłodze, która wcześniej była ścianą. Szukam bandażu. Są. Zakładam policjantowi opatrunek na ramię. Kiepsko to wygląda.

Przez tylną szybę widzę, że Glenn zagląda do radiowozu i wyjmuję służbową strzelbę rannego policjanta.

Przemieszcza się ku masce, a kiedy zauważa, że go obserwujemy, kładzie palec na ustach i pokazuje na coś za naszymi plecami.

Joe znów zmienił pozycję. Chce się podkraść do naszej kryjówki.

80

Bohater

Konkretyzuje się moje postrzeganie Glenna. Kiedy się poznaliśmy, wziąłem go za twardziela i miałem mu za złe sposób, w jaki mną manipulował i zmusił do powiedzenia prawdy, zawstydzając mnie moją własną naiwnością. Zorientował się, że jestem inteligentnym człowiekiem, i wykorzystał to przeciwko mnie, tak jak sprytny judoka obraca przeciwko oponentowi jego mocne strony. Jego wiedza miała inne źródło niż moja, stricte teoretyczna, pochodziła bowiem z codziennych kontaktów z prawdziwymi ludźmi – z wyłuskiwania kłamców i złodziei.

Był moim antagonistą, a mimo to w ciągu ostatnich kilku minut parokrotnie położył na szali własne życie, by ratować mnie i Jillian.

Glenn sprawdza strzelbę, którą pożyczył z radiowozu, i szykuje się do odparcia ataku Joego.

Oślaniają go karetka i radiowóz, mógłby nas porzucić i uciec. Nie zrobi tego. Nawet nie próbuje dotrzeć do naszej kryjówki, która zapewnia nam nieco lepszą osłonę przed kulami z karabinu napastnika.

Tutaj, z wnętrza karetki, stoczyłby bardziej zażarty bój na śmierć i życie, ale woli zająć dogodniejszą pozycję do oddania strzału, w razie gdyby Joe postanowił zaatakować.

Glenn postępuje bezinteresownie. Z miejsca, w którym się znajduje, odda lepszy strzał, ale być może swój ostatni.

Widzi, że się w niego wpatruję. Kiwnięciem głowy daje znak Jillian, po czym odpowiada na moje spojrzenie.

„Obroń ją” – zdaje się mówić.

To pierwotny instynkt. Szowinistyczny odruch. Natura nas do tego zaprogramowała – przynajmniej większość z nas.

Przenoszę uwagę na naszego pacjenta. Opiera się o ścianę, ściska rękę poniżej rany.

Dopiero teraz zauważam, że karetka pełni funkcję mobilnej

przychodni, jest bowiem wyposażona w chłodnię i miniaptekę.

Zerkam na identyfikator policjanta.

– Jak pan się czuje, sierżancie Bryant?

– Cudownie – jęczy. – Miałem wolną nockę.

Otwieram szafkę i natrafiam na zapas silnych leków.

– Chce pan coś przeciwbólowego?

– O Boże, poproszę.

Robię mu zastrzyk z morfiny. Po chwili wiotczeją mu mięśnie twarzy.

– Czy to na pewno dobry pomysł? – pyta mnie szeptem Jillian.

– Był w szoku. Niewiele brakowało, żeby zaczął wrzeszczeć z bólu. Stracił spory kawałek barku.

Boję się zmienić opatrunek w tych warunkach. Jeśli ruszę bandaż, odkorkuję ranę. Zamiast tego obwiązuję ramię sierżanta kolejną warstwą i mocno uciskam.

Pierwszy bandaż, który mu założyłem, zawierał środek zwiększający krzepliwość krwi – najwyraźniej nieźle spełnił swoje zadanie.

Na wszelki wypadek szykuję dodatkową strzykawkę z substancją wspomagającą krzepnięcie krwi i przygotowuję torebkę ze sztuczną krwią, w razie gdyby Bryant stracił zbyt dużo własnej. Sztuczna krew nie zastąpi prawdziwej, za to rozcieńcza ją lepiej niż zwykła sól fizjologiczna, pozwalając na utrzymanie odpowiedniego ciśnienia.

– Co robimy? – pyta Jillian.

– Glenn wezwał wsparcie. Pomoc na pewno jest już w drodze.

Oboje doskonale zdajemy sobie sprawę z tego, że Joe jest blisko i dotrze do nas, zanim nadciągnie odsiecz.

Glenn skrada się w kierunku maski radiowozu. Lufa jego strzelby jest skierowana na prawo od nas.

BAM! Strzela do czegoś.

Przesuwa się na drugą stronę maski i ponownie naciska spust. BAM!

PAM! PAM! PAM! PAM! PAM! PAM!

Pociski wbijają się w karoserię policyjnego wozu, wydając dźwięki, jakby ktoś rozbijał lód szpikulcem.

Glenn leci do przodu i głośno jęczy. Kula trafiła go w bok.

Zrywam się, żeby mu pomóc.

– Zostań! – warczy przez zaciśnięte zęby i przeładowuje strzelbę.

Prostuje się i posyła kolejną salwę. BAM! BAM! BAM!

Odpowiada mu seria z karabinu: PAM! PAM! PAM! Na piersi Glenna pojawiają się czerwone wykwyty. Detektyw pada na ziemię.

Wyskakuję z karetki i sięgam po strzelbę. Kiedy biegnę z powrotem do wozu, nagle uginają się pode mną nogi. Upadam ze świadomością, że dostałem postrzał.

Broda jako pierwsza wchodzi w kontakt z szorstkim asfaltem.

Podnoszę głowę, patrzę przez zaciągnięte mgłą oczy i wtedy go dostrzegam. Znajduje się jakieś dwadzieścia metrów ode mnie.

Moją pierwszą reakcją nie jest przerażenie ani szok.

Jest nią podziw.

Joe to naprawdę wielki chłop. Opancerzony od stóp do głowy, twarz zasłonięta metalową, pomalowaną w wojenne barwy maską z wąską szparą na wysokości oczu. Na chronionej kevlarem piersi wisi naszyjnik z niedźwiedzich pazurów.

U pasa pazury ze stali nierdzewnej, które tylko czekają, by ich użyć.

Powoli idzie w moją stronę, celując mi w pierś. Już dawno mógł mnie zastrzelić, ale nie zrobił tego, ponieważ cieszy się chwilą. Z upodobaniem przygląda się mojej reakcji na jego widok.

Podnoszę się z ziemi, wspierając się na zdrowej nodze, i kuśtykam z powrotem do karetki. Kiedy jestem już przy drzwiach, Jillian chwyta mnie pod rękę i wciąga do środka.

Widzę, jak rozszerzają się jej źrenice, gdy kątem oka zauważa potężną postać Joego.

– Widziałaś go? – pytam.

– Tak. – Rozrywa nogawkę spodni i ogląda ranę. – Pomóż mi z tym... Co mam robić?

– On... – Słowa mnie zawodzą.

– Theo! Pomóż mi z tym! – krzyczy Jillian.

Zerkam za okno. Dostrzegam cień zbliżającego się mordercy. Co czuje ktoś, kto zadał tak wiele śmierci? Czy już nie uważa się za

człowieka? Czy postrzega siebie jako boga uwięzionego w ludzkim ciele? Czy w ogóle cokolwiek czuje? A może jest stworzeniem składającym się z czystych reakcji – jak linijki kodu?

Jest tyle pytań...

81

Zaszczuci

Joe unosi broń i oddaje strzał w tylną szybę karetki. Rzucam się na Jillian i Bryanta, plecami do ognia karabinu.

We wnętrzu pojazdu panuje chaos. Pociski tłuką szyby, przebijają metalowe ściany auta i dziurawią drzwi jak sito.

W moim udzie wybucha piekący ból – i kolejny w boku.

Kanonada nagle ustaje i jedynym dźwiękiem, jaki wypełnia ciszę, jest nasz oddech. Czuję pod sobą Jillian; chowa głowę pod moją brodą.

Ośłania rannego policjanta, jest jak kolejna chroniąca go warstwa.

Słysząc głęboki, rzeźący odgłos; ktoś oddycha z wielkim trudem.

Jillian spogląda na mnie, odsuwa z twarzy kosmyki swoich włosów i pyta bezgłośnie:

– Jesteś cały?

Chcę odpowiedzieć, że chyba tak, ale zamiast tego pluję krwią.

Kiedy z moich ust zaczyna wypływać czerwona ślina, twarz Jillian, która znajduje się kilka centymetrów od mojej, zamienia się w maskę przerażenia.

Dociera do mnie, że rzeźenie dobiega z mojej piersi. Jeden z pocisków Joego otarł się o żebro i złamał je.

– Trzymaj się – mówi Jillian. Gramoli się spode mnie i podchodzi do drzwi.

Próbuję powiedzieć, żeby nie wychodziła, ale zamiast tego zaczynam kasłać.

Jillian chwyta za klamkę otwartego prawego skrzydła drzwi – w naszym obecnym położeniu jest to skrzydło dolne – i zamyka je, zatrzaszkując nas w środku.

Górne okno jest wprawdzie podziurawione, ale w znacznej części nienaruszone. Chociaż nie wiem, jaka to różnica. Wystarczy jeszcze jedna seria z karabinu Joego, a całkiem się rozpadnie.

Po chwili klamka zaczyna szczełkać. Joe szarpie za nią, usiłując

otworzyć drzwi.

Przyglądamy się temu z rosnącym przerażeniem. Nagle dźwięk ustaje.

– Chyba sobie poszedł – szepcze Jillian.

– Nic z tego – bardziej bulgoczę, niż mówię.

– Theo, powiedz, co mam robić! – Przesuwa dłońmi po moim ciele i natrafia na ranę w piersi.

– Co z nim? – pytam pomiędzy jednym a drugim rżącym oddechem.

Jillian dotyka szyi policjanta i wyczuwa puls.

– Żyje. Powiedz, jak mam cię opatrzyć. – Pomaga mi przyjąć pozycję siedzącą.

– Nie ma czasu...

– Przestań pieprzyć! Mów, co mam robić!

– Rękawiczki – udaje mi się wysapać.

Zaczyna grzebać w stosie materiałów, znajduje pudełko niebieskich rękawiczek, wyciąga parę i naciąga je na dłonie.

– Co dalej?

– Rana... głęboka?

Ogląda uszkodzone miejsce. Próbuje delikatnie sprawdzić, czy jest dziura, bo jeśli tak, może to oznaczać, że w moim ciele tkwi kula.

– Kurwa! – wrzeszczę, kiedy całym moim ciałem wstrząsa ból, jakby ktoś przyłożył do niego rozpalone żelazo.

Jillian cofa dłoń.

– Przepraszam.

– Nie szkodzi... To dobry znak.

– Czuję twoje żebro. Chyba jest złamane.

– Nie ma dziury. Weź... bandaż... ze środkiem... krzepliwość...

Krwotok wewnętrzny to przejściowy objaw. Przynajmniej taką mam nadzieję. Gdyby pocisk spenetrował pierś i płuca, umarłbym w ciągu kilku minut.

Jillian otwiera opakowanie takiego samego bandaża jak ten, którym opatrzyłem Bryanta, i przykłada go do mojej piersi. Środek zwiększający krzepliwość miesza się z krwią i tworzy swego rodzaju plombę powstrzymującą krwawienie z rany.

Nadal jednak kręci mi się w głowie.

– Theo? – Jillian podnosi dłoń, którą oparła o podłogę. Jest cała we krwi. – Chyba postrzelił cię w nogę w dwóch miejscach.

Dotyka mojego uda i natrafia na ranę. Czuję, jakby wbiła mi w nią nóż.

– Przepraszam! Wydaje mi się, że kula przeszła na wylot.

Znajduje nożyczki i rozcina nogawkę.

– Zawiązać tak jak tamtą?

– Wypełniacz... – cedzę przez zaciśnięte zęby. – Jak tampon...

W terenie najlepszym opatrunkiem bywa wypełniacz ran. Coś takiego może ci ocalić życie albo... pogorszyć twój stan – wszystko zależy od rodzaju obrażenia. W przypadku dziury na wylot przez mięsień uda to najbardziej wskazane rozwiązanie.

– Coś takiego? – pyta, trzymając przypominający strzykawkę aplikator.

– Tak...

Bez ostrzeżenia – i bardzo dobrze – umieszcza wypełnienie w ranie. Ból jest tak intensywny, że na chwilę tracę przytomność.

Jillian budzi mnie, uderzając po twarzy i powtarzając moje imię.

Jest mi słabo i zimno.

– Straciłeś dużo krwi.

– Bo krwawię – odpowiadam bezsensownie.

– Podać ci sztuczną krew? – Sięga po torebkę.

– Potrafisz... znaleźć... żyłę?

– Tak. Chyba.

Jestem tak zmęczony, że nawet nie chce mi się odpowiadać.

– Theo! Nie odpływaj! – Znowu uderza mnie w twarz.

– Nie tak... mocno...

Zaczyna mi ciemnieć przed oczami. Czuję ostry ból w przedramieniu, potem stopniowo odzyskuję ostrość widzenia.

Jillian wbiła mi igłę w żyłę, a torebkę ze sztuczną krwią zawiesiła na klamce nad moją głową.

– Tak ma to wyglądać? – pyta.

– Tak. Krwawię jeszcze?

– Chyba nie.

Obwiązuje igłę bandażem i mocuje, żeby się nie wysunęła.

– Joe? – pytam.

– Nie słychać go od kilku minut. Myślę, że pomoc już w drodze.

Chciałbym wierzyć, że to prawda. Czuję, że jeszcze długo nikt nie przybędzie nam z odsieczą. A przypuszczenie, że niby Joe zostawił nas i po prostu sobie poszedł, nie ma sensu.

Próbuję wyprostować plecy, ale ledwo mogę się ruszyć. Opieram się o ścianę i z trudem nabieram tchu.

Jillian poprawia mi bandaż, a potem sprawdza, czy wszystko w porządku u rannego policjanta.

Nagle zamiera pochyłona nade mną i spogląda w górę.

Już mam zapytać, o co chodzi, kiedy dociera do mnie odgłos ciężkich kroków od tylnej strony pojazdu.

Przez roztrzaskane okna widzimy przesuwaną się cień.

Rozlega się okropny piskliwy dźwięk. Po chwili hałas wypełnia całą karetkę. Joe uruchomił piłę do metalu i próbuje przeciąć drzwi.

Jillian odwraca się i zasłania mnie swoim ciałem.

– Sprawdź... czy policjant... ma broń – mówię szeptem pomiędzy jednym bolesnym oddechem a drugim.

Wyciąga rękę i zaczyna na oślep szukać kabury.

– Nie mogę znaleźć...

Urywa, bo nagle połowa tylnych drzwi karetki odpada i ląduje na ziemi.

Ponad jej ramieniem dostrzegam ogromną sylwetkę Joego.

Wielka łapa sięga do środka i chwyta Jillian za kostkę.

– Theo! – wrzeszczy Jillian, którą Joe wyciąga z karetki.

Usiłuję złapać ją za rękę, zatrzymać, ale zanim udaje mi się wykonać jakikolwiek ruch, ona jest już poza moim zasięgiem.

Walczy, czepia się ramy drzwi, nie poddaje się, ale Joe jest zbyt silny. Zmusza ją do kapitulacji i oboje znikają mi z oczu.

Zabrał ją.

Zabrał ją pierwszą.

Wie, że tu jestem, ledwo żywy, niezdolny do jakiegokolwiek działania.

Oto jego sposób na zadanie mi cierpienia.

82

Dzielny

Nie ma jej.

Usiłuję wstać. Świat się chwieje, nogi nie wytrzymują i znów się osuwam, prosto na Bryanta.

Z jego gardła dobywa się jęk.

Potrzebuje pomocy. Cholera, mnie też by się przydała.

Wypróbuję pozycję na czworakach, ale okazuje się, że moje ręce są zbyt słabe, by mnie utrzymać.

Zabrał Jillian. Najgorsze, że nawet nie krzyczała. Wiedziała, że jestem zbyt ciężko ranny, by móc cokolwiek zrobić.

Straciłem mnóstwo krwi. Nadal ze mnie wypływa.

Mam prawo się poddać.

Wolno mi rozłożyć ręce i powiedzieć, że zrobiłem wszystko, co w mojej mocy.

Nie mogę jej uratować.

Nie potrafiłem ocalić Juniper.

Zasługuję na śmierć.

Kiedy Joe po mnie przyjdzie, nie będę protestował.

Nie jestem w stanie żyć ze świadomością, że leżałem bezsilny, kiedy zabierał Jillian.

Nie mogę tak dalej...

Uświadamiam sobie, że naprawdę nie będę miał po co żyć, jeżeli pozwolę mu ją zabić.

Moja dłoń osuwa się na stosik fiolek.

Dekstroamfetamina.

Speed.

Jako sanitariusz miałem do czynienia z niejednym amatorem speedu. Żeby takiego obezwładnić, potrzeba było nawet kilku policjantów. Mózg delikwenta na speedzie nie wiedział, że powinien powiedzieć ciału „dość!”. Zdawał się mieć niewyczerpane pokłady energii.

Niewyczerpane pokłady energii...

Ostatecznie organizm płacił odpowiednią cenę. Dochodziło do zatrzymania akcji serca albo gorzej.

Ale co może być gorszego od tego, co się dzieje tu i teraz?

Wisząca nad moją głową torebka ze sztuczną krwią podsuwa mi pomysł. To właściwie samobójczy plan, ale może zyskam choć kilka minut...

Biorę strzykawkę i wtłaczam amfetaminę do torebki.

Sięgam do szafki i wygrzebuję epinefrynę – ją też dodaję do mieszanki.

Za dużo tego.

Takiej dawki nie podałybyś nawet koniowi wyścigowemu, chyba że nienawidzisz bestii i chcesz, żeby na ostatniej prostej pękło jej serce.

Ale dokładnie tego potrzebuję.

Moje ciało i tak jest spisane na straty.

Dziś w nocy tak czy siak umrę. Równie dobrze mogę to zrobić, walcząc.

Plastrami przyklejam sobie torebkę z krwią do piersi, a igłę przesuwam ku tętnicy w udzie, bardzo blisko rany postrzałowej.

Próbuję przebić igłą skórę, ale nie mam siły, by to zrobić. Czuję się, jakbym nurzał się we śnie.

– THEO!

Nie wiem, czy to krzyczała Jillian, czy tylko głos w mojej głowie. Zresztą co za różnica. Znajduję tętnicę, igła się zagłębia...

Już czuję mrowienie. Pułki elektrycznych mrówek zaczynają maszerować mi po skórze.

Znów mogę głębiej oddychać. Serce przyspiesza.

O, JA PIERDOLĘ.

ROZPIERA MNIE.

Moja głowa jest jak kula plazmowa ze sklepu z gadżetami.

W przeblysku jasności umysłu zbieram strzykawkę z podłogi, napełniam je różnymi substancjami, po czym ładuję do kieszeni kurtki.

Na podłodze rozlewa się spora plama mojej krwi. Przyklejam do piersi jeszcze dwie półlitrowe torebki sztucznej krwi, a do boku

przymocowuję niewielką pompkę. System zadziała, kiedy spadnie mi ciśnienie. Dla pewności obie torebki szprycuję adrenaliną.

Odpieprzam bioniczny cyrk w stylu Lance'a Armstronga, tyle że jeszcze bardziej ekstremalny.

Powracają siły – nie wstaję, tylko zrywam się na nogi.

Wychodzę z karetki jako istota stworzona z czystej energii. Biegnę w kierunku, w którym Joe oddalił się z Jillian.

Wykonuję szybkie ruchy. Podświadomie wiem, że powłóczę lewą nogą z powodu rany postrzałowej, ale środki pobudzające nieustannie stymulują nerwy i mięśnie nie mają innego wyjścia, jak tylko robić, co im każę; wyłączyłem im ręczne sterowanie.

Naziści faszerowali takimi mieszankami swoich żołnierzy i zamieniali ich w supermaszyny bojowe. Oczywiście, organizmy wojaków w końcu płaciły cenę za nadludzkie możliwości, ale umówmy się, że hitlerowskimi lekarzami nie kierowała troska o dobro człowieka.

Przed kilkoma chwilami byłem zniechęcony, gotowy pozwolić Joemu mnie wykończyć. A teraz... chuj z tym. Jestem CHOLERNĄ LOKOMOTYWĄ, KTÓRA SKRUSZY GO NA MIAZGĘ.

Tłumaczę sobie, że przemawia przeze mnie chemiczny koktajl.

PIEPRZYĆ TEN ZGIEŁK.

ROZERWĘ GO NA STRZĘPY.

Zajebicie, narwańcu. Ale zastanów się chwilę. Może zabrałbyś strzelbę martwego Glenna? Pewnie został jeszcze nabój albo dwa.

Łapię broń i biegnę do lasu. Między drzewami jest przerwa – na pewno tędy przeniósł Jillian.

Sprawdzam komorę strzelby: jeden pocisk.

NIE SCHRZAŃ TEGO.

Zbiegam po pochyłości, ostatnie metry pokonuję skokami.

Noga się ugina, ale nie zatrzymuję się.

On chce, żebym go gonił. Zobaczył mnie rannego w karetce i zapragnął się przekonać, z jakiej materii zostałem stworzony. Czy pozwolę mu uprowadzić moją dziewczynę? A może znajdę w sobie dość siły, żeby, kurwa, być mężczyzną?

Przedzieram się przez zarośla, kolbą strzelby usuwam gałęzie

z drogi.

Docieram do niewielkiej polany.

Na jej drugim końcu dostrzegam potężną sylwetkę Joego. Jillian klęczy na ziemi, ma podbite oko, z jej ust sączy się krew. Joe jedną ręką trzyma ją za gardło, a drugą, uzbrojoną w metalowe pazury, unosi, gotów rozszarpać jej żyłę szyjną.

Spogląda w moją stronę. Milczy, choć emanuje wściekłością.

Mam ochotę podnieść strzelbę i go sprzątnąć, ale zanadto trzęsą mi się ręce.

Jestem tak naćpany, że nie zdołałbym wycelować.

Mógłbym trafić Jillian, w dodatku Joe ma pancierz – strzelbą go nie załatwię.

Wypuszczam broń z ręki.

Szybko, naprawdę kurewsko szybko Joe odpycha od siebie Jillian i rusza na mnie.

Chce mi pokazać, jaki jest zwawy. Chce, żebym zobaczył w nim zwierzęcego ducha zagnieżdżonego w ludzkim ciele.

Chce, bym umarł ze świadomością, że nie jest po prostu zdeprawowanym szajbusem.

Chce, bym uwierzył, że jest półbogiem.

I rzeczywiście, przez ułamek sekundy wierzę w to. Nie sądzę, aby człowiek o takiej posturze potrafił tak szybko się poruszać. Nie sądzę, aby człowiek był zdolny do tak błyskawicznych reakcji.

A potem przypominam sobie, że przecież jestem naukowcem.

NAFASZEROWAŁEM SWOJE CIAŁO POTĘŻNĄ MIESZANKĄ CHEMICZNEGO SZAJSU, KTÓRA MNIE ZABIJE.

ALE PRZEZ JEDNĄ KRÓTKĄ CHWILĘ... JESTEM ŻOŁNIERZEM ZEMSTY O MOCY DEMONA.

Poza tym mam w kieszeniach garść strzykawek, o których mój przeciwnik nie wie.

83

Adaptacja

Miałem znajomą, która była biologiem morskim i zajmowała się znakowaniem żarłaczy białych. Zapytałem ją, jak to się, u diabła, odbywa.

Odparła, że najpierw bierzesz długą tyczkę, na końcu której mocujesz strzykawkę ze środkiem uspokajającym. Potem wrzucasz do wody przynętę z odpadków rybnych, czym zwabiasz rekina. Kiedy zwierzę zaczyna konsumować, dźgasz je strzykawką. Bezwładnego żarłacza unieruchamiasz w wodzie specjalną siatką przypominającą hamak. Ktoś odlicza minuty do momentu, w którym środek przestanie działać, a ty przystępujesz do pracy.

Ale, jak powiedziała, to wcale nie żarłacze stanowią największy problem.

Chodzi o to, co się dzieje po tym, kiedy obezwładniony, bezbronny rekin trafia do wodnej uprzęży.

Wtedy trzeba chronić go przed delfinami.

Cwane małe skurczybyki korzystają z okazji, że mogą bezkarnie dopieć rekinowi. Nadpływają nie wiadomo skąd i nosami dźgają żarłacza w szczeliny skrzelowe, próbując je uszkodzić.

Trudno im się dziwić.

Naukowcy muszą mieć oczy dokoła głowy i uważać, żeby taka trzystupięćdziesięciokilogramowa żywa torpeda nie trafiła w ich pacjenta.

Rekiny pływają w oceanach od ponad czterystu milionów lat; delfiny mniej niż jedną dziesiątą tego czasu, a mimo to w tak krótkim okresie zostały ich najzacieklejszymi wrogami.

W porównaniu z imponującym uzębieniem żarłaczy zęby delfinów wyglądają jak tępe mleczaiki, ale zwierzęta te mają coś, co daje im przewagę nad przeciwnikiem: rozwinięte mózgi. Delfiny dysponują niezwykle umiejętnością improwizacji.

Za rekinami stoją miliony lat zaprogramowanych strategii; delfiny

znają kody pozwalające im oszukiwać w tej grze.

Gus, pomimo najszczerzych chęci, nie zrobił ze mnie wojownika. Ale Joe też nim nie jest. Joe to zabójca. Jest żarłaczem białym na dwóch nogach i podobnie jak każdy rekin raz za razem wykorzystuje tę samą strategię. Poluje na złężnione, słabe i bezbronne ofiary. Muszę zacząć myśleć jak delfin.

Joe naciera na mnie, a ja padam na kolana. Bierze zamach i przecina pazurami powietrze tuż nad moją głową. Ponieważ nadał swemu ciału zbyt duży pęd, nie może się zatrzymać, wpada na mnie, prawą nogą zaczepia o mój bark i się potyka.

Przetaczam się na bok.

Zanim zdążę się zebrać w sobie, on już się odwraca i znów atakuje. Cholera, jest szybki.

Cztery ostrza pędzą w moim kierunku. Pochylam głowę i czuję, jak wbijają mi się w plecy. Jestem na haju, dlatego zamiast bólu odbieram jedynie osobliwe wrażenie, jakby ktoś kroił moje ciało.

Zamachuję się, ściskając w dłoni strzykawkę. Celuję w łydkę Joego. Nabrałem do niej tyle środka uspokajającego, że wystarczyłoby do zatrzymania serca grizzly.

Igła zagłębia się w skórę. Zaczynam naciskać tłok, ale Joe szarpie nogą i igła się łamie.

KURWA!

Już nie pozwoli mi się do siebie zbliżyć.

Wykorzystuję chwilę nieuwagi z jego strony, żeby odskoczyć i znaleźć się poza zasięgiem jego ramion.

W wyciągniętej przed siebie lewej ręce trzymam kolejną strzykawkę.

Joe zatrzymuje się i obrzuca mnie spojrzeniem. Nie widzę jego twarzy pod maską, ale wiem, że mnie ocenia.

Muszę zmienić taktykę.

Muszę zrobić coś, czego nie zrobiła żadna z jego ofiar.

– Kiepski wieczór, co nie, Joe?

Wiem, że jego jedyną reakcją jest atak, dlatego wymawiając ostatnie słowo, zaczynam odskakiwać w bok.

Joe rzuca się przed siebie, ale mnie już tam nie ma. Trafia w pustkę

i odsłania swój lewy mięsień naramienny. Skaczę na niego i czepiam się jego ramienia jak mała drzewa.

Zanim zdążę wbić igłę, jego pazury zagłębiają się w moim barku.

Maskę Joego zalewa fontanna krwi.

Kurwa mać. Trafił w tętnicę.

Krew sika jak z węża strażackiego.

Spadam i twardo ląduję na plecach.

Joe stoi nade mną. Triumfuje. Stracił mnie z siebie jak King Kong.

Krew nadal tryska i rozlewa się kałużą wokół mojej głowy.

A on się przygląda.

To lubi: zranić człowieka i czekać, patrzeć, jak ten się wykrwawia.

To go kręci.

Jestem tak nafaszerowany, a mój mózg tak nakręcony, że nawet nie dociera do niego, że nie dostanie więcej krwi.

Fontanna zamienia się w strużkę. Po chwili nawet ta wysycha.

Teraz powinno się zatrzymać serce.

Umrę, mając przed oczami mężczyznę, który mnie zabił.

Mężczyznę, który zamorduje Jillian.

84

Zakrzepica

Joe wisi nade mną, czerpiąc milczącą satysfakcję z mojej śmierci. Pozwala mi się wykrwawiać jak zarznanemu prosięciu.

Leżę bezradny, wpatruję się w tego olbrzyma i czekam, aż zrobi mi się całkiem ciemno przed oczami i przewoźnik przeprawi mnie przez Styks.

Czekam...

I czekam...

Cholera, trochę trwa to umieranie.

Czyżby czas zwolnił?

Doświadczam własnej śmierci z oddalenia, niczym Marvelowski Obserwator przypatrujący się końcu istnienia.

Czy śmierć jest jak horyzont zdarzeń wokół czarnej dziury, do której wpada się całą wieczność?

Wiem, że to subiektywne wrażenie i tak dalej, ale do ciężkiej cholery, do tej pory chyba jednak powinienem już nie żyć.

Nieważne, ile chemii wpompowałem w swój organizm – kiedy człowiek wykrwawia się przez rozerwaną tętnicę, to muszą zadziałać bezwzględne prawa fizyki. Powinienem być martwy i kropka.

Ale jestem żywy. A przynajmniej świadomy.

Joe zaczyna klękać. Słyszę, jak nabiera powietrza pod maską. Coś wyczuwa.

– Theo... – jęczy Jillian.

Leży na skraju polanki jak stos pomiętych szmat.

Słyszac jej głos, Joe odwraca głowę.

Nagle do mnie dociera.

Joe nie trafił w tętnicę.

Joe rozciął torebkę ze sztuczną krwią.

Na pewno uszkodził też kawałek ciała, ale krwawy gejzer nie pochodził z tętnicy, tylko ze zbiorniczka.

Spada mi ciśnienie... Co oznacza, że w każdej chwili...

BZZZZZZ.

Ożywa pompka krwi. Joe w ułamku sekundy przenosi spojrzenie z powrotem na mnie.

Nadal udaję martwego.

Dźwięk wydawany przez pompkę przypomina sygnał pagera.

Joe pochyla się nade mną, szukając źródła wibracji.

Nie.

Śmiem.

Kurwa.

Oddychać.

Lewą ręką zdejmuję rękawiczkę z prawej dłoni. Jego wielka łapa zaczyna macać mnie po boku.

Dostrzegam plamkę różowej skóry pod maską. Szyja. Jego słaby punkt. Jego szczelina skrzelowa.

Jak delfin korzystam z okazji do załatwienia żarłacza i wbijam mu strzykawkę, którą ściskam w dłoni.

– SKURWYSYNU! – ryczy.

– A jednak wyszedłeś z roli, gnoju.

Wali mnie pięścią w twarz, miażdżąc mi nos.

Zaczyna nakładać pazury i nagle się odchyła. Wstaje i chwieje się na nogach.

Przekręcam się na brzuch i dźwigam na kolana. Teraz to mi się kręci w głowie.

Joe zatacza się na boki i zatrzymuje. Kończy zakładanie rękawicy i człapie w moją stronę.

Jestem słaby, ale ruchy mam nieco płynniejsze. Odsuwam się. Joe mija mnie, po czym pada jak ścięty.

Ranna noga nagle ugina się pode mną i lecę twarzą ku ziemi.

Krew spływa mi po szyi i trafia do ust. Nie widzę Joego.

Nic, cholera, nie widzę.

Chyba schodzę.

Czyjaś dłoń łapie mnie za ramię i ciągnie do góry.

Próbuję zamachnąć się na tę osobę, ale nie wiem, gdzie ona jest.

– Theo! – krzyczy Jillian.

Szlag. O mało jej nie uderzyłem.

Przestaję się opierać i pozwalam odciągnąć się kawałek dalej. Jillian sadza mnie na ziemi i opiera plecami o kłodę.

– Jak się czujesz? – pyta, kucając przede mną.

Z miejsca, w które uderzył ją Joe, płynie jej po twarzy krew.

– A ty?

– Lepiej od ciebie. Wytrzymaj. – Kulejąc, podchodzi do strzelby i ją podnosi. – Zostań ze mną.

Siada. Jedną ręką kładzie sobie moją głowę na kolanach, a drugą ściska strzelbę wycelowaną w nieprzytomnego Joego.

Zaczynam odpływać.

– Theo! – Budzi mnie, uderzając w twarz. – Karetka już jedzie. Zostań ze mną.

Oglądam się i widzę, że ciało Joego nadal leży w tym samym miejscu. W przebłysku jasności umysłu próbuję ostrzec Jillian, że Joe może się w każdej chwili ocknąć. Musimy myśleć jak delfiny.

Zamroczenie dopada mnie, zanim zdążę cokolwiek powiedzieć.

Wydaje mi się, że śnię.

BUM!

Otwieram oczy i rozglądam się za ciałem Joego. Zniknęło.

– Jillian!

– Już dobrze – mówi.

– Nie ma go!

– Odszedł, Theo. Odszedł do piekła.

Wtedy go dostrzegam. Widzę trupa rozwalonego na drzewie. Nie ma już maski, a w miejscu jego twarzy zieje krwawa miazga.

Nie wiem, czy ruszył na nią, czy próbował uciec. Ważne, że załatwiła sukinsyna.

Lubię tę babkę.

*

Zabierają mnie.

Drzewa toną w migającym czerwono-niebieskim świetle.

Sanitariusze zrywają ze mnie ubranie, odłączają rurki.

Patrzę, by się przekonać, czy jeden z nich ma moją twarz.

Nie, jednak nie.

Nawet nie wydaje mi się, że tu jestem.

Uznaję, że mnie tu nie ma.

Przenoszę się do pizzerii w kampusie. Siedzę z moimi studentami. Juniper patrzy na mnie. Pochyla się, palce naszych spoczywających na kanapie dłoni niemal się stykają.

Juniper ma twarz Jillian.

Tym razem nie cofam ręki. Przysuwam się i zamykam jej delikatną dłoń w swojej.

Uśmiecha się.

Podziękowania

Dziękuję Erice Silverman-Spellmann za dopilnowanie, by Theo nie zgubił się w lesie. Dziękuję Jacquelyn BenZekry za to, że pomogła Theo znaleźć dom, oraz Liz Pearsons za to, że poczuł się w nim jak u siebie. Chciałbym również wyrazić wdzięczność moim rodzicom, Jamiemu i Zorze Harterom, a także Justinowi Robertowi Youngowi, Kennethowi Montgomery'emu, Hannah Wood, Mary Jaras, Peterowi J. Wacksowi, Stevenowi L. Searsowi, rodzinie Winnerów, Chrisowi Brennanowi, Brianowi Brushwoodowi, Paulowi Zakowi, Jackowi Hornerowi, Davidowi Sandsowi, Richardowi Friedmanowi, Jamesowi Randiemu oraz wszystkim, z którymi miałem przyjemność rozmawiać o naszej wspólnej miłości do nauki.

¹ *Juniper* (ang.) – jałowiec (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

² *Creek* (ang.) – potok (w górach), strumień (na nizinach).

³ Bo włóczęgi takie jak my, mała, żyją po to, aby wiecznie być w ruchu (Bruce Springsteen, *Born to Run*).

⁴ Potok Pum.

Redaktor inicjujący: Magdalena Gołdanowska
Redaktor prowadzący: Magdalena Matuszewska

Przekład: Jacek Żuławnik
Redakcja: Krystian Gaik
Korekta: Piotr Królak, Grzegorz Krzymianowski

Cover design by M.S. Corley

Skład i łamanie: Plus 2 Witold Kuśmierczyk

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
02-672 Warszawa, ul. Domaniewska 48
tel. (22) 828 98 08
faks (22) 395 75 78
biuro@gwfoksal.pl
www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-5735-7

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](http://www.gwfoksal.pl)
i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](http://www.virtualo.pl)

virtualo

Spis treści

[Dedykacja](#)

[1. 1989](#)

[2. Maszyna do lodu](#)

[3. Próbką](#)

[4. Samooskarzenie](#)

[5. Wskazówka](#)

[6. Praca w terenie](#)

[7. Wyspy](#)

[8. Granice](#)

[9. Północ](#)

[10. Bestia](#)

[11. Filantrop](#)

[12. Motyle](#)

[13. Bliska odległość](#)

[14. Żółta taśma](#)

[15. Miejsce spoczynku](#)

[16. Snajper](#)

[17. GenBank](#)

[18. Alfa](#)

- [19. Wszystko staje się jasne](#)
- [20. Wrobiony](#)
- [21. Diabelskie nasienie](#)
- [22. Graf](#)
- [23. Ludzka pętla](#)
- [24. Eksperyment kropli paku](#)
- [25. Hudson Creek](#)
- [26. Kosiarz trawy](#)
- [27. Rozchwiana młodzież](#)
- [28. Placek wiśniowy](#)
- [29. Otwarte rany](#)
- [30. Zaginione dziewczęta](#)
- [31. Stalker](#)
- [32. Psiapsiółki](#)
- [33. Zły Książę](#)
- [34. Zajęcia w terenie](#)
- [35. Ścieżki w mroku](#)
- [36. Bioróżnorodność](#)
- [37. Pozostałości](#)
- [38. Informator](#)
- [39. Współwinni](#)
- [40. Prawdopodobieństwo](#)

- [41. Zastój](#)
- [42. Wskrzesciciel](#)
- [43. Kozioł ofiarny](#)
- [44. Pacjent](#)
- [45. W drogę](#)
- [46. Rok akademicki](#)
- [47. Ofiary bayesowskie](#)
- [48. Bezwład](#)
- [49. Licznik ofiar](#)
- [50. Antropolog](#)
- [51. Zęby rekina](#)
- [52. Nerozwiązana sprawa](#)
- [53. Cienie](#)
- [54. Kontakt](#)
- [55. Geoinformacja](#)
- [56. Wąwóz](#)
- [57. Kryjówka](#)
- [58. Ekstremofil](#)
- [59. Dokuczliwe wrażenie](#)
- [60. Krajobraz](#)
- [61. Internistka](#)
- [62. Najbliższa rodzina](#)

- [63. Farma](#)
- [64. Wspólniczka](#)
- [65. Śmieciarz](#)
- [66. Alibi](#)
- [67. Podrzutek](#)
- [68. Środek zaradczy](#)
- [69. Przyznanie się](#)
- [70. Substytut](#)
- [71. Ofiara](#)
- [72. Breaking news](#)
- [73. Truposz](#)
- [74. Otrzeźwiony](#)
- [75. Stalker](#)
- [76. Ochrona](#)
- [77. Otoczenie](#)
- [78. Kryjówka](#)
- [79. Kraksa](#)
- [80. Bohater](#)
- [81. Zaszczuci](#)
- [82. Dzielny](#)
- [83. Adaptacja](#)
- [84. Zakrzepica](#)

[Podziękowania](#)

[Przypisy](#)